

CAROLE TRÉBOR

U4

.JULES


POLARIS LIS

CAROLE TRÉBOR

U4

.JULES

PRZEŁOŻYŁ JAKUB JEDLIŃSKI



POLARNY LIS

Spis treści

Dedykacja

Motto

Jeden

Dwa

Cztery

Zakończenie. Pamiątnik Alicji

Podziękowania

Koridwen – pierwszy fragment

Stephane

Yannis

Moim dzieciaczkom
przesiadującym właśnie
przed monitorami

Moje życie nie minęło

ani nie czeka

ani nie trwa

Jest we mnie.

Jacques Prévert, *Soleil de nuit*

Przeznaczenie to nikt,

odpowiedzialność to ktoś.

Paul Ricœur, *Le Juste I*

1 listopada

Mija już dziesięć dni, odkąd atakujący opony mózgowo filowirus krwotoczny U4 – nazwany tak od Utrechtu, miasta w Holandii, w którym pojawił się po raz pierwszy, i czwartej generacji – sieje spustoszenie.

Piorunująco złośliwy, w czterdzieści godzin zabija wszystkich bez wyjątku: wywołuje osłabienie organizmu, migreny, astenię i paraliże, po których dochodzi do gwałtownego krwawienia, zawsze kończącego się śmiercią.

Rozprzestrzenił się już w całej Europie. Berlin, Lyon, Mediolan... Kolejne dzielnice, miasta, aglomeracje próbowano poddawać kwarantannie, aby powstrzymać epidemię. Na próżno.

Ponad dziewięćdziesiąt procent światowej populacji uległo zagładzie. Przy życiu pozostały jedynie nastolatki.

Zaczyna brakować pożywienia i wody pitnej. Połączenie z internetem staje się niestabilne. Istnieje obawa, że skończy się prąd i zerwą sieci komunikacyjne.

Warriors of Time (lub WOT – dla wtajemniczonych) była przed epidemią popularną grą komputerową w typie multiplayer. Gracze mogli w niej – w zależności od poziomu – podróżować między epokami w fikcyjnym świecie Ukraün, zmieniać bieg wydarzeń i w ten sposób wypełniać swoje misje. Uczestnicy regularnie spotykali się na forum, żeby wypracowywać strategie i wysłuchiwać rad doświadczonych wojowników – Ekspertów albo nawet samego mistrza gry, Khronosa.

Pierwszego listopada, przedostatniego dnia działania internetu, szeregi WOT liczyły około stu pięćdziesięciu Ekspertów pozostałych przy życiu na terytorium Francji. Ci z nich, którzy weszli na forum tego dnia, żeby zapomnieć o otaczającej ich rzeczywistości albo wymienić się informacjami na temat kataklizmu, otrzymali taką wiadomość:

Od: Mistrz gry

Do: Eksperci

To z pewnością moja ostatnia wiadomość. Połączenia stopniowo rwą się na całym świecie.

Nie traćcie nadziei. Wciąż pozostajemy Warriors of Time.

Znam sposób na cofnięcie czasu. Zawsze go znałem. Jednak sam nie mogę nic zrobić.

Dołączcie do mnie. Razem możemy uniknąć katastrofy, napisać przeszłość na nowo. Uwierzcie we mnie, uwierzcie w samych siebie, a pokonamy naszego najpotężniejszego wroga: wirusa.

Spotkanie 24 grudnia o północy pod najstarszym zegarem w Paryżu.

Khronos

—

Jules, Koridwen, Stéphane i Yannis to czworo Ekspertów. U4 jest historią o nich.

Jeden

4 listopada, wczesne popołudnie

Głodny jestem. W kuchni nie ma już nic do jedzenia.

W kranie od rana brak wody, gazu nie ma od wczoraj, prądu od trzech dni. Na próżno po omacku przesuwałem ręką po ścianie, próbując zapalić światło w salonie. Wszystko na nic – nadal panowały egipskie ciemności. Od zmierzchu, czyli mniej więcej od siódmej wieczorem, mieszkanie tonie w mroku.

Na szczęście w komodzie przy wejściu znalazłem dwie latarki. Muszę szybko zdobyć do nich baterie, a także świece. Poza tym trzeba zrobić zapasy węgla drzewnego i zapalek, żeby podtrzymać ogień na kominku. Zaczyna być zimno. Potrzebuję żywności.

Lego bez przerwy miauczy. Skończyły się chrupki dla kota. On też umiera z głodu. Ze złości, żeby się zemścić, drapie fotele i kanapy. Łapie wszystko, co się rusza, porwał mi nawet zegarek, który kupiłem sobie przez internet. Na ten zegarek wydałem całe kieszonkowe i zrobiłem z niego przedmiot kolekcjonerski – wygrawerowałem z tyłu nożykiem litery WOT. Teraz nie mogę go znaleźć, więc potrzebuję też baterii do budzika – inaczej nie będę nawet wiedział, która jest godzina.

Okropnie boję się wyjść z domu. Muszę jednak stawić czoła Paryżowi, zanim noc zagarnie ulice. Miasto, na które patrzę przez okno, nie jest już moje. To jest miasto nie do zniesienia.

Wczoraj widziałem ludzi w kombinezonach astronautów oraz czymś w rodzaju masek przeciwgazowych. Zbierali trupy i wrzucali je na opancerzone ciężarówki. Dokąd zwieźli te wszystkie splątane ze sobą ciała? Do grobów zbiorowych? A może je spalą? Może oni wiedzą, co wszystkich zabija? Co to za cholerny wirus, który atakuje i uśmierca w ciągu kilku godzin? Czy mogą mi powiedzieć, dlaczego wciąż żyję? Miałem ochotę pobiec i dołączyć do nich, ale nie ruszyłem się od okna, nie byłem w stanie nic zrobić. Prośba o pomoc zmusiłaby mnie do uznania, że wszyscy naprawdę umarli, do zaakceptowania tej ciszy i tego smrodu. A tego nie mogę zrobić. I nie chcę.

Wyjść.

Muszę wyjść, muszę poszukać jedzenia.

Trudno, najwyżej się zarazę.

Nawet gdybym miał umrzeć, wolę umrzeć na zewnątrz z pow-odu epidemii niż w domu z głodu.

Dziadek mówił, że bym nie wychodził. Ale może jestem odporny na tego wirusa? Może zachowałem życie, by wypełnić misję Khronosa i pozostałych Ekspertów? Muszę wytrzymać do 24 grudnia i pójść pod najstarszy zegar w Paryżu, żeby przekonać się, czy powrót do przeszłości jest możliwy.

Co to za dźwięki w salonie?

Cholera, chrobot się nasila. Idę tam.

Kolejna inwazja szczurów! Są olbrzymie. Jak dostały się do mieszkania? Boże, co za koszmar!

– Spieprzajcie, wstrętne bydlaki! A kysz!

Mój histeryczny głos brzmi dziwnie. Czy to naprawdę ja mówię? Szczury są megaagresywne, jakby zmutowane. Jeden wgryza się mi w kostkę. Kopię, żeby mnie puścił. Bardzo się boję, ruszam biegiem w stronę drzwi i wypadam z mieszkania.

Zbiegam po schodach między chmurami szczurów. Na wycieracze na czwartym piętrze potykam się o coś lepkiego i wilgotnego. Padam na marmurową podłogę. Z całej siły zaciskam

oczy, przerażony smrodem zgnilizny, który gryzie mnie w gardło i wyciska łzy. Nigdy w życiu nie czułem równie okropnego zapachu. Oddychanie staje się nieznośne. Dostaję drgawek, przestaję kontrolować swoje ciało.

Wiem, o co się potknąłem, i wiem, że muszę szybko się podnieść. Inaczej czeka mnie śmierć.

Ten miękki, gąbczasty przedmiot, o który zawadziłem, to trup. Jedna z ofiar wirusa. Wirusa, który być może właśnie mnie atakuje.

Podnoszę się na kolana. Nogi mam jak z waty, nie mogę nawet wstać. Jak zahipnotyzowany wpatruję się w ciało: to moja sąsiadka z piętra niżej. Obok leży jej syn. Też nie żyje. Czuję się ogłuszony. Jestem niezdolny do odczuwania czegokolwiek. Szumi mi w uszach. Twarz kobiety jest zupełnie biała, aż zielonkawa, na szyi widać sine ślady. Jej skóra wygląda, jakby ktoś naciągnął ją na kości. Gałki oczne ma zapadnięte, jakby pokryte plastikową błoną. Jest zupełnie sztywna. Można by pomyśleć, że to figura woskowa z muzeum Grévin, ale najgorsze są larwy i robaki, które do żywego mięsa objadły skórę na brzuchu. Dlaczego umarła na wycieraczkę? Dlaczego nie w domu? Nie musiałbym jej oglądać. Ale co to za głupie myśli, czy mi padło na mózg? Biedaczka, pewnie chciała zaprowadzić synka do lekarza na drugim piętrze i na-gle dopadła ją choroba. Zmarła tu, na klatce schodowej, z dzieckiem u boku.

Pod koniec października, gdy jeszcze działała sieć, widziałem ofiary wirusa w internecie. Chorych powalała gorączka, a później dochodziło porażenie ciała, wymioty, plucie krwią, krwawienie ze wszystkich porów skóry. Nie mogę oderwać wzroku od ciała sąsiadki. Rączka chłopca nadal tkwi w dłoni matki, jakby kobieta chciała trzymać go do ostatniej chwili życia. Które z nich umarło pierwsze? Groza tego pytania wywołuje u mnie skurcze żołądka i mdłości. Miotają mną gwałtowne torsje. Wymiotuję. Samą żółcią. Pewnie matka odeszła pierwsza, mały złapał ją za rękę, zanim umarł. Znów mam torsje, zginam się wpół. Nic już nie jestem w stanie z siebie wyrzucić, tylko rozpacz i obrzydzenie.

Wstaję chwiejnie i zaraz chwytam się poręczy. Czuję w głowie pustkę. Ten stan chroni mnie przed światem równie skutecznie jak warstwa waty. Kiedy docieram na parter, przypominam lunatyka.

Gdy tylko wychodzę na aleję Obserwatorium, zaczyna mnie dusić ten sam wszechobecny smród rozkładającego się mięsa, zepsutych jaj i nieświeżych ryb.

Mam wrażenie, że te wyziewy żyją, wnikają wszędzie, osaczają mnie jak dementorzy. Asfalt jest usiany wzdętymi, sztywnymi ciałami. Z bliska wszystko wydaje się jeszcze bardziej nierzeczywiste niż z piątego piętra. Z góry ulice wyglądały jak zastygłe pod chmurą czarnych ptaszysk. Nie chcę wierzyć własnym oczom, ale nie mogę dłużej ignorować tego, co widzę. One tam są, te potworne trupy. Ich obecność napędza mnie grozą. Nigdy wcześniej nie widziałem martwego człowieka, a teraz nawet nie zdołałbym ich policzyć. Nie mają już w sobie nic ludzkiego, zaczęły się rozkładać, unoszą się nad nimi roje much. Czy to jeszcze w ogóle są ludzie? Czy tylko ludzkie szczątki?

I ta cisza... Cisza, która ogłusza mnie bardziej niż ruch uliczny, odgłosy autobusów ruszających na zielonym świetle, krzyki dzieci, warkot skuterów. Brakuje mi dźwięków Paryża. Od kilku dni nie słyhać nawet syren. Gdzie podziiali się ludzie w kombinezonach, których widziałem wczoraj? Czy tylko oni, w specjalnych skafandrach, przeżyją epidemię? I kim są?

Dlaczego na ulicach nikogo nie ma? Nie widzę żadnych przemykających postaci. Nikogo, z kim można by zamienić słowo.

Lękliwe poszczekiwanie psa przerywa ciszę. Odwracam się. To bardzo łagodny biały labrador naszych sąsiadów z trzeciego piętra. Zbliżam się do niego pełen nadziei, ale na widok zielonkawej rzeczy, którą trzyma w pysku, znów robi mi się słabo. To ręka. To kiedyś była ręka.

Żołądek mi się skręca, w gardle czuję palący smak żółci. Przykładam do nosa chusteczkę i przechodzę przez bulwar pełen wywroconych koszy na śmieci. Plastikowe torebki, zawilgocone foldery reklamowe, opakowania z McDonalda i puszki po piwie muszą wystarczyć za ozdoby pogrzebowe. Taki sam chaos panuje w parku Wielkich Odkrywców. Uczepione drzew i metalowych krat fragmenty plastiku szeleszczą na wietrze. Gruba warstwa zeschniętych liści pokrywa alejki małego Ogrodu Luksemburskiego, jak nazywamy tę oazę zieleni w naszej dzielnicy.

W powietrzu na pewno roi się od wirusów, bakterii i innych tego rodzaju świństw. Przydałaby mi się maska gazowa albo przynajmniej maseczka higieniczna. Mógłbym znaleźć ją w aptece. Powiew wiatru przynosi nieznośne wyziewy zgnilizny. Nie jestem w stanie oddychać, jakbym zamiast serca miał kamień, który nie pozwala krwi krążyć w żyłach. Kaszlę, żeby pozbyć się z gardła smaku gęstej pleśni.

Czy wszyscy paryżanie umarli? Chciałbym sprawdzić, czy moi koledzy przeżyli, ale nie mam odwagi, za bardzo boję się natrafić na ich ciała.

A rodzice? Brat? Czy ich odnajdę? Nie ma nikogo, kto mógłby odpowiedzieć na to pytanie.

Za bardzo się boję.

Trzy dni temu udało mi się jeszcze skontaktować z Ekspertami WOT na forum internetowym. Na samą myśl o tym wstrząsa mną dreszcz. A jeśli oni też umarli od czasu ostatniej wiadomości od Khronosa?

Zmuszam się do pójścia w stronę Ogrodów Luksemburskich. Mam nadzieję, że tam będzie mniej trupów, a powietrze bardziej rześkie. Na ulicy stoją porzucone samochody. Nie mogę uwolnić się od smrodu, który wnika w moje ubrania. Cuchnę teraz śmiercią. Wejście do parku, naprzeciw liceum Montaigne'a, jest zamknięte. Ruszam ulicą Auguste-Comte w kierunku bulwaru św. Michała. Próbuję nie potykać się o ciała leżące przed Akademią Górniczą, nie zemdlec na chodniku. Mam ochotę położyć się między tymi... sam już nie wiem, jak ich nazywać. Mam ochotę zwinąć się obok na betonie, zasnąć i więcej się nie obudzić, opuścić tę pustkę, poddać się uczuciu wyczerpania, które opanowało mnie i sprawia, że każdy krok staje się wysiłkiem nie do zniesienia.

Mimo wszystko idę dalej. Po drodze nie spotykam żywej duszy.

Mijam autobus, który uderzył w ogrodzenie parku. Rozbite samochody wbiły się w jego tył.

Zbliżam się do supermarketu przy ulicy Monsieur-le-Prince.

Najgorsze – poza smrodem i ciszą przerywaną okrzykami żarłocznych sępów – jest całkowite znieruchomienie wszystkiego, co tu kiedyś żyło. Życie to ruch, a teraz panuje zupełny bezruch... Jeśli nie liczyć chmar czarnych ptaków i stad szarych szcurków.

Nagle orientuję się, że jestem tuż obok merostwa 5. dzielnicy. Ostatecznie postanawiam wrócić na ulicę Soufflot – muszę zdobyć jakieś informacje. Być może uda mi się nawiązać kontakt z innymi ocalałymi, a także sprawdzić, czy ktoś nie wywiesił jakiegoś afisza albo *Odezwy do ocalałych*.

Niewzruszony, majestatyczny Panteon jak zawsze osłania grobowce sławnych ludzi. Jakie to dziś śmieszne! Na skrzyżowaniu ulicy Saint-Jacques mam wrażenie, że obok kamiennego mauzoleum stoi jakiś człowiek. Czy ja śnię? Po chwili znika mi z oczu, ale kiedy przemierzam szybkim krokiem plac Panteonu, serce wali mi w piersi – nie jestem sam!

4 listopada, popołudnie

Przed Panteonem snują się nastolatki z błędnym wzrokiem. Zbliżam się, serce wali mi jak szalone. O dziwo, nie widzę wśród nich żadnych dorosłych. Czy oni wszyscy stracili rodziców? Błada, chuda dziewczyna z mnóstwem kolczyków w nosie i w uszach, ubrana w czarną skórzaną kurtkę i dżinsowe biodrówki, skacze nerwowo w miejscu; wielki facet w stroju sportowym chodzi w tę i z powrotem jak lew w klatce; inna dziewczyna siedzi na schodach z czołem przyciśniętym do kolan. Kiwa się w przód i w tył, jakby miała chorobę sierocą. Ostatni chłopak z tej grupy, z zagubionym spojrzeniem, przypomina ducha ubranego w czerń, wydaje się wręcz unosić w powietrzu. Idę w stronę brunetki z kolczykami. Wydaje się sympatyczniejsza niż pozostali. Nabieram powietrza i mówię:

– Cześć...

Dziewczyna cofa się, kiedy się zbliżam.

– Cześć – odpowiada nieufnie.

– Jesteś... Jesteś całkiem sama.

Kręci głową, ma błyszczące oczy, robi jeszcze jeden krok w tył. Cholera, czy ona przede mną ucieka? Pospiesznie zadaję pytanie:

– Co tu robisz?

– Czekam na żołnierzy. Powiedzieli, że przygotowują miejsca w bezpiecznej strefie i przyjadą do nas, kiedy wszystko będzie gotowe.

– Przyszli już?

– Nie, ale chciałabym wiedzieć, gdzie będzie Z-Punkt.

Ma zachrypnięty głos, jakby od dawna z nikim nie rozmawiała. Nie mam czasu zapytać o to, co znaczy „Z-Punkt”, bo już się oddala, wskazując ręką na afisz przyklejony do fasady merostwa, tuż obok kolumn. Pewnie boi się, że mogą być zarażony. Może ci wszyscy młodzi nie zbliżają się do siebie ze strachu przed wirusem? Szybko czytam obwieszczenie.

Wkrótce w pobliżu tej dzielnicy powstanie Z-Punkt. W strefie bezpieczeństwa militarnego dostępne będą woda pitna, artykuły pierwszej potrzeby i środki medyczne. Należy stawić się w centrum ewidencyjnym w celu dokonania rejestracji i otrzymania przydziału do odpowiedniego Z-Punktu.

Podpisane: Administracja wojskowa Paryża, komórka kryzysowa, wojska lądowe

To bez wątpienia oddziały bezpieczeństwa wojskowego jeżdżą po ulicach opancerzonymi ciężarówkami i kierują nad miasto drony oraz helikoptery. Idę o zakład, że ludzie w kombinezonach, których widziałem z okna, też należą do tych oddziałów. Kiedy dadzą nam jeść i pić? Być może trzeba będzie schronić się w tym miejscu, które nazywają „Z-Punktem”.

Tymczasem idę w stronę sklepu spożywczego przy ulicy Monsieur-le-Prince, gdzie bezdomne psy rozrywają trupa obok gromady nażartych szczurów, chichoczących z zadowolenia na widok takiej ilości krwistego mięsa. Ponownie strach porywa mnie za gardło, znów mam ochotę umrzeć. Dlaczego przeżyłem?

– Dobrze – mówię do siebie – działaj jak w WOT, zachowuj się, jakbyś nadal był w grze, w świecie Ukraïn. Nie pozwól, żeby coś zrobiło na tobie wrażenie, nie daj Wrogowi – kimkolwiek jest – zdobyć przewagi.

Wrogiem jest śmierć, której muszę się wymknąć. Moimi przeciwnikami są te trupy, muszę je przechytryć. W Ukraïn nigdy nie traciłem z pola widzenia swojego celu. Ustalałem

położenie strażników kopalni żelaza, wywodziłem w pole wartowników i omijałem pułapki zastawione przez innych najemników. Teraz muszę działać dokładnie tak samo. Mam misję do wypełnienia: kopalnia to supermarket. Teraz wroddy żołnierze to te wszystkie ciała. Przełączam się w tryb Wojownika. Idę wyprostowany, szybkim krokiem. Jestem Spider Snake'iem, a ta postać jest czymś więcej niż tylko moim awatarem w WOT. Czymś znacznie więcej. Towarzyszy mi w realnym życiu.

Przechodzę nad trupami, nie zwracając uwagi na szczegóły, które mogłyby przeszkodzić mi w realizacji celu. Muszę być operatywny – za wszelką cenę. A to pech, supermarket jest zamknięty. Będę musiał rozbić okno, żeby wejść do środka. No dobrze, czym można stłuc szybę? Krzesłem z najbliższego otwartego baru. OK. Z całych sił biorę zamach i uderzam w witrynę, która rozsypuje się na tysiące kawałków.

Zajmuję kopalnię, w której są zgromadzone zapasy surowców koniecznych do przeżycia we wrogim mi świecie. Odtąd jestem Ekspertem na służbie u Khronosa. Mam do tego prawo, od tej chwili to jest teren Spider Snake'a, a ja ominałem wszystkie pułapki.

W supermarkecie cuchnie szczurami – to nieprzyjaciele drugiej strefy – rozpędzam je porządnym kopniakiem. Szybki ogląd miejsca pozwala mi stwierdzić brak śladów obecności istot ludzkich. Nie ma tu ani żywych, ani martwych – żadnych nieprzyjaciół pierwszego stopnia. OK, można kontynuować ekspedycję. Biorę wózek i wypełniam go wszystkim, czego potrzebuję. Zabieram wodę mineralną, zgrzewki mleka, konserwy, ciastka, chipsy, baterie, zapalki, chrupki dla kota... Nie znajduję trutki na szczury.

Kiedy wychodzę ze sklepu, zaczyna już zmierzchać. Zapomniałem wziąć pod uwagę tę ważną okoliczność. Nocą pozbawiony elektryczności Paryż – bez sygnalizacji świetlnej, lamp i latarni – to miasto pograżone w mroku. Dostrzegam księżyc tuż przed nowiem, zbyt cienki, by mógł mi oświetlić drogę, gdy zapadnie noc. Nie mogę się ociągać. Warkot patrolujących helikopterów płoszy szczury i psy, które tchórzliwie chowają się za śmietnikami. Kruki zrywają się do lotu jak rój czarnych, rozwścieczonych szerszeni.

Zwycięsko pcham mój wózek ulicami. Nie patrzę na ciała, między którymi kluczę. Idę na bezdechu, oddzielam się od samego siebie, zapominam o fetorze śmierci. Żadna emocja nie może zniszczyć mojej koncentracji, zanim triumfalnie dotrę na miejsce.

Podejmuję decyzję przed wejściem do kamienicy.

Mam jeszcze jedno zadanie do wykonania. Trudno, muszę to zrobić. To zakończy moją misję aprowizacyjną.

Wdrapuję się na czwarte piętro, gdzie leżą ciała matki i dziecka. Chcę je wynieść na ulicę. Kobieta jest zbyt ciężka, muszę ją ostrożnie zepchnąć po schodach. Czuję zapach jej rozkładającego się, gnijącego pod ubraniem ciała. Oby tylko się nie rozpadła, nie rozczłonkowała, nie... Dostaję mdłości, a to nie jest czas na słabość – to moja pierwsza misja, której celem jest przetrwanie dla Khronosa. Zaraz zostanie ukończona. Spider Snake NIGDY nie miewa mdłości. Składam delikatnie ciało w małym Ogrodzie Luksemburskim, w cieniu kasztanowca. Chłopiec jest lżejszy, udaje mi się go podnieść, choć boję się, że jego drobne kończyny odpadną podczas znoszenia po schodach. Kładę go obok matki, w parku pod drzewem.

Mógłbym znaleźć się na ich miejscu: martwy, rozkładający się, pozostawiony na ziemi.

Teraz mogę wrócić do siebie. Z trudem wciągam wózek po schodach. Drzwi do mieszkania są otwarte! Zostawiam ładunek na wycieracze i powolutku wchodzę do środka, żeby gość mnie nie zauważył – przecież nie wiem, kim on jest... W salonie nie ma nikogo, jakiś hałas dobiega z pokoju rodziców. Serce mi wali, biegnę, zapominając o zachowaniu ostrożności, i zatrzymuję się na progu pokoju. Jakiś chłopak, odwrócony do mnie plecami, otwiera jedną z szuflad mamy i z wściekłością wyrzuca z niej ubrania na ziemię. Jego ubranie jest całe

w strzępach, brudne, przesiąknięte krwią na ramieniu. Mam uczucie, jakby ktoś wbił mi włócznię w klatkę piersiową.

Nagle chłopak się odwraca. Można by pomyśleć, że usłyszał bicie mojego galopującego serca.

– Kuźwa, Jules, gdzie się podziewałeś?

Ma przekrwione oczy.

To mój brat.

Jest naćpany.

4 listopada, wieczór

Pierre żyje. Mam ochotę tańczyć z radości. To mój brat. Z nadzieją robię krok w jego stronę, kamień spada mi z serca. On jednak napina mięśnie jak kot gotujący się do skoku. Widzę niemal przezroczystą, rozdrażnioną twarz, zapadnięte, oszalałe oczy, nadmiernie rozszerzone źrenice. Boję się tego dupka.

Czy mnie poznaje? Pamięta w ogóle, że ma młodszego brata?

– Gdzie jest biżuteria? – wrzeszczy, a w jego wysokim, podniesionym głosie słyszę panikę. Nie rozumiem, o czym mówi.

– No rusz się, gdzie są diamenty mamy?

– Mama... Masz jakieś wiadomości? Czy ty...?

– Mama nie żyje, wszyscy dorośli umarli. Gdzie byłeś? Znow zaspiałeś z nosem w monitorze? Nie masz o niczym pojęcia!

Mama nie żyje, wszyscy dorośli umarli. Ale co on o tym wie? Przeszywa mnie wzrokiem.

– Kuźwa, cuchniesz śmiercią, Jules, co ty wyrabiałeś? Cały jesteś we krwi!

– Nosilem trupy...

Nie pozwolił mi skończyć zdania.

– Zawsze było z ciebie dziwadło. Nie boisz się złapać tego cholernego wirusa?

Wzruszam ramionami. Nie, myślę, że tak naprawdę już się nie boję zarazić. Pierre przestaje się mną interesować, wraca do gorączkowych poszukiwań.

– Potrzebuję biżuterii mamy.

– Po co?

– Jest taka jedna banda, a właściwie dopiero powstaje. Gang 16. Dzielnicy. Każą sobie płacić biżuterią rodzinną, dziełami sztuki i bronią.

– Ale nie możesz zabrać diamentów mamy... Nie na narkotyki.

– Nie chodzi o to, żeby kupić sobie kilka działek, tępaku! Chcę dołączyć do tej bandy, niedługo będą rządzić miastem, muszę się do nich wkupić, czaisz? Dzięki temu zdobędę broń.

Wycofuję się coraz bardziej, bo coraz bardziej zaczynam się go bać. Wielki szczur chowa się pod komodą, którą przetrząsa mój brat. Biorę porządny wdech, żeby dodać sobie odwagi i powiedzieć, co mam do powiedzenia.

– Może przestaniesz?

– Może przestanę? Może przestanę co?

– Ćpać i w ogóle. Zostaniesz ze mną?

Serce podchodzi mi do gardła.

– Przestań z tymi swoimi bzdurami, wszyscy jesteśmy załatwieni, nie rozumiesz? Będę się dobrze bawił, czekając na swoją kolej.

– Mogę zmienić bieg spraw. Nie odchodź. Przestań ćpać. Pom-ogę ci, pójdę do apteki po metadon. Pierre, proszę cię.

– O czym ty w ogóle mówisz? Jak chcesz coś zmienić? Tata i mama są martwi, *dead*.

– Wiem, jak uniknąć katastrofy. Mam taką moc, spróbuję z innymi Ekspertami z Warriors of Time...

Wlepia we mnie źrenice rozszerzone tak bardzo, że nikną pod nimi jego niebieskie tęczęwki. Jego twarz jest tak przezroczysta jak twarz ducha.

– Jesteś bardziej szurnięty niż wszyscy ocaleni razem wzięci. Widziałem ich, zupełnie im odbiło. Wierz mi, Jules – kuźwa, gra padła ci na mózg. Rodzice mieli rację, że się martwili. Skończyło się, KONIEC, nie ma już o co się bić. Nie ma nadziei, to koniec świata. Nie wiem

tylko, czemu my jeszcze nie umarliśmy.

Wyciąga z szuflady szkatułkę z biżuterią mamy.

– No proszę, tu jest!

– Nie! Nie zabieraj tego! Przestań! Nie możesz tego zrobić! Zależy jej na tym bardziej niż na czymkolwiek innym.

– W każdym razie nigdy niczego nie chciała mi dać.

– To diamenty od babci.

Zastawiam mu drogę.

– Daj mi przejść.

– Nie.

Próbuje uderzyć mnie drewnianą szkatułką. Robię unik. Ponawia atak, zadaje cios w głowę. Zataczam się. I nagle w szufladzie, którą brat zostawił otwartą, dostrzegam szczura z trzęsącymi się wąsami, obrzydliwego szczura tarzającego się w szalikach mojej mamy. Zaczynam wrzeszczeć, łapię go i rzucam Pierre'owi w twarz.

– Przestań, chory jesteś, człowieku!

Brat się wycofuje, twarz ma pokrytą zadrapaniami. Nie jestem już sobą. Ogarnia mnie fala wściekłości. Nie chcę się bać. Rzucam się na Pierre'a z krzykiem, łapię go za szyję. On łapie mnie za nadgarstki, zmusza do rozluźnienia uścisku i wali głową w nos. Tryska krew. Brat gwałtownie mnie popycha, upadam i uderzam o kant mebla, a Pierre kopie mnie w brzuch. Dławię się. Nie jestem silny, nie, jestem zbyt gruby, masywny, a teraz także ogłuszony. On podnosi szkatułkę.

„Cholerny ćpun” – myślę, wycierając pięścią krew, która leci mi z nosa.

– Cholerny złodziej – charczę. – Cholerny złodziej! – krzyczę. – Cholerny ćpun! Żywy trup! – krzyczę jeszcze raz zachrypłym, łamiącym się głosem.

Czekam, aż przestanie mi się tak kręcić w głowie. Powoli wstaję. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa, ale nie wiem, czy z braku sił czy z rozpacz. Może po prostu wcale nie chcę wstać. Nie chcę już nigdzie iść. To zbyt trudne. Jestem zbyt samotny.

Zapada zmierzch. Włączam latarkę, zanim zapanują całkowite ciemności. Światło migocze, bo baterie się wyczerpują. Potrzebuję nowych. W mroku wszystko zmienia się w koszmar, zęby szczurów się wydłużają, oczy wychodzą im na wierzch. Biegnę do wyjścia, wprowadzam wózek do środka i zaczynam w nim szperać, kiedy olbrzymi szary szczur wbija mi się w kostkę. Wrzeszczę i kopię, żeby strząsnąć go z siebie. Zaciągam wózek do swojego pokoju. Zostawiłem tam zamknięte drzwi, żaden szczur nie mógł wejść. Wchodzę i się zamykam. To moje jedyne schronienie. Gdzie jest Lego? Chowa się pod łóżkiem.

– Chodź do mnie, kotku, chodź.

Birę go na rękę i głaszczę pod brodą. Trzęsie się tak samo jak ja.

– Co z nami będzie, mój kotku? Umrzemy pożarci przez szczury? A może ja już umarłem?

Gdzie poszedł ten mój cholerny brat? Zapiera mi dech. A może prościej byłoby umrzeć. Zniknąć. Wykrwawić się w ciągu kilku godzin jak inni.

Dostaję napadu mdłości, dotykam mokrego czoła, no tak, złapałem wirusa, wkrótce poczuję pierwsze objawy. Oglądam dłonie, ale to nie krew, to tylko pot. Uspokoić się. Muszę się uspokoić. Nie zaraziłem się. Oddychać miarowo. Lego polizał mnie po twarzy. Przytulam go do siebie i wybucham płaczem. Płacę bez przerwy. Nie mogę powstrzymać łez. Mamo, tato, na pomoc, nie zostawiajcie mnie samego. Gdzie jesteś, Pierre? Wróć, proszę, pomogę ci. Pomozemy sobie wzajemnie.

Leżę na łóżku, oparty plecami o ścianę, i rzucam wiązkę światła na gzymsy sufitu. Są tam

dziwne roślinne ozdoby z innej epoki. A dziadkowie, czy możliwe, że przeżyli na wsi? Nie mam z nimi kontaktu, ale może jeszcze żyją?

Odcięci od świata, ale żywi.

Mój oddech się uspokaja.

Do nich udało mi się dodzwonić jako do ostatnich. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy dokładnie to było. Chronologia wydarzeń z ostatnich dwóch tygodni pozostaje poza ramami czasu rzeczywistego i czasu mojego życia, biegnie jakimś równoległym torem. Już nie liczę dni. Jedynymi punktami odniesienia, które pozwalają mi mgliście odtworzyć przebieg wydarzeń, są dźwięki. W pierwszej fazie kryzysu słychać było nieustannie wyjące syreny. To nie trwało długo, może pięć dni, od 22 do 26 października – zanim na chodnikach zaczęły pojawiać się stosy trupów. Wtedy jeszcze nie wierzyłem w tę historię z wirusem. Chyba 21 albo 22 zadzwoniłem do rodziców. Wszystko było w porządku, to był najważniejszy dzień wystawy w Hongkongu. Poszedłem do szkoły. Chodzę do gimnazjum, a Pierre do liceum. Skorzystał z nieobecności rodziców, żeby wypalić jointa na śniadanie, co mnie wyjątkowo wkurzyło.

Wspomnieniom tych pierwszych dźwięków towarzyszą nierealne sceny widziane przez okno. Widok ludzi wynoszących ciała bliskich na chodnik, zanim sami umarli, ostatnie wiadomości odebrane na iTELE czy BFM TV i nieustannie te same obrazy katastrofy: migoczące światła na dachach samochodów, strażacy, policja, ambulansy, wojsko, specjaliści w białych fartuchach uwijający się w laboratoriach, lekarze przywołujący nazwę nieznanego wirusa w rozmowach z potakującymi prezenterami telewizyjnymi o przerażonych minach. W dole ekranu na pasku pojawiały się najnowsze informacje na temat postępów epidemii, liczba ofiar, bilans, który z minuty na minutę stawał się bardziej przygnębiający: „Pandemia, której przyczyna pozostaje nieznana, przybiera na sile. (...) Epicentrum znajduje się w Holandii, a konkretnie w Utrechcie. (...) Zaraźliwość filowirusa krwotocznego wynosi osiemdziesiąt dwa procent, śmiertelność dziewięćdziesiąt osiem procent”. Te liczby mnie wówczas przerażyły, sparaliżowały. Wyłączyłem telewizor.

Później połączyłem się z internetem, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Wszystkie filmiki pokazywały stosy trupów leżących na ulicach, sterty zwłok na całym świecie, śmierć na żywo. Elektrownie atomowe wstrzymały produkcję prądu, wszędzie biegali ludzie w maskach ochronnych, widać było spanikowane tłumy, których żołnierze nie mogli utrzymać w ryzach.

Wyłączyłem YouTube’a.

Wszystko to było zbyt koszmarnie.

A teraz jestem odcięty od internetu, bez telewizji, zupełnie sam i nie wiem, co się dzieje.

Z dziadkami rozmawiałem na chwilę przed wyłączeniem linii telefonicznej. Wydaje mi się, że to było tydzień temu. Za wszelką cenę chciałem dodzwonić się do rodziców, ale za każdym razem włączała się sekretarka w ich komórkach. Próbowałem dzwonić do Jérôme’a i Vincenta, moich kumpli ze szkoły. Też bez skutku. Jednak mój dziadek cudem odebrał.

– Jules, mój mały, żyjesz? Jak się czujesz? – pytał głosem drżącym z niepokoju.

Opowiedziałem mu, co zobaczyłem przez okno z piątego piętra, i zapytałem, czy mama, tata albo Pierre do nich dzwonili. Niestety, dziadkowie nic nie wiedzieli na ich temat. Zamknęli się u siebie. Nie mogłem już dłużej wytrzymać sam w domu, zacząłem beczeć jak dzieciak, żalić się, że bardzo się boję, że pojadę pociągiem do Milly-la-Forêt, żeby do nich dołączyć.

– Nie, kotku, to zbyt niebezpieczne, przede wszystkim nie wychodź z mieszkania. Czekaj na wojsko. Oni będą wiedzieli, jak powstrzymać pandemię. Zadzwoni do nas jutro – tak mi odpowiedział. Na pewno bał się, że i ja się zarażę.

Potem nie udało mi się już połączyć z dziadkami. Dzwoniłem do nich dziesięć, piętnaście, może dwadzieścia razy. Bez skutku. Nie było nawet sygnału.

Później przestało nadawać radio, dźwięk uległ zakłóceniu. To samo stało się z telewizją.
Żaden kanał nie odbierał. A w końcu padł internet.

Świat się zmieniał, a ja nie wychodziłem na zewnątrz.

Świat się walił, a ja czekałem.

Brat mnie porzucił, dziś jestem bardziej samotny niż kiedykolwiek wcześniej.

Przypominam sobie przetwory i konfitury babci, których próbowałem jako pierwszy.

Mają zapasy na całą zimę.

Niech świat się wali, ja do nich dołączę.

18 listopada, popołudnie

Okolice stacji metra Porte d'Orléans. Jadę zygzakiem na rowerze między samochodami, w kieszeni mam Sztylet pradziadka. Przełączyłem się w tryb Spider Snake'a w chwili, kiedy odkryłem w salonie dziadków ich bezkrwiste ciała.

Jestem Czyścicielem, jak mój pradziadek w czasie pierwszej wojny światowej, czyścicielem okopów.

Trzy dni zajęło mi dojechanie na rowerze do Milly-la-Forêt. Wybrałem autostradę A6, którą jechałem całą wieczność wśród porzuconych samochodów przypominających grobowce pod gołym niebem. Przejeżdżałem przez cuchnące wsie, gdzie jedynymi dźwiękami były okrzyki padlinożerców oraz wrzaski dzikich kotów i bezpańskich psów. Odnalazłem drogę do Milly, dom mojej rodziny, a potem ciała dziadków.

Do tej chwili chciałem wierzyć, że przeżyli. Przeklinałem wirusa, nawiedzało mnie echo słów Pierre'a: „Mama nie żyje, wszyscy dorośli umarli!”. Wziąłem łopatę, wykopałem olbrzymią dziurę w ziemi i złożyłem w niej ciała moich ukochanych. Powiedziałem im:

– Do widzenia, do zobaczenia, niech ziemia was chroni, jeszcze się spotkamy, do zobaczenia.

Zostałem tam tydzień, podczas którego korzystałem z ich obfitych zapasów. Dziadkowie byli przezorni.

Pewnego dnia przypomniałem sobie o Sztylecte.

Ta broń, należąca kiedyś do mojego pradziadka, zawsze mnie fascynowała. Dziadek czasem wyjmował z pochwy i pokazywał mi ten nóż, przeciągał palcem po metalowej kłindze o zaostrzonym czubku, przypominającej olbrzymi gwóźdź:

– Ten sztylet został wykonany z części ostrza bagnetu. Ojciec potrzebował mniejszej, łatwiejszej we władaniu broni, żeby zabijać wrogów w okopach. W takich okolicznościach powstał ten nóż!

Dziadek naśladował przy tym cios polegający na wbiciu ostrza w ciało przeciwnika jednym poziomym ruchem. Ale uwaga, żadnych wyglupów, nie miałem prawa sam go dotykać. To było zabronione, zbyt niebezpieczne, nóż był za ostry. Miał długość mojej dziecięcej ręki.

Kiedy wyjąłem Sztylet z pochwy, od razu wiedziałem, że ten szpikulec, długi na jakieś czterdzieści centymetrów, stanie się moją bronią Wojownika. Odtąd będę Czyścicielem. Nieustannie powtarzałem sobie ostatnią wiadomość od Khronosa. Wrócić do przeszłości to jedyna nadzieja, której się uczepiłem. Chcę w to wierzyć. Uniknąć katastrofy, „zwyciężyć wirusa” – to jest możliwe dzięki nam, najlepszym graczom WOT.

W tym momencie przestałem się bać. Z innymi Ekspertami będziemy niepokonani. Bo kiedy gram, czuję się dobrze, jestem silny, mam pomysły, istnieję, jestem wielki i rozpoznawalny. Jestem Spider Snake'iem: szanowanym, budzącym trwogę i niepokonanym najemnikiem.

A ponieważ jesteśmy najpotężniejszymi wojownikami, Khronos zaproponował nam podjęcie próby zmodyfikowania czasu, żeby zapobiec Złu. Nie ma w tym nic szalonego, absurdałnego ani niezwykłego.

Przeciwnie, to jest logiczne, wszystko trzyma się kupy.

Przekopałem ziemię, zebrałem gruszki, ale tak bardzo bałem się ciemności po zapadnięciu zmroku, że zużyłem całe babcine zapasy świeczek i baterii do latarki.

Wyjechałem.

Ruszyłem w powrotną drogę do Paryża. Znów przejeżdżałem przez cuchnące wioski,

splądrowane przez dziki, pełne szczurów, psów, kotów, lisów. Jadłem resztki znalezione na podłodze stacji benzynowych i w rozbitych witrynach; wypilem dziesiątki napojów gazowanych; spałem na brudnej, pokrytej kurzem podłodze. Powrót zabrał mi tylko dwa dni.

I oto teraz pędzę na rowerze, jadę aleją generała Leclerca, gdzie jest chyba mniej trupów. Chcę dotrzeć do domu przed zmrokiem, a jest już wpół do piątej. Zimna wilgoć i odór śmierci przenikają moje ubranie.

Jestem gotowy. Znam już swoją misję: przy pomocy Khronosa cofnąć czas, tak jak robiłem to w Ukraïn. Tak myślę. Jadąc pędem, czuję się tak, jakby wyrosły mi skrzydła, nabieram sił mutanta. Fala energii przechodzi przez moje ciało. Magia krąży, to pewne. Khronos jest moim Profesorem X, a ja chcę zostać jednym z jego X-Menów. Jestem jednym z Warriors of Time, takie jest moje przeznaczenie.

Trzy psy wałęsają się przed wykonaną z brązu rzeźbą lwa na placu Denfert-Rochereau. Można by pomyśleć, że czekały tylko na mnie. Przyspieszam, a one rzucają się w moją stronę. Mam pietra. Cholera, atakują mnie. Są umięśnione, pełne życia, mają wysoko postawione uszy, szerokie czoła, kwadratowe pyski. To pitbule, pojechałem w złą stronę. Zastępują mi drogę, stają przede mną w szeregu, zmuszają mnie do nagłego hamowania. Wpadam w poślizg, niewiele brakowało, żebym upadł. W ostatniej chwili odzyskuję równowagę i stawiam nogę na ziemi. Kulę się na siodełku, psy chyba wyczuwają strach i to podsycia ich wściekłość. Jestem w niebezpieczeństwie. Muszę zachować godność. Trzymam dłonie zaciśnięte na kierownicy, waham się, czy ją puścić, żeby sięgnąć po Sztylet przy pasku. Psy krążą wokół mnie i oceniają jak gladiatorzy. Jestem w potrzasku, co mogę zrobić? Półobrót? Kiepski pomysł, są wystarczająco silne, żeby mnie zrzucić z roweru. Jestem łatwą ofiarą, a one są szybkie.

Co zrobiłby Spider Snake? Posłużyłby się swoją bronią... Puszczam kierownicę jedną ręką i szybko sięgam po nóż, ale w tym samym momencie słyszę gwizd i bestie jednocześnie, niby roboty, odbiegają w kierunku bulwaru Arago, gdzie w półmroku dostrzegam jakąś sylwetkę. Chciałbym podziękować właścicielowi psów, ale kiedy próbuję krzyknąć, z gardła wydobywa mi się jedynie zachrypnięty charkot. Od dawna nic nie mówiłem, zapomniałem swojego głosu. Mimo że serce bije mi nieregularnie, ciągle jeszcze przerażone, ruszam pędem. Byle dalej od tych dzikich brytanów.

Dopiero pod moją kamienicą zatrzymuję się, żeby odetchnąć i uspokoić oddech. Rower zostawiam na klatce schodowej i opieram się o metalową poręcz. Ależ mi napędziły stracha te psiska! Myślałem, że rozszarpią mnie na kawałki. Zwalniam na drugim piętrze, na wycieracze pediatry, który był lekarzem wszystkich dzieci z tej dzielnicy. Leczył już moją mamę, kiedy była mała. Drzwi są na wpół otwarte. Czyżby żył? Jest przecież lekarzem... Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Przykładam ucho do drzwi. Czy ja śnię? Wydaje mi się, że słyszę jakieś jęki. Tam ktoś jest! Nie jestem sam w kamienicy!

Popycham drzwi, przechodzę szybko przez pustą i zimną poczekalnię. Zaglądam do gabinetu: smród chwytą mnie za gardło, znów te wyziewy rozkładu, nigdy się do nich nie przyzwyczaję. Doktor leży na podłodze, tuż obok lodówki, w której trzymał fiołki ze szczepionkami i lekarstwa. Zbliżam się do niego, pokój nie jest jeszcze całkowicie pograżony w mroku, ale za chwilę już nic nie będzie widać. Zapalam latarkę i robię kilka kroków w stronę ciała. Cholera, rozdeptuję jakiś niewielki szklany przedmiot. Nachylam się i widzę ampułki leżące na podłodze. Jedną z nich właśnie stłukłem. Odłamki szkła tkwią w mojej stopie. Zraniłem się. Pediatra nie żyje, poznaję to po zielonkawym odcieniu skóry, nabrzmiałym, rozkładającym się brzuchu i rojących się robakach. Czy zmarł w ostatnim tygodniu października? Obok jego dłoni leży strzykawka. Co chciał zrobić? I skąd dochodzi coraz wyraźniejszy płacz?

Wydaje mi się, że to głos dziecka.

18 listopada, późne popołudnie

– Jest tu kto?

Placz cichnie. Co to za obłąd?

– Hej, odezwij się! Nie jesteś już sam! Gdzie się ukrywasz?

Nic. Całkowita cisza. Nerwowo chodzę po gabinecie, rozglądając się: kozetka, ciężkie dębowe biurko, szafa, waga dla niemowląt, waga lekarska, miarka wzrostu... Nikogo nie widzę. Czyżby mi się zdawało?

– Mieszkam na piątym piętrze. Nie bój się, no wyjdź.

Dziecko – teraz jestem pewien, że to dzieciak – pociąga nosem.

Zupełnie mała dziewczynka wychodzi ze swojej kryjówki pod biurkiem, wypełza z miejsca po szufladzie, którą zdołała wyjąć. Poziome przepierzenie biurka całkowicie ją ukrywało. Jest wychudzona, blada i w świetle latarki przygląda mi się wielkimi szarymi oczami. Ma fioletowe wargi. Musi być jej zimno, w gabinecie jest nie więcej niż dziesięć stopni. Jej ubranie jest tak brudne, że z trudem jestem w stanie rozpoznać oryginalne kolory. T-shirt zapewne był kiedyś różowy, spodnie pomarańczowe, w żółtych skarpetkach są dziury. Koszulka jest gdzieś podarta, a ręce dziewczynki pokryte są śladami ugryzień. Jej opadające na ramiona włosy są tak przetłuszczone, że wydają się mokre. Nie sposób rozpoznać, czy jest blondynką czy szatynką, tak są brudne. Wokół ust dostrzegam białawe plamy, pewnie resztki jedzenia. Ile może mieć lat? Sześć, siedem? Pochyliam się nad biurkiem, odkrywam papierki po cukierkach, okruchy chipsów i ciastek. Domyślam się, że żywiła się tym, co znalazła. Gabinet łączy się z mieszkaniem otwartymi na oścież drzwiami. Od jak dawna tu jest? W ręce czarnej od brudu trzyma mały kartonik soku jabłkowego ze słomką. Ma też fioletowy plecak ozdobiony rysunkiem Dory z kreskówki *Dora Mała Podróżniczka*. Nie wypuszcza z rąk swojej maskotki – niebieskiej małpki w czerwonych butach.

– Kim jesteś? Nigdy nie widziałem cię w tej kamienicy!

Żadnej odpowiedzi.

– Znasz doktora?

Kręci głową bez słowa.

OK, już rozumiem. Ona nie mówi. Pewnie mechanizm odpowiedzialny za mowę się u niej zablokował. Jeśli chcę się z nią porozumieć, muszę jej zadać odpowiednie pytania.

– Kto to jest? To twój lekarz?

Nie.

– Ktoś z rodziny?

Tak.

– To twój dziadek?

Tak. Spuszcza głowę.

– A gdzie są twoi rodzice?

Patrzy na mnie poważnym wzrokiem. Nie wie, tak samo jak ja nie wiem, gdzie są moi.

– Są u ciebie, w twoim domu? Mieszkasz w Paryżu?

Nie odpowiada ani nie kręci głową. No dobra, to robi się nudne, mogłaby się w końcu odezwać, opowiedzieć znaną mi historię o tym, jak przeżyła epidemię. Nagle zbliża się do dziadka i z czułością chwyta jego rękę.

Co ja mam zrobić z tym dzieckiem?

– Od dawna tu jesteś?

Pokazuje palcem kalendarz wiszący na ścianie – medyczny kalendarz rozdawany przez

koncern Sanofi. Widnieje na nim hasało: „Zdrowe dzieci to szczęśliwe dzieci”. Zakreśliła tam dni tygodnia, które tu spędziła. Uświadamiam sobie, że jest w tym mieszkaniu od 25 października. Przeżyła sama ponad trzy tygodnie. A to dzielna dziewczynka!

– Jak masz na imię?

Nie odzywa się. Ależ uparta. A jeśli rzeczywiście jest niemową?

– Jesteś niemową?

Żadnej odpowiedzi, tylko ledwie zauważalne wzruszenie ramion. Ma nieprzeniknioną twarz. Co czuje? Mam pewien pomysł. Wyrwam kartkę z bloczku na recepty, biorę długopis i podaję jej z prośbą, żeby napisała swoje imię. O ile umie pisać. „Alicja” – zapisuje dziecinnym charakterem pisma. Potem z bardzo poważną miną wskazuje na swoją maskotkę i zapisuje: „Ma naimie Butek”. A więc umie pisać, ale nie za dobrze. Jest trochę starsza, niż myślałem, musi być w pierwszej albo drugiej klasie podstawówki. Butek, z czymś mi się to kojarzy... A tak, to ta mała z kreskówki *Dora Mała Podróżniczka!*

– OK, Alicjo, nie wiem, gdzie są twoi rodzice, nie wiem też, gdzie są moi, ale myślę, że wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Poczekamy na nich, a na razie zajmę się tobą, zgoda? Nie będziesz już sama. Na początek pójdziemy po coś do jedzenia. Dobrze?

Nie odrywa ręki od dziadka, gładzi go po policzku. Czy rozumie, że on nie żyje? Jak mam poradzić sobie z tą sytuacją? W końcu nie jestem psychologiem!

– Alicjo, musisz teraz pożegnać się z dziadkiem, zostawić go w spokoju, rozumiesz?

Wyraz złości w jej błyszczących oczach działa na mnie jak policzek. Dziewczynka zaciska usta i chwytą rękę dziadka. Jest zdecydowana. Nie opuści go. Zbliżam się do tej dziwacznej pary i oświetlam latarką ciało pediatry. Dostrzegam okruchy na jego koszuli. Mój Boże! Ta mała próbowała go karmić w ciągu tych trzech tygodni i być może myśli, że jej się udało... Zajmowała się nim, jakby nie umarł.

Twarz dziewczynki nagle zmienia się pod wpływem fali ogarniającego ją przerażenia. Zasłania usta dłońmi, żeby powstrzymać krzyk. Odwracam się, jestem w pogotowiu, rękę trzymam na rękojęści Sztyletu. Wielkie szczurzyisko wtyka nos do gabinetu. Skoro to dziecko tak bardzo boi się szczurów, w nocy musiało przeżywać istny koszmar. Kieruję światło latarki w jej stronę. Rany na rękach to ugryzienia szczurów, cała jest nimi pokryta. Dobrze. Oddychaj: wdech, wydech. Podnoszę głowę, stawiam latarkę na biurku, żeby lepiej oświetlić pokój. Patrzę na Alicję i na szczura. To jest odpowiednia chwila, żeby zacząć działać.

Rzucam się w kierunku gryzonia i wbijam mu w gardło stalowy szpikulec, który już kiedyś zabijał szczury w okopach. Zwierzak natychmiast zdycha. Łapię go za ogon, pohamowuję obrzydzenie, nielicujące z rolą tępiciele, i pewnym ruchem pokazuję Alicji truchło. Dziewczynka szeroko otwartymi oczami patrzy na to przedstawienie.

– Zobacz, Alicjo, co robię z tymi ohydnyimi stworami. Przy mnie nigdy więcej nie zbliżą się do ciebie, przyrzekam ci na święty Sztylet moich przodków! Będę cię chronił, przysięgam, pierwszego szczura, który spróbuje się do ciebie zbliżyć, spotka taki sam los. Później uratuję świat i przyprawę cię do dziadka, obiecuję. A teraz chodź ze mną.

Dziewczynka obejmuje ciało dziadka, nie bacząc na nieznośny fetor, całuje jego brodate policzki, wstaje bez słowa i powoli oddala się od niego, jakby przyciągał ją widok włochatego trofeum, które ciągle trzymam koniuszkami palców. Czy zdaje sobie sprawę, że świat, w którym żyliśmy, już nie istnieje? Nieruchomieje przede mną, taka maleńka, podnosi swoje ogromne, zbyt poważne oczy w stronę mojej twarzy, wzdycha i bierze mnie za rękę. Dopiero wtedy rzucam szczura na ziemię.

Kiedy podaje mi lodowatą, lepłą rączkę, czuję, że mi zaufała, i to mi dodaje odwagi. Zwykle dzieci ani mnie ziębią, ani grzeją. Ale ta dziewczynka jest inna. Będą ją chronił, nikt

nigdy nie zrobi jej krzywdy. Czy ma płaszcz, ciepłe ubrania? Wkłada bluzę z obrazkiem Dory. Serce wali mi w piersiach. Jakże śmieszna wydaje mi się ta radosna postać na plecach maleńkiej dziewczynki o wielkich, pytających, szarych oczach.

Gdy zamykam drzwi do gabinetu, dziewczynka z drzeniem odwraca się w stronę pokoju, w którym spędziła ostatnie trzy tygodnie. Wpatruje się w drzwi jak skamieniała. Biorę ją więc w ramiona i podnoszę z ziemi. Nie opiera się, pozwala się podnieść. Jest taka leciutka. Wspinam się po schodach, a mała przyciska się do mnie. Czuję jej łzy przez sweter. Słyszę łkanie, bardziej przypominające czkawkę niż płacz. Oto pierwszy, straszny dźwięk, który wydobywa się z jej ust. Przytulam ją do piersi. Dla niej jestem olbrzymem, bohaterem, wybawicielem. Czyściciel Khronosa ma teraz nową misję: wytępić szczury, które napawają lękiem moją Maleńką. Zatrzymuję się na piątym piętrze.

– Alicjo, lubisz kotki?

Odrywa buzię od mojego swetra i patrzy na mnie zaciekawiona.

– Przedstawię ci Lego. Dodasz mu odwagi, jest całkiem mały i bardzo boi się czarnych ptaków, które głośno kraczą na zewnątrz. Na pewno cię pokocha. Zgoda?

Dziewczynka kiwa głową, pociąga nosem, ociera ręką gile. Jakoś udaje mi się otworzyć drzwi. Wchodzimy do środka. Jest zimno. Trzymam Maleńką w ramionach, aż docieramy do mojego pokoju, gdzie na dziesięć dni zamknąłem Lego z dystrybutorem wody i suchej karmy. Czuje się pewnie samotny, ale przynajmniej miał schronienie przed szczurami, nie był głodny ani spragniony.

Jego pełne rozpaczy miauczenie chwyta za serce. Skończyły mu się wszystkie chrupki, a pozostałe trzy litry wody nie wydają się zbyt apetyczne. Na szczęście to dachowiec, więc jest dość odporny. Wróciłem w samą porę. Na razie ma mi za złe, nie przyszedł nawet się ze mną przywitać. Normalka. Alicja kręci się niecierpliwie, chce, żebym postawił ją na ziemię. Gdy tylko to robię, klęka obok kotka, bierze go na ręce i tuli, a on przytula pyszczek do jej szyi. Bez najmniejszego wahania, choć trochę drży. Alicja przedstawia mu małą Butka, którą kładzie sobie na kolanach.

Uspokojony pozwalam im się zapoznać i idę sprawdzić w kuchni, co można przygotować do jedzenia i picia. Mała tego potrzebuje, ja zresztą też po wszystkich tych kilometrach, które przejechałem na rowerze. Zlewozmywak kipi od brudnych naczyń, podłoga klei się od brudu. Trzeba będzie coś zrobić z tym bałaganem, wziąć się za sprzątanie i zmywanie. Sprawdzam zapasy drewna do kominka i zapalek. Wystarczą na jakiś tydzień, o to przynajmniej mogę być spokojny. Jutro i tak muszę zająć się misją aprowizacyjną i odszczurzeniem.

Przymierzam się do otwarcia puszki ravioli moim Sztyletem, gdy nagle dochodzi do mnie cichy głos Alicji: „Przestań szczypać! Przestań szczypać! Przestań szczypać!”. Trzykrotnie powtarza ten dziwny rozkaz, a potem znów zapada cisza. Zdanie, które wypowiedziała z taką pewnością siebie, jest dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Nadstawiam ucha, ale nie słyszę już żadnego dźwięku ani słowa. Przebijam pokrywkę konserwy, kiedy dobiega mnie przerażone miauczenie Lego. Tym razem jestem pewien, że mamy jakiś problem. Zapomniałem zamknąć drzwi i rozwścieczony szczur gryzie Alicję w rękę. Wbija zęby w jej cienkie ramię. Leje się krew, dziewczynka macha ręką, żeby się od niego uwolnić, ale zwierzak wczepił się w nią z taką zajadłością, że gdybym szybko nie zadziałał, wyrwałby jej kawałek ciała. Cholera, zapomniałem zabrać z kuchni mój nóż!

Mała z zaciśniętymi ustami, zdecydowanym wyrazem twarzy i ściągniętymi brwiami broni kociaka, którego tuli do siebie drugą ręką. Jestem pod wrażeniem. Nigdy nie porzuci Lego. Wślizguję się pod biurko, łapię deskorolkę i z całej siły walę w obrzydliwe stworzenie. Szczur leci na ścianę. Jego czaszka rozbija się o mur i martwy gryzoń spada na ziemię. Maleńka

przygląda mi się z powagą, a później jej twarz rozpromienia się przelotnym, zachwycającym uśmiechem. Mogę sobie wyobrazić, jaka była jeszcze niedawno, Przed Tym. Ten błysk w oku jest podziękowaniem za to, że dotrzymałem obietnicy, nawet jeśli niewiele brakowało, żebym zawiódł.

Znów zaczyna kołysać kulkę czarno-białej sierści.

– Alicjo, muszę oczyścić twoją ranę, a ty powinnaś się wykąpać. Nagrzeję wody, dobrze?

W odpowiedzi tylko wzrusza ramionami.

– Trzeba też zmienić ci ubrania. Jutro pójde po nowe do sklepu, te są już zbyt brudne.

Ruchem głowy pokazuje, że się nie zgadza. W jej oczach znów widzę błysk złości.

Dlaczego nie chce założyć czystych ubrań? Jaki ma problem?

– Ale dlaczego, Alicjo?

Kilkakrotnie unosi brwi. Można by uznać, że naprawdę jestem ciężko myślącym imbecylem, który zupełnie nic nie rozumie. Wstaje, nie wypuszczając z ramion Lego. Dopiero wtedy orientuję się, że ma ze sobą swój fioletowy plecak, a Dora wyhaftowana na jego kieszeni ma na sobie pomarańczowe spodnie, różowy T-shirt i żółte skarpetki, czyli strój w takich samych kolorach jak ubranie Alicji. Powinienem raczej powiedzieć, że Alicja ma takie same ubrania jak Dora. Dziewczynka podnosi swój plecak, otwiera go i wyciąga z niego książkę *Dora Mała Podróżniczka*, flamastry, notes, błękitną pluszową gwiazdkę YooHoo, żółtą świecą gwiazdkę, jeszcze jedną fioletową, której ramiona na sprężynkach wydają dźwięk „dzyń, dzyń” i kolejną robiącą „biiip, biiip”.

– Dziękuję, Alicjo, bez wątpienia masz wspaniałą kolekcję. No i co z tego?

Rozkłada wszystkie swoje gwiazdki z powagą naukowca, a ja nie śmiem przerwać jej rytuału, bo o to najwyraźniej chodzi. Później swoim niewprawnym pismem pisze w notesie: „Ja jeżtem Dora podruszniczka”. Rzuci w moją stronę zamyślane spojrzenie i znów pisze: „Ty jeżteż Diego”. Ach, no dobra, dlaczego nie, jeśli jej na tym zależy. Choć prawdę powiedziawszy, wolę być Czyścicielem. Kim jest ten Diego w kreskówce? Kuzynem Dory, o ile dobrze pamiętam...

Niewzruszona Alicja skrupulatnie zbiera swoje rzeczy do plecaka, zakłada go na plecy, a potem kładzie się na moim łóżku. Lego przytula się do niej. To koniec prezentacji. No dobrze, chyba zrozumiałem, Alicja nie może zdjąć swoich ubrań, bo strój „Dory podruszniczki” pozwala jej czuć się Dorą, być Dorą. Ona boi się, że utraci tę tożsamość, gdy przestanie go nosić. No dobrze, rozumiem i się poddaję. To jest jej zestaw ratunkowy.

Zapalam lampkę na baterie i zostawiam moich małych towarzyszy, zamknąwszy porządnie drzwi. Rozpalam w kominku w salonie i podgrzewam ravioli. Jutro będzie trzeba znaleźć trutkę na szczury, świeczki i środek dezynfekcyjny na rany Maleńkiej. Kiedy się najem, skończę zmywać naczynia, połyskujące we wpadającym przez okno migotliwym blasku księżyca w pełni.

Najbardziej martwi mnie konieczność znalezienia pomarańczowych spodni, różowego T-shirtu i żółtych skarpetek. To wydaje mi się teraz najtrudniejsze.

19 listopada, rano

– Alicjo, nie ruszaj się stąd. Zostawiam ci klucz do mojego po-koju, w razie problemów zamknij się na dwa razy, rozumiesz?

Biorę wózek i wychodzę. Zamykam zasuwę w drzwiach. Jest dziesiąta. Mimo chusty, którą zakryłem twarz, smród z alei Obserwatorium wpełza do moich nozdrzy i sprawia, że w gardle znów czuję żółć. Wilgotny chłód panuje w Paryżu. Drzewa straciły wszystkie liście, tak jak ulice mieszkańców. Pytam siebie samego, dlaczego idę chodnikiem pokrytym odpadkami. Równie dobrze mógłbym poruszać się po ulicy, między stojącymi samochodami. Jednak kierowcy i pasażerowie wewnątrz aut na dobre zaczęli się rozkładać, a to przyprawia mnie o gęsią skórę. Zimno mi się robi na myśl, że wszyscy zmieniają się w zombie jak w *World War Z*. Przejdę przez Ogrody Luksemburskie, może tam będzie lepsze powietrze.

Stado wróbli zrywa się na mój widok. Wskakuję w stopy zeschniętych liści, znajome uczucie jest jakieś dziwne w tym nowym świecie. Mogę sobie do woli wskakiwać w kałuże i stopy liści. Nic mnie nie powstrzymuje, mógłbym to robić. Jednak to wydaje się zbyt normalne, zbyt radosne. Dźwięk butów deptających liście przywołuje wspomnienia dzieciństwa, echa śmiechów, które nie pasują do zbyt gęstej ciszy. Idę wzdłuż tarasu restauracji. Nadal walają się tu filiżanki do kawy i puste kieliszki. Przede mną wyrasta nagle budynek Senatu z białego kamienia. Machinalnie czytam napis na afiszu reklamującym wystawę w Oranżerii:

Dwadzieścia cztery miasta i regiony zapraszają do odkrywania zabytków, placów i dzielnic. Wystawa jest holdem złożonym wszystkim tym, którzy codziennie przywracają życie naszemu dziedzictwu, umożliwiają nam jego poznanie, poddają je restauracji, odnawiają...

Nie jestem w stanie dokończyć tego zdania, zbyt przytłacza mnie ogrom pustki, jaką ono we mnie wywołuje.

Iść naprzód. Nie popadać w marazm, pozostawać w ruchu, uwolnić się od ciężaru stagnacji. Albo umrzeć. W wielkiej sadzawce jest coraz więcej kruków, z daleka woda wydaje się równie czarna i żywa jak one. W parku nie zauważyłem ani jednego trupa. Ani żywej duszy, ani żywego trupa. Biorę ogromny haust powietrza, ale nie uwalniam się od mdłości. Niedaleko dostrzegam kiosk, w którym rodzice kupowali mi naleśniki i balony napełniane helem. Idę w jego stronę chwiejnym krokiem. Potrzebuję cukru. Wszystkie towary zostały na wierzchu. I nikt niczego nie zabrał. Jestem tego dnia pierwszym klientem... Klient, wielkie mi słowo w tym świecie, w którym pieniądze nie mają już sensu. Mogę wejść do banku i przywłaszczyć sobie bezużyteczne banknoty. Jakie towary będą miały teraz wartość? Broń, świeże produkty, lekarstwa? Tylko to będzie coś warte. Obraz Pierre'a kradnącego biżuterię mamy to dla mnie równie silny cios jak uderzenie głową, które zafundował mi przed odejściem.

Biorę puszkę coli i wypijam ją trzema łykami. Brak cukru przestaje mi dokuczać. Marsy, twiksy i liony zmieszały się na stojakach, napełniam nimi mój koszyk. To jest dopiero zdobycz. Maleńka będzie mogła sobie podjeść. Sam też zjem jednego, żeby się zapchać.

A teraz misja „trutka na szczury”. W parku wieje zimny wiatr, białe rzeźby odcinają się niemal świetliście od szarzyzny dnia. Wydaje mi się, że figura polującej Diany, która zawsze mnie fascynowała, zaraz się pochyli i podniesie upolowaną zwierzynę. Marmurowy lew na balustradzie schodów szykuje się do pożarcia kruka, który ośmielił się usiąść mu na głowie. Ich bezruch wygląda mi na coraz bardziej niepewny. Widzę, jak lew obnaża kły, a bogini wyciąga rękę. Lepiej czym prędzej wynosić się z tego upiornego miejsca.

Gdy wychodzę z parku, w oczy rzucają mi się jacyś ludzie pędzący przez plac

Edmond-Rostand. Kierują się w stronę ulicy Soufflot.

– Hej, poczekajcie! Nie odchodźcie! – krzyczę za nimi, ale kiedy dobiegam do fontanny, nikogo już tam nie ma poza nerwowymi gołębiami, swarliwymi krukami i złośliwymi sępami. To pierzaste towarzystwo uważa się za nowych strażników Paryża.

Czy to jeszcze ciągle jest moje miasto?

Panteon przycupnięty na wzgórzu św. Genowefy rzuca makabryczny cień na całą dzielnicę. Zwiedzaliśmy go z klasą w szkole podstawowej. Pamiętam grobowce, mrok i odbijające się wśród murów echo szeptów. Zastanawiam się, co by powiedział Victor Hugo na ten chaos, który ogarnął świat.

Muszę iść do sklepu z narzędziami, żeby znaleźć najmocniejsze trutki na szczury. Znam duży sklep niedaleko placu Włoskiego i bulwaru Vincent-Auriol. Co prawda to spory kawałek stąd, ale mogę pójść ulicą Mouffetard, a później aleją Gobelins. Zajmie mi to nie więcej niż pół godziny.

Na ulicy Mouffetard zastaję wszędzie wybite szyby i splądrowane wystawy sklepów. Czasopisma rozmokłe na deszczu nadają chodnikowi wygląd mozaiki. Kawałki kości, fragmenty gnijącego mięsa, rozszarpane tusze kurcząt poniewierają się po ziemi. Psy skorzystały ze sklepów z mięsem i wędlinami przy tej ulicy.

Muszę zachować spokój, odwołać się do wewnętrznej siły Spider Snake'a. Nie mogę stchórzyć. Podziobane przez wróble warzywa i owoce marnieją na półkach. Ale jabłka i pomarańcze są w dobrym stanie. Napełniam nimi dwie duże siatki i wkładam do koszyka – dostarczą Alicji witamin. Drzwi sklepu z zabawkami są otwarte, nie mogę oprzeć się pokusie, żeby tam wejść. Wybieram lalkę Dory dla Maleńkiej. Niestety obok, w sklepie z ubraniami dla dzieci, znajduję tylko jeden różowy T-shirt odpowiadający jej wymaganiom. Dobre i to.

Nikogo nie mijam na alei Gobelins, oprócz postaci X-Mena i Iron Mana na fasadzie kina.

Towarzyszy mi dziwne uczucie, jakbym po raz pierwszy szedł przez plac Włoski. Pociąg metra stoi na przystanku nadziemnym, góruje nad bulwarem Vincent-Auriol tam, gdzie znajduje się supermarket z narzędziami. Witryna magazynu została w kilku miejscach rozbita uderzeniami siekiery. Jedna z większych wyrw pozwala mi wśliznąć się do środka. Nie udaje mi się jednak wprowadzić tam wózka. Ostrożnie wpełzam przez szczelinę. W środku panuje mrok. Włączam latarkę i biorę koszyk, po czym idę alejkami do części ze środkami insektobójczymi, grzybobójczymi i innymi trutkami przeciwko szkodnikom. Opróżniam półki z trutkami na szczury, biorę też środki przeciwko karaluchom, termitom i pchłom. W dziale dla zwierząt sięgam po chrupki dla Lego. Nagłe słyszę hałas.

Truchleję. To nie sen, ktoś jeszcze jest w sklepie i pewnie też się zaopatruje. Zmniejszam jasność latarki i koncentruję się na tym, skąd dochodzą odgłosy. Nadstawiam ucha. Dźwięki dochodzą z działu ogrodniczego, z ziemią, doniczkami i nasionami. Nic, co by mnie interesowało.

Możliwie najciszej podchodzę do tego miejsca, kierując światło latarki w stronę podłogi i ukrywając się pod półką z puszkami farby. Chcę obserwować, nie będąc zauważonym. Spider Snake jest nieufny, doświadczenie zdobyte podczas długotrwałej wojny nauczyło go, że Wróg może zjawić się w każdym miejscu i w każdej chwili. Delikatnie przesuwam jedną z puszek zasłaniających mi pole widzenia. A to diabelny niefart: przy okazji zrzucam puszkę opierającą się na tej, którą przesunąłem. Fatalny błąd.

– Kto tam jest?

Głos wskazuje na dziewczynę. Wyciągam nóż, wychodzę z kryjówki.

– Nazywam się Spide... Eee, Jules, nie bój się...

– Ja się nie boję. Pokaż się!

Histeryczna intonacja sugeruje coś przeciwnego. Idę w kierunku prostopadłej alejki i ruszam w jej stronę. Dziewczyna kieruje na mnie swoją latarkę.

– Ja cię znam! Chodziłeś do gimnazjum Montaigne’a, prawda?

– Tak! Tak! Ty też!?

Nie posiadam się z radości i chętnie uściskałbym tę dziewczynę, gdybym miał śmiałość. Już mnie kiedyś widziała, wie, kim jestem! Podchodzi do mnie, ciągnąc ze sobą wózek. Jest niska, ma nie więcej niż metr pięćdziesiąt pięć, drobna... Ależ tak, ja też ją rozpoznaję, to Katia. Rok temu byliśmy razem w trzeciej klasie, później ona zdała do liceum. Zapamiętałem ją jako dość słabą uczennicę. Była jednak bardzo arogancka, gadatliwa i bezczelna. A także zabawna, prawdziwy błazen trzeciej B. Miała powtarzać rok, jednak w ostatnim trymestrze udało jej się poprawić oceny, w przeciwieństwie do mnie...

Wróćmy do teraźniejszości: Katia tu jest, stoi naprzeciwko mnie. Tym razem nie żartuje. W prawej ręce trzyma scyzoryk.

– Co robisz?

– Przyszedłem po zapasy trutki na szczury. Moje mieszkanie jest przez nie obłożone.

– Jesteś sam?

– Niezupełnie, w domu czekają na mnie dwa maluchy.

– Maluchy?

– Mój kot i Alicja, mała dziewczynka.

– Dziewczynka? Kto to jest? Twoja siostra?

– Taaa, moja młodsza siostra Alicja.

Nie wiem, czemu ją okłamuję. Potrząsa głową. Cień przesłania jej jasnyniebieskie, niemal przezroczyste oczy. Dostrzegam, że długie, blond, prawie białe włosy są strasznie przetłuszczone. Opadają strąkami na ramiona. Uderza mnie, jak bardzo brudne jest jej ubranie. Oświetlam latarką jeansy, całe w tłustych plamach. Przed Tym była raczej kokietką. Ale to było Przed Tym.

– U ciebie wszystko dobrze? Wychodzisz już stąd? Jesteś sama?

– Nie, mamy bandę. Założyliśmy grupę. Pomagamy sobie. Staramy się przetrwać. Wiesz, jest mnóstwo takich, którzy nie panują nad sobą albo chcą umrzeć. My się wspieramy wzajemnie.

– Kto jest w bandzie? Znam kogoś?

– Taaa, jest Jérôme i Vincent, w zeszłym roku ciągle włączyliście się razem.

Serce bije mi szybciej. Jérôme i Vincent to byli moi najlepsi kumple, ale kiedy okazało się, że muszę powtarzać trzecią klasę, zaczęliśmy widywać się coraz rzadziej. Może trochę z powodu WOT, chyba ich to przerosło. Za dużo grałem jak na ich wytrzymałość.

– Co to znaczy, że założyliście grupę?

– To znaczy, że moi rodzice i rodzeństwo umarli tego samego popołudnia, a ja, kuźwa, ja nie umarłam, rozumiesz? Zostałam pośród trupów. I chciałam tylko jednego, wiesz czego?

Nie wierzę własnym uszom, gdy mówi wzburzonym głosem:

– Chciałam umrzeć, umrzeć, zostać z nimi. Przyłgnęłam do nich, objęłam ich, jednego po drugim, wykrzykiwałam ich imiona, głaskałam po twarzach, a oni robili się sztywni. Pokrywali się fioletowymi plamami. Zamknęłam im oczy, ale nic więcej nie mogłam zrobić. Nie umierałam, najwyraźniej byłam odporna na tego kurewskiego wirusa, i pytałam samą siebie: dlaczego ja? Rozważałam zagłodzenie się na śmierć, żeby zostać z nimi. A później przyszła do mnie Maia. Znasz ją?

Twierdząco kiwam głową.

– Ona też była w fatalnym stanie, miała zaczerwienione oczy, skołtunione włosy, a na sobie byle co. Straciła matkę. Razem płakałyśmy. Wyszłyśmy na zewnątrz i szłyśmy przed

siebie. Mijałyśmy tysiące trupów, aż doszliśmy do mostu Sztuk Pięknych. Tam, gdzie zakochani przymocowują kłódki do tej durnej balustradki... Rozumiesz?

Świetnie rozumiem.

– W Sekwanie było mnóstwo śmieci, pływały szczury i unosiły się trupy, podobne do pakunków brudnej bielizny... Ale to byli zmarli, kurewskie trupy.

Zamilkła, pociągnęła nosem i nie odrywając ode mnie wzroku, wytarła nos wierzchem dłoni.

– Chciałyśmy razem skoczyć do tej brunatnej wody. Nie chciałyśmy dłużej żyć, ale nie dałyśmy rady, cholera, nie mogłyśmy nawet skoczyć. Wróciłyśmy więc do naszej dzielnicy i odszukałyśmy innych, którzy przeżyli. Wpadłyśmy na Jérôme'a i Vincenta.

Jej historia nie różni się zbyt od mojej, poza tym, że szybciej odnalazła przyjaciół. Ja nikogo nie spotkałem po wyjściu z domu, poza ćpunami przed Panteonem.

– Zamieszkaliśmy w kamienicy Jérôme'a na bulwarze św. Michała. To stare budownictwo, można się ogrzać kominkiem. Dom stoi tuż obok Ogrodów Luksemburskich, gdzie mamy zamiar hodować różne rośliny, kiedy nie będzie już świeżych produktów. W przeciwnym razie będzie po nas. Próbujemy się zorganizować, właściwie dopiero zaczęliśmy. Jérôme został naszym przywódcą. Każdy ma swoją działkę.

– Aha... A ty czym się zajmujesz?

– Roślinami, nasionami i ogrodnictwem.

Dopiero teraz rzuca mi niepewny uśmiech i robi mi się jakoś przyjemnie. Czuję jakby ciepło spływające wzdłuż kręgosłupa. Smutny uśmiech tej dziewczyny jakoś mnie rozrzewnia.

– Nic innego nie umiem, więc wyznaczono mnie do tej misji. Jest OK.

– A Vincent?

– On się zajmuje bronią. Zaopatrzeniem, utrzymaniem, użyciem.

To nie są żarty. Organizacja wojskowa spodobałaby się Khronosowi. Muszę im opowiedzieć o spotkaniu 24 grudnia.

– Dobra Jules, muszę iść, bo pozostali będą się niepokoić. Wiesz co, przyjdź do nas jutro, możemy cię przyjąć do siebie, miejsca nie brakuje. Brakuje za to rąk do pracy, zwłaszcza że boimy się najgorszego. Wydaje się, że powstały gangi, które zaprowadzają swoje porządki w kilku dzielnicach i chcą rządzić Paryżem. Grabią wszystko, co się da, zebrali ogromne ilości broni.

– Wiem, gdzie mieszka Jérôme. Moja kamienica stoi po drugiej stronie skweru, obok liceum Montaigne'a. Ja też muszę już iść, Małenka czeka na mnie w domu.

– Miałam spotkać się Maïą w aptece przy alei Gobelins. Ona jest odpowiedzialna za lekarstwa. Od kilku tygodni zbiera ich całe stosy, bierze, ile się da, a później dzieli według działania i daty ważności. Zna się na tym, jej mama była aptekarką i ona nauczyła się przy niej mnóstwa rzeczy.

Idziemy wzdłuż metalowej stopy, aż trafiamy na wejście dla pracowników. Teraz rozumiem, jak udało jej się wprowadzić wózek do środka.

– To do jutra?

– Tak, pewnie...

Oddała się. Wychodzę za nią i biorę swój wózek. Wygodniej będzie napelnić go w sklepie. Nagle słyszę krzyk Katii. Wielki harmider. Warczenie, szczekanie. Odgłosy walki. Mój Boże, co się dzieje?

19 listopada, południe

Łapię dużą metalową łopatę leżącą obok kasy i biegnę na zewnątrz. Widzę je – wściekle, olbrzymie, bezlitosne: trzy pitbule zażarcie atakują Katię. To te same bestie, które próbowały mnie rozszarpać, kiedy wracałem z Milly-la-Forêt! Nie mamy dużych szans. Dziewczyna zwinęła się w kłębek, twarz osłania ramieniem, psy próbują dosięgnąć jej gardła. Na ziemi kilka metrów dalej widzę szczyryk Katii. Nie udało jej się go użyć.

Jeden z brytanów mnie zauważa, warczy i pokazuje kły. Ściskam trzonek łopaty w dłoniach, wyciągam Sztylet, zanim pies zdąży mnie ugryźć. Ten robi unik, ledwie dotykam jego boku, ostrze tylko go muska. Jest silny i sprytny, krąży wokół mnie. Nie uda mi się go zmylić, to przecież psy bojowe. Pewnie są wygłodniałe, skoro atakują w taki sposób. Metr dalej leży nożyk Katii, jego stalowe ostrze połyskuje na betonie.

Pitbul rzuca się na mnie, próbuje dosięgnąć gardła. Cholera, Sztylet wypada mi z rąk. Walczymy, turlając się po ziemi. Staram się trzymać twarz poza zasięgiem jego pazurów i zębów. Gdyby choć raz moja postura robotnika mogła się na coś przydać... Pies gryzie mnie w rękę, odsłaniam się i łapię go za gardło, przyciskam do ziemi, siadam na im, wykorzystuję cały ciężar ciała, ściskam jego łapy kolanami i łokciami. Łapię go za kark, przytrzymuję od tyłu łeb. Jest unieruchomiony. Przynajmniej chwilowo. Z sekundy na sekundę tracę siły. Odgłos skomlenia każe mi podnieść oczy, dostrzegam jakąś sylwetkę i jednego psa z nożem w boku.

Nowo przybyły jest raczej wysoki. Widzę twarz Katii ubrudzoną łzami i krwią. Nasz wybawiciel nie zatrzymuje się przy niej. Rzuca się w moją stronę i wbija mój nóż w masywny kark brytana. Czuję, jak ciało psa osuwa się pod moim ciężarem. Wykończony, z walącym sercem, kładę się na plecach na betonie i biorę oddech. Z oczami skierowanymi ku chmurom, które teraz wydają mi się bardziej pełne życia niż całe to wymarłe miasto. Twarz naszego wybawcy pojawia się między mną a niebem. Natychmiast go rozpoznaję: delikatne rysy, wyraźne zaznaczone kości policzkowe, szarobrązowe oczy jakby zapadnięte w oczodołach, krótko obcięte włosy i szerokie ramiona.

To Jérôme.

– Cześć, Jules, cieszę się, kurczę, że żyjesz, to... – Głos mu się łamie pod wpływem wzruszenia.

Uśmiecham się, też się cieszę, że go widzę. To mój przyjaciel. Łapię dłoń, którą mi podaje. Pomaga mi wstać i ściska mnie serdecznie. Jego obecność dobrze mi robi. Rozgrzewa od wewnątrz to całkowicie zmrożone miejsce po kimś, kto umarł. To jak powiew powietrza na nowo wypełniający duszę.

– Jérôme, jesteś...? Masz...? Twoi rodzice? Siostra?

Zasępia się, wargi trochę mu drżą, przez ułamek sekundy jego twarz wyraża tylko bezkresną rozpacz, która przebija mi serce. Spojrzenie jego ciemnych oczu przenika moją duszę. Wyczytuję w nim zaciekle pragnienie przeżycia, jakby obietnicę, którą Jérôme komuś złożył. Nie potrzebuje nic mówić, rozumiem bez słów, że wszyscy troje umarli: jego ojciec, mama i siostra. Ale rozumiem też, że nie poddał się roz-paczy.

Nagle nieludzki wrzask sprawia, że nieruchomiejemy jak kamienie.

– Moje psy! Gnoje! Bydlaki! To wy je zabiliście! Ale ja się zemszczę. Jeszcze się zobaczymy, rozniesiemy was! Wszystkich! Banda smarkaczy! Nie wiecie, z kim zadarliście. Nie macie bladego pojęcia, bladego pojęcia o tym, jacy jesteśmy silni i ilu nas jest. Więcej niż w waszych najgorszych koszmarach!

Ciągle jeszcze roztrzęsiony, wpatruję się w plac Włoski, żeby zobaczyć, jak wygląda

właściciel psów, który ma tak wrogie zamiary. Jest jednak za daleko. Na podstawie głosu nie daję mu więcej niż piętnaście czy szesnaście lat. Jérôme rusza w pogoń, ale chłopak znika w uliczkach.

– Wróć, kiedy będziesz chciał, Demonie, będziemy czekać, żeby cię przyjąć, ciebie i innych Pożeraczy... – odgraża się mój przyjaciel.

Słyszymy głuchy dźwięk uderzenia o ziemię i jednocześnie się odwracamy: Katia zemdląła. Jérôme siada obok niej, delikatnie kładzie jej głowę na swoich kolanach.

– Jules, skocz po Maïę do pierwszej apteki w alei Gobelins, niech przyniesie jakieś środki odkażające, opatrunki, a nawet antybiotyki.

Idę przez plac. Boję się spotkania z innymi psami. Szczury przeganiem kopniakami. Muszę wyciągnąć moje martensy, mama kazała podkuć ich obcasy, będą skuteczniejsze od adidasów. Przed siedzibą merostwa 13. dzielnicy widzę dziewczynę, która energicznie ciągnie wózek wypełniony lekarstwami. To Maïa. Jej twarz wyraża najwyższe zdumienie.

– Jules?

Kiwam głową.

– Jak się masz? Poradziłeś sobie? Ty... – przerywa w pół słowa, łapiąc mnie nagle za dłoń. – Co ci się stało?

– Co? Mnie? Czuję się dobrze.

Jej pytanie uświadamia mi jednak, że czuję rwący ból w lewej ręce. Na koszuli powiększa się plama krwi. Robi mi się słabo, obsesyjnie boję się widoku krwi. Opieram się o ścianę i mówię cicho:

– Katia potrzebuje pomocy. Pitbule nas zaatakowały. Szybko! Jest po drugiej stronie placu. – A potem osuwam się bezwładnie, nie odrywając pleców od muru, i siadam na asfalcie.

– Już tam idę, mam wszystko, czego potrzeba. Poczekaj tu na mnie, jak wrócę, zajmę się tobą.

Oddała się energicznym krokiem sportsmenki. Biła nas wszystkich na głowę w biegach i była najlepsza na zajęciach wuefu. Kładę się na moment z zamkniętymi oczami. Dlaczego jeszcze żyję? Dlaczego muszę przez to wszystko przechodzić? Obraz ukąszeń na ciele Małenkiej nakłada się na obraz mdlejącej Katii. Ja też muszę oczyścić rany Alicji. Gryzonie przenoszą różne obrzydliwe choroby. Zatrzymam się w jakiejś aptece w drodze do domu. Zrywam się. Mój Sztylet! Zostawiłem go na polu walki. A wózek przed supermarketem z materiałami budowlanymi?

– Jules? Gdzie jesteś?

Rozpoznaję głos kumpla. Zbliżają się wszyscy troje. Maïa i Jérôme podtrzymują wpółprytomną Katię. Część twarzy zasłania jej ogromny opatrunek. Jérôme podaje mi mój nóż, dziękuję mu skinieniem głowy. Maïa pochyla się nade mną.

– Pokaż mi rękę.

Jej brązowe loki łaskoczą mnie po twarzy.

– Masz aktualne szczepienia przeciwko tężcowi?

– Myślę, że tak. Sprawdzę w książeczce zdrowia.

– Dobrze. Pozwól mi się tym zająć. Mam dyplom ratownika medycznego i znam się na tym.

Kiwam głową. Ufam jej, wydaje się pewna siebie. Pamiętam, że mieszkała sama z matką i dużo czasu spędzała w aptece. Odrabiała lekcje w pomieszczeniu z zapasami lekarstw. Tam mama ustawiła jej biurko. Czasem pomagała szukać zamówionych leków. Znała ich nazwy i działanie... Jérôme kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Maïa jest naszą Aptekarką. Znalazłeś się w dobrych rękach.

Dziewczyna podwija rękaw mojego swetra. Zaciskam zęby, kiedy ona delikatnie ściera krew ciekącą po ramieniu, oddziera kawałek koszuli i robi z niej opaskę uciskową nad łokciem.

– No proszę, nieźle cię załatwił ten pitbul! Dobrze go wytresowali.

Nakłada na ranę wyjałowione bandaże, poprawia opaskę uciskową, „żeby powstrzymać krwotok”, znów sprawdza mi ciśnienie.

– Udało mi się zatrzymać krwawienie. Mogę teraz zdezynfekować ranę wodą utlenioną. Szycie nie jest konieczne. Założę ci opatrunek, a ty najpierw go rano zmienisz, a potem wieczorem jeszcze raz oczyścisz ranę.

Zrobię wszystko, co mi zaleciła. Jérôme półgębkiem zadaje Katii pytanie.

– Znalazłaś to, o co cię prosiłem?

Nie słyszę odpowiedzi, zresztą nie obchodzi mnie to, martwię się, że czas ucieka, a moja mała jest sam na sam ze szczurami.

– Muszę wracać do siebie, Maleńka będzie się niepokoila.

– Maleńka?

– Kiedy indziej ci wyjaśnię.

– OK, wpadnij do nas jutro – proponuje Jérôme.

Katia, bledsza niż zwykle, przygląda mi się badawczo. Uśmiech błakający się na jej ustach zmienia się w grymas bólu, ale mimo wszystko daje radę wymamrotać:

– Ty, chłopie, będziesz się nazywał Szarżujący.

Atak psów niemal przyplącała życiem, a mimo to zachowuje na tyle przytomności umysłu, żeby nadać mi to dziwaczne przezwisko.

– Eee... Szarżujący? Jestem Spider Snake’iem, Czyścicielem.

Jérôme przesuwając palcem po moich włosach i wybucha głośnym śmiechem.

– Ciągle jeszcze kręca cię Warriors of Time, Spider Snake’u!

Uśmiecham się na myśl, że pamięta. Mimo ironii zawartej w tej uwadze w jego głosie usłyszałem czułość.

– Jules, bądź co bądź udała ci się szarża na pitbula. Jesteś chojrak.

To prawda, dopiero teraz zdaję sobie sprawę ze swojego wyczynu. Nie dałem rady bratu, ale tu sobie poradziłem, moja budowa ciała zapewniła mi przewagę.

– Uratowałeś Katii życie, Jules.

Szacunek w głosie Maï wydaje mi się mniej więcej tak samo realny jak wszystko, co od miesiąca składa się na moje życie. Maïa należy do tych dziewczyn, w których jeszcze niedawno wszyscy się podkochiwali. Wszyscy o niej marzyliśmy. Nie mam śmiałości podnieść głowy. Boję się, że najmniejsza iskra podziwu w jej ciemnobrązowych, niemal czarnych oczach sprawi, że się zaczerwieni albo kompletnie rozkleję. Wstaję z ziemi.

– Dzięki, Maïu, muszę wrócić po mój koszyk na bulwar Vincent-Auriol. No i zaopatrzyć się w jedzenie i środki dezynfekcyjne dla Alicji, zanim wrócę do siebie. Lego i ona są sami w domu już ponad dwie godziny. Oby nic złego im się nie przytrafiło.

Zabieram wózek i ruszam szybkim krokiem w stronę mojej kamienicy. Smród na klatce schodowej nadal jest tak intensywny, że łapią mnie mdłości.

Będę musiał wynieść wszystkie rozkładające się trupy, jeśli mam zamiar nadal tu mieszkać. Pierwszym i najważniejszym zadaniem jest jednak wytępienie szczurów. Podczas rozstawiania na wszystkich piętrach pięćdziesięciu sześciu pułapek zastanawiam się: „A gdybyśmy z Maleńką i Lego przyłączyli się do bandy Jérôme’a i Vincenta?”

Szczury na klatce schodowej nawet przede mną nie uciekają. No dalej, częstujcie się tym, co Czyściciel wam przyniósł, różowymi łakociami, które pošlą was wprost do szczurzego raj.

Uchyliam drzwi do mojego pokoju: Alicja śpi zwinięta w kłębek. Lego wtulił się między

jej nogi i brzuch. Wąsy kotka poruszają się i zwierzak podnosi głowę. Na powitanie ziewa i mruży oczy, nie raczy nawet do mnie podejść. Dobrali się z Maleńką. Jakby utworzyli wokół siebie kokon. Podwijam rękaw dziewczynki, żeby obejrzeć ugryzienia w górnej części ramion. Nie mam wiedzy Maï, żeby móc ocenić stopień gojenia się ran. Nagle ogarnia mnie poczucie niemocy, najrozsądniejszy wydaje mi się pomysł zamieszkania w kamienicy Jérôme'a.

Ślady na rękach dziewczynki są raczej czyste, czerwone, rany już nie krwawią. Nie ma opuchlizny. Nakładam opatrunek na skaleczenie, mała jęczy przez sen. Przykrywam oboje kołdrą, jest najwyżej piętnaście stopni. W mieszkaniu zrobiło się brudno jak w chlewie. Tego popołudnia będę Czyścicielem w dosłownym znaczeniu. Mama pomyślałaby, że ma zwidy, gdyby zobaczyła mnie robiącego porządkę, odkurzającego, szorującego.

Zapada noc, a Alicja nadal pozostaje w objęciach Morfeusza, ubrana w brudny i nieświeży strój Dory. Czy podczas ostatnich trzech tygodni udało jej się przespać ciągiem więcej niż pełną godzinę? Nie budzę jej i sam zjadam puszkę zimnych ravioli. Czuję się wykończony.

Rozbieram się w łazience – z kranu leci cienka strużka lodowatej wody. Trudno, muszę się umyć, choć zimno mi jak diabli. Później biorę latarkę, wkładam Sztylet pod poduszkę i też opatulam się kołdrą w moim łóżku. Teraz leżymy w trójkę na waleta. Kiedy tylko przestają działać, znów nawiedzają mnie wciąż te same, dręczące myśli. Dlaczego żyję, dlaczego doświadczam tego wszystkiego?

Z szeroko rozwartymi oczami czatuję na napastników gotowych do ataku. Ogarnia mnie strach przed ciemnością... Nie jestem w stanie zrobić żadnego ruchu, pewny, że jakiś zombie złapie mnie za rękę, jeśli tylko wysunę ją spod kołdry. Nie mogę na to pozwolić, trzeba się opanować. Muszę być silny dla Maleńkiej.

Kiedy byłem mały, mama mówiła mi, że śpiewanie pomaga pokonać strach. Nie mogę ciągle się bać, chcę wrócić do przeszłości. Może się to udać jedynie pod warunkiem, że zaufamy Khronosowi. Śpiewać. „Sam widzisz, boję się, boję się stale, że katastrofy zapowiedź dostanę i wezwą mnie w nagle w nieznane. Lecz to, że jesteśmy razem, we dwoje, to cudu ma znamiona w sobie. Więc w górę serca, w górę serca, wciąż rozmawiamy, czujemy, widzimy...” Cóż to, skąd mi przyszła do głowy piosenka *Haut les cœurs* zespołu Fauve?! Jestem zmęczony, zbyt zmęczony, żeby opierać się senności...

20 listopada, rano

Budzę się nad ranem. Maleńka siedzi naprzeciwko i wpatruje się we mnie swoimi szarymi oczami. A może te oczy są niebieskie i tylko cień rzucany przez długie rzęsy nadaje im taki niezdecydowany kolor? Widzę, że coś z nią nie tak. Podnoszę się gwałtownie. Alicja ma zbyt błyszczące tęczęwki, zanadto rumiane policzki. Rzucam okiem na jej rękę. Jest zaogniona, spuchnięta wokół ugryzienia. Dotykam jej czoła – rozpalone! W ranę wdało się zakażenie. Mała koniecznie musi się nią zająć jak najszybciej. Oby nie było za późno.

Nic nie mówię, cisza nam odpowiada. Wkładam Lego do klatki i zarzucam na ramię doczepiony do niej pasek. Kot prycha oburzony. Biorę Alicję na ręce. Idziemy w stronę kamienicy Jérôme'a. Po kilku minutach zdaję sobie sprawę, że mała jednak trochę waży. Na szczęście jesteśmy już prawie na miejscu. Ta kamienica stoi niedaleko mojego domu, po drugiej stronie małego Ogrodu Luksemburskiego, na samym końcu bulwaru św. Michała.

Maleńka pojękuje. Mam wrażenie, że z każdą sekundą jest coraz bardziej rozpalona. Nie zamierzam się poddać, ale już nie mogę, padnę, jeśli się nie zatrzymam. Odpoczywam kilka minut na ławce przy skwerze, dziewczynka siedzi na moich kolanach. Lego miauczy, jakby poddawano go najgorszym torturom. Rzuca mi spojrzenia pełne wściekłości i żądzy zemsty.

– Odsapnę chwilę, Lego, pozwolisz?

Maleńka jest cała spocona, będzie musiała się napić. Kiedy się ma gorączkę, trzeba pić dwa razy więcej. Jest taka krucha. Gdyby właściciel psów gdzieś się tu włóczył, jego pitbulom starczyłoby jedno kłapanięcie, żeby sobie z nią poradzić.

Odwagi, trzeba ruszać w drogę. Zostało nam już tylko kilkaset metrów do kamienicy Jérôme'a. Podnoszę się zbyt gwałtownie. Zawrót głowy zmusza mnie, żebym ponownie usiadł. Widzę czerń przed oczami, nie zdołam utrzymać się na nogach, od wczoraj prawie nic nie jadłem. Zamykam oczy, by złagodzić uczucie oszołomienia, a kiedy wstaję powoli jak mój dziadek, nagle wyrasta przede mną nastolatek. To ten sam upiorny, ubrany na czarno gość, który kręcił się przed Panteonem! W jego spojrzeniu widać błysk szaleństwa. Przypomina mi współników Magneta z *X-Men*. Jedyne, co trochę mnie uspokaja, to puszek na jego górnej wardze. Jest za młody na bardzo groźnego mutanta. Ma twarz pomalowaną w czarne pasy – niczym Indianin – i włosy pokryte niesamowitą ilością żelu. Mimo wszystko mam się na baczości. Mocniej przyciskam Maleńką do siebie. Siuks i ja mierzymy się wzrokiem w milczeniu i bez ruchu. Nie umiem powiedzieć, ile czasu trwa ten nasz pojedynek na spojrzenia. Przyjaciel czy wróg? Spider Snake budzi się we mnie, gotów dobyć Sztyletu albo szukać wybiegu, bo z Alicją w ramionach wszystko się komplikuje. Indianin pierwszy przerywa ciszę:

– Zostaliśmy wybrani. Ci, którzy przeżyli, zostali wybrani przez Tego, który decyduje o wszystkim.

Chłopak jest w trakcie mutacji, głos mu się łamie pod koniec zdania. Przelykam ślinę, w gardle zupełnie mi zaschło, mimo że powietrze jest wilgotne. Co on wygaduje? Upalił się, Apacz jeden. Wyciąga rękę w stronę Alicji. Na szczęście ona go nie widzi, opiera głowę na moim ramieniu. Instynktownie robię krok w tył, uderzam o ławkę, potykam się i tracę równowagę pod wpływem ciężaru dziecka i klatki z kotem.

– Ty, daj mi małą. Trzeba złożyć ofiarę.

– Chyba chory jesteś!

Utknąłem między ławką a chłopakiem grożącym mi wielkim nożem. Mogę się założyć, że zabrał go z kuchni swojej matki. Pewnie używała go do krojenia mięsa, nie ma porównania z moim sztyletem z bagnetu. A jednak czuję niepokój na widok coraz bardziej histerycznego

zachowania i grymasu, który zniekształca kanciastą twarz tego czubka. Nie mogę pozwolić, żeby nas zranił. Muszę zyskać na czasie. Z małą w ramionach nie mam najmniejszych szans go pokonać, a facet jest gotów nas zabić. Lepiej odwrócić jego uwagę.

– Dlaczego chcesz zabrać moją siostrę? Ma gorączkę, będę ją leczył.

– Monstrum potrzebuje życia dzieci, żeby przywrócić pokój. Potrzebuje pożywienia.

– Jakie Monstrum?

– Monstrum Ciemności, to, które zesłało epidemię.

Wbrew sobie wzdragam się, choć ta opowiadka o monstrum nie bardzo mnie obchodzi. No dobra, jak wymknąć się temu szalonemu Siuksowi?

– Oddaj mi małą. Ono czeka, trzeba mu złożyć ofiarę przed nocą. Trzeba zaspokoić jego głód. Przygotuję ognisko.

Ognisko? I co jeszcze? Za dużo chyba grał w *heroic fantasy*. Zdaje mu się, że jesteśmy w średniowieczu czy co?

– Słuchaj, koleś, nie ma jeszcze dziesiątej rano, do wieczora masz dużo czasu. Lepiej wyleczyć dziewczynkę, zanim złożysz ją w ofierze potworowi. Może nie strawić ciała chorego dziecka.

Nie odpowiada, modlę się, żeby dał się zwieść niebywalej logice mojej propozycji. Ze wszystkich sił staram się opanować drżenie głosu i rąk. Udawać, że jego prośba jest uzasadniona, że uwierzyłem w jego historyjkę o żadnym krwi monstrum. Mówię do niego neutralnym tonem, a jednocześnie powoli, ale pewnie przesuwam się wzdłuż dłuższego boku ławki. Jeszcze krok i będę miał wolną drogę. Oczekując na jego decyzję, próbuję opracować jakiś plan. A gdybym spróbował poharatać mu nogi moimi podkutymi martensami? Nie, to zły pomysł. Że też musiał trafić właśnie na mnie, głupi Apacz... Ależ tak, już wiem... Przychodzi mi do głowy, że jego obłęd jest też moją szansą. Jediną szansą, żeby nas wyciągnąć z tych tarapatów.

On trzyma w dłoni rzeźnicki nóż i najwyraźniej ma problem ze skupieniem wzroku przez dłuższy czas w jednym punkcie.

– Nie próbuj mnie zmylić swoimi gównianymi bajeczkami. Dawaj małą.

– OK, bierz ją.

Podaję mu bez uprzedzenia śpiącą Alicję. Nagłość i gwałtowność, z jaką przyciskam dziewczynkę do jego brzucha, kompletnie go zaskakuje. Zatacza się, próbując utrzymać ją jedną ręką, i nie wie, co zrobić z dłonią, w której trzyma nóż. Korzystam z tej chwili, żeby wyrwać mu broń i równie szybko przytknąć nóż do szyi. W ten sposób zyskuję przewagę nad wrogiem.

– A teraz zrobisz dokładnie to, co ci każę. Posłuchaj mnie dobrze, psycholu, zanieśiesz dziewczynkę do miejsca, w którym mam zamiar ją leczyć. Jeden fałszywy krok, a poderżnę ci gardło. Zrozumiano?

Kiwa głową bez słowa sprzeciwu. Osłupiały Apacz spod latarni, Indianin gorszego sortu.

Do kamienicy Jérôme'a trzymam zdecydowanie ostrze przy jego tętnicy. Wpadamy prosto na Maïę i Katię, ciągle jeszcze sinoblada, ale już na nogach. Na policzku nadal ma przesiąkający opatrunek. Aptekarka dostrzega nagle nóż i cofa się o krok.

– Kto to jest?

– Jakiś szalony Indianin. Chciał złożyć Alicję w ofierze czemuś, co nazywa Monstrum Ciemności.

Mój więzień garbi się i nie odrywa wzroku od chodnika, a Katia mówi:

– Ach, więc to on! Słyszałam o jego majakach. To prawdziwy świr. Błąka się po nocach, wrzeszcząc i przepowiadając zemstę Monstrum.

Maïa mnie uprzedza.

– Twoja siostra jest chyba chora, zanieśmy ją do środka, to teraz najważniejsze.

Dziewczęta uwalniają wariata od ciężaru i zabierają Alicję. Kiedy jestem pewien, że są bezpieczne wewnątrz, odsuwam nóż. W miejscu, w którym ostrze lekko zagłębiło się w ciało Indianina, widnieje czerwony ślad.

– A ty spadaj i żebym cię więcej nie spotkał, rozumiano? Jeśli dotkniesz mojej siostry, zabiję cię.

I żeby wiedział, na co mnie stać, że jestem gotów zamienić słowa w czyny, jeszcze raz przykładam mu nóż do tętnicy szyjnej. Musi zrozumieć, że nie żartuję, że to nie blef. Indianin odchodzi pospiesznie, bez słowa i przez krótką chwilę mam nadzieję, że na dobre się od niego uwolniłem. Jednak gdy jest już daleko, odwraca się i krzyczy dziecięcym głosem:

– Strzeż się, zemsta Monstrum będzie straszna!

Wzruszam ramionami. Biedny, obłąkany Siuks... Wzdrygam się, gdy czuję rękę Jérôme'a na ramieniu.

– Nie przejmuj się zbytnio, ten gość jest chory. Włóczy się po dzielnicy. Podczas jednej z misji zwiadowczych Vincent go wyśledził. Mieszka na bulwarze nad Sekwaną, pod mostem św. Michała, niedaleko wyspy Cité. Nie jest zbyt groźny, ale trzeba uważać...

– A jednak był gotów użyć noża i chciał złożyć Alicję w ofierze.

– Kim jest ta mała? Katia i Maïa powiedziały mi, że to twoja siostra. Od kiedy to masz siostrę?

– Powiedziałem tak, żeby było prościej. To wnuczka pediatry z mojej kamienicy.

– A wiesz, że to pierwsze żywe dziecko, jakie do tej pory widziałem? Wcześniej widywałem tylko nastolatków.

– O ile...

– Co?

– Jest cała rozpalona, mam nadzieję, że to nie jest...

– Gdyby to był filowirus, miałyby już krwotoki. To tylko zakażenie ran po ugryzieniach szczurów, Maïa poda jej antybiotyk.

Oddycham z ulgą. Rozlega się wściekłe miauczenie. Jérôme pochyla głowę:

– Ależ to Lego! Cześć, kocie! Jeśli macie zamiar z nami zamieszkać, mam nadzieję, że polubicie się z Anakinem.

Anakin to kot Jérôme'a. To dzięki niemu w moim domu pojawił się Lego. Cieszę, że ciągle żyje. Przyjaciel popycha mnie w stronę kamienicy.

– Chodź, oprowadzę cię, przedstawię cię tym, których nie znasz.

– Vincent jest w domu?

– Nie, wyszedł na misję. Próbuje zebrać możliwie najwięcej broni i amunicji, żebyśmy mogli się bronić. Nie wiadomo, co jeszcze nas czeka, nikt nic nie wie. Poszliśmy zapytać w merostwie, ale żołnierze trzymają nas na dystans, boją się zarazić. Panuje totalny burdel, próbujemy więc jakoś przeżyć.

Mimo rozsądnie brzmiących słów i dość spokojnej intonacji drżący uśmiech uświadomił mi bezmiar jego wątpliwości.

– Nawet jeśli jest ciężko, wspieramy się, widzisz, razem czujemy się mniej zagubieni. My mamy tylko piętnaście czy szesnaście lat, ale Cédric i Séverine mają już siedemnaście, za rok będą dorośli, to pomaga.

Marszczy brwi, koncentrując się na tym, co chce mi wyjaśnić.

– Nie mówię, że zbudujemy od zaraz świat, który będzie nam odpowiadał. Jednak przynajmniej staramy się być niezależni, wyjść z tego, zapanować trochę nad całym tym chaosem, bo przecież nie znamy dorosłych, którzy przeżyli – żołnierzy czy polityków korzystających ze specjalnej ochrony. Wyobraź sobie, że mogą to być despoci albo zbrodniecy,

którzy będą nadużywać swojej władzy. Nie mam zamiaru pozwolić, żeby decydowali o moim życiu.

Jérôme zawsze miał dar przekonywania, umiejętność pozyskiwania ludzi dla swojej sprawy – obojętnie, czy chodziło o rugby, samorząd klasowy czy załatwianie porachunków między kumplami.

– Nie zgadzasz się ze mną?

– Ależ tak, zgadzam się, ale jest coś, o czym musimy porozmawiać. Pamiętasz, jak grałem w Warriors of Time?

– Po co chcesz mówić o grze komputerowej? Nie mamy przecież internetu.

Widzę jego zdumienie zabarwione rozdrażnieniem. W drugiej klasie Jérôme i Vincent często grywali ze mną. Pamiętam ich awatary: pierwszy z nich wybrał sobie nazwę Devil99, a drugi ObiTwo. Nigdy jednak nie zostali Ekspertami i porzucili Ukraün. Muszę mówić dalej, zanim zmieni temat.

– Mówię ci o tym, bo mistrz gry, Khronos, wyznaczył Ekspertom spotkanie, żeby...

Przerywa mi klepięcie w plecy. To Vincent. Wraca z misji obładowany jak osioł: jeden plecak na brzuchu, drugi na plecach i jeszcze wózek sklepowy. Uśmiecha się do mnie szeroko. Jest niższy od Jérôme'a, ciemny i żylasty. Ale to twarda sztuka, rozrabiaka. Dobrze sprawował się na dziewiątej pozycji podczas meczów rugby. Był bezlitosnym zawodnikiem. A w szkole bił się z najsilniejszymi i potrafił wybuchnąć, kiedy był wściekły.

– Niech to szlag, Jules! Ale się cieszę, że cię widzę! Dołączysz do nas, prawda? Jérôme mówił nam o tym wczoraj wieczorem.

Szczeroc promieniuje z jego czarnych oczu w kształcie migdałów. Odkłada ładunek i energicznie mnie ściska, po czym podnosi jeden plecak, a drugi mi podaje.

– Chodźcie, ułożymy wewnątrz nową broń. Widzisz, Jules, mamy dwie zbrojownie, jedną na parterze, no dalej, wchodź. A drugą na ostatnim piętrze, obok tarasu na dachu. Widzisz, co zebrałem w ciągu dwóch tygodni? Nieźle, co?

Dawne mieszkanie dozorczyńi zostało dosłownie zamienione w skład wojskowy: pistolety, karabiny maszynowe, pałki, granaty, karabiny automatyczne...

– Myszkowałem po wszystkich posterunkach, ograbiłem magazyny broni i dotarłem aż do szkoły wojskowej na placu Inwalidów i do fortu Vincennes. Zebrałem superskuteczną kolekcję. Patrz.

– Wow, jesteś nieźle zabezpieczony.

Z bronią zapoznał go ojciec, komisarz policji. Vincent zawsze był specjalistą od broni, kiedy razem graliśmy w Warriors of Time. Wtedy jednak ograniczaliśmy się do broni średniowiecznej: muszkietów, rusznic, sztyletów, szabli...

– To jeszcze nie koniec, potrzeba więcej materiałów, bo kilka band się organizuje i niedługo może tu być gorąco. Gang 16. Dzielnicy z narkomanami pod bronią chce przyłączyć południowy Paryż do swojej strefy. Musimy być czujni.

Ciarki mnie przechodzą, kiedy słyszę o Gang 16. Dzielnicy. Czy Pierre dołączył do nich, tak jak zamierzał? Jérôme wyprowadza mnie ze zbrojowni i ogłasza tonem generała:

– Omówimy to wszystko dziś wieczorem, teraz oprowadzę Jules'a po kamienicy.

Po raz pierwszy od 22 października czuję się bezpieczny. To już niemal miesiąc.

20 listopada, południe

Vincent woli zostać na parterze, w swojej wojskowej kryjówce. My wchodzimy na pierwsze piętro. Dostrzegam paczki z różową trutką na szczury, rozłożone na klatce schodowej. Podobnie jak w mojej kamienicy, na każdym poziomie są tu dwa duże mieszkania.

– Na pierwszym piętrze mamy sypialnie. Wszyscy śpimy na tym samym poziomie, tak jest bezpieczniej i mniej się boimy. Wieczorem często dopada nas porządna chandra...

Przytakuję w milczeniu. A więc nie tylko ja odczuwam przygnębienie w ciemności.

– Dobrze robi świadomość, że pozostali są obok. Dlatego zebraliśmy łóżka ze wszystkich poziomów i przenieśliśmy je do mieszkania na pierwszym piętrze. Chodź, pokażę ci pokój, który przeznaczaliśmy dla ciebie, Alicji i Lego.

A więc już zdecydowali, że zamieszkamy z nimi! Lego, który w końcu pogodził się z losem, przeciąga się na dźwięk swojego imienia. Po chwili jednak stroszy futro na widok dużego, rudego kota, który mruczając, ociera się o nasze nogi. Anakin zawsze był wielkim pieszczochem.

– Chodź tu, grubasku, no, chodź do tatusia...

Jérôme zawsze tak się pieścił, gdy mówił do tego kota, „synka”, jak go nazywał.

Lego, ulepiony z innej gliny niż Anakin, wygina grzbiet w łuk i puszy ogon. Mój dachowiec nie robi więc wrażenia zbyt towarzyskiego. Trudno, będzie musiał się przystosować. Wypuszczam go z klatki, a on wskakuje na łóżko, podczas gdy spokojny rudy kocur przygląda mu się rozbawionym wzrokiem.

W pokoju, który wcześniej musiał być salonem, stare drewniane meble stoją pod ścianami. Są tu też cztery proste łóżka i sofa. Jest miło, czuć zapach dymu z ognia na kominku.

– Podtrzymujemy ogień, żeby było ciepło. W mieszkaniu naprzeciwko złożyliśmy zapasy drewna, zapalek i węgla. Tam też jest nasz salon, z kanapą i fotelami. To miejsce do czytania i rozmów.

Jérôme prowadzi mnie wąskim korytarzem z wyblakłą tapetą i starymi rycinami oraz reprodukcjami o nieokreślonym czasie powstania. Na ścianach widać plamy wilgoci.

– To było mieszkanie małżeństwa emerytów, dekoracje są trochę przestarzałe. A to jest pokój twój i Alicji.

Oglądam niewielki pokój z gzymsami, kominkiem, elegancką toaletką i dużym łóżkiem z baldachimem.

– To chyba był pokój babci.

– Dzięki, będzie nam tu dobrze. Poszukam zabawek i dywanu dla Maleńkiej. Tak, będzie nam tu dobrze, będę nawet palił w kominku, żeby nie było nam zbyt zimno tej zimy.

W końcu nie jestem sam — po czterech długich tygodniach wydaje się to wręcz nierzeczywiste, a nawet trochę magiczne.

– Oczywiście. Chodź, pokażę ci pozostałe części domu. A, kuweta dla kotów jest w łazience.

– Nie widziałem tu szczurów.

– Od początku wykładaliśmy trutki i udało nam się ich pozbyć. Na drugim piętrze mamy jadalnię i zapasy żywności. Przedstawię ci Séverine i Cédrica, naszych kucharzy.

– Są ze sobą?

Nie wiem, dlaczego zadałem to pytanie, zupełnie nie w moim stylu. Skłoniło mnie do tego coś w jego głosie, jakby lekkie drżenie.

– Nie, po prostu się przyjaźnią. Urządzili kuchnię tak wysoko, żeby wykorzystać resztkę

gazu, która została w rurach. Później będą gotowali w kominkach.

Szczupła blondynka o pełnych wargach i turkusowych oczach wysuwa głowę z mieszkania na drugim piętrze. Tu atmosfera jest inna. Warto byłoby zdjąć ze ścian fotki rodzinne, oprawione w ramki. Robi mi się zimno, kiedy pomyślę, że dzieci uśmiechające się do obiektywu już nie żyją. Odwracam się, ogarnięty poczuciem winy.

– Cześć, Séverine, poznaj Jules’a. Dołączył do nas, nazywamy go Szarżującym.

Twarz dziewczyny rozjaśnia tak serdeczny uśmiech, że aż rumienię się jak idiota. Jakby to był odpowiedni moment.

– Ach, tak! Katia mi opowiadała o twoim wyczynie. Przeprowadziłeś szarżę na pitbula. Masz w sobie wrodzoną siłę!

Daje mi całusa jak staremu przyjacielowi.

– Wczoraj zabiliśmy świnię i zasoliliśmy mięso. Będzie się dobrze przechowywać. Trzeba robić to szybko, zanim zwierzęta padną z głodu. Spróbujemy też sprowadzić tu kilka sztuk i hodować je w ogrodzie botanicznym. Nie bardzo wiemy, jak się nimi opiekować, ale Isa, nasza Bibliotekarka, obiecała nam załatwić książkę o hodowli inwentarza z serii „dla żółtodziobów”.

Wybucha śmiechem, a ja oniemiały kiwam głową. Spojrzenie Séverine jest promienne, Jérôme posyła jej błądy uśmiech kątem ust.

– Dobry pomysł, powiedzcie mi, jak będziecie szli po świnię. Pójdę z wami, sami sobie nie poradzicie. Cédric właśnie gotuje, więc jeśli chcesz go poznać, musisz wejść do kuchni.

Kucharz siedzi w kucki przed kuchenką. Witam się z nim, a on ochoczo się prostuje. Jest łysy i bardzo wysoki. Wydaje się bardzo chudy, bo nosi czarne obcisłe spodnie biodrówki, jeszcze niedawno bardzo modne.

– Cześć, jestem Cédric. Nazywają mnie tu Kucharzem. Od zawsze przepadałem za pichcieniem i sam zobaczysz, że całkiem dobrze sobie radzę.

– A, to dobrze, dzięki, super, więc... Wkrótce się przekonam.

Jego oczy skrzę się rozbawieniem.

– Nieśmiały jesteś czy co? A przecież kawał z ciebie chłopca, chciałoby się powiedzieć: urodzony gracz w rugby.

Jérôme pojawia się między nami.

– To prawda, grał trochę ze mną i Vincentem! Jules, idziemy dalej?! Czas nagli!

Wychodzimy. Mój przewodnik pokazuje mi mieszkanie naprzeciwko kuchni.

– Tam jest nasza spiżarnia i tu cię przydzielę. Jesteś silny jak lew, będziesz zaopatrywał nas w konserwy. Zaczнеш od jutra. Będziesz chodził do supermarketów, w których jeszcze nas nie było.

Moje milczenie oznacza „tak”. Jérôme mnie zna, wie, że doskonale nadaję się do tego typu zadań.

– Na trzecim piętrze jest mieszkanie przeznaczone na aptekę i magazyn lekarstw, a także izba chorych i izolatka. To jest królestwo Maï, naszej Aptekarki, poznałeś ją już. A z drugiej strony mamy bibliotekę, Katia i Isa zaczęły już zapelniać półki, które tam wstawiliśmy. Isa wszystkie książki układa według tematów, powinniśmy mieć możliwie najwięcej źródeł na wszelkie tematy...

Otwieram drzwi do izby chorych. Muszę wiedzieć, czy Alicja czuje się lepiej. Maïa ustawia w szafce butelki z lekarstwami.

– Mała śpi, wszystko będzie dobrze, możesz być spokojny. Będę przy niej czuwać tej nocy.

– Mogę ją zobaczyć?

Aptekarka bawi się brązowym kosmykiem włosów, pociera skronie, a gdy się uśmiecha, widać dwa dołeczki w jej policzkach.

– Jeśli chcesz, chodź za mną.

Prowadzi mnie przez niekończący się korytarz o białych ścianach, pozbawionych wszelkich śladów wcześniejszego życia. Tak wolę, dzięki temu czuję się mniej skrępowany. Na końcu korytarza, niedaleko łazienki, otwiera drzwi i wprowadza mnie do środka.

Małeńka leży z głową na błękitnej poduszce. Wydaje się całkowicie odprężona. Jest blada i zaskakuje mnie czerń jej cieni pod oczami, ale śpi głęboko i oddycha spokojnie. Wydaje westchnienie ulgi, a Mała krótko ściska mój nadgarstek.

– Lepiej?– pyta szeptem i rzuca filuterne spojrzenie.

W pokoju obok Katia leży na łóżku.

– Ona też odpoczywa. Choć tego nie pokazuje, atak psów był dla niej traumatycznym doświadczeniem. Założyłam jej szwy na ranę, mam nadzieję, że blizna nie będzie zbyt widoczna... – mówi cicho Mała.

Odprowadza mnie do drzwi.

– Możesz na mnie liczyć, postawię twoją siostrzyczkę na nogi, dzięki mamie mam sporą wiedzę medyczną.

Ostatnie słowa wypowiada słabszym głosem. Kurczowe trzymanie się funkcji pewnie sprawia, że nadal czuje więź ze swoją matką.

– Muszę wyprać ubrania Alicji, dopóki śpi. Nie będzie chciała nosić niczego innego – wyjaśniam.

Rozbawienie, a może rozczulenie, które dostrzegam w jej ciemnych oczach, bardzo mnie porusza.

– OK, rozumiem. Mogę się tym zająć, jeśli chcesz.

Chętnie zostałbym z Małeńką i jej opiekunką, ale w salonie czeka na mnie Jérôme z dwiema puszkami coli.

– Napijemy się na tarasie?

Z dachu rozciąga się widok na Paryż. Panorama ze wszystkich stron jest nadzwyczajna: od wschodu – widok na Panteon, od północy – na Montmartre, od południa widać tereny aż po szpital Kremlin-Bicêtre... Od zachodu – wieżowce dzielnicy finansowej, siedziba Javel, wieża Eiffla, a w oddali drapacze chmur dzielnicy Défense... Siadam obok przyjaciela.

– Wow, co za genialny widok!

– To ma też znaczenie praktyczne, w razie ataku mamy doskonały punkt obserwacyjny. Zwłaszcza z lornetką...

Dźwięk otwieranej puszkii i syk coli działają na mnie ożywczo. Piję z rozkoszą, czekając na to, co powie Jérôme. Zawsze był bardziej gadatliwy ode mnie.

– Wiesz, wszyscy mamy tu przezwiska, Katia to Sadowniczka, ja – jak zdecydowano – Lider. To trochę śmieszne, nie?

– Pasuje do ciebie, nie martw się.

– Vincent to Żołnierz, Mała – Aptekarka, Séverine i Cédric – Kucharze... Isa jest naszą Bibliotekarką, dzisiaj poszła na misję zewnętrzną.

– Można dorzucić jeszcze dwoje – Alicja to Małeńka, a mój kot – Lego.

– No i ty jesteś Szarżujący.

Zawiedziony wrzuszam ramionami. Cóż, będę się musiał przyzwyczaić do tego Szarżującego. Żegnaj, Czyścicielu. W głosie Jérôme'a pojawia się wrzuszenie.

– Cieszę się, że jesteś z nami. To wszystko, co się wydarzyło w ostatnim czasie, wydaje się takie nierealne. Jesteśmy tu razem, robimy, co możemy, żeby przeżyć, i czasem zadaję sobie

pytanie: „Po co to wszystko?”. Ale potem spotykam kumpla, jesteśmy razem i wiesz, to pomaga mi się nie załamywać. Wszystko wtedy wydaje mi się mniej absurdałne. A przynajmniej trochę mniej.

– Jesteś silny, Jérôme – mówię szczerze.

– Jesteśmy silni, bo jesteśmy razem. A ty staniesz się jednym z naszych najlepszych bojowników, nie mam co do tego wątpliwości.

– Ja... wiesz przecież, że nie za bardzo lubię się bić.

– Wiem. Zawsze ci mówiłem, że w głębi duszy jesteś młynarzem. Nie szukasz zaczepki, ale nie warto z tobą zaczynać, bo możesz nieźle wtłuc.

Uśmiecham się, ta historia z pozycją podczas gry w rugby nawiązuje do naszej odległej przeszłości. Jérôme szybko biega i grał na tyłach. Razem z Vincentem przekonali mnie, żebym przyłączył się do ich drużyny: „Będziesz świetny na przedzie, masz odpowiednią masę!”. Tyle że mnie nie bawiło obrywanie na boisku.

– Jak przyjąłeś to wszystko, Jules? Twój brat przeżył?

– W każdym razie nie zaraził się wirusem. Mnie też wszystko wydaje się nierealne. No i jest jeszcze Maleńka. Liczy na mnie i mnie na niej zależy – to dziwne. Wiesz, kiedy ją znalazłem, byłem całkiem rozbity, właśnie wróciłem z Milly i...

Niektóre słowa są zbyt ostateczne, zbyt trudne do wypowiedzenia. Spuszczam oczy.

– Pojechałeś do dziadków, tak?

Jérôme odwiedził ich ze mną kilka razy podczas przerwy wielkanocnej. Kilkakrotnie przytakuję głową jak automat, nie jestem w stanie powstrzymać tego ruchu. Kiwam się w przód i w tył – mam wrażenie, że jestem na statku. Jérôme nic nie mówi, czeka, aż minie ten atak rozpacz. Biorę duży haust powietrza. Na tarasie smród śmierci wydaje mi się mniej intensywny, nie wdziera się do gardła.

– Kiedy zobaczyłem Maleńką z plecakiem ozdobionym rysunkiem Dory Małej Podróżniczki, poczułem coś wyjątkowego. Jakby przyплыw życia. Sam nie wiem, nie umiem tego wyjaśnić, nie jestem zbyt dobry w psychologii...

– Myślę, że rozumiem, nie przejmuj się. Nie musisz mi nic wyjaśniać.

Kiwam głową w ciszy.

– Twoją misją, Jules, jest uratowanie Alicji.

Czuję, że gardło ściska mi się ze wzruszenia. Nie jestem w stanie powiedzieć tego, co chcę. Próbuję kilkakrotnie, aż wreszcie mówię niewyraźnie:

– A ty skąd bierzesz siłę, żeby przeżyć? Jak to robisz, że wydajesz się taki silny?

Wszystkich wokół siebie gromadzisz...

– Powiem ci coś, TO właśnie pozwala mi się trzymać. Kiedy zmarła moja młodsza siostra, myślałem, że zwariuję. Siłę daje mi to, co powiedziała mama. Kazała mi popatrzeć sobie w oczy. Widziałem w nich miłość. Niemal nie mogła już mówić, była bardzo chora. Mamrotała cicho – nie poznawałem nawet jej głosu. Został z niej tylko cień. Powiedziała mi: „Będziesz musiał się zmienić, żeby dalej żyć, będziesz musiał się przystosować. Obiecuj mi, że nie zadowolisz się samym przeżyciem – kochanie – lecz będziesz żył”.

Jérôme garbi się nagle, ramiona zaczynają mu drżeć.

– Ona... Ona tak bardzo cierpiała, miała krwawe poty, sam wiesz, też widziałeś umierających i martwych, wiesz, jak tracili całą krew... Umierała w moich ramionach.

Opowiada mi to chrapliwym, głuchym głosem. Nie poznaję go, jakby nagle się postarzał. Ma tak ciężki głos, że wydaje się, jakby przeżył już tysiąc lat. Nie żartuję, tysiąc lat.

– Odeszła, a ja obiecałem jej, że będę żył.

Ja nie widziałem śmierci moich rodziców. Poczułem, że gardło jeszcze mocniej mi się

ściska. Tym razem nie zdołałem odpowiedzieć przyjacielowi. Jérôme nagle wstaje.

– Jules, patrz, w Małym Luksemburgu jest jakaś grupa. Są uzbrojeni. Czego od nas chcą?

Wyciąga krótkofalówkę.

– Vincent, odbiór.

– Odbiór, pięć na pięć.

– Zbliżają się nieproszeni goście, uzbrojeni, uprzedź pozostałych, wejdź na dach... I weź broń.

20 listopada, wczesne popołudnie

Vincent wpada na taras, stawia dwa karabiny automatyczne i wrywa mi lornetkę z rąk.

– To Gang 16. Dzielnicy! Ich dowódcą jest ten niski, żylasty blondyn z karabinem.

– Ilu ich jest?

– Ze trzydziestu.

– Dużo – stwierdza Jérôme z niepokojem. – Naszą szansą jest to, że u nich jest sporo ćpunów. I nie wiedzą, że jesteśmy uzbrojeni. Efekt zaskoczenia zadziała na naszą korzyść, musimy uwijać się szybko.

Nie rozumiem, po co tu przyszyli.

– Czego oni chcą?

– Wzmocnić swoje panowanie nad Paryżem. Gdy tylko dowiadują się, że organizuje się jakaś niezależna grupa, przeprowadzają atak, zajmują miejsce i ogłaszają się władcami terytorium.

– Robili to już wcześniej.

– Opanowali zachodnią część miasta i zaczęli rozszerzać swoje wpływy na południe.

Mają przyczółki w 13., 14. i 15. dzielnicy. Po raz pierwszy weszli do centrum, dotychczas trzymali się bardziej peryferyjnych dzielnic.

Jérôme podaje mi lornetkę.

– Trzeba, żeby Szarżujący też zobaczył dowódcę i obu zastępców. W nich należy celować, żeby doprowadzić do dezorganizacji tej bandy ćpunów.

Gang zbliża się beładnie. Jeden chłopak idzie przodem i wyraźnie jest bardziej zdeterminowany od pozostałych – to ten blondyn, o którym mówił Vincent, ich przywódca. Odwraca się i daje sygnał, żeby inni się pospieszyli. Są modnie ubrani, jakby pochodzili z dobrych dzielnic: markowe ubrania, jeansy biodrówki, adidas, skórzane kurtki. A między nimi natychmiast rozpoznaję mojego brata.

– Eee, Jules, co się dzieje, ducha zobaczyłeś?

Potrząsam głową, nie jestem w stanie wymówić słowa. Czy mam ich uprzedzić o tym, że Pierre należy do gangu?

– Zobaczył swojego brata, też go zauważyłem – uprzedza mnie Żołnierz.

Ma sokoli wzrok i wrodzony zmysł obserwacji taktycznej: ocenić spójność grupy, dostrzec słabości, zlokalizować dowódców.

– Cholera! – klnie Jérôme.

– Pozwólcie mi zająć się bratem, OK?

– Postaramy się, ale nie mogę niczego obiecać. Naszym celem jest jak najszybsze ich zniechęcenie i zmuszenie do odwrotu – odpowiada natychmiast Jérôme.

Po sposobie, w jaki mówi, uświadamiam sobie, że dla nich to jest wojna, nie są już na szkolnym podwórku ani w Ukraïn. Vincent bez chwili zwłoki przydziela każdemu zadania.

– Maïa i Katia będą ich trzymać na odległość, strzelając z okien trzeciego piętra. Séverine z drugiego piętra. Jules, ty zejdziesz z Cédrikiem i weźmiecie pistolety znajdujące się na pierwszej półce w zbrojowni na parterze. Rozdacie broń pozostałym. Później zejdzicie ponownie, żeby uniemożliwić im zdobycie kamienicy, jeśli dotrą do drzwi. Musicie pamiętać, że w pobliżu wejścia będą mogli schronić się pod markizą. Jérôme i ja postaramy się nie dopuścić do tego, żeby podeszli pod drzwi. Będziemy do nich strzelać z dachu.

OK, Spider Snake zastosuje się do strategii zaproponowanej przez ObiTwo, awatara Vincenta. Przechodzę w tryb działania.

– Uważaj, spust jest wrażliwy, nie uruchamiaj iglicy.

Schodzimy na parter, zabieramy broń. Po powrocie podaję pistolet Maï.

– Strzelaj do tych, którzy się odsłonią i będą próbowali wejść do kamienicy.

Bierze pistolet i kiwa głową bez słowa. Spotykam jej spojrzenie, wyczytuję w nim strach i zdecydowanie.

– Katia ma się lepiej? – pytam.

– Tak, da radę nas zabezpieczać, daj mi pistolet dla niej. Będzie strzelała z mieszkania obok, żeby myśleli, że jest nas więcej.

– Uważajcie, jeśli was dostrzegą, nie zawahają się do was celować.

– Połóżmy się na balkonie, tam są duże donice, za którymi można się ukryć.

Przewidzieliśmy z Vincentem, że nas zaatakują.

Nie mogę zdecydować się na to, żeby ją zostawić. Zachęca mnie do tego, zaciskając dłoń na moim ramieniu.

– Odeprzemy ich. A teraz idź już.

Mrużę oczy. Sprawiała, że wyszedłem z roli Spider Snake'a, muszę szybko powrócić w tryb działania. Kierunek: jadalnia, broń, zwięzłe rozkazy.

– Cédric, schodzisz ze mną. Umiesz strzelać?

Wzrusza ramionami bez przekonania. Nie umie posługiwać się pistoletem, normalna rzecz. Ja też nie umiem. Nagle rozlegają się strzały. Oblężenie się rozpoczęło. Serie z karabinów maszynowych, trzy na trzy. Vincent i Jérôme odpowiadają z góry. Krzyki.

Na parterze Cédric zajmuje miejsce w przestrzeni pod schodami. Jest osłonięty, a jednocześnie ma dobrą pozycję do strzelania. Ja stoję naprzeciw klatki schodowej, przy mieszkaniu dozorczyńi. Ochrania mnie murowana ściana, oddalona cztery metry od bramy broniącej wstępu do naszej kamienicy. W razie wtargnięcia będę miał czas, żeby wycelować w tych, którzy będą próbowali wejść, a zarazem zapewnię sobie osłonę.

Nagle dochodzi do tak potwornie silnego wybuchu, że ka-wałki drewna dolatują aż do mojej kryjówki. Dym mnie oślepia. Granat, cholera, rzucili granatem! Przyjmuję pozycję strzelecką, celuję w stronę drzwi i naciskam spust. Chowam się i strzelam na oślep, żeby zniechęcić ich do wejścia. Cédric też otwiera ogień. Pada jakieś ciało. Po raz drugi wychodzę z kryjówki i celuję w dwóch wrogów, którzy weszli do przedsionka.

– Kryj się, Jules!

Przywieram do muru. To Vincent! Zbiega ze schodów, strzelając bez przerwy z karabinu maszynowego. Kątem oka widzę, że dwóch wrogów pada na ziemię, a trzeci znajduje się na linii strzału. Vincent jest teraz obok mnie.

– Nie wejdą. Zabiliśmy ich już z dziesięciu. Jérôme dalej strzela do nich z dachu. Drzewa nie zapewniają im odpowiedniej osłony.

W tej chwili wybuchają dwie petardy, dwóch chłopaków staje na progu. Cédric strzela. Vincent też. Jeden z napastników rzuca grant. Kulę się, żeby nie dostać odłamkiem drewna albo szkła niesionego siłą wybuchu. Nie puszcza pistoletu. Vincent krzyczy. Twarz wykrzywia mu grymas bólu.

– Dostałem odłamkiem w udo! – szepcze i przywiera do ściany. – Weź mój karabin, jest przeładowany. Strzelaj długimi seriami, ma daleki zasięg, jest lepszy od twojego pistoletu.

Biorę broń, nie spodziewając się tego, co odkryję. Jeszcze jeden napastnik, który umknął obrońcom, przymierza się do wejścia. Przez dym dostrzegam jego oświetloną od tyłu sylwetkę. Wskakuję i otwieram ogień. On robi unik. Jak na ćpuna ma dobry refleks. Wracam do kryjówki, czekam, aż znów będzie próbował wejść do budynku. Dym jest teraz mniej gęsty. Chłopak jak oszalały naciska spust pistoletu, byle tylko uniemożliwić nam odpowiedź.

Nie wiem, co robić. Odwracam się do Żołnierza siedzącego pod ścianą. Zakłada sobie opaskę uciskową na mocno krwawiącą nogę. Jego krótkofalówka brzęczy, to głos Jérôme'a: „Wycofuj się”. Nad głową słyszę strzały. Nie mam czasu, wróg już tu jest. Brakuje mi doświadczenia prawdziwego wojownika. Podnoszę wzrok: to Pierre. On też wydaje się zaskoczony. Przygotowuję się do zabicia własnego brata. Co za cholerne życie. Nagle Pierre zwała się u moich stóp. Cédric staje przede mną. Zadał mu porządny cios w głowę kolbą pistoletu. Mój brat leży na ziemi. Jest nieprzytomny.

– Dziękuję – mówię pod nosem.

– Nikt więcej nie próbował wejść, podszedłem więc niepostrzeżenie i bum, porządnie zdzieliłem go w łeb.

– Dzięki, że go nie zabiłeś.

– Zawsze dobrze mieć więźnia, co nie?

– To mój brat.

Cédrica na chwilę zamurówuje.

– Twój brat? Niech to szlag trafi.

Vincent próbuje wstać.

– Dobrze rozegrane, zmusiliśmy ich do ucieczki. Wygraliśmy tym razem, ale trzeba będzie lepiej zorganizować obronę. Idę do izby chorych poprosić Maïę, żeby się mną zajęła. Możecie zanieść więźnia do Jérôme'a?

Żołnierz jest jednak zbyt ciężko ranny, żeby samodzielnie wejść na czwarte piętro. Nie może opierać się na prawej nodze. Rezygnuje po kilku stopniach, twarz ma pokrytą potem, ściągniętą bólem. Pierre nadal jest nieprzytomny. Biorę go za nogi, a Cédric za ręce. Niezdarnie niesiemy go do mieszkania na czwartym piętrze, gdzie Jérôme i Séverine zajmują się ponownym ładowaniem broni.

– Zanieście go do pokoju w głębi – to jest cela – i zamknijcie drzwi na klucz. Poczekam, aż odzyska przytomność. Wtedy z nim pomówię – rozkazuje Lider.

Dopiero kiedy przechodzimy obok, rozpoznaje Pierre'a. Na jego twarzy maluje się zdumienie. Po chwili odzyskuje panowanie nad sobą i wraca do normalnych zajęć.

– Gdzie jest Vincent?

Jego neutralny głos dociera aż na korytarz, gdzie z trudem posuwamy się naprzód, obciążeni bezwładnym ciałem mojego brata.

– Dostał odłamkiem w udo, zaraz zaprowadzę go do izby chorych – mówię.

– Dobrze, później go odwiedzę. Muszę najpierw ponownie naładować broń na wypadek kolejnego niespodziewanego ataku. A później przesłuchać twojego bra... więźnia.

Jego spokój mnie zaskakuje. Odkrywam nową, zupełnie mi wcześniej nieznaną twarz przyjaciela. Na szczęście, kiedy przechodzę obok bardzo zakłopotany, robi w moją stronę dyskretny ruch głową i pocieszająco się uśmiecha.

Czym prędzej idę do Vincenta, który nie ruszył się z miejsca. Obok siedzi zdenerwowana Katia. Vincent wskazuje mi swój karabin. – Zajmij się nim – mówi cicho, głosem równie bezbarwnym jak jego pobladła twarz. Biorę broń i pomagamy mu wejść po schodach. Gdy zostawimy już Vincenta w dobrych rękach, skorzystam z okazji, żeby dowiedzieć się, co u Alicji. Drzwi na trzecim piętrze są lekko uchylone, pcham je ramieniem i potykam się o bezwładne ciało Aptekarki. – Maïa!? CO oni ci zrobili? Cholera, co tu się stało? Dziewczyna jęczy. Żyje. Vincent kuśtyka w stronę kanapy, na którą się osuwa. Przenosimy z Katią Aptekarkę i układamy ją obok niego. Nagle serce mi drży. A Alicja? Czy ktoś ją porwał podczas oblężenia? Alicja! Biegnę do pokoju na końcu korytarza. Drzwi są otwarte. Łóżko puste. Niebieska pościel zmięta.

Alicji nigdzie nie ma.

Dwa

20 listopada, popołudnie

Kto zabrał Alicję? Dlaczego właśnie ją? Siadam na jej łóżku. Butek, miś, lalka Dora i plecak – tu został cały jej mały świat. Nigdy z własnej woli nie wyszłyby bez tych rzeczy.

Okno jest otwarte, wychylam się na zewnątrz. Widzę sznur! Porywacz wdrapał się po ścianie i wykorzystał obłężenie, żeby działać na własną rękę. To jest narożna kamienica. Podczas gdy my toczyliśmy zaciętą walkę, on po występach balkonowych i chropowatej ścianie, z pomocą sznura wspiął się do okna. Dobrze, że schodząc, nie upuścił Alicji. Musi być niesłychanie dobry we wspinaczce i bardzo silny. Obchodzi budynek w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów. Wyprany strój Dory, jeszcze wilgotny, nadal suszy się w łazience. Maleńka ma więc na sobie tylko piżamę. Będzie jej zimno.

Ale kto mógł ją zabrać?

Przerażenie ścina mi krew w żyłach. Mam złe przeczucia. Pierre... Mój brat może coś wiedzieć.

Wracam do salonu, widzę, że Maïa odzyskała przytomność, a co więcej, jest w trakcie opatrywania Vincenta.

– Opaska uciskowa, którą założyłeś, była skuteczna – zapewnia go spokojnym głosem. – Naliczyłam najwyżej dziesięć odłamków, ale nie wbiły się głęboko. Odwagi, wyjmę je, zaciśnij mocno zęby.

Siedząca obok Katia przygląda się Żołnierzowi z niepokojem. Opuszczam ich bez słowa i pędzę do celi na czwartym piętrze. Pierre siedzi tam przywiązany do krzesła. Podnosi na mnie nieprzytomne oczy. Jest naćpany. Jérôme siedzi naprzeciwko niego.

– Jules, wszystko dobrze?

Kręcę głową. Staję przed bratem. Wlepia we mnie pozbawione wyrazu oczy. Dostrzegam błysk w jego źrenicy – to ból, a może smutek. A może oznaka szaleństwa. Albo to, co słyszę w jego głosie, który wydaje się dziwnie rozwodniony, kiedy Pierre jest na hajku.

– Pierre, musisz mi powiedzieć, skąd gang wiedział, gdzie jest nasza kamienica. Powiedz mi, proszę, czy ktoś przekazał wam tę informację?

Więzień wzrusza ramionami.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Żeby uratować Maleńką.

Jérôme podrywa głowę. Dopiero teraz poznaje powód mojego wzburzenia.

– Maleńką? – powtarza brat.

– Nieważne, powiedz tylko, czy ktoś przekazywał wam informacje?!

Przygaszone dotychczas oczy zaczynają mu błyszczeć.

– Czy ktoś z twojej bandy może załatwić mi metadon albo leki kodeinowe, jeśli powiem ci, skąd mieliśmy informację? – mówi z trudem, rżącym głosem.

A więc w tak krótkim czasie przerzucił się na twarde narkotyki? Myślałem, że pali tylko zioło. A może źle oceniłem powagę jego uzależnienia? Ma zmieniony głos, bardziej rozstrojony niż zwykle. Na widok mojej bezsilnej złości Jérôme wtrąca się do rozmowy.

– OK, stary, załatwimy ci działkę na podtrzymanie ducha. Tylko powiedz bratu, kto wyjawiał wam miejsce naszej kryjówki.

– Taki jeden świr, historyk...

Nie czekam, aż skończy, nie muszę już nic więcej wiedzieć, cały przebieg wydarzeń staje się dla mnie zupełnie jasny. Już wiem, kto porwał małą, i nie mam chwili do stracenia. Wiem, gdzie jest i co ją czeka.

To potworne. Los zgotowany Maleńkiej jest bardziej niż potworny.

Gnam w dół po schodach, o mało się nie przewracam, przeskakując po trzy stopnie. Wskakuję na jeden z rowerów stojących obok śmietnika i ruszam pędem w kierunku bulwaru św. Michała.

W ciągu niecałych pięciu minut docieram do mostu św. Michała. Kryjówka szalonego Apacza i czarny dym unoszący się nad nadbrzeżem Sekwany napawają mnie grozą. Zostawiam rower na kamiennych schodach prowadzących nad brzeg rzeki i pędzę dalej. Dostrzegam ogień, a w środku ciało! Alicja! Nie, nie! Rzucam się w stronę ogniska. Może istnieje jeszcze szansa, żeby ją uratować. Jednak... ten trup jest za duży, by mogła to być Alicja. Czarny strój, twarz, która jeszcze nie zdążyła całkowicie się zwęglić – to ten wariat. Zdejmuję kurtkę i gaszę płomienie, przyciskając dłonie do materiału. Chłopak nie żyje, lecz nie z powodu ognia. Nie, krwawi z szyi, ktoś strzelił mu w kark. Gdzie jest Alicja? Krążę wokół ogniska, wycieram pot, który kapie mi z czoła mimo chłodu. Nagle słyszę wołanie:

– Diego! Diego! Diego!

To ona, to moja Maleńka! To jej słaby, wyjątkowy głosik, którego nie da się pomylić z żadnym innym. Diego to ja, dla niej jestem przecież kuzynem Dory. Odwracam się w stronę miejsca, z którego dochodzi wołanie. Alicja macha do mnie z mostu św. Michała. Trzyma ją w ramionach nastoletni, wysoki chłopak. Obok stoi szczupła dziewczyna z burzą rudych włosów. Na migi pokazuję im, żeby na mnie zaczekali. Dziewczyna kiwa głową. Zrozumiała, o co mi chodzi.

Na miękkich nogach idę po schodach w ich stronę.

Ogromny chłopak ma na sobie tylko sweter z kapturem, otulił Alicję własną ciemną kurtką. Na mój widok dziewczynka wyciąga ręce i wychyla się w moją stronę, ale opiekun mocno ją trzyma. Mała ma nadal policzki różowe od gorączki, a włosy przyлизane od potu. Alicja.

– Diego, Diego, Diego – powtarza szeptem jeszcze trzy razy, a potem wreszcie przytula się do mnie.

Mocno ją obejmuję.

– Już w porządku, wszystko będzie dobrze, znalazłem cię.

Zupełnie tracę głowę ze wzruszenia, nie wiem, jak wyrazić wdzięczność jej wybawicielom. Wysoki chłopak ma bardzo szczególne spojrzenie, trochę puste, trochę nieobecne, jakby nie rozumiał sensu tego, co widzi, albo nie chciał już rozumieć. Ruda dziewczyna ma piękne orzechowe oczy, szczerze i bezpośrednio. Zauważam, że cała jest pokryta piegami.

To ona pierwsza się odzywa:

– To twoja siostra?

Potwierdzam ruchem głowy. Jej suchy ton sprawia, że czuję się zakłopotany.

– Jak wytłumaczysz, że trafiła w ręce tego świra, który chciał ją spalić?

– To jakiś szalony Indianin. Porwał ją, kiedy...

Nie pozwala mi dokończyć.

– To twoja siostra. Nie powinieneś nigdy zostawiać jej samej. Źle jej pilnowałeś. Poza tym jest cała rozpalona. Czemu nie zadbałeś o jej leczenie?

Ocenia mnie, a w dodatku przybiera władczy ton. Trochę mnie irytuje, że nie stara się dowiedzieć, co się wydarzyło. No ale trudno, nie mogę zapominać, że Maleńka zawdzięcza jej życie.

– Dziękuję wam obojgu za uratowanie Alicji.

– Nie ma za co. No to cześć.

Wyciągam rękę do dziewczyny, ale ona już odwraca się i odchodzi. Nie wiem nawet, jak się nazywają. No i powinienem oddać im anorak, którym opatulili Alicję. Wołam:

– Hej, ty! Zaczekaj. Nie chcesz odzyskać swojej kurtki? Mogę dać małej własną.

Chłopak nic nie mówi. Nie wiem, czy mnie słyszy. Znow dziewczyna odpowiada za niego:

– Nie trzeba, zatrzymaj ją. On ma inną kurtkę, a mała bardziej jej potrzebuje.

Trochę zawiedziony zwracam się ku fontannie św. Michała.

Nagle Małeńka odzywa się krystalicznym głosem:

– Byczek Benek, byczek Benek, byczek Benek.

Byczek Benek? O czym ona mówi? Zatrzymuję się i oglądam za siebie. Chłopak w niebieskim swetrze stoi bez ruchu na moście i przygląda się Alicji z miłością swoimi dziwnymi oczami, które przyprowadzają mnie o głębię skórkę. Długowłosa dziewczyna jest już na końcu mostu, kiedy orientuje się, że przyjaciela nie ma obok niej. Kręci głową z oburzeniem, zwraca i ciągnie go za rękaw.

Unoszę brwi ze zdumienia. Cóż za dziwaczna para.

– Kto to jest byczek Benek? To ten silny chłopak, który cię niósł? – pytam małą.

Potwierdza, a oczy zachodzą jej łzami. I pomyśleć, że już za nim tęskni.

Chciałbym znaleźć słowa, które pomogłyby jej pokonać wspomnienia o strasznych przeżyciach.

– Zawsze będę się tobą opiekował. A wariat już więcej nie wróci – szepczę.

Oboje nie jesteśmy najlepsi, jeśli chodzi o słowa. Mała przytula się do mnie, a ja mam nadzieję, że udało mi się ją uspokoić. Idę bulwarem z Alicją wtulającą twarz w moją szyję. Boże, ależ się wystraszyłem, że ją stracę. Ulżyło mi, gdy ją odnalazłem, i teraz w moich myślach pojawiają się różne obrazy – właśnie te, których wolałbym uniknąć. Przypominam sobie oczekiwanie: tak długo wyglądałem powrotu rodziców i brata, że sam nie wiem, kiedy straciłem nadzieję na to, że ich zobaczę. Czy straciłem ich na zawsze?

Zaczynam być zmęczony. Dziecko ciąży mi w ramionach. Na ulicach jest teraz mniej trupów, żołnierze wiele zebrali. Robię się coraz bardziej niespokojny, przypominam sobie swoje przerażenie na widok pierwszych zmarłych, których widziałem z piątego piętra mojej kamienicy. Pracowały jeszcze silniki stojących samochodów, ale nie było już żadnego paryżanina, który zacząłby wykrzykiwać coś z oburzeniem. Teraz przyzwyczałem się do braku ludzkich głosów i wrzasku ptaków. Czy można przyzwycząć się do wszystkiego?

20 listopada, wieczór

Noc już zapada, kiedy kładę Maleńką do łóżka. Maia roznieciła ogień w kominku i zapaliła świece w izbie chorych. Podała dziewczynce syrop i antybiotyk. Alicja połknęła lekarstwa bez sprzeciwu. Teraz przeciera oczy drobnymi piąstkami. Kiedy jednak Maia próbuje zabrać puchówkę jej wybawiciela, nie zgadza się i robi swoją upartą minę.

– Byczek Benek, byczek Benek, byczek Benek – zaczyna powtarzać.

Aptekarka nie nalega, czule opatula dziecko, gładzi je po włosach, a później pyta najbardziej naturalnym tonem na świecie:

– Spotkaliście byczka Benka?

– Na moście św. Michała natknęliśmy się na dziewczynę i dziwnego chłopka. To oni uratowali Alicję.

– Jaki wyglądał ten chłopak?

– Wysoki, masywny, silny, potężny.

– A jak był ubrany?

Zadaje pytania w taki sposób, jakby znała odpowiedzi, ale chciała zdobyć dodatkowe dowody.

– Miał niebieski sweter.

Moja odpowiedź chyba ją zadowala, bo kiwa głową ze zro-zumieniem. Wybiera jedną z książek leżących na stoliku nocnym obok świecy, zatytułowaną *Dora Mała Podróżniczka*.

– Kiedyś byłam fanką Dory, więc natychmiast rozpoznałam kolory jej stroju i postacie na plecaku. Miałam dużo książek o Dorze, kilka zabrałam ze sobą...

Czyta Alicji opowieść i nagle zaczynam wszystko rozumieć. W jednym z rozdziałów pojawia się niebieski byczek. Ma na imię Benek i źle znosi to, że został zamieniony w ziemniak. Jego przyjaciele, Dora i małpka Butek, przewożą go na taczce. Maleńka nazwała więc Benkiem tego, kto uratował ją z łap szalonego Apacza.

Myślałam, że zasnęła, ale ona chwyta moją dłoń i nie chce jej puścić. Wszyscy troje siedzimy w jednym pokoju: Maia opowiada o niebieskim byczku, Alicja walczy ze snem, a ja błogosławię Dorę Małą Podróżniczkę, dzięki której możemy przeżywać tę chwilę. Mam ochotę zasnąć obok Maleńkiej, ukołysany cichym głosem Aptekarki. Czuję, że rączka dziecka puszcza moją dłoń. Mała zasnęła. Maia przykłada palec do ust.

– Ciii, nie budźmy jej, ma lekki sen – mówi szeptem.

Na palcach wychodzimy z pokoju, oświetlając sobie drogę świecami.

– Wszyscy są w jadalni, chodźmy na kolację.

– Zostawimy Alicję samą w ciemności?

– Wrócę do niej po kolacji, będę spała obok. Płomienie z kominka trochę oświetlają pokój, gdyby się obudziła.

– Jak się ma Vincent?

– W porządku, udało mi się usunąć wszystkie odłamki, zdezynfekowałam rany, opatrzyłam. Obawiałam się, że jakiś odłamek przetnie tętnicę i dojdzie do krwotoku wewnętrznego, ale tak się nie stało. Miał szczęście, nie została uszkodzona żadna kość ani żyła. Kilka dni będzie się źle czuł, ale ból szybko minie.

– Jest w izbie chorych?

– Chyba żartujesz! Jest ze wszystkimi w jadalni!

Na nasz widok robi się zamieszanie.

– Jules, coś nie tak? Jesteś blady jak duch.

– Daj mu szklankę wina, dobrze mu zrobi. Czerwone wino przywróci kolory Szarżującemu!

Vincent zawsze wierzył, że żartem można rozładować trudną sytuację. Mnie jego żart nie śmieszy. Muszę wziąć się w garść, opanować komiczne drżenie nóg. Jérôme przychodzi mi z odsieczą.

– Hej, przyjacielu, co się stało? Napięcie opadło, o to chodzi?

Maia przygląda mi się z uwagą, jakby próbowała czytać w mojej duszy. Patrzę jej głęboko w oczy. Och, gdyby czas mógł się zatrzymać. Maia ma oczy jak marzenie.

– Nie czujesz się gotowy, żeby zjeść z nami kolację, prawda? – pyta szeptem.

Chciałbym jej odpowiedzieć, ale jakaś tajemnicza siła nie pozwala mi przekształcić myśli w słowa. Czy Alicja żyje z takim właśnie ciężarem, który powstrzymuje słowa, zamyka je w środku?

– To za bardzo przypomina kolację z poprzedniego życia... – Głos Aptekarki załamuje się i staje ledwie słyszalny. – A jednak nic nie jest tak jak kiedyś i...

Dwoma krótkimi uściskami ręki wyrażam jej wdzięczność za to, że umiała ubrać w słowa to, co dla mnie było nie do wypowiedzenia. Odrywam się od jej oczu i puszczam rękę, żeby podejść do kominka. Być może ogień będzie dla mnie pocieszeniem.

– Zaczynamy jeść bez ciebie, Szarżujący. My, żołnierze, jesteśmy głodni.

Poruszające się płomienie mnie hipnotyzują. Gdyby tylko ciepło potrafiło stopić barierę oddzielającą myśli od słów... Oddycham trochę spokojniej. Dochodzą do mnie urywki rozmowy.

– Spuściliśmy niezłe lanie tym kretynom z 16. dzielnicy.

– Będziesz musiał uważniej ich szpiegować, Vincent. Boję się, że tu wrócą.

– Kiedy pomyślę, że to ten szalony Apacz powiedział im o nas...

– Tylko po to, żeby uprowadzić siostrzyczkę Jules'a!

– To nie jest jego siostra.

– Naprawdę?

– Nie, to dzieciak, któremu uratował życie. Cudem przeżyła, trzy tygodnie mieszkała sama ze szczurami. Jej dziadek umarł, a ona nie zaraziła się wirusem.

– To jakieś szaleństwo, jest jedynym żywym dzieckiem, jakie spotkałam.

– Zastanawiam się, czy nie ma innych dzieciaków, które ocalały.

– Żadnego nie widziałem.

– Ja też nie, wszyscy wokół mnie umarli, moi bracia i ich koledzy. Wszyscy.

To słowa Katii. Jej głos, zwykle żywy i śpiewny, pochmurnieje. Vincent zbyt szybko odwraca wzrok, kiedy dziewczyna zwraca się w jego stronę. Po tych ostatnich słowach następuje długa cisza, wszystkich dopada rzeczywistość. Uświadamiam sobie, do jakiego stopnia ich zmarli są obecni przy stole. Nawet twarz Żołnierza posępnieje. Chłopak tak mocno ściska sztućce, że bieleją mu kłykcie, a później pochyla się nad talerzem. Nigdy nic nie mówi na temat swojej rodziny. Nie odważyłem się zapytać, co się stało z Marie, jego starszą siostrą. Była w ostatniej klasie, miała siedemnaście lat. Być może przeżyła...

Jedno jest pewne. Zerwanie między Przed Tym i Po Tym jest nieodwracalne dla wszystkich poza mną. Ja mam nadzieję, że nic nie jest ostateczne, bo wierzę w obietnicę Khronosa. Jérôme przerywa ciszę:

– Pamiętam, jak po raz pierwszy usłyszałem krzyki przerażenia na ulicy. Zupełnie nie wiedziałem, co się dzieje.

Mam wrażenie, że Lider chce pobudzić rozmowę, zanim wszystkich ogarnie smutek. Przegania odrętwienie, które może ich dopaść, gdy przypomną sobie niepojętą rzeczywistość. Jego interwencja natychmiast wywołuje reakcję Vincenta, który zdążył już się pozbierać.

– To przypominało film katastroficzny. Nie mogłem uwierzyć własnym zmysłom. Te pełne rozpaczki krzyki, trzaskanie drzwiami, wściekłe trąbienie klaksonów, odgłosy opon śliz-gających się na asfalcie, ostre piski hamowania...

Muszę podejść trochę bliżej i wytężyć słuch, żeby usłyszeć, co szepcze Séverine:

– Mnie zaalarmowało w środku dnia nagłe zamknięcie metalowych żaluzji w sklepie na dole. Powiedziałam sobie, że to dziwne.

– Ja pamiętam przede wszystkim syreny...

Katia przerywa Cédrikowi i woła:

– Tak, jednocześnie wyły różne syreny: strażackie, policyjne, karetok pogotowia. Nie potrafiłam ich rozpoznać!

Właśnie chęć zwierzienia się daje mi siłę, żeby do nich dołączyć.

– Ja początkowo myślałem, że mam przywidzenia. No, wiecie, myślałem, że za długo wpatrywałem się w monitor i te ponure halucynacje powstały pod wpływem oddziaływania gry wideo na mój mózg.

– A tak, przypominam sobie, twoją mamę bardzo niepokoiło to uzależnienie od Warriors of Time – mówi Jérôme z uśmiechem.

– Mnie najbardziej przerażała cisza, która zapadła po krzykach – stwierdza Maïa.

– Cisza, tak, piekielna cisza. A później ciemności po całkowitym odcięciu prądu, to mnie...

Nie pozwalałam Séverine dokończyć.

Ta noc zapadła mi w pamięć. To jedyny wyraźny moment we mgłę, która ogarnęła tygodnie między 22 października a 18 listopada.

– Prąd wyłączono 1 listopada.

Pierwszego listopada, w dniu, w którym otrzymałem ostatnią wiadomość od Khronosa. Nazajutrz nie można już było połączyć się z internetem. W czasie przed katastrofą spędzałem niebywale dużo czasu na grze. Podwyższyłem swój poziom, wygrałem strategiczną bitwę w Wojnie Łowców, przygotowywałem się do podróży w czasie, żeby wmieszać się w Wojnę Saperów, przywłaszczyc sobie stal i wyprodukować ostrzejsze szable dla mojego batalionu najemników. Miałem zamiar zmienić bieg historii Ukraïn i oddać tron księżetom Timni.

Nie wiem, czy to dobry moment, żeby powiedzieć im o spotkaniu pod wieżą Zegarową. Wezmą mnie za nerda. Zwłaszcza Maïa, która nigdy nie przepadała za gram komputerowymi.

Lider zabiera głos i rozwiązuje mój dylemat.

– No dobrze, może omówmy plany na przyszły tydzień. Vincent: misja Rozpoznanie gangów – miejsce przebywania, uzbrojenie i akcje prowadzone przez wojskowych w Z-Punktach. Cédric i Séverine: misja Zwierzyńiec w ogrodzie botanicznym – sprowadzenie jadalnych zwierząt.

Tym samym Jérôme kończy naszą rozmowę równie szybko, jak ją rozpoczął. Prawdopodobnie uznał, że najwyższa pora wrócić do teraźniejszości: działać, budować, przygotowywać się – a nie rozpamiętywać przeszłość. Utrzymuje pewien dystans, gotów wystąpić w roli rozjemcy w razie niezgody. Nie angażuje się całym sobą w dyskusje, które rozpoczyna. Wydaje mi się, że stara się nie dać ponieść emocjom. Próbuje zachowywać się jak prawdziwy przywódca, ryzykując, że tym samym się od nas zdystansuje. Misja skupiania ludzi wokół siebie, kierowania komuną stała się dla niego najważniejsza. Séverine przygląda mu się i cała rozpromienia. Vincent zaczyna słuchać w tej samej sekundzie, w której jego Lider przechodzi do wydawania rozkazów. On, który był takim rozrabiaką... Serce mi się ściska na myśl o tym, jak szybko się zmieniamy.

– Ja będę dalej tworzyła bibliotekę. Zgromadzę wszystkie książki, które mogą nam się

przydać – nieśmiało proponuje Bibliotekarka.

Jeszcze nie słyszałem jej głosu i czuję, że odezwanie się wymaga od niej dużego wysiłku.

– Super, Iso, wykonujesz kawał dobrej roboty.

Dziewczyna uśmiecha się do Jérôme’a, po czym spuszcza głowę. Nie sędzę, żeby należała do grupy przed katastrofą.

– Hej, Katia, a ty zdołasz kontynuować misję ogrodniczą?

– Jasne. Mogę też zostać ochroniarzem. Jeśli zostałam wystarczająco oszpecona, moja twarz potwora zniechęci najgorszych wrogów!

Próbuje śmiać się ze swojej rany, ale nie udaje jej się ukryć rozgoryczenia. Żart kończy z przygnębioną miną. Maïa zrywa się i przytula ją do siebie.

– A ty, Jules, mógłbyś przynieść puszki skondensowanego mleka i tabletki do oczyszczania wody? – pyta Lider.

Coś mnie dręczy. Zastanawiam się, co Jérôme ma zamiar zrobić z moim bratem.

– Jak się ma Pierre?

– Na razie podałam mu lekarstwa na bazie kodeiny, żeby go odtruć, ale dotychczas nic nie osiągnęliśmy. Jest w kiepskim stanie – odpowiada Aptekarka, która się nim zajmuje.

– Mogę go odwiedzić?

– Lepiej poczekać do rana, zostawmy mu jeszcze trochę cza-su. Jest na głodzie, trzęsie się, ma mdłości. Naprawdę źle się czuje.

– To mój brat, chcę go zobaczyć! Pomóc.

– Nie, Jules – wtrąca się Jérôme. – W tej komunie każdy ma swoją rolę i działamy tak, jak każe osoba odpowiedzialna za daną działkę. Maïa jest Aptekarką i skoro mówi, że trzeba czekać, to czekasz. W przeciwnym wypadku nie damy sobie rady.

Wow... Jego ostry ton zamyka mi usta. Nigdy w ten sposób nie mówił, rzeczywiście wczuł się w rolę Lidera. Sam już nie wiem, czy jest moim zwierzchnikiem czy przyjacielem. I czy może być jednym i drugim jednocześnie?

Vincent daje mi porządnego kuksańca w bok i wybucha śmiechem.

– No tak, stary, właśnie odkrywasz nową twarz Jérôme’a!!! Gdybyś mógł zobaczyć swoją minę, umarłbyś ze śmiechu.

Nawet Jérôme pozwala sobie na błady uśmiech na widok mojej konsternacji.

– Naszą jedyną szansą na przetrwanie jest współpraca, Jules. Żeby przetrwać w tym nowym świecie, musimy być bardzo wymagający i mieć jasną strukturę w komunie, zwłaszcza jeśli mamy się powiększać liczebnie, jak bym tego chciał. Nie wiem jeszcze, co nas czeka. Czy naszymi wrogami będą tylko gangi uzbrojonych opryszków, ćpuni i szaleni mistycy czy może ktoś znacznie potężniejszy? Musimy przygotować się na najgorsze.

– A wygrywa ta drużyna, w której każdy zna swoje miejsce i szanuje funkcje pozostałych. Jak podczas meczu rugby! – wtrąca się Żołnierz.

Vincent nadal porównuje wszystko do meczu rugby. Przynajmniej jedna rzecz, która pochodzi ze świata Przed Tym.

– No dobrze, ale mimo wszystko możemy ze sobą rozmawiać i wzajemnie się radzić? Prawda, Jérôme? – spokojnie mówi Maïa.

Wyczuła napiętą atmosferę i stara się załagodzić sytuację. Jérôme łapie mnie nagle za przedramię i obrzuca badawczym spojrzeniem.

– Musimy przystosować się do tego świata, Jules. Jeśli będziemy solidarni i skuteczni, damy sobie radę. Milknij na kilka sekund, które wydają mi się wiecznością.

– A żeby przeżyć, musimy się zmienić.

Zmienić się, a tak, właśnie zmienić. I komu on to mówi...

21 listopada, wcześniej rano

Cela jest zamknięta od zewnątrz. Obracam klucz w zamku, otwieram drzwi i ściska mnie w żołądku na widok zgarbionego, siedzącego na krześle Pierre'a. Słońce oświetla go od tyłu, nie mogę dostrzec jego twarzy. Nie rusza się nawet na milimetr.

– Pierre – szepczę. – Pierre, to ja.

Robię kilka kroków w jego stronę. Podnosi głowę, a jego martwe spojrzenie i oczy tak podkrążone, jakby ktoś mu je podbił, poruszają mnie bardziej niż tysiące zmarłych. Ręce mu drżą, uda podrygują. Przypomina marionetkę z zerwanymi sznurkami. Czy on mnie w ogóle rozpoznaje? Kładę dłoń na jego ramieniu. Jestem wstrząśnięty kwaśnym zapachem potu i brudu, który wydaje jego ciało. Od jak dawna się nie mył? Nagle wszystko rozumiem – on się zsiakał. Ciarki przechodzą mi po plecach.

– Pierre, pomogę ci...

Odpycha mnie nerwowym ruchem ramienia. Nie cofam dłoni. Wtedy zaczyna gwałtowniej potrząsać ręką, aż w końcu rozluźniam uścisk. Odsuwam się od Pierre'a. Staję nieruchomo w odległości metra, z zapartym tchem czekam, aż zareaguje. Odwraca głowę w stronę ściany, żeby na mnie nie patrzeć, i mówi:

– Jestem gnojem, stary, gnojem. To świństwo, które krąży w moich żyłach, zabija mnie. Nigdy na mnie nie licz, nigdy, rozumiesz. Chcę ze sobą skończyć. Musisz mi pomóc, już nie mogę.

– Musisz dać radę, Pierre, mam tylko ciebie. Błagam cię, mam tylko ciebie. W imię taty, mamy, naszej rodziny – staw temu czoła. Można z tego wyjść, można przeżyć.

Ciągle nie chce na mnie patrzeć, wybrał sobie punkt na ścianie i kołysze się na krześle jak pajacyk.

– Nie licz na mnie, stary. Gdzie jest twoja koleżanka Aptekarka? Ładna brunetka, ta, która przyniosła mi metadon. Gówniany metadon.

– Nic nie może cię przekonać, żebyś rzucił prochy? To, że ćpasz, wpędza mnie do grobu. Zabija mnie, że mnie porzucasz. Spójrz na mnie, do cholery.

Nie odrywa wzroku od białej ściany.

– Już dawno cię porzuciłem, Jules. Opuść, mnie już nie ma. Opuść, zachowuj się, jakbym nie był twoim bratem. Gdybyś wiedział, co widziałem w squacie... Wszyscy umarli, dzieci i bezzębni staruszkowie. Myślałem, że to z powodu narkotyków. Wyszedłem na ulicę jak zombie i powiedziano mi, gdzie je znaleźć. Tylko to mi powiedziano – narkomanowi, którym jestem – że goście z szesnastej mają najlepszy towar. Nie jestem już twoim bratem, zapomnij o mnie.

– Nie, nie mogę, nie mogę...

Wychodzę od niego, trzaskając drzwiami. Beczę, nie chcę, żeby to widział. Uderzam pięścią w ścianę korytarza, rozbijam sobie dłoń, która puchnie i sinieje, złamałem sobie palec czy co?

Biegnę po schodach do izby chorych. Furia wzbiera we mnie jak wielka czarna chmura. Sprawia, że kręci mi się w głowie. Wszystko wokół mnie wiruje. Nic nie słyszę, chyba jęcę, sam już nie wiem.

Drzwi otwiera mi Alicja z kotem na rękach. Przygląda mi się.

– Niedobrze, złamałem rękę, Maleńka. Niedobrze, ja nie będę...

Padam przed nią na kolana, rozpacz nie pozwala mi ustać na nogach. Nie mam już brata, wszyscy nie żyją, nie mam nawet brata. Szlocham, sam nie wiem, co mówię, kiwam się w przód

i w tył przed Maleńką, która nic nie mówi, stoi bez ruchu. Nagle czuję, że obejmuje mnie za głowę. Przyciska moją twarz do siebie i kołysze. Lego mruczy, ocierając się o moje nogi.

Ile czasu spędziliśmy w takiej pozycji we trójkę?

Nagły krzyk brutalnie przywraca mnie rzeczywistości.

– Kuźwa, twój brat uciekł, specjalnie to zrobiłeś czy co?!

To Vincent. Jest wściekły. Podnoszę się. To ja jestem odpowiedzialny za ucieczkę Pierre’a. Kiedy wychodziłem, zapomniałem zamknąć drzwi na klucz.

– Posłuchaj, nic wielkiego się nie stało, do niczego nie był nam potrzebny. To tylko biedny ćpun na głodzie. Pójdzie szukać swoich działek i więcej o nim nie usłyszymy.

Mój zrezygnowany ton wyraźnie go zaskakuje. Unosi pytająco jedną brew i zauważa moje spuchnięte palce.

– Do czego tam doszło między wami w celi?

– Nic takiego, powiedział mi, że nie jest już moim bratem.

Staram się trzymać, ale głos mi drży. Alicja łapie mnie za rękę. Po przybyciu Jérôme’a i Maï Vincent nie daje mi nawet dojść do słowa i sam wszystko wyjaśnia.

– Jules nie zamknął za sobą drzwi i jego brat wy dostał się z celi, ale jego ucieczka nie stanowi dla nas żadnego zagrożenia. Pierre w niczym nie mógłby nam pomóc, nie może też niczego zrobić przeciwko nam. Chce się tylko naćpać. Koniec. Kropka.

– Jules pozwolił uciec więźniowi, to budzi obawy – odparł Lider.

– Jules stracił brata, pomyśl o tym. Nikt nie jest doskonały.

Nigdy bym nie pomyślał, że Vincent będzie mediatorem między Jérôme’em i mną.

Nieugięty przywódca mierzy mnie wzrokiem i zastanawia się, ocenia powagę popełnionego przeze mnie błędu. Mój przyjaciel nagle wygląda jak reinkarnacja Robespierre’a. Może ma rację...? Może stanowczość granicząca z surowością są konieczne, by uniknąć zbyt dużej liczby błędów, które ostatecznie zaprzepaszczą możliwość stworzenia na nowo świata z jego marzeń.

– OK, Julot, chyba rozumiem, co się stało. Ja też myślę, że ucieczka Pierre’a nie stanowi dla nas zagrożenia. Jest mi szczerze przykro. Maïa uprzedzała cię, że to może być trudne.

Kiwam głową. Dziwi mnie, że używa mojego imienia z czasów Przed Tym – miło znów je usłyszeć. Jest bardziej ugodowy, niż się spodziewałem. Argumenty Vincenta zadziałały, nie tylko zdołał załagodzić sprawę, ale też wzbudził współczucie u naszego Lidera. Żołnierz klepie mnie po plecach:

– Będzie już dobrze, stary?

Potwierdzam i bąkam:

– Dziękuję.

Vincent uśmiecha się do mnie, a Jérôme daje znak, żeby do niego dołączył.

– Żołnierzu, idziemy, mamy spotkanie. Jules, spróbuj znaleźć tabletki do oczyszczania wody.

Zatrzymuje wzrok na mojej spuchniętej dłoni i pyta:

– Co ci się stało?

Maïa podnosi moją rękę.

– Nieźle się załatwiłeś. Przed wyjściem do ogrodu botanicznego muszę cię opatrzeć.

Mam nadzieję, że nic sobie nie złamałeś.

– Strata czasu – burczy Lider, wychodząc bez słowa.

– Jérôme bardzo się zmienił, prawda? – mówię do Maï, kiedy zostajemy razem.

– Tak. W dodatku atak Gangu 16. Dzielnicy napędził mu stracha. Jérôme uważa, że powinniśmy być lepiej zorganizowani i zhierarchizowani. Nie sądzę, żeby mu się to podobało, ale naprawdę chce, żebyśmy sobie poradzili.

Zgina po kolei palce mojej dłoni.

– Boli?

Zaciskam zęby. Boli tak, że mam ochotę wrzeszczeć.

– Możesz poruszać wszystkimi palcami, to dobry znak. Moim zdaniem nie ma żadnego pęknięcia kości. Być może zwichnięcie albo po prostu krwiak. Przydałby się lód, żeby zeszła opuchlizna, ale go nie mamy. Unieruchomię ci dłoń. Nigdy jeszcze tego nie robiłam. Najlepiej będzie, jak sprawdzę w książce. Poczekaj tu na mnie, zobaczę, co mamy w bibliotece.

Przed wyjściem zatrzymuje się i odwraca do Alicji, której uwaga skupiona jest na mojej spuchniętej ręce.

– Alicjo, nie jestem zadowolona, że przyniosłaś kota do izby chorych. Mówiłam ci, żadnych zwierząt. Odniesiesz go do sy-pialni na pierwszym piętrze.

Małeńka bierze Lego na ręce i robi naburmuszoną minę. Na razie Maïa nic nie zyskała.

– A tymczasem zaopiekujesz się Diegiem.

Dziewczynka kiwa poważnie głową. Prowadzi mnie w stronę kanapy, na którą opadam w oczekiwaniu na Aptekarkę. Maïa wraca z Isą. Znow odnoszę wrażenie, że już gdzieś widziałem ten zadarty nosek i długą grzywkę. Alicja przynosi mi szklankę wody i zmusza mnie do wypicia całej jej zawartości. Jej stanowczość rozbawia Isę.

– Szarżujący wszystko wypił? Brawo, Alicjo. Muszę przygotować nowe zapasy wody pitnej. Chodź ze mną, pokażę ci, jak się filtruje wodę z Sekwany.

Mała idzie za nią potulnie. Słyszę, jak krzątają się w kuchni za izbą chorych. Isa mówi łagodnym, miękkim głosem. Ma chyba spore zdolności pedagogiczne.

– Popatrz, w wiadrze jest woda z Sekwany, nie należy jej pić. Najpierw trzeba ją przefiltrować – poucza Małeńką.

Nagle mam to, już wiem, skąd ją znam! Była pierwszą dziewczyną mojego brata. Kiedy byli w drugiej gimnazjum. Zanim Pierre zaczął ćpać. Kilka razy nas odwiedziła. Pewnego dnia urządziłem dla niej pokaz ciosów judo. Rozśmieszyłem ją, a Pierre był ze mnie dumny. Wydaje mi się, że nie byli ze sobą zbyt długo, ale nie pamiętam dokładnie. Czy wie, kim jestem? Czy rozpoznała mnie po pięciu latach? Pierre i Isa nie utrzymywali kontaktów po zerwaniu, a ja wyglądałem inaczej. Miałem wtedy dziecięcą twarz, chodziłem do drugiej klasy podstawówki, no i musiałem być mniej okrągły. Dziś Isa pewnie nie widzi związku między dzieciakiem z upodobaniem do sztuk walki a dobrze zbudowanym nastolatkiem. Czy widziała Pierre'a?

Maïa smaruje mi rękę maścią z arniki, zakłada temblak i bandaż.

– Spróbujemy tak i sprawdzimy, co się będzie działo.

Uśmiecham się, nasłuchując wyjaśnień Isy:

– Widzisz, to nie jest trudne. Przytrzymasz ściereczkę? Dziękuję.

Mrugam okiem do Maï i idę do kuchni. Chcę zobaczyć, jak Alicja radzi sobie z wykonaniem zadania. Ze skupieniem na twarzy trzyma białą tkaninę, przez którą Isa powoli i systematycznie przelewa brunatną wodę spływającą do kotła. Nasze nadejście nie przeszkodziło Małeńkiej. Nic jej nie rozprasza. Nawet Lego. Mój kot nigdy się od niej nie oddala. Teraz siedzi i poruszając uszami, śledzi najmniejszy ruch dziewcząt.

– Przefiltrowaną wodę można oczyścić chlorem albo pastylkami. Ja wolę jeszcze dodatkowo ją zagotować. Pójdiesz ze mną? Zaniesiemy kociół do kominka w salonie.

Dokładnie w tym momencie Lego postanawia skoczyć na tkaninę przytrzymywaną przez Alicję. Zaskoczona dziewczynka puszcza materiał i kot wpada do gara pełnego wody.

Spanikowany i wściekły kręci się na wszystkie strony, byle tylko utrzymać się na powierzchni.

Małeńka wyławia za skórę na karku trzęsącego się z zimna i ociekającego wodą kociaka.

A potem osusza go ręcznikiem i wybucha śmiechem. Jej rozbawienie jest zaraźliwe.

Rozzłoszczony pyszczek na chwilę wychyla się z fałd ręcznika, w którym kot się szamocze, czepiając się wszystkiego pazurami. Ja też zaczynam się śmiać. Mój śmiech dociera do Mai, którą też ogarnia wesołość. Isa, choć zła z powodu ponownego zanieczyszczenia wody, również przyłącza się do ogólnego rozbawienia.

Można by pomyśleć, że najbardziej aspołecznym stworzeniem jest Lego. Po serii akrobatycznych wyczynów godnych najlepszego gimnastyka udaje mu się wreszcie uwolnić z rąk Alicji i uciec, byle dalej od tych kpiących, pozbawionych litości ludzi. Całkowicie mnie ignoruje, a w stronę ukochanej Maleńkiej kieruje tylko pełne pogardy miauknięcie, po czym znika nam z oczu.

Maleńka, zmartwiona ucieczką kota, przestaje się śmiać równie szybko, jak zaczęła. Odwraca się w moją stronę, bierze się pod boki, marszczy brwi i rzuca mi groźne spojrzenie.

– Diego! – karci mnie, jakby to była moja wina.

Jej wymówka tylko potęguje moje rozbawienie. Nie mogę nad tym zapanować, to przypomina niekontrolowany śmiech podczas lekcji matematyki. Nic nie może mnie powstrzymać.

24 listopada, wczesne przedpołudnie

Jérôme i Vincent zaproponowali, żebym z nimi poszedł zobaczyć Z-Punkt, który żołnierze zorganizowali w szpitalu Salpêtrière. Chcą się dowiedzieć, jak funkcjonuje. Jestem bardzo zadowolony z zaufania, jakim mnie darzą, i chętnie im towarzyszę. Isa też idzie z nami, żeby poszukać książek zamówionych przez Maię. Na bulwarze Port-Royal grupa nastolatków oczyszcza chodnik. Składają na wpół rozłożone trupy na taczki i podjeżdżają z ładunkiem do dwóch ciężarówek z plandekami, którymi kierują żołnierze w kombinezonach ochronnych.

Isa i ja nie zbliżamy się zbyt blisko, żeby nie ryzykować kontroli wojskowych. Jednak Vincent i Jérôme machają do dwóch nastolatków, którzy właśnie podnoszą zwłoki. Chłopcy natychmiast przerywają pracę i zagadują:

– Cześć, możemy wam jakoś pomóc? Może szukacie Z-Punktu?

– Spoko, wiemy, że jest w szpitalu. Wczoraj przeczytaliśmy informację na gmachu merostwa 5. dzielnicy.

– Tak, dobrze, że tam idziecie. Nie musicie przechodzić przez sortownię, natychmiast wpiszą was na listę i będziecie mogli dołączyć do grupy roboczej.

– OK. A wy do jakiej grupy należycie?

Pierwszy chłopak, chudy i wysoki, z twarzą pokrytą pryszczami, posyła w naszą stronę rozbrajająco szczery uśmiech. Wydaje się naprawdę miły. Sprawia wrażenie, jakby nie najlepiej czuł się w swoim ciele, ale jest sympatyczny.

– Jednostka specjalna oczyszczania ulic.

Rozpościera ramiona i składa nam prześmiewczy, głęboki ukłon, jakby był baronem zaproszonym na bal w Wersalu. Jest zabawny. Drugi chłopak zdaje się mieć mniejsze opory.

– Następny etap to czyszczenie wodą pod wysokim ciśnieniem. A ostatni to dywanowe opryskiwanie środkami przeciwko szkodnikom – informuje nas z pewnością siebie godną generała.

Cóż, wrogowie tego generała ulegają rozkładowi. I strasznie cuchną. Naśmiewając się z powagi kumpla, drugi chłopak przepisowo salutuje: wypina klatkę piersiową i przykładą dłoń do skroni. Jérôme posyła mu delikatny, zachęcający uśmiech. Nawet Isa z trudem powstrzymuje rozbawienie. Maski przeciwgazowej kierowcy samochodu pojawia się w oknie.

– Hej, chłopaki, jesteście na wakacjach? Myślicie, że nie mam co robić? Wracajcie do roboty! A wy idźcie do Z-Punktu!

Wszyscy robimy skruszone miny – poza Vincentem, który salutuje żołnierzowi. Jérôme przerywa mu pełnym irytacji gestem.

– Nie prowokuj ich, Vincent, wypływamy na niespokojne wody.

Żołnierz wzdycha ze znużeniem.

– Nie popadaj w paranoję, wszędzie panuje totalny burdel. Nie wiemy nawet, ilu wojskowych przeżyło epidemię.

– No właśnie, nie wiemy, co zdecydowało wojsko, więc nie rzucajmy się w oczy.

W drogę.

Idziemy aż do skrzyżowania Gobelins i atmosfera się zmienia. Wszystkie kamienice pokrywa graffiti. Można odnieść wrażenie, że znajdujemy się wśród dekoracji do klipu rap kręconego w Bronksie. Na tle obłych i kanciastych barwnych liter dostrzegamy dwie postaci z farbami w aerozolu.

– Graficiarze dotarli aż tutaj – burczy Vincent.

– Graficiarze?

– To banda składająca się z byłych graficiarzy. Ci, którzy przeżyli, stworzyli gang. Przyłączają kolejne dzielnice, a graffiti na ścianach oznacza zasięg opanowanego przez nich terytorium.

– Stosują przemoc?

– Nie, ale chcą zdobyć możliwie najwięcej dzielnic.

– Są uzbrojeni?

– Mają tylko gaz łzawiący i paraliżujący do obrony. O ile wiem, nie używają broni palnej.

– Wielu członków tej bandy czuje niechęć do policji i sił porządkowych. Nieufnie odnoszą się do wszelkich form władzy. Marzy im się miasto całkowicie pokryte graffiti, będące terenem dla ich sztuki, wyobraźni i wolności – wyjaśnia mi Jérôme. – Jednym słowem, kolejna grupa, która z pewnością nie uda się do Z-Punktu.

– A więc wystarczy nabazgrać coś na fasadzie i hop, kamienica należy do ciebie!

Kpię sobie z nich trochę, ale chciałbym zobaczyć Graficiarzy przy pracy.

– W zasadzie interesuje ich tylko przestrzeń publiczna, nie obchodzi ich własność prywatna.

– No dobrze, ale skoro teraz ich działania twórcze nie są już zabronione przez władze i nie ma w nich nic wywrotowego, jaki mogą mieć dla nich sens?

– Wydaje mi się, że Graficiarze chcą przejąć władzę nad Paryżem i narzucić swoją wizję świata jako miejsca niczym nieograniczonej twórczości.

Trudno mi zrozumieć ich utopijne marzenia, ale kim jestem, żeby ich osądzać? Sam wierzę przecież w istnienie Khronosa, który umożliwi cofnięcie czasu i uniknięcie katastrofy. I wiem, w jak dużym stopniu ta nadzieja podtrzymuje mnie na duchu.

– Mają jakąś KG? Kwaterę Główną?

To pytanie Jérôme kieruje bezpośrednio do Żołnierza. Kiedy rozmawiają na tematy strategiczne, odnosi się wrażenie, że nikt inny nie istnieje.

– Z pewnością, ale jeszcze nie wiem gdzie. Jutro to ustalę.

– Przede wszystkim upewnij się, że będą współpracować.

– Oto i szpital Salpêtrière!

Na bulwarze l'Hôpital nie ma już żadnych trupów. Przechodzimy pod metalową konstrukcją nadziemnej części trasy metra. Gołębie są tu teraz liczniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Istne miasto ptaków. W każdym zakątku widać ich szare piórka.

– Uwaga na głowy!

Prawdziwym wyzwaniem jest uniknięcie gołębiego placka. Przyspieszamy, nawet o tym nie myśląc.

Żeby dostać się do szpitala zamienionego w Z-Punkt, musimy przejść przez monumentalną bramę główną, pójść ścieżką biegnącą między dwoma trawnikami, niegdyś usianymi kwiatami, a następnie minąć ciasne przejścia na wskroś dwóch budynków. Majestatyczny gmach bardziej przypomina pałac niż szpital. Następnie mijamy kościół z kopułą i docieramy do szpitalnego skweru, na którym wycięto drzewa, żeby zrobić plac. Tu jest więcej osób.

Isa się zatrzymuje.

– Zostawię was tutaj, spróbuję poszukać przyjaciół. Spotkamy się za godzinę przy wejściu?

– Dobrze, to za godzinę. Tyko uważaj na siebie.

Nastolatki stoją w kolejce i podają swoje nazwiska oraz wiek niewiele starszemu od nich facetowi. Ma pewnie jakieś osiemnaście lat. Nosi żółtą odblaskową kamizelkę i zapisuje informacje w notatniku. Vincent nagle się pochyła.

– Chłopak w kamizelce, niski blondyn, który sprawia wrażenie odpowiedzialnego za to wszystko, to były przywódca Gangu 16. Dzielnicy. Tego samego, który zaatakował nas cztery dni temu. Mamy kłopot. Lepiej, żeby nas nie rozpoznał.

– Co on tam robi?

– Jeśli zdobył Z-Punkt, z pewnością miał ku temu powody. Jego oddziały ćpunów nie budzą zaufania.

– Jesteś pewien, że mamy prawo mieszkać poza Z-Punktem?

– Na razie wszystko na to wskazuje.

– Ruszamy się? Próbuje do kogoś zagadać?

Idę za nimi w stronę nowocześniejszych budynków. Głośny warkot osadza mnie w miejscu – na trawniku, który najwidoczniej pełni teraz funkcję lądowiska, siada helikopter. Wojskowi w specjalnych kosmicznych skafandrach i maskach przeciwgazowych rozdają butelki z wodą, torby z żywnością i lekarstwami. Dorośli nie ryzykują w żaden sposób kontaktu z wirusem. Nastolatki nie potrzebują ochrony. Jak to możliwe? Czy jesteśmy uodpornieni? A skoro oni unikają kontaktu z nami, czy to znaczy, że możemy być zarażeni?

Młodzi podchodzą, a między nimi... mrużę oczy, żeby mieć pewność. Ależ tak, rozpoznałem tę szczupłą sylwetkę i rude splecione włosy. To dziewczyna z mostu św. Michała, wybawicielka Alicji. Jej olbrzym stoi obok. A więc ona też postanowiła dołączyć do Z-Punktu? Zastanawiam się, czy warto się do niej odezwać. Nie, to na nic, ona mnie nie potrzebuje. Bo niby do czego?

– Jules, zadamy kilka pytań gościom, którzy tam palą.

Czterech chłopaków gawędzi na schodach przed Instytutem Chorób Mózgu i Rdzenia Kręgowego.

– Cześć!

– Cześć, właśnie przyszliście?

– Tak. Jak tu jest?

– Jesteśmy dopiero od wczoraj. Dobre jest to, że wojsko dostarcza jedzenie i picie.

– Są tu jacyś lekarze?

– Chyba jest kilku wojskowych.

– Lekarstwa?

– A tak, tego nie brakuje.

– Macie tu jakiś magazyn leków?

– Apteka jest w budynku z czerwonej cegły, tuż przy trawniku, na którym stoi helikopter.

Jérôme uzyskuje wszystkie informacje, które są mu potrzebne, ze zdumiewającą łatwością, nie wzbudzając przy tym najmniejszych podejrzeń u rozmówców. Kiedy Lider zadaje pytanie, zapytany odnosi wrażenie, że kryje się za tym troska o jego dobro. Naprawdę niezły w tym jest. Szczerze go podziwiam. Nasz informator z rozkoszą wydmuchuje dym papierosowy.

– Panuje tu spory bałagan. Jest kilka starszych osób, to zna-czy takich, co mają osiemnaście lat. Oni kierują organizacją. Notują nazwiska, wiek i tak dalej. Rozłokowali nas w budynkach, które służą za sypialnie. Przydzielają zadania. Wojskowi zaproponowali nawet, że niektórym wszczepią pluskwy elektroniczne pod skórę na ramieniu.

To ostatnie go rozbawiło, mnie za to ciarki przeszły po plecach. Zresztą nie tylko ja jestem oburzony.

– Chipy? Jak bydło... Ale po co?

Lider daje Żołnierzowi porządnego kuksańca, żeby zachował większy spokój. Chłopaki wzruszają ramionami.

– W celach medycznych. Zapewne do lokalizacji wirusa i obserwacji jego rozwoju.

– Jak działają te chipy? – docieka Vincent.
– Umieszcza się je pod skórą. Wylączają się w chwili śmierci. Dają wiedzę na temat tego, czy wirus nas zaraża i zabija.

– Są połączone z GPS-em? – pyta Jérôme.

– Nie znam szczegółów, żołnierze nie wyjaśnili nam, jak to działa. Mają co innego na głowie. Ale myślę, że są połączone z komputerami wojskowymi i pozwalają na stałą lokalizację tych, którym je wszczepiono.

– Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o to, żeby dowiedzieć się, jak długo dany człowiek żyje po zarażeniu wirusem – podsumowuje drugi chłopak.

– Czy trzeba dać sobie wszczepić pluskwę? – pyta Lider z udawaną obojętnością.

– A nie, nie zmuszają nas do tego.

Przełykam z trudem ślinę, Vincent też. Jérôme stara się wyglądać możliwie najbardziej neutralnie, żeby móc śledzić rozmowę i zdobyć interesujące go informacje.

– Jesteście uzbrojeni?

– Nie, nastolatki nie mogą posiadać broni, o ile wiem.

– To jak będziecie się bronić?

– Są tu żołnierze, którzy nas ochraniają.

– Jesteście całkowicie uzależnieni od armii?

– Tak. Zaraz przydzielą nam zadania.

– A można brać wodę i żywność, jeśli nie mieszka się w szpitalu?

– Nie wiem, my wolimy tu mieszkać. Czujemy się bezpieczniej, rozumiesz? Zapytaj któregoś z szefów, to ci w kamizelkach. Oni mają bezpośredni kontakt z dorosłymi.

– Dobra, dzięki za informacje, do zobaczenia.

Gdy tylko odwracamy się do nich tyłem, Vincent syczy przez zęby:

– Zmywamy się, wiemy już wystarczająco dużo. Lepiej, żeby Logan nas nie przyuważył.

– Logan?

– Były przywódca Gangu 16. Dzielnicy.

Nie mam pojęcia, co ma do tego Logana, ale za wszelką cenę chce uniknąć kontaktu z tym typkiem. Fakt, wie o nim znacznie więcej niż ja. Co mogło wydarzyć się między nimi? Wolę nie dociekać, nadmierna ciekawość innych gra Vincentowi na nerwach – jeśli uważa cię za niedyskretnego, przestaje ci ufać. Żołnierz dawkuje informacje, jakby miał do nich kroplomierz, i podaje je tylko wtedy, gdy ma w tym jakiś cel.

Tak samo zachowywał się w szkole, a nawet podczas gry w Warriors of Time. To ojciec nauczył go nie odkrywać wszystkich kart: „Zostań jedynym posiadaczem tego, co wiesz, zdradzaj swoje informacje innym tylko wówczas, gdy do czegoś ci to posłuży. Niech wiedza stanie się twoją siłą i władzą” – radził Vincentowi, który stosował tę zasadę w stosunku do swojego awatara ObiTwo.

Tak bardzo przyswoił sobie tę ojcowską radę, że nie śmiem zadać mu żadnego bardziej osobistego pytania, choć należy do moich najbliższych przyjaciół. Nadal nie wiem, czy jego siostra przeżyła. Jednocześnie z milczenia na jej temat – a przecież ją uwielbiał – wnioskuję, że zmarła.

W drodze powrotnej przyspieszamy. Idziemy w milczeniu, wszyscy pogrążeni w myślach. Zmarszczone brwi Jérôme’a nie wróżą nic dobrego. Isa, która do nas dołącza, zwalnia i dostosowuje się do mojego rytmu.

– Jules, chcesz porozmawiać w cztery oczy? – pyta mnie nieśmiało.

Cały czerwony odwracam się do niej.

– Ty... ty wiesz, kim jestem?

24 listopada, wczesne popołudnie

Co mnie napadło, żeby pytać o to Isę? Cóż za śmieszne pytanie!

– Tak, od trzech dni wiem już, kim jesteś – odpowiada dobro-tliwym tonem przedszkolanki.

Kulę się w sobie. Czy widziała Pierre'a?

– Przepraszam, że wcześniej nie dałam znać, że cię poznaję. Nie spotykaliśmy się często, a ty byłeś...

Szuka odpowiednich słów, nie chce urazić mojej dumy. Byłem szczupły, kiedy miałem dziesięć lat.

– Byłem jeszcze dzieciakiem! To normalne, że mnie nie rozpoznałaś, nie martw się.

– Miałam czas, żeby porozmawiać z twoim bratem w celi. Kiedy wszyscy byliście zajęci po ataku, ja przyniosłam mu picie.

Serce szybciej mi bije.

– Gdy zobaczyłam, w jakim fatalnym jest stanie, ja... Wiesz, ja też tego doświadczyłam... bycia na głodzie.

Ona? Wzorowa nauczycielka, ona ćpała? Trudno uwierzyć.

– Szukałam go dzisiaj w Z-Punkcie.

Nie chcę tego wiedzieć. Brat mnie porzucił.

– I wpadłam na niego.

Doskonale bym sobie poradził bez jej wynurzeń. Czy nie może zrozumieć, że nie chcę już słyszeć imienia Pierre'a? Cały się spinam, nie zniosę poruszania tego tematu. Dla mnie brat jest stracony. Utraciłem go.

– Dołączył do Z-Punktu, nadal należy do gangu Logana. Ale...

– Ale co? Był zbyt naćpany, żeby cię rozpoznać? – pytam ją z sarkazmem.

– W celi tak bardzo cierpiał, że nie byłam pewna, czy mnie poznaje. Dzisiaj, w Z-Punkcie, miał się znacznie lepiej i mnie rozpoznał.

Niemożliwe. Zaślepią miłością biedaczka mówi od rzeczy.

– Pierre nie może dłużej brać, potrzebuje czegoś, co pozwoli mu funkcjonować.

Ona sobie wyobraża, że mogłaby być tym czymś, co za naiwność!

– Pomogę mu, zrobię wszystko, żeby go wyrwać ze szponów uzależnienia. Bo...

Nie kończy zdania, jej rumieńce mnie irytują. Czego się po nim spodziewa? Ani przez sekundę nie wierzę, że mój brat posłucha byłej dziewczyny.

– Słuchaj, Jules, rozumiem twoje rozgoryczenie. Jeśli chcesz, będę cię informowała o naszych spotkaniach.

Ja już nie mam nadziei. Na szczęście Jérôme przerywa naszą rozmowę, która może zmienić się w gwałtowną wymianę zdań.

– Ta historia ze śledzeniem wcale mi się nie podoba.

– Mnie też – potwierdza Vincent.

– Wojsko z pewnością może nas ochronić, prawda? – niepewnie odzywa się Isa.

– Tak, ale granica między ochroną a nadzorem jest czasem cienka. Ich początkowa, całkowicie uprawniona chęć zapewnienia nam bezpieczeństwa może zmienić się w autorytaryzm – odpowiada stanowczo Lider.

Jego ton staje się jeszcze poważniejszy, kiedy kontynuuje swoją wypowiedź:

– W Z-Punkcie ryzykujemy, że zostaniemy rozdzieleni, zmuszeni do wykonywania ich poleceń. W tym rozkazów absurdalnych albo okrutnych.

Trudno mi sobie wyobrazić, żebyśmy przenieśli się do Z-Punktu. Nie chcę myśleć, co mogłoby z tego wynikać.

– Będziemy zdani na łaskę armii, zostaniemy rozbrojeni. A ja im nie ufam.

Zapada cisza. Po chwili Jérôme ponownie odzywa się zamyślonym tonem:

– Nie sądzę, żebym chciał takiego życia.

Te ostatnie słowa brzmią jak ostateczna decyzja naszego Lidera.

Cédric stoi na straży przed kamienicą. Od czasu ataku kolejno pełnimy wartę, uzbrojeni w karabin maszynowy i krótkofalówkę. Pozostajemy w nieustannym kontakcie z którymś członkiem komuny wewnątrz kamienicy. Mamy do wyboru służbę na tarasie albo przed bramą.

Jérôme rzuca Cédricowi krótkie spojrzenie. Jest już na schodach, kiedy mówi do nas:

– Tego wieczoru poinformujemy o wszystkim pozostałych. Trzeba szybko zdecydować, czy zachowujemy niezależność, czy też rozwiązujemy komunę, żeby przyłączyć się do Z-Punktu.

Potem znika nam z oczu.

– Vincent, pójdziesz ze mną do izby chorych?

– Zgoda, przy okazji napiję się czegoś i zmienię opatrunek.

Drzwi w mieszkaniu na trzecim piętrze są uchylone, w salonie nikogo nie ma.

Głosy dochodzą z łazienki. Vincent mnie wyprzedza, ale przytrzymuję go za rękaw, poruszony pewną myślą. Wydaje mi się, że to nie brzmi jak zwykła rozmowa. Wytężam słuch.

Czy dobrze słyszę, to płacz? Nie, rozpoznaję poważny, głęboki głos Katii – głos śpiewaczki gospel, tak sprzeczny z jej powierzchownością blondynki. Gdyby ktoś znał Sadowniczkę tylko ze słyszenia, mógłby wyobrazić sobie kogoś w rodzaju Arethy Franklin. Nieruchomiejemy w zdumieniu. Wypowiadane przez Katię słowa z wolna do nas docierają.

– Zostałam trwale oszpecona, nigdy nie zdołam zdjąć opatrunku. Spójrz na mnie, Maïu, już nigdy nie będę ładna, nigdy.

– To nieprawda, będziesz piękna, jesteś piękna, bo cała promieniejesz i masz najjaśniejsze oczy, jakie widziałam...

– Nie mogę już się uśmiechać! Widziałaś mój uśmiech, jaki jest teraz brzydki?

– Ależ nie, Katiu, co ty mówisz, to nieprawda...

Nagle głos Aptekarki też się załamuje. I już nic nie słyszymy poza wspólnym szlochaniem.

Oniemiali ze zdziwienia zdajemy sobie sprawę, że słysze-liśmy rzeczy nieprzeznaczone dla naszych uszu. Vincent błędnie, stoi jak skamieniały. Jego czarne oczy wyrażają wściekłość, cedzi przez zęby:

– Wszystkich ich pozabijam, każę tym bestiom pożreć swoich panów, przysięgam ci, ukatrupię tych Pożeraczy.

Pożeracze... Jérôme i Żołnierz już raz wspominali o nich w mojej obecności. Czy chodzi o gang, który hoduje pitbule? Po plecach przebiega mi dreszcz strachu.

27 listopada, wczesne przedpołudnie

Przed gmachem uniwersyteckiego wydziału nauk ścisłych im. Antoine'a Jussieu grupa nastolatków rozpyła na ziemi pianę z urządzeń ciśnieniowych. Substancja cuchnie odszczurzaczem. To chyba trutka. Wojsko wzięło się za akcję przeciwko gryzoniom. Ciągnięcie wózka wypełnionego klatkami z kurami i królikami po stromo wznoszącej się ulicy Cardinal-Lemoine jest istną męką. Nasz handel wymienny z Gangiem Wybawicieli, którzy zarządzają zwierzyńcem w ogrodzie botanicznym, okazał się bardziej niż korzystny – za konserwy dostaliśmy świeże mięso i jajka. Wybawiciele są pokojowo nastawieni, broń zupełnie ich nie interesuje. Zamieszkali w dawnych budynkach lecznicy weterynaryjnej i utrzymują zwierzęta przy życiu. Ogromne wrażenie zrobił na mnie ich system karmienia zwierząt, dostarczania żywności i sprzątania klatek. Cóż za organizacja!

To nie zmienia faktu, że jestem wściekły. Od godziny nie wypowiedziałem ani słowa.

Potykam się, z trudnością tłumię złość na Vincenta. Maïa też milczy. Na szczęście żadne z nas nie odniosło ran, ale niewiele brakowało, żeby Aptekarka została oszpecona. Albo zagryziona. Zaciskam wargi, żeby pohamować obelgi cisnące mi się na usta. Co za egoista z tego Vincenta! Powinien nas uprzedzić.

W Dzielnicy Łacińskiej trupy szczurów zastąpiły ludzkie. Powinienem mieć się na baczności, kiedy Żołnierz zaproponował nam, żebyśmy towarzyszyli mu do ogrodu botanicznego, gdzie miał prowadzić negocjacje z Wybawicielami. Wracam myślami do chwili, kiedy puścił wózek i chwycił karabin. Do momentu, kiedy wściekłe ujadanie zaczęło się do nas zbliżać. Gdy pojawiły się pitbule. Kiedy Vincent wrzasnął: „To Gang Pożeraczy! Zajmę się nimi”. Brytany nas otoczyły, a on rozpoczął bitwę. Byliśmy ofiarami bandy faszystów i ich oszalałych zwierzaków, tresowanych na zabójców.

Vincent wiedział, że dojdzie do starcia, ale nas nie uprzedził. Posłużył się nami. Zabił z dziesięć psów i ich trzech właścicieli. Ja użyłem Sztyletu, żeby bronić Maï. Dostaję gęsiej skórki na wspomnienie skinheada z ogoloną głową, w bojówkach w kolorze khaki i martensach, który poszczuł na nią psy. Zabiłem go własnymi rękami, skoczyłem na niego, kiedy chciał rzucić Maïę swoim bestiom na pożarcie. Wbiłem mu Sztylet w serce, tymczasem Vincent strzelał do ostatnich żywych pitbuli. Zabiłem człowieka. Żeby uratować Maïę.

Co za rzeź.

Nigdy nie zapomnę dzikiego, zacieklego, nieugiętego wyrazu twarzy Vincenta, kiedy zabijał dwóch uciekinierów, nie dając im najmniejszej szansy na przeżycie.

Żołnierz nie bez powodu otrzymał swoje przezwisko. Mógł ich oszczędzić. Powinien ich oszczędzić.

Wrócił do nas, zawiesił karabin na ramieniu, zapytał mnie, czy wszystko w porządku, i kopnął trupy psów, żeby sprawdzić, czy zwierzęta rzeczywiście są martwe.

– Dlaczego zabiłeś tych dwóch ostatnich?

Zadałem pytanie wbrew sobie, nie mogłem się powstrzymać.

– Bo dobrze znam Pożeraczy. Dużo ich jest. Ta banda zebrała większość dawnych skór i faszołi, którzy przeżyli atak wirusa. Wiedziałem, że będą chcieli nas zaatakować między ulicą Cardinal-Lemoine a kościołem św. Genowefy. Zajęli były liceum Henryka IV. W ogrodzie trzymają swoje kundle.

– A jednak poszliśmy tą drogą.

– Tak. Powiem ci coś jeszcze gorszego. Byłem niemal pewny, że kiedy nas zobaczą, wypuszczą za nami psy.

Naprawdę miałem ochotę mu wtłuc. Czy rozumie, że nas zmanipulował, okłamał i wbrew naszej woli wmieszał w bezlitosną bójkę?

– Nie dziś to jutro przyszłoby, Jules, żeby cię zamordować – ciebie albo kogoś innego spośród nas. Przynajmniej byłem na miejscu i was obroniłem. O dziwo, nie najgorzej mi poszło – kontynuował.

Koniecznienie chciał się na nich zemścić za Katię. A może chciał przynieść jej w dowód zwycięstwa głowę wodza ich gangu, na wzór barbarzyńskich wojowników? Odwracam się w jego stronę, a na jego twarzy natychmiast pojawia się wyraz odprężenia, rozjaśnia ją szeroki uśmiech. Cholerny, porozumiewawczy, szczerzy uśmiech.

– Jules, stary, ty nigdy nie umiałeś ukrywać uczuć! Gdybyś zobaczył swoją minę! Można by powiedzieć, że jesteś bykiem na arenie. Jesteś wkurzony na mnie, bo cię nie uprzedziłem. Ale ja działałem strategicznie – kiedy Pożeracze zobaczyli, że jest nas troje, poszczuli nas większą liczbą psów, więc mogłem ich więcej ubić.

– I naraziłeś nas na jeszcze większe niebezpieczeństwo...

– Z moim karabinem niczego nie ryzykowaliśmy. Nie martw się, nad wszystkim panuję. Śledzę ich już od jakiegoś czasu, znam ich słabe strony. Nie mają żadnej taktyki, to są buraki.

Patrzę na niego bez słowa, a potem pytam cicho:

– Jérôme o tym wie?

– Tak, Jérôme musi wiedzieć o wszystkim, to Lider.

– Lider, który wysłał nas na pewną śmierć?

– Jest wojna, Jules, nie zrozumiałeś jeszcze, że jesteśmy na wojnie?

Kiedy tylko słowa Vincenta wybrzmiały niczym nieodwołalny wyrok, warkot eskadry helikopterów skłonił nas do podniesienia głów. Maszyny unoszące się nad dzielnicą rozrzuciły setki kartek papieru. Jedna z nich upadła u moich stóp. Podnoszę ją – to ulotka.

Zdumiony czytam wydrukowany na niej tekst:

Począwszy od 1 grudnia na ulicach Paryża wprowadza się godzinę policyjną od 18.00 do 7.00. Wszystkie osoby przebywające poza Z-Punktami po godzinie 18.00 zostaną aresztowane lub zastrzelone, jeśli nie zastosują się do wezwania. Wprowadza się także zakaz gromadzenia się w dzień, posiadania i używania broni, przemieszczania się pojazdami motorowymi. Stanowczo zaleca się przyłączenie do jednego z Z-Punktów, gdzie można skorzystać ze zrzutów z helikoptera.

30 listopada, południe

Wszyscy siedzimy wokół stołu nad suszoną wieprzowiną z soczewicą. Jest to ostatnie znalezisko Cédrica, dokonane w magazynie 19. dzielnicy – setki puszek z konserwami dla miejskich stołówek szkolnych! Rozrzucenie ulotek informacyjnych skłoniło Jérôme'a do rozpoczęcia dyskusji na temat godziny policyjnej mającej wejść w życie 1 grudnia. Czyli jutro. Od trzech dni jest to główny temat naszych rozmów.

– Godzina policyjna to wyraźny znak przejmowania władzy przez armię. To stan wojenny, odtąd wojsko będzie pilnować porządku.

Po wypowiedzi Lidera zapada ciężka cisza.

– Ale wolno nam mieszkać w komunie?

– Mamy prawo żyć poza Z-Punktami, nie wolno nam jednak wychodzić po osiemnastej ani posiadać broni. Odtąd czyny te będą zagrożone więzieniem.

Séverine siedząca obok Jérôme'a woła:

– Ale przecież nie uda nam się przeżyć bez broni poza Z-Punktami. To niemożliwe. Będziemy zdani na łaskę innych gangów. Wojskowi nie wiedzą chyba, co mówią!

Jérôme patrzy na nas z powagą, po czym odpowiada, ważąc każde słowo:

– Wprowadzenie zakazu posiadania broni to sprytny sposób na zmuszenie nas do dołączenia do jednej ze stref przegrupowań. Armia nie zamierza oddać nastolatkom nawet odrobiny władzy, ponieważ traktuje nas jak dzieci, a więc osoby nieodpowiedzialne, potencjalnie niebezpieczne i niemożliwe do opanowania.

– Wojskowi starają się zamknąć nas w strefach, w których będziemy od nich zależni. Nie będziemy mieli żadnej możliwości obronienia się. Chcą, żebyśmy stali się ich marionetkami – gdera Vincent.

Odzywa się Maïa:

– Nie zapominajcie, że być może przenosimy filowirusa krwotocznego U4, a więc jesteśmy zagrożeniem dla innych. Władze chcą wiedzieć, gdzie przebywają żywi ludzie, żeby móc przebadać ich krew. Może starają się wyprodukować szczepionkę...

Wzdrygam się, gdy wymawia nazwę U4. Zapomniałem już, jak nazywa się wirus będący przyczyną pandemii, wcisnąłem go w ten zakątek mojej pamięci, do którego nieczęsto zaglądam. Przed oczami staje mi obraz z pierwszych dni po wybuchu epidemii. To sprawia, że zaczynam drżeć z przerażenia. Z mroków pamięci wyłania się postać dziennikarki z twarzą osłoniętą chustą. Przez długi czas mnie nawiedzała. Zmarła na moich oczach, a jej śmierć była na żywo transmitowana przez internet. W ciągu kilku minut została sparaliżowana. Pamiętam jej twarz wykrzywioną grymasem paniki, zanim zaczęła pluć krwią przed kamerami. Upadła i w tym samym momencie przewróciła się kamera, obraz zaczął drgać, a obiektyw skierował się w stronę szarego podłoża. Później usłyszałem coś jakby rżenie agonalne kamerzysty i reporterki – makabryczny podkład dźwiękowy dla absurdałnego obrazu betonu.

Patrzemy po sobie ze świadomością, że musimy szybko podjąć niezwykle ważną decyzję: dołączyć do Z-Punktu czy zostać poza tą organizacją. A jeśli sytuacja się zaostrzy, zgodzić się na to, że będziemy żyć poza prawem.

Jérôme ponownie zabiera głos:

– Trzeba zrobić głosowanie.

– Rozważmy wszystkie za i przeciw.

– Co przemawia za wstąpieniem do Z-Punktu?

– Będą nas tam żywić!

– Weźmiemy udział we wspólnej odbudowie świata.
– Będziemy chronieni przed gangami, odzyskamy jakiś rodzaj poczucia bezpieczeństwa. Zaczynamy kolejno udzielać odpowiedzi. Każdy ma swoje argumenty. Jérôme wysłuchuje każdego.

– Dobrze, a teraz jakie są zalety pozostania w komunie?

Vincent ledwie pozwala mu dokończyć zdanie:

– Nie staniemy się pionkami wojskowych. Przyłączenie się do Z-Punktu oznacza zgodę na utratę wolności. A także oddanie naszego życia w ręce żołnierzy. Będziemy musieli słuchać ich rozkazów, jak ci, którzy sprzątają ulice Paryża pod nadzorem uzbrojonych wojskowych.

Katia, która dziś znów nie chciała zdjąć opatrunku, z niezwykłą zapalczywością podejmuje temat:

– Jeśli zostaniemy razem, będziemy mogli sami wybrać, jak chcemy żyć, i odbudować taki świat, o jakim marzymy.

Ja też nie chcę, żeby armia decydowała o tym, jak mam żyć.

– Maïa, Jules, jakie jest wasze zdanie?

– Jeśli pójdziemy do Z-Punktu, zostaniemy rozdzieleni. Zapewne nie będziemy mogli żyć razem, nie dostaniemy na to zgody – zauważa Aptekarka poważnym tonem.

– Tak, niewielkie są szanse na to, żeby w Z-Punkcie pozwolili nam funkcjonować jak w komunie. To są bardziej sypialnie, do których dostawia się łóżka w miarę pojawiania się nowych członków.

Nie chcę, żeby nas rozdzielono, nie chcę nikomu oddać opieki nad Alicją.

– A Alicja, co się z nią stanie? Czy Jules zachowa prawo do zajmowania się małą?

Maïa pomyślała o tym samym co ja. Coraz bardziej jestem przekonany, że chcę pozostać w komunie. Nie wspominając o spotkaniu wyznaczonym przez Khronosa na 24 grudnia. Muszę któregoś dnia poruszyć ten temat z Jérôme'em i Vincentem.

– Z-Punkt nie może pełnić funkcji rodzinnych. To jest kolektywna organizacja wojskowa. Być może będą tam budynki przeznaczone dla ocalałych dzieci? – rozważa Maïa jeszcze bardziej ponurym głosem.

Przygotowuję się do pociągnięcia tego wątku dalej, kiedy w słowo wchodzi mi Séverine:

– A Cédric? On też powinien wziąć udział w naszej dyskusji.

Jérôme marszczy brwi, wzdycha, włącza krótkofalówkę przypiętą do paska i łączy się z Cédrikiem, który sprawuje wartę na tarasie.

– Halo, Cédric? Odbiór!

– Odbiór, pięć na pięć.

– W nawiązaniu do tego, o czym mówimy od trzech dni, przeprowadzam głosowanie. Czy chcesz dołączyć do Z-Punktu?

Żaden dźwięk nie wskazuje na to, by pytany udzielił odpowiedzi. Lider marszczy czoło, zirytowany trzaskami dochodzącymi z krótkofalówki.

– Cédric? Halo?

– Wstrzymuję się od głosu.

Kucharz wstrzymuje się od głosu? Nic nie mówię. Jérôme wzrusza ramionami. Mówi krótko: „W porządku, zrozumiałem” i wyłącza sprzęt. Potem robi podsumowanie wszystkiego, co zostało powiedziane.

– Jasne wydaje się, że jeśli przystąpimy do Z-Punktu, nie tylko oddamy wojskowym prawo do decydowania o naszym życiu, lecz także zrobimy to w ciemno. Nie wiemy, kim są ludzie, którym je powierzamy. Ryzykujemy, że będziemy musieli słuchać okrutnych rozkazów, utracimy prawa i będziemy podlegać arbitralnym decyzjom. Nie będziemy też w stanie bronić się

przed skierowanymi przeciwko nam aktami przemocy.

Pozwala, by na chwilę zapadła cisza, a następnie znów zaczyna mówić poważnym, modulowanym, odrobinę chrapliwym głosem, który wymusza szacunek i zapewnia charyzmę.

– A ja przede wszystkim pragnę świata, w którym będę się czuł wolny. Po tych wszystkich okropieństwach, które przeszliśmy, to jedyne, co podtrzymuje we mnie chęć życia.

Głos mu się załamuje. Domyślam się, że myśli o ostatnich słowach swojej matki, o obietnicy, którą jej złożył. Séverine kładzie dłoń na jego dłoni, a on jej nie odtrąca.

– Proponuję wam, żebyśmy zostali razem, żyli ze sobą w zgodzie i liczyli tylko na siebie. Żebyśmy wybierali to, co uznamy za słuszne, i włączali w nasze szeregi tych, którzy zechcą przyjąć nasze zasady. Ta decyzja być może będzie oznaczała konieczność opuszczenia Paryża. Obawiam się, że w niedalekiej przyszłości armia zaostrzy swoje stanowisko. Osiedlimy się w miejscu, gdzie będziemy mogli swobodnie żyć, z dala od wojskowych. Czy jesteście gotowi głosować przez podniesienie ręki?

Opuścić Paryż? Ależ nie, nie możemy tego zrobić przed 24 grudnia. Muszę powiedzieć Liderowi o spotkaniu pod wieżą Zegarową, przekonać go do pozostania w stolicy do tego decydującego dnia. Kiwamy zgodnie głowami.

– Kto głosuje za pozostaniem w komunie? – pyta Jérôme uroczystym głosem.

Wszystkie ręce się podnoszą. Wszystkie poza jedną.

30 listopada, wczesne popołudnie

– Iso, wolałabyś przyłączyć się do Z-Punktu? – pyta Lider spokojnie.
– Tak. Czułabym się bezpieczniej. Nie chcę opuszczać Paryża. Mam nadzieję odnaleźć kilka osób z mojej rodziny...
Tylko ja wiem, o kogo dokładnie chodzi.
– Doskonale rozumiem twoją decyzję. Kiedy chcesz od nas odejść?
– Dzisiaj, jeśli to możliwe.
– Czy kiedy się tam znajdziesz, będziesz przekazywać nam informacje na temat funkcjonowania Z-Punktu i rozkazów wydawanych przez wojskowych?
Na twarzy Bibliotekarki maluje się wdzięczność.
– Uratowaliście mi życie, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wam pomóc.
Jérôme wyraża zgodę krótkim kiwnięciem głowy i znów przybierając władczy ton, zwraca się do Vincenta.
– Czynię cię odpowiedzialnym za wstąpienie Isy do Z-Punktu, a później za utrzymywanie z nią kontaktów.
– Dam radę, nie ma sprawy – odpowiada Żołnierz.
Vincent nie potrafi ukryć radości z powierzenia mu nowej misji. Potrzebuje adrenaliny, to ona go napędza. Jest niemal uzależniony od przeprowadzania niebezpiecznych akcji. Im bardziej misja wydaje się niemożliwa do wypełnienia, tym bardziej go podnieca i z tym większą chęcią Żołnierz rzuca się w wir walki.
– Szarżujący, może byś posłuchał choć trochę, o czym mówimy?
Lider przywołuje mnie do porządku. Jest gorszy niż nauczyciel pilnujący, żeby uczniowie koncentrowali się podczas lekcji. Jego sposób zwracania się do mnie za pomocą przydomka nie jest do końca życzliwy. Wyczuwam w nim nutę ironii. Jérôme widzi wszystko, zawsze jest w pogotowiu. Czasem odnoszę wrażenie, że wie, co każdy z nas myśli w danej chwili.
– Musimy ustalić plan na najbliższe tygodnie. Od dziś będziemy zachowywać całkowitą dyskrecję. Trzeba będzie unikać wychodzenia w nocy.
Milknij, żeby mieć pewność, że słuchamy go odpowiednio uważnie.
– Po za tym od dawna szukam sposobu ewakuacji na wypadek nagłego zagrożenia.
Vincent porusza się na krześle z zatroskaną miną.
– Żołnierzu, co się dzieje? Coś cię niepokoi?
– Tak. Myślę, że przede wszystkim musimy pilnie zająć się jeszcze poważniejszym problemem.
– O czym mówisz?
– Od jutra to niebezpieczeństwo zawiśnie nad naszą komuną.
Wszyscy wstrzymujemy oddech, ogarnięci złymi przeczuciami.
– Logan, były przywódca Gangu 16. Dzielnicy, jest jednym z kierowników Z-Punktu. To oznacza, że jeśli zostanie włączony do dowództwa wojskowego, prawo wojenne da mu od jutra możliwość mszczenia się na nas.
Jérôme słucha go z uwagą i zachęca do kontynuowania.
– Ten facet jest pozbawionym litości zboczeńcem.
Spojrzenie Vincenta wyraża smutek i złość.
– Miałem okazję dobrze go poznać.
Na razie jeszcze nic nie rozumiem, ale Vincent nagle zwraca mocno zmrużone oczy w moją stronę.

– To on dał twojemu bratu twarde narkotyki.

Tego się domyślałem.

– Wiedźcie, że Logan ani przez chwilę nie zawaha się donieść wojskowym, że trzymamy nielegalną broń. Odparliśmy atak jego gangu, zabiliśmy kilku jego ludzi, upokorzyliśmy go, więc przy pierwszej okazji wytępi nas jak robaki. Jest zawzięty i pamiętliwy. I wie, gdzie mieszkamy.

Jego argumentacji nie da się podważyć. Coraz bardziej gwałtowny sposób mówienia oznacza niekłamaną niepokój, co u Vincenta jest rzadkością. To wszystko sprawia, że po ple-cach przechodzą mi ciarki.

– Jeśli ma dostęp do broni w szpitalu Salpêtrière, bardzo szybko będzie mógł otoczyć się najemnymi zbirami. Jest w stanie założyć tajną milicję.

Z trudem przełykam ślinę. Myślę o tym, co powiedziała Isa – Pierre nadal jest pod wpływem Logana.

– Nie możemy pozwolić, żeby wisiało nad nami takie niebezpieczeństwo – podsumowuje Vincent.

Żołnierz milknie w oczekiwaniu na to, że Jérôme wyrazi swoje zdanie, które będzie miało moc rozkazu. Lider przez chwilę zastanawia się nad słowami swojego kumpla, który w nazbyt oczywisty sposób pragnie zwycięstwa. Później jego wzrok zatrzymuje się na mnie, jakby rozważał, jaką taktykę najlepiej zastosować.

– Szarżujący, Żołnierzu, proponuję, żebyście współpracowali ze sobą.

Moją ostatnią misję z Vincentem Maïa niemal przypłaciła życiem i pozostało mi po niej uczucie rozgoryczenia. Wzdycham.

– Musimy zakończyć sprawę z Loganem, zanim nas zadenuncjuje albo przeprowadzi kontratak – dodaje Jérôme, żeby mnie przekonać.

Alicja wciska swoją rączkę w moją dłoń. Z pewnością wyczuwa powagę tego, co się dzieje. Oczy Żołnierza błyszczą z niecierpliwości. W końcu będzie mógł wyruszyć na wojnę ze swoimi największymi wrogami.

– Jutro tam pójdziecie. Znajdziecie Logana i go zabijecie.

To jest rozkaz, nie mam innego wyjścia, niż go posłusznie wykonać.

30 listopada, popołudnie

Osiągnąwszy swój cel, Vincent kieruje się w stronę drzwi i ręką daje znak Bibliotekarce.

– Idziesz, Iso? Musimy ustalić, w jaki sposób będziemy się porozumiewać, kiedy znajdziesz się w Z-Punkcie. Trzeba umówić miejsce i godzinę spotkań. Wyjaśnię ci, co mam na myśli.

Isa wstaje od stołu i obrzuca nas łagodnym spojrzeniem, w którym dostrzegam chyba melancholię. Odejście nie jest takie proste. Gładzi Maleńką po włosach. Dziewczynka grzecznie siedzi między mną a Maią i karmi swoją małą. W pewnej chwili łapie Bibliotekarkę za rękę i całuje we wnętrze dłoni. Isa zaciska rękę w pięść.

– Widzisz, Doro, złapałam twojego całusa.

To niesamowite, jak bardzo Maleńka zmieniła się w ciągu tych kilku dni. Odnalazła się w komunie, nawiązała z każdym więzi, o których istnieniu być może nawet nie wiem. Bez wątplenia zbliżyła się do Isy. To logiczne, Bibliotekarka często przebywała w kamienicy i dała jej nowe książki o Dorze Małej Podróżniczce. Zanim nas opuści, muszę jeszcze zadać jej pewne pytanie.

Wstaję od stołu tak gwałtownie, że Maia i Alicja aż podskakują.

Vincent i Isa już schodzą ku arsenałowi na parterze.

Pędzę po schodach. Odwracają się na odgłos moich pospiesznych kroków.

– Jules? Wszystko dobrze? Co się z tobą dzieje?

– Muszę porozmawiać z Isą.

– Z Isą?

Przytakuję.

– No dobra, macie pięć minut, przygotowuję potrzebne materiały.

Vincent zostawia nas samych i zielonobrazowe oczy Bibliotekarki kierują się w moją stronę.

– W tym tygodniu znów udało mi się spotkać z twoim bratem w Z-Punkcie.

Staram się opanować emocje, ale pod wymuszonym uśmiechem bezwiednie zaciskam szczęki.

– Nadal ćpa?

Dziewczyna odpowiada z wahaniem:

– Został jednym z najważniejszych zastępców Logana.

Sposób, w jaki odpowiedziała na moje pytanie, jest dla mnie wystarczającym dowodem, że mój brat nie przestał dawać sobie w żyłę.

– A więc będziesz teraz podwójnym agentem.

Jestem sarkastyczny. Nie mam wątpliwości, że idzie do szpitala, bo nadal kocha Pierre'a. Przez chwilę wydaje się zbita z tropu, ale mi odpowiada:

– Wręcz przeciwnie, chcę go przekonać do naszej sprawy, on naprawdę może się zmienić.

Jej słowa mnie drażnią. Nie chcę rozpalać w sobie najmniejszej iskry nadziei, to za bardzo boli.

– Dużo rozmawialiśmy. I... za każdym razem pytał o ciebie.

Przygryzam wargę, żeby ukryć zmieszanie. Pierre'a nie powinno być w pobliżu, kiedy zajmujemy się Loganem.

– A ty, Iso, jak przyłączyłaś się do komuny?

– Byłam bliską przyjaciółką Marie, siostry Vincenta, dzięki niej się tu znalazłam. To on mi uratował życie, kiedy z Marie...

Żołnierz wtrąca się bez pardonu.

– Wybaczcie, że wam przerywam tę pasjonującą rozmowę, ale teraz musimy zorganizować twoje odejście do Z-Punktu.

Chwilę przed oddaleniem się Isy szepczę do niej:

– Przypilnuj, żeby jutro, kiedy będziemy w Z-Punkcie...

Nie mam czasu dokończyć zdania, Żołnierz prowadzi ją bez ceregieli w kierunku zbrojowni. Nie wiem nawet, czy mnie usłyszała.

Wchodzę w zamyśleniu po schodach i popycham pierwsze z brzegu drzwi do sypialni. Anakin, który wyraźnie przytył, ociera się, mruczając, o moje nogi. O ile Lego zapuszcza się na wszystkie piętra, o tyle kot Jérôme'a nigdy nie opuszcza tego wypełnionego łózkami pokoju. Maïa i Alicja pewnie zostały w jadalni. Aptekarka lubi wypić kawę przy kominku.

Niedługo wybije czwarta po południu, muszę zmienić Cédrica na warcie. Często pełni straż w godzinie posiłków, wchodzi na dach kamienicy, skąd – jak twierdzi – można skuteczniej obserwować okolicę za pomocą lornetki, gdy nikt nie pilnuje bramy. Żołnierz zdradził mi, że Cédric specjalnie szuka odosobnienia. Jérôme częściej niż innym pozwala mu wybierać to miejsce obserwacji. Odnoszę wrażenie, że nasz kucharz coraz bardziej trzyma się na uboczu. Kiedy nie szuka zaopatrzenia na zewnątrz, przechodzi z kuchni na posterunek samotnego strażnika. Dlaczego wstrzymał się od głosu? Kiedy przestał być towarzyski? Przecież był taki wówczas, gdy przyłączyłem się do komuny. Czy coś mi umknęło?

Z mieszkania naprzeciwko docierają do mnie jakieś głosy. Wchodzę do środka. Rozpoznaję śpiewny głos Séverine i chrapliwy Jérôme'a. Są ukryci za jednym z regałów w salonie, ale cień, który rzucają na podłogę, wskazują, że się obejmują. Możliwie najdyskretniej wycofuję się i wchodzę na drugie piętro. Aptekarka zmusza Maleńką do zjedzenia obranego jabłka. Wszyscy pozostali wyszli z kamienicy.

Zajmuję miejsce między nimi. Maïa mnie obserwuje, nie ukrywając zaciekawienia.

– Co robiłeś? – pyta szeptem.

– Chciałem o coś zapytać Isę. Kilka lat temu chodziła z moim bratem...

– Naprawdę? A to dobre! Nie rozpoznała cię?

Uśmiecham się do niej, dla żartu napinając mięśnie ramienia.

– No nie, można by pomyśleć, że nieźle przypakowałem, co?

Wybucha śmiechem, co skłania mnie do dalszych wygłupów.

– Bo chyba nie chodziło o moją klatę!

I wskazuję oskarżycielskim gestem swój brzuch. Dobrze mi to robi: miło jest pośmiać się ze swoich problemów z nadwagą. Trzeba powiedzieć, że po raz pierwszy udaje mi się zrobić to z taką beztroską. A w śmiechu Maï słyszę tylko życzliwość. Mam teraz mniej kompleksów niż wcześniej. Zresztą chyba trochę schudłem, skoro mniej jem i cały dzień się ruszam, zamiast siedzieć nieruchomo przed monitorem. Bardziej przypominam teraz krzepkiego robotnika niż bulimicznego nerda. „Uważaj, Jules, powinieneś słuchać mamy, uprawiać sport i przestać przesiadywać całe dni przed komputerem. Robisz się tusty!” Pierre często mi to powtarzał przemądrzałym tonem w obecności mamy, wielki miłośnik siłowni...

No dobra, teraz moja kolej, żeby objąć wartość.

Zamierzam już wstać od stołu, kiedy nagle czuję rączkę Maleńkiej na swoim brzuchu.

– Diego ładny, Diego ładny, Diego ładny.

Proszę, to proste jak drut, Alicja właśnie wymówiła swoje pierwsze słowa poza „Dora”, „byczek Benek” i „Diego”. To słowo to „ładny” i odnosi się do mnie.

1 grudnia, popołudnie

– Nie można ufać Loganowi, jest zdolny do najgorszego – przestrzega mnie Vincent, kiedy zbliżamy się do szpitala.

Zastanawiam się, co go łączy z byłym szefem Gangu 16. Dzielnicy. Być może zwierzył się z tego Jérôme'owi?

– Badałem, w jaki sposób działa Z-Punkt – ciągnie Vincent, zatrzymując się przy nadziemnej stacji metra – ale nie wiem do końca, jaką rolę odgrywa w nim Logan. Nie mam pojęcia, czy armia powierzyła mu jakieś ważniejsze funkcje. Będziemy kierować się instynktem. Wierz mi, w wypadku takiego sadysty to najlepsza metoda. Jest całkowicie nieprzewidywalny i wiecznie naćpany.

– Naćpany? Myślałem, że pozostaje czysty, żeby lepiej dowodzić swoją armią ćpunów.

– Nie bierze hery, za to zażywa substancje, które wyzwalają i potęgują agresję.

Wozy pancerne patrolują bulwar l'Hôpital, wojskowi przez głośniki przypominają o godzinie policyjnej i nakłaniają nastolatków, żeby udali się do najbliższej sortowni, gdzie zostaną zbadani, nakarmieni, zidentyfikowani, a następnie umieszczeni w jednym z dwudziestu stołecznych Z-Punktów. Po raz pierwszy powierzono mi misję zabicia człowieka. Choć jest on okrutny, ta misja strasznie mnie przeraża. Nie wiem, czy Vincent też się boi, ale łapie mnie za nadgarstek.

– Jules... – szepcze z powagą.

Nie ma żadnego powodu, żeby ściszać głos. To znaczy, że on też się boi.

– Ten facet na początku epidemii, kiedy tylko zrozumiał, że nie umrze za chwilę, namówił sporo zagubionych nastolatków, żeby się naćpali. Zapewniał ich, że to daje ochronę przed śmiercią. Później zmuszał dziewczyny do... Rozumiesz, o czym mówię? A na końcu oddawał je swoim zbirom.

Głos mu się załamuje, tak mocno ścisza mnie za przedramię, że aż sprawia mi ból. Jego palce przez rękaw kurtki niemal zagłębiają się w moim ciele. Nie odrywa ode mnie oczu, zaczynam się bać, że pochłonie mnie bezmiar wściekłości i rozpacz, które w nich odnajduję. Kiwam głową, serce wali mi jak szalone. Nadal nie powiedział nic o swojej siostrze, nie zdradził, czy umarła ani w jaki sposób. A jeśli...?

Milczymy przez kilka sekund, na jego twarzy widzę niezgłębiony smutek. Niepotrzebne są już słowa, wie, że dokładnie zrozumiałem, jak stracił siostrę i kto ją zabił. Vincent, bądź co bądź syn gliniarza, nie spocznie, dopóki nie dopadnie tego oprycha.

– Mój ojciec zatrzymał Logana za handel narkotykami. Ten gnojek robił to na oczach policji, ale jego rodzice, bogaci burżuazy, nie dopuścili do tego, żeby stanął przed sądem. Tym bardziej, że jego ojciec był sędzią śledczym. Wyobrażasz sobie coś takiego?

Odwraca się i wielkimi krokami kieruje w stronę dawnego szpitala, zmuszając mnie, żebym za nim pobiegł. Więcej nic nie powie na ten temat. Znam go. Dzisiaj pomści siostrę. I spieszy się, żeby dokonać zabójstwa.

Wchodzimy przez główną bramę, idziemy wzdłuż pierwszego trawnika zamienionego w warzywniak, gdzie krząta się kilkoro nastolatków. Atmosfera wydaje się raczej pokojowa, nigdzie nie widzę wojskowych. Przejście, które prowadzi w stronę kościoła i skweru, nie jest nawet strzeżone. Tym lepiej. Nikt nie będzie nas obszukiwał ani sprawdzał, czy mamy ze sobą broń. W ogóle nie są zorganizowani w tym Z-Punkcie. A przecież powinni się obawiać napadu gangów. Możliwe też, że żołnierze się poukrywali. Około dwudziestu nastolatków przenosi paczki z helikopterów do kościoła. Podnoszę oczy w stronę dzwonnicy i dostrzegam lufę

karabinu. Na wieży stoi uzbrojony żołnierz. Z wysoka ma dobry punkt obserwacyjny, obejmujący cały Z-Punkt i okolice. Wskazuję go dyskretnie Vincentowi, który potakująco kiwa głową.

– Widziałem – odpowiada cicho.

Jak mu się udaje zgrywać tak rozluźnionego, a jednocześnie być na tyle skupionym, żeby dokładnie rozpoznać każdą część tego terenu? Moją uwagę przyciąga kolejka. Młodzi stoją przed chłopakiem w kamizelce odbłaskowej, który notuje informacje w zeszytce. Vincent nagle się odwraca i daje mi dyskretnego kuksańca.

– Ten, który dokonuje rejestracji przybyłych, niski blondyn ze spiczastym nosem, to właśnie jest Logan.

OK, rozpoznałem go. I co teraz? Jaki jest plan?

– Przede wszystkim nie może mnie zauważyć. Chodź, pójdziemy do budynku przy bulwarze Vincent-Auriol. Isa powiedziała mi, że tam znajduje się jej sypialnia.

Skrećamy w kierunku alei otoczonej dwupiętrowymi barakami z cegły. Mijamy dwóch młodzieńców, którzy rzucają w naszym kierunku niezbyt przyjazne spojrzenia. Nie bardzo mi się to podoba. Zaciskam dłoń na rękojeści Sztyletu u paska. Vincent się odzywa:

– Cholera, spadamy...

Jeszcze zanim skończył zdanie, czuję, że ktoś łapie mnie od tyłu. Niski chłopak chwytając mnie za rękę, każe stać bez ruchu i zabiera broń.

– Pójdiesz ze mną grzecznie albo wbiję ci w brzuch twój własny nóż.

Vincenta też złapali, jest błydy ze wściekłości. Mały śmieje się szyderczo.

– No proszę, stary, gnat! Ilustrzałowcy?

Żołnierz nie odpowiada. Chłopak, który go prowadzi, wzrusza ramionami.

– Jeśli pójdziecie spokojnie, nic się wam nie stanie. W przeciwnym razie doniesiemy żołnierzom, że mieliście przy sobie nielegalną broń. Nie mają litości dla tych, którzy ją noszą.

A oni, kogo słuchają? Dokąd nas prowadzą? Coś w ich sposobie mówienia każe mi sądzić, że nie są na usługach armii. Nasza pięcioosobowa grupka idzie wzdłuż skweru. Rzucam okiem w miejsce, gdzie nagle pojawia się Logan. Przygotowuje się do wbicia igły w udo jakiegoś nastolatka. Jest tak bardzo skoncentrowany na tej czynności, że nie podnosi głowy.

Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że z całym wydarzeniem nie ma nic wspólnego.

Prowadzą nas w kierunku kościoła. Omijamy główne wejście przeznaczone do transportowania żarcia i idziemy w stronę ukrytych bocznych drzwi. Prowadzący nas chłopak przekręca klucz w zamku i napiera na drzwi ramieniem, a pozostali wpychają nas do środka. Schodzimy kilka stopni i lądujemy w ciasnym pomieszczeniu. Wydaje się ponure mimo białych kamiennych ścian. Nie ma w nim żadnego okna. Domyślam się, że to stara zakrystia. Zegar na dębowym kredensie wskazuje czwartą po południu. Jego tykanie rozbrzmiewa w pomieszczeniu. Tik-tak, tik-tak. Stół, trzy krzesła. Tik-tak. Drzwi z drugiej strony pokoju z pewnością prowadzą do kościoła.

Vincent ma nieodgadniony wyraz twarzy. Zauważam, że bardzo prosto się trzyma. Ma napięte mięśnie, gotuje się do skoku. Zdenerwowanie zdradzają tylko ciemnoniebieskie, niemal czarne żyły na jego skroniach, zaciśnięte usta i ledwie widoczne napięcie szczęki. Strażnicy każą nam usiąść i związują nas. Tik-tak, tik-tak. Siedzimy odwrócenymi plecami do drzwi, którymi weszliśmy. Jesteśmy więźniami zdanymi na łaskę tych, którzy nas pojмали.

Kim są? Z czyjego rozkazu działają? Kto kazał im nas aresztować?

1 grudnia, wczesny wieczór

Prześladuje mnie regularny odgłos zegara. Rozbrzmiewa w niewielkim pomieszczeniu i świdruje mi w uszach. Vincent pozostaje w całkowitym bezruchu, ma zamknięte oczy. O czym myśli? Nikt nam nie powiedział, co nas czeka. Zaczynają mi drętwieć ręce. Ten, który zabrał mi Sztylet, wkrótce staje przede mną:

– Nie ruszaj się, grubasie.

– Na co czekamy?

Szyderczy grymas pojawia się na jego twarzy.

– Zobaczysz. Żadnych pytań.

Nie mam odwagi zamknąć oczu, tak jak Vincent. Za bardzo się boję, że zostanę zaatakowany z zaskoczenia. Vincent musi wyczuwać moje zdenerwowanie. Odwraca głowę i mówi:

– Spokojnie, Szarżujący, zdenerwowanie w niczym nie pomoże. On zaraz przyjdzie.

– On...?

– Tak, rozpoznaję jego metody i ludzi. To on za tym stoi. Lubi, żeby na niego czekano.

Następnie Vincent zapada się w sobie. To mi wystarcza. „On” to Logan.

W momencie, kiedy to zrozumiałem, słyszę skrzypienie drzwi. Domyślam się, że ktoś je otwiera. Znów skrzypią. Ktoś je zamyka, a potem przekręca klucz w zamku. Ten ostatni dźwięk brzmi dla mnie jak najgorsza groźba.

– A więc, małe gnojki, chcieliście zaatakować Z-Punkt jak nowicjusze! Niezbyt mądrze. Vincent pozostaje obojętny, wydaje się nieczuły na jego szyderczy ton.

Logan, przywódca Gangu 16. Dzielnicy, staje przed nami.

– Po co tu przyszliście?

Cisza. Słysząc tylko tykanie zegara. Rzucam okiem na Żołnierza. Skoro nie odpowiada, też będę milczał. Jestem skołowany, nie udaje mi się nawet wcielić w Spider Snake’a. Mogę działać jako mój awatar jedynie w ruchu, a nie przywiązany do krzesła w ciemnej zakrystii i zdany na łaskę zbrojnego. Nie śmiem nawet na niego spojrzeć, mógłby zinterpretować to jako prowokację. A może zrobić z nami, co mu się żywnie podoba – uderzyć, zabić. Wszystko może się zdarzyć. I to mnie przeraża.

– Na wypadek, gdybyście nie wiedzieli, nikt was stąd nie usłyszy.

To, co mówi, jest takie przewidywalne, zupełnie jak w filmie. Niestety, to nie w życiu bohatera filmowego, ale w moim realizuje się scenariusz horroru gore. Doświadczę katastrofy, tym razem na własnej skórze.

– A więc, Vincencie Malonecie, jak się miewałeś od ostatniego razu, kiedy się widzieliśmy?

Żadnej odpowiedzi, słysząc tylko zegar.

I odgłos uderzenia w twarz.

– Odpowiadaj, kiedy cię pytam, głąbie!

Znów cisza, nic poza dźwiękiem przesuwających się wskazówek i zbyt szybkim biciem mojego serca.

– No dobrze, który z was mi powie, po co tu przyszliście? Żeby mnie zabić? To ja powinienem mieć do was pretensje, ostatnio zabiliście dziesięciu moich ludzi.

Siedzę ze spuszczoną głową, nie mam odwagi się odezwać. Czekam na reakcję Vincenta.

– Spójrzcie na mnie, małe cioty, zanim się na was odleję!

Podnoszę głowę. W jego oczach dostrzegam okrucieństwo. Są jasne, ale skośne jak

u Azjaty. Poza wydatną szczęką ma drobne rysy. Podchodzi do kredensu, wyjmując klucz z kieszeni, otwiera drzwiczki i odwraca się w naszą stronę.

– Przyjrzyjcie się uważnie, mięczaki. To mój skład broni. I co? Możesz się schować ze swoimi karabinkami, synku tatusia.

Mój przyjaciel się nie porusza. Nie udaje mi się dostrzec, co znajduje się w środku kredensu. Nie mogę się powstrzymać przed odwróceniem się na chwilę w stronę Vincenta. Otwiera oczy i z kamienną twarzą mierzy wzrokiem wroga.

– Co wy sobie myślicie, że jestem w Z-Punkcie, żeby służyć armii? Mam gdzieś wojskowych i ich żalosne rozkazy. Zabronili nam noszenia broni, gnoje. Żadnych wybryków. Zgrywam więc grzecznego chłopczyka, jak przed sądem, kiedy twój cholerny ojciec mnie aresztował, jełop jeden. Nauczyłem się zdobywać plusy, kiedy trzeba.

Vincent siedzi bez ruchu.

Logan odwraca się do nas plecami. Udaje, że się waha, przeglądając półki wewnątrz kredensu. Wybiera pałkę. Przebiega mnie dreszcz.

– Od kogo mam zacząć, Vincencie?

Nie mogę powstrzymać drżenia nóg. Trzech pozostałych chłopaków zaczyna się śmiać i pokazywać mi palcami.

– Ej, patrzcie, grubas zaraz posika się ze strachu.

Logan zbliża się do mnie z triumfującym uśmiechem.

– Zgoda, zaczniemy od grubasa, który już zsikał się w gacie, wołając na pomoc mamusię. Widok kumpla, któremu dajemy wycisk, będzie dla ciebie trudniejszy do zniesienia, Vincencie!

Rzucam spojrzenie w kierunku Żołnierza. Po raz pierwszy, od kiedy przywiązali nas do krzesła, mruga. Zaciska usta, na kilka sekund traci zimną krew, ale szybko ją odzyskuje. Zamyka oczy. Pozostaje w bezruchu. Zamknięty w sobie.

– Zajmę się twoim kumplem, a ty będziesz sobie na wszystko patrzył. Zobaczymy, czy jego sadło go ochroni.

Coraz bardziej się trzęsę, a Logan nagle zadaje mi cios w bok. Później kolejne. Bije w skupieniu, z przyjemnością. Zaciskam mocno oczy, żeby nic nie widzieć, i liczę sekundy odmierzone przez wskazówki zegara. Zegar, najstarszy w Europie, miejsce spotkania Ekspertów. Chciałbym przeżyć do 24 grudnia, spotkać się z Khronosem, wyruszyć na misję w przeszłość...

Pięć sekund.

Uderzenia nie są dość silne, żeby połamać mi kości, ale wystarczająco, żeby przerwać naczynka krwionośne.

Piętnaście sekund.

Mam wrażenie, że tracę czucie w skórze.

Dwadzieścia pięć sekund.

Logan zaczyna mocniej bić.

– Otwieraj oczy, nie masz jaj, żeby przyglądać się masakrze?

W jego głosie słychać podniecenie. Zwraca się do Vincenta, który pewnie też ma zamknięte oczy, żeby nie widzieć, co Logan ze mną robi.

Trzydzieści sekund.

Czuję, że coś kłuje mnie w ramię, na powierzchni. Raz, dwa, Logan kaleczy mnie chyba czymś w rodzaju bardzo cienkich listewek. Robi mi się niedobrze. Cztery, pięć, sześć otworów. Przerazenie mnie paraliżuje, nie jestem w stanie spojrzeć, co wprowadza mi pod skórę, coraz głębiej. Siódme ukłucie. Moja skóra się rozdziera. Zimny pot cieknie mi po plecach.

Teraz wkłada mi pod skórę coś z zadziorami. Osiem, dziewięć, dziesięć.

Kręci mi się w głowie.

Tracę przytomność.

Niewyraźnie słyszę tykanie zegara, głowa mi opada. Z trudem liczę sekundy. Policzek przywraca mnie do stanu półświadomości.

Wszystko mnie boli, zwłaszcza ręce. Czy krwawię? Nie, mam poprzecinaną, zdartą skórę na przedramionach, ale krew nie leci.

Od jak dawna mnie torturuje?

Czy minęła już minuta?

Nie ma sensu łudzić się nadzieją.

Umrę.

Nagle dobiega do mnie odgłos łamanych kości.

Czy to moje?

Później dwa strzały. Ciało, które pada z łoskotem na ziemię, to on. To Logan pada u moich stóp. Otwieram oczy.

Przedemną stoi Pierre.

Za nim Isa.

Jak udało im się tu wejść? Sala tortur była przecież zamknięta na klucz.

Pierre uzbrojony jest w kij, Isa w pistolet. Mój brat uwalnia Vincenta.

Żołnierz kopniakiem otwiera drzwi kredensu, sprawdza trzy ciała leżące na ziemi. Trzy? A gdzie czwarte?

– Cholera! – krzyczę. – Jednemu udało się uciec. Ostrzeże resztę gangu!

Domyślałam się, że Isa i Pierre weszli przez drugie, teraz otwarte drzwi, prowadzące do kościoła. Na migi wyrażam Isie uznanie. Jestem przekonany, że uratowała nam życie. Zabiła dwóch zbirów Logana. Skąd wiedziała, że tu jesteśmy? Czy po raz kolejny Vincent nie wtajemniczył mnie w swój plan? Ustalił z nią wszystko wczoraj? Czy to wszystko zakładał plan, łącznie z wczorajszym przyłączeniem się Isy do Z-Punktu...? O Boże, wszystko mnie boli.

Pierre mnie rozwiązuje, obejmuje ramieniem, pomaga wstać i przyciska do siebie. Mój brat...

– Julot, cholera, jestem takim idio... Ja...

Vincent otwiera drzwi, którymi wprowadzono nas do zakrystii, i wystawia głowę.

– Kuźwa, już idą... – wysapuje, zamykając drzwi od wewnątrz na klucz.

– Dobra, ruszać się, musimy się szybko zmywać! Nie stójcie tak! Pójdziemy przez kościół, spróbujcie dyskretnie wmieszać się w tłum, zwędzić jakieś torby.

Żołnierz rusza w kierunku korytarza, kiedy nagle odzywa się Pierre:

– Za kredensem jest tajne przejście. Na bulwar l'Hôpital. To tamtędy transportuje się broń.

– OK, to zwiększa szansę ucieczki. Idziemy tamtędy – decyduje Vincent.

Żołnierz wyrzuca broń z kredensu na podłogę, żeby odsłonić przejście. Pierre trzyma mnie pod ramiona, żeby pomóc mi podejść do Isy i Vincenta.

– Pierre, poczekaj, muszę wziąć Sztylet.

Pokazuję mu swoją broń, leżącą na ziemi obok trupów. Brat uśmiecha się do mnie. Nie poznaję go, nie przypomina już upiora, to jest jego spojrzenie.

– To sztylet dziadka? Masz go ze sobą? Możesz zrobić sam kilka kroków do ściany? Podam ci go.

Robię trzy kroki i opieram się o zimną, kamienną ścianę. Mam zbyt obolałe ciało, żeby samodzielnie ustać na nogach. Patrzę na brata, który pochyla się, żeby podnieść nóż naszego dziadka. Niepokoi mnie odgłos kroków w korytarzu prowadzącym z kościoła. Chowam się za kredensem, obok Isy, która szykuje się do strzału. Napastnicy pojawiają się z hukiem serii

wystrzeliwanej z karabinu. Vincent prostuje się, wrzeszczy, strzela. Oni padają na ziemię. Rozlegają się strzały. Odgłosy strzelaniny. Ciała pokrywają podłogę. Po chwili zapada cisza. Odwracam się w stronę Pierre'a. Dlaczego się nie podnosi? Dlaczego klęczy obok trupa?

– Pierre? – wołam łagodnym głosem, ale on powoli, jakby w zwolnionym tempie, osuwa się na ziemię.

– Pierre!!! – krzyczę.

Ruszam w jego stronę, siadam obok i patrzę na niego. Krwawi z nosa. Unoszę jego głowę i kładę na swoich udach. W kurtce ma dziurę po kuli, na wysokości wątroby powiększa się plama krwi.

– Brachu, cieszę się, że mogłem zrobić coś dla ciebie po raz ostatni... Nie byłem najlepszym starszym bratem, co...

Został postrzelony, dostał kulę w brzuch.

– Nic nie mów, nic nie mów. Proszę, wyciągnijmy cię z tego.

Teraz krew wypływa mu z ust. Jego szeroko rozwarte oczy wpatrują się we mnie, wołają mnie. Nachylam się nad jego twarzą, słyszę charczenie. Przytulam go do siebie z całych sił, bardzo mocno, najmocniej jak tylko mogę.

Słyszę zduszony krzyk Isy, a później zdumiewająco łagodny głos Vincenta.

– Odwagi, odwagi. I dziękuję. Logan nie żyje. Przyszłaś w samą porę. Odwdzięczę ci się za to, możesz na mnie liczyć.

Krew Pierre'a spływa na moje spodnie.

– Tylko nie mój brat. Nie on – krzyczę bezgłośnie.

Czuję dłoń Vincenta na swoim ramieniu.

– Jules, naprawdę musimy już stąd iść.

Nie ma mowy, nikt i nic nie rozdzieli mnie z bratem. Tulę do siebie ciało Pierre'a.

– Jules, idziemy.

Tik-tak, tik-tak, znów słyszę regularne tykanie zegara. I uderzenia w drzwi od zewnątrz.

– No dobra, Szarżujący, przykro mi, ale nie mam wyboru.

Czuję uderzenie w skroń. Ogarnia mnie czerń.

2 grudnia, rano

Wszędzie wokół mnie leżą ciała, rozkładające się ciała dzieci. W kościele. Wszystkie leżą na brzuchu. Odwracam po kolei jedno po drugim – za każdym razem jest to Alicja. Padam na kolana obok jednego z ciał i nie jestem w stanie się podnieść... Chciałbym wstać, ale nie mogę, próbuję się czołgać – na próżno.

– Spokojnie, Jules, spokojnie, spadniesz z łóżka, jeśli będziesz dalej się tak rzucał. Masz koszmary, krzyczysz tak głośno, że obudzisz całą kamienicę...

Szept Maï łagodnie przenika do mojego snu. Budzę się cały zeszytywniały. Boli mnie głowa. Wszystko mnie boli. Ależ ona jest ładna...!

– Spałeś piętnaście godzin!

– Kto mnie przyniósł? Pierre...

– Vincent z Isą. Przez podziemia pod kościołem. Później włożyli cię do wózka. Isa przed godziną policyjną wróciła do Z-Punktu.

– Vincent... Uderzył mnie w głowę.

– Tak, trzeba cię było ogłuszyć. Nie chciałeś zostawić swojego...

Nie kończy zdania. Klucha w gardle nie pozwala mi wymówić ani słowa – wczoraj mój brat umarł w moich ramionach. Odnalazłem Pierre'a tylko po to, żeby go stracić. Nie mogę się z tym pogodzić, to zapiera mi dech w piersiach, mam zawroty głowy. Maïa przykłada mi dłoń do czoła, żeby sprawdzić, czy mam gorączkę.

– Mówiłeś przez sen. Wspominałeś coś o zegarze, Khronosie, spotkaniu – mówi z czułością.

– Khronos... Muszę wam o nim opowiedzieć.

W momencie, kiedy wypowiadam jego imię, nadzieja wypełnia otchłań rozpaczy wywołanej śmiercią brata. Znów pozwalam powietrzu krążyć w płucach. Eksperci i ja powstrzymamy rozpowszechnianie się wirusa. To tak, jakby Pierre w istocie nie umarł. A skoro nie umarł, mogę, a raczej muszę żyć – przynajmniej do 24 grudnia.

– Bardzo cię boli?

– Niezbyt. Czuję się wykończony.

– Nic poważnego ci się nie stało, stłuczenia są powierzchowne, żadnych złamań.

Zaaplikowałam ci maść z arniki i środki odkażające, bo jesteś też podrapany, jakby bawili się... – szepcze, do tego stopnia przeraża ją ta wizja – złobieniem skóry zaostrzonym przedmiotem. On... chyba kaleczył cię dla własnej przyjemności...

Zapadają jej się policzki, dwie wyrażające gorycz zmarszczki wykrzywają jej usta. Moje ramiona są pokryte drobnymi skaleczeniami o różnych kształtach. Niektóre są trójkątne, inne kwadratowe, jeszcze inne okrągłe. A więc wbijał mi w ciało jakieś szpikulce – może narzędzia stolarskie albo służące do rycia w drewnie lub miedzi. Ogarnia mnie fala obrzydzenia. Wolę o tym nie myśleć. Zapomnieć.

– Nie martw się, Maïu, wyjdę z tego. Jestem silny. To był człowiek chory psychicznie, ale już nie żyje.

A po powrocie z podróży w przeszłość z innymi Ekspertami WOT nie dopuszczę, żeby wyrządził zło.

– Maïu, czy ty wiesz, co się stało z Marie, siostrą Vincenta?

– Opowiedział mi, co się jej przytrafiło, tej nocy, kiedy czuwaliśmy przy tobie.

– On też czuwał przy mnie?

– Tak, czuje się winny, bo Logan torturował ciebie. Vincent wolałby, żeby zajął się nim.

Na szczęście wcześniej ustalił godzinę i miejsce spotkania z Isą. Zostawił jej pistolet na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

– Isa zgodziła się zaryzykować strzelaninę? Ryzykować zabicie kogoś albo śmierć?

– Isa była ofiarą Logana. Najlepszą przyjaciółką Marie, siostry Vincenta. On ją uratował, ale nie zdołał ocalić siostry. I tego nigdy sobie nie wybaczy.

– To wtedy wprowadził Isę do komuny?

– Tak. Była całkowicie załamana, ale zaskakująco szybko doszła do siebie. Jest silniejsza, niż się wydaje. Od początku podjęli z Vincentem decyzję, że się zemszczą. Myślę nawet, że z tego powodu zamieszkała w Z-Punkcie.

– I mówisz, że tam została?

– Tak, teraz jest naszą informatorką.

Gdybym odważył się położyć rękę na jej dłoni... Sam pomysł sprawia, że serce zaczyna mi szybciej bić.

– Gdzie jest Alicja?

– Bawi się z Lego na tarasie, pozwoliłam jej wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza, to dobrze jej robi.

– A pozostali co robią?

– Jérôme i Vincent poszli spotkać się z Gangiem Graficiarzy. Chcą im zaproponować przyłączenie się do nas. Wkrótce powinni wrócić.

– Kto sprawuje straż?

– Katia. Może się ze mną skontaktować w razie problemów.

Maia wskazuje krótkofalówkę leżącą na wyciągnięcie ręki na stoliku nocnym, a później kontynuuje:

– Séverine i Cédric poszli odebrać kury i jajka z gospodarstwa Wybawicieli w ogrodzie botanicznym.

– Katia dobrze się czuje? Zdjęła już opatrunek?

Maia zaprzecza ruchem głowy. W tym samym momencie otwierają się drzwi do izby chorych i wchodzi Jérôme.

– Szarżujący, jak się masz?

– Dziękuję, Liderze, w porządku.

Po raz pierwszy zwracam się do niego per „Lider”. Nasze przyjacielskie stosunki bez dwóch zdań ulegają poważnym zmianom. Czy skończy się na tym, że będę do niego mówił „proszę pana”? Ta myśl jest zabawna. Odwracam się w stronę Aptekarki.

– Miałem dobrą opiekę.

Nie wiem, czy to wyobraźnia płata mi figle, ale wydaje mi się, że jej policzki się zaróżowiły, a uśmiech jest wyjątkowo promienny.

– Słyszałem, jak tej nocy mówiłeś o Khronosie. To jest mistrz gry Warriors of Time, prawda? Miałeś koszmary związane z Ukraïn?

– Ty też tu byłeś w czasie moich majaczeń...? W każdym razie najwyższa pora, żeby o tym pomówić. Pamiętasz reguły WOT?

– Tak.

– Pamiętasz, że w grze można było przemieszczać się w czasie?

– Tak!

– I wiesz, że należę do Ekspertów?

Jérôme robi tylko poirotowany ruch ręką, żebyśmy przeszli do sedna. Boję się, żeby nie wyśmiali mojej naiwności. A najgorsze jest to, że ich rozumiem. Krótko opowiadam im o spotkaniu pod wieżą Zegarową.

– Gdzie jest ta wieża? – przerywa mi gwałtownie Jérôme.

– Chodzi o Conciergerie w dawnej rezydencji królów Francji, zmienionej w Pałac Sprawiedliwości. W samym centrum Paryża, na wyspie Cité.

Jérôme przytakuje i czeka na dalszy ciąg. A więc wbrew własnym obawom wyjawiam im moją nadzieję na podróż w czasie i powstrzymanie wirusa.

Maia mruży oczy, a Jérôme marszczy czoło.

– I ty rzeczywiście wierzysz, że to jest możliwe?

– Dlaczego nie? Chcę w to wierzyć. I jestem gotów to sprawdzić. Chciałem zaproponować tobie i Vincentowi, jako byłym graczom, żebyście ze mną poszli na miejsce spotkania.

Jestem prawie zaskoczony, że Jérôme nie wyśmiewa się ze mnie. Czekam na jego słowa, jakby był mesjaszem.

– Zgadza się na twoją propozycję. Osobiście nie wierzę w możliwość przemieszczania się w czasie. Jednak w tym spotkaniu widzę szansę na nawiązanie kontaktu z jednostkami o nastawieniu wolnościowym i solidarnym, skłonnyimi przyłączyć się do naszej komuny. Po wprowadzeniu stanu wojennego i zaostrzeniu kontroli przeprowadzanych przez armię potrzebujemy sojuszników. Przyznam ci się też, że jestem ciekaw, kim jest Khronos.

Jego zgoda gwarantuje, że pozostaniemy w Paryżu do 24 grudnia. Niepokojący harmider na klatce schodowej nie pozwala mi wyrazić wdzięczności. Sięgam po Sztylet leżący na nocnym stoliku. Jérôme wyjmuje pistolet i szykuje się do strzału. Poznają jednak uspokajający głos Cédrica, który z trudem stara się pocieszyć płaczącą Séverine. Lider pospiesznie kieruje się w stronę wyjścia z mieszkania, skąd dochodzi do mnie jego przerażony okrzyk:

– Co się stało? Na Boga...!

2 grudnia, popołudnie

Boli. Cholera, ale boli. Mam wrażenie, że jestem starszym chorym na reumatyzm. Całe ciało mam pokryte wybroczynami i zadrapaniami. Muszę jak najszybciej przynieść szczepionkę przeciwko wścieklicznie dla Séverine, którą ugryzł lis – być może wściekły. Jérôme jest szalenie zaniepokojony. Kazał mi iść po szczepionkę: „Weźmiesz środki przeciwbólowe i natychmiast pójdziesz do Z-Punktu. Musimy zaszcześcić Séverine przed wieczorem” – to nie ulega dyskusji. Dlaczego nie posłał Cédrica zamiast mnie? Nie ma do niego zaufania?

Powiedział, że lepiej znam to miejsce, wiem, gdzie jest apteka, i lepiej od Cédrica umiem się obronić. Jeśli chodzi o Vincenta, musi poświęcić się misji dyplomatycznej – trzeba pracować nad ewentualnym sojuszem z Graficznymi. Powiedział mi też, że tej nocy Isa załatwiła czwartego z bandy Logana. W tej wzorcowej nauczycielce kryje się istna zabójczyni. Bardziej przypomina Nikitę niż dobrą wróżkę.

Zostawiam rower pod nadziemną stacją metra i możliwie najswobodniejszym krokiem idę do dawnego centrum medycznego. Działam w trybie Spider Snake’a – jestem obojętny, pozbawiony skrpułów, skuteczny. Muszę kontrolować nawet nieregularne, przyspieszone bicie serca. Gdybym nie miał serca, byłoby mi łatwiej przechodzić obok kościoła, w którym leży mój martwy brat. Kościoła, w którym wczoraj poddano mnie torturom. Nie wolno mi o tym myśleć. Nie teraz.

Widzę żołnierza stojącego na warcie przed świątynią. Nadzoruje transport zapasów, który od wczoraj wygląda inaczej – nastolatki stoją w odległości metra od siebie i przesuwiają się regularnym krokiem. Jeśli któryś zanadto zbliża się do osoby stojącej przed nim, wojskowy końcem lufy wskazuje mu właściwe miejsce. Czy to w związku z wczorajszymi zabójstwami wprowadzono nowe, bardziej surowe reguły? Żeby uniknąć rozlewu krwi w Z-Punkcie? To wydaje mi się możliwe. Przede wszystkim na pewno odkryli skład broni, której szmugiel zorganizował Logan. Wchodzę między ludzi zebranych na trawniku. Zapewne czekają na przybycie helikoptera. Najlepiej nie rzucać się w oczy. Z Jérôme’em udało nam się wcześniej zlokalizować aptekę obok kościelnego skweru – to niewielki dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły, o lekko skośnym dachu.

Ogłuszający warkot silnika, gwałtowny pęd powietrza, wirujące liście i kurz, który osiada mi w gardle... Helikopter ląduje na zdeptanym trawniku dawnego skweru. Wychodzą z niego mężczyźni w zielonych kombinezonach. Mieszam się z grupą przenoszącą worki z żywnością i butle z wodą pitną. Potrzebuję sojusznika. Isa przechodzi w oddali, ale Vincent poradził mi, żebym nie zwracał na nią uwagi. Przede wszystkim nie wolno jej rozmawiać z członkami komuny. Teraz jest naszym szpiegiem.

Z kim mógłbym połączyć siły? Samotny chłopak przyciąga moją uwagę. Jego chuda, wydłużona sylwetka mi kogoś przypomina. Odwraca się i widzę pokrytą pryszczami twarz. No tak, teraz go poznaję, to ten błazen, którego z Vincentem i Jérôme’em spotkaliśmy na bulwarze Port-Royal. Wydał mi się wtedy sympatyczny. Ależ mam szczęście! Chyba nie ma tu za dużo kolegów. Gdy tylko mnie widzi, twarz mu się rozpromienia. Robię w jego stronę ukłon à la Ludwik XIV, a on wybucha szczerym śmiechem.

- Wszystko u ciebie dobrze?
- Tak, a u ciebie? Zdecydowałeś się w końcu przyłączyć do Z-Punktu?
- Tak, całkiem niedawno, nie znam jeszcze za dobrze panujących tu reguł... Zanieśmy razem te kanistry z wodą.
- Jasne.

Miałem rację, cieszy się z towarzystwa.

– Trzeba zanieść je do kościoła, to tam przechowuje się zapasy.

Robimy razem kilka kursów tam i z powrotem. Mój towarzysz nie zostawia mnie na krok, nie sposób się od niego uwolnić.

– Mam na imię Olivier, śpię w dawnym przedszkolu. A ty?

– Ja Jules... Sorki, jestem spóźniony. Spotkamy się wkrótce.

Ależ ten chłopak namolny! Prosi mnie, żebym pomógł mu przenieść ostatni kanister:

– Za ciężki dla mnie – usprawiedliwia się z nikłym uśmiechem.

Robię z nim ostatnią kolejkę.

– Wybacz, muszę iść przygotować kolację, mam dyżur tego wieczoru – wyjaśniam.

Widzę jego zdumioną minę. Co ja palnąłem? W Z-Punkcie nie ma dyżurów? Nie umiem kłamać.

– Zespół kuchenny jest na miejscu od czternastej, jesteś megalopóźniony, Jules!

– Kurczę, nie wiedziałem. To wszystko jest dla mnie całkiem nowe. Gdzie jest kuchnia?

– Z drugiej strony skweru, blisko wejścia od ulicy Vincent---Auriol.

– Dzięki za informacje, do zobaczenia.

Macham do niego i szybko znikam. Zanim skręcę w stronę apteki, rzucam za siebie okiem.

Przed budynkiem stoi na warcie chłopak w kamizelce odblaskowej. Nie przewidziałem strażnika. Choć ma pilnować bezpieczeństwa, nie jest uzbrojony. Czyli wojskowi nadal zakazują nastolatkom noszenia broni – nawet tym, którzy są odpowiedzialni za kierowanie Z-Punktem. Nastolatek strzeże apteki, ale nie ma możliwości obronienia się ani zaatakowania. Wyposażony jest tylko w krótkofalówkę, żeby móc się porozumieć z przełożonymi.

Spróbuję go nabrać. Spider Snake (w przeciwieństwie do mnie) jest sprawnym blagierem.

– Dzień dobry, jestem członkiem zespołu kuchennego, mam wziąć pastylki do oczyszczania wody na kolację.

– Nie ma problemu. Poproszę rozkaz podpisany przez dowódcę sekcji.

Cholera, są lepiej zorganizowani, niż myślałem.

– Eee, nie mam rozkazu, szefa nie było w pobliżu, kiedy zorientowałem się, że nie ma pastylek.

Chłopak przygląda mi się podejrzliwie.

– Nigdy cię jeszcze nie widziałem. Jak się nazywasz?

– Olivier.

– Gdzie cię ulokowano?

Nie nosi broni, ale w pamięci ma wryty cały zestaw pytań. Na szczęście ja wcześniej spotkałem mistrza ukłonów.

– W dawnym przedszkolu.

Wyjmuje z plecaka notatnik, przegląda listy nazwisk, kiwa głową.

– Olivier Mansour, czy tak?

Potwierdzam. Będę mieć dług wdzięczności wobec mojego przyszłego, samotnego, zabawnego przyjaciela.

– Idź po bon zamówienia i wróć z nim, to będziesz mógł wejść.

– Nie ma sprawy, do zobaczenia.

– Mnie już tu nie będzie, za pięć minut zmiana warty.

To mnie urządza.

Skoro nie mogę wprowadzić w życie mojego planu – za dużo biurokracji – będę musiał gdzieś się przyczołgać i poczekać, aż zapadnie noc. Dopiero wtedy wejdę do apteki.

Gdzie się schować? Szukam jakiegoś dobrego miejsca. Włóczę się po alejkach, ten teren jest naprawdę rozległy, istne miasto w mieście. To prawdziwe miasto, żywe, zewsząd dobiegają normalne głosy, które sprawiają, że dobrze się czuję, choć są tu same nastolatki. Znajduję kryjówkę w dawnym piecu do spalania śmieci. Jest bezużyteczny, nie został zarekwirowany przez wojsko. Popycham żelazne drzwiczki i wchodzę do środka. Jest tam mrocznie i chłodno, mogę się tu przyczaić.

Mam tylko nadzieję, że nie będzie za późno, żeby uratować Séverine, jeśli okaże się, że zaraziła się wścieklizną... Maïa mówiła, że pierwszy zastrzyk trzeba zrobić w ciągu kilku godzin od ugryzienia.

Noc z 2 na 3 grudnia

Godziny mijają. Noc już dawno zapadła. Żaden hałas nie zakłóca ciszy w Z-Punkcie. Wszyscy poszli spać.

Teraz moja kolej. Na wszelki wypadek wyciągam latarkę. Kieruję się pośpiesznie w stronę pozbawionego broni strażnika. Łatwizna.

– Potrzebuję pilnie antybiotyków, mamy chorego!

– Masz...

Nie pozwalam mu skończyć pytania. Nie, nie mogę mu pokazać bonu zamówienia, ale mogę – swój prawy sierpowy. I nie tylko, kiedy jestem Spider Snake’iem. Jednym ciosem pięścią powalam go na ziemię. Nie ma czasu do stracenia, wciągam go do środka za nogi i zamykam na klucz w pomieszczeniu, które kiedyś zapewne służyło jako sekretariat. Idę na piętro, gdzie przechowywane są lekarstwa. Drzwi są otwarte. Vincent mówił mi, że wszystkie zakodowane wejścia zostały otwarte przez wojskowych po ostatecznym wyłączeniu elektryczności.

W magazynie zapalam latarkę. Przeszukuję stoły laboratoryjne i szafy z lekarstwami. Wszystkie leki są opatrzone etykietami i uporządkowane według rodzajów. Wystarczy znaleźć szczepionki przeciwko wścieklicznie. Są tu antybiotyki, środki przeciwbólowe, przeciwzapalne. W końcu znajduję półkę ze szczepionkami. Jak się nazywa ta, której potrzebuje Séverine? Wyciągam z kieszeni kartkę z napisem „NOBIVAC RABIES”.

Nagle ktoś łapie mnie z tyłu, popycha i przewraca na ziemię. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie mam nawet czasu się bronić. Jestem osłabiony przez niezagojone jeszcze rany. Czuję ból, gdy tylko napastnik dotyka moich przedramion. Jęczę. Tracę oddech, nie mogę zaczerpnąć tchu – to agresor złapał mnie za gardło. Czuję się bezbronny. Wczorajsze tortury mnie wycieńczyły. Napastnik świeci mi latarką w oczy, oślepia. Kiedy w końcu rozluźnia uchwyt, czym prędzej biorę duży haust powietrza.

– Jeżeli skorzystasz z tego, żeby wzniecić alarm, to cię zabiję. Zrozumiałeś?

Ten dziewczęcy głos kogoś mi przypomina. Ach tak, poznaję ten autorytarny ton! To musi być ta ruda dziewczyna z mostu św. Michała.

– Zrozumiałem.

Próbuję coś powiedzieć, ale jestem na wpół uduszony. Mam zablokowaną krtań, a dziewczyna przyciska mnie całym ciężarem ciała.

– Czego tu szukasz? Pracujesz w tym Z-Punkcie?

– Nie, ja tylko przyszedłem po rzeczy dla moich...

Nie mam czasu, żeby skończyć zdanie, przerywają nam krzyki na zewnątrz. Ktoś musiał wszczać alarm, ryzykujemy, że zostaniemy zdemaskowani. Dziewczyna się podnosi, uwalniając mnie z uścisku, a ja – nieco skołowany – też wstaję.

– Tak zneutralizowałeś strażnika?

– Nie mogłem go zabić! To nie gra komputerowa!

– Zamknij się i idź za mną.

Ta dziewczyna mnie wkurza. Nie powinna mówić do mnie w taki paskudny sposób, ale teraz muszę jej posłuchać, bo najwyraźniej wie, jak się stąd wydostać. Szybko biorę dwie–trzy fiolki ze szczepionką przeciwko wścieklicznie i wkładam je do wewnętrznej kieszeni kurtki. Nieznajoma oświetla fragment ściany, z której zwisa sznur. Podnoszę głowę, śledząc promień jej latarki, i przekonuję się, że dostała się do środka przez szyb wentylacyjny. Dziewczyna wspina się po sznurze, żeby dostać się do wylotu dwa metry nad ziemią. Każe mi zrobić to samo, a później zabrać ze sobą linę. Waham się, nie cierpię tego ćwiczenia, w szkole byłem

beznadziejny w podciąganiu się. No dalej, odwagi, Spider Snake jest doskonały we wspinaczce. Chwytam się sznura, biorę głęboki oddech. Jak ja nie znoszę mojej nadwagi, która robi ze mnie niezdare i sprawia, że w podobnych okolicznościach zachowuję się jak ciamajda. Sapię jak miech kowalski, będzie się niecierpliwić. Uff... udało się, wszedłem.

Wychodzę na dach, przytrzymując się liny, którą zabra-liśmy ze sobą. Czołgamy się po dachu w zupełnie czarną, bezksiężycową noc. Z dołu dochodzą do mnie odgłosy kroków i rozkazy wydawane przez patrol. Dziewczyna skręca w lewo, po przejściu kilku metrów spuszcza się po sznurze tuż przy fasadzie budynku. Postanawiam jej zaufać, idę w jej ślady i ląduję na niewielkim, pokrytym żwirkiem dachu-tarasie. Kładziemy się obok siebie.

Strażnicy spuszcza-ją psy, słyszę ich rozwścieczone szczekanie, które mrozi mi krew w żyłach. Proszę tylko o to, żeby nie wywąchały niczego podejrzanego.

Bez słowa czekamy, aż patrol zakończy swój obchód.

A to pech! Dwóch strażników stanęło jakieś dziesięć metrów od naszej kryjówki i zgasiło latarkę. O czym ona myśli? Pozostaje w bezruchu, jakby nie mogła się zdecydować. Szepczę do niej:

– Czemu się nie ruszamy? Nie moglibyśmy poszukać jakiegoś sposobu, żeby ich wyminąć?

– Sto-ją dokładnie na włązie do kanałów, przez który moglibyśmy stąd wyjść.

– Co? To ty przesłaś kanałami?

– Czasem, żeby uniknąć niepożądanych spotkań, trzeba wybierać najohydniejsze drogi.

– Zabawne, przypomina mi to rozgrywki w Warriors of Time.

Rzucam w jej stronę krótkie spojrzenie. Zdziwiłoby mnie, gdyby wiedziała, o czym mówię. Nie wygląda na fankę gier komputerowych.

– WOT, znam, grałam w to kiedyś.

Ach, tak! Nigdy bym nie pomyślał. Dziewczyna odwraca się w moją stronę i po raz pierwszy mogę dokładniej przyjrzeć się jej twarzy. To ona! To ją spotkałem na moście św. Michała, choć włosy ukryła pod czarną czapką. Jej źrenice błyszczą w ciemności jak źrenice kota. Jest niezwykle skoncentrowana.

– Czego szukałeś w magazynie?

– Nobivacu. Szczepionki przeciwko wścieklicznie. Dla jednej dziewczyny, którą ugryzł lis, być może wściekły.

– Jeżeli to naprawdę pilne, mogę ci jedną odpalić. Zabrałam kilka pudełek.

– Nie trzeba, miałem czas, żeby też coś wziąć. A ty potrzebujesz jej dla brata?

– Max to mój kuzyn. Ugryzł go pies, a w ranie doszło do zakażenia.

– Słuchaj, jak potrzebujesz pomocy, to możecie przyjść do nas. Maia, nasza Aptekarka, jest naprawdę dobra, będzie mogła go wyleczyć.

Nie odpowiada, czeka na odejście strażników. Droga wolna. Dziewczyna całą swoją energię skupia na działaniu, jak kot. Instynktownie. Czekamy kilka minut, żeby się upewnić, że nie wróca, i skaczemy.

W trzech susach docieramy do pokrywy i wchodzimy do wilgotnego, cuchnącego kanału. Brakuje mi tchu. Chodnik, po którym się przemykamy, jest tak wąski, że muszę uważać, by nie ześliznąć się w błotnistą ciecz, która płynie najwyżej metr ode mnie. Czuję szczury ocierające się o moje łydki. Włączam latarkę, ale nic nie widzę i to mnie niepokoi – te szczury, które mnie gryzą i mrowią się wokół. Dziewczyna łapie mnie za rękę i mówi:

– Trzymaj się mnie i zgaś latarkę.

– Dlaczego?

– Żeby coś widzieć, jak będziemy stąd wychodzić.

Po kilku minutach oczy przyzwyczajają się do ciemności pod ziemią. Wreszcie wychodzimy na pogrążony w mroku bulwar l'Hôpital. Biorę rower i prowadzę go w kierunku kawiarni. Kuzyn dziewczyny leży na wyściełanej ławce. Ranę na łydce ma opatrzoną brudnymi bandażami. Naprawdę jest w kiepskim stanie, chyba śpi.

Dziewczyna zbliża się do rozchwianej przyczepki rowerowej. Nie musi nic mówić, rozumiem, że chce wsadzić do niej kuzyna. On jest tak otumaniony, że nie może wstać, a nieznajoma ze wszystkich sił próbuje go podnieść. Jednak najwyraźniej jest za ciężki albo raczej ona jest zbyt delikatna. Zastanawia mnie, że się męczy, ale o nic nie prosi. Postanawiam jej pomóc. Łapię chłopaka pod ramiona, a ona za nogi. Ciągle nie odzywa się ani słowem. Nawet na mnie nie patrzy.

Kładziemy go razem na wózku, a dziewczyna przywiązuje go sznurkiem.

Kiedy jesteśmy na zewnątrz, wreszcie odzyskuje mowę.

– Długo się do was jedzie?

– Niecałe pół godziny, to na samej górze bulwaru św. Michała.

Domyślam się, że jej pytanie oznacza przyjęcie mojego zaproszenia. Wsiadamy na rowery i jedziemy ciemnym, opustoszałym bulwarem św. Marcela. Na wysokości pomnika Joanny d'Arc warkot silnika przerywa otaczającą nas ciszę. Moja towarzyszka hamuje.

– Co to? – szepczę.

– Patrol wojskowy.

Mimo jej spokojnego tonu serce zaczyna mi bić jak szalone. Z daleka dostrzegam światła jakiegoś pojazdu. Jest niski i przywodzi na myśl czołg. Karabin maszynowy ma ustawiony w pozycji gotowej do strzału. Żołnierz wychyla się przez klapę w dachu. Wyobrażam sobie pozostałych wojskowych w brzuchu stalowego potwora.

Nie ma sekundy do stracenia! Musimy się ukryć. Obowiązuje godzina policyjna, patrol nie zawaha się nas zaarrestować ani do nas strzelać, jeśli nie posłuchamy wezwań. Dziewczyna pokazuje mi ogromny samochód terenowy z rozbitymi szybami i przebitymi oponami. Jest dostatecznie duży, żebyśmy wszyscy mogli się za nim schować. Dwie serie z karabinu sprawiają, że wpadam w panikę.

Odzyskuję oddech, kiedy pojazd przejeżdża obok naszej kryjówki, a potem jedzie dalej. Nikt nas nie zauważył.

Jestem jej zobowiązany. Ma dobry refleks – żołnierze nas nie dostrzegli. Chciałbym wyrazić wdzięczność, ale jej milczenie nie ułatwia sprawy. Kiedy odgłos silnika całkowicie milknie, ona podnosi się i krótkim ruchem głowy daje znać, że ruszamy.

Na skrzyżowaniu z Gobelins opada nas sfera rozwścieczonych psów. Nadciągają od strony ulicy Monge i nas otaczają. Znów pitbule. Vincentowi nie udało się więc do końca załatwić porachunków. W końcu wszystkich pozagryzają. Chwytam za Sztylet, jestem gotowy polec w tej walce. Tymczasem ruda dziewczyna spokojnie nachyla się w moją stronę i szepcze:

– Zachowuj się jak gdyby nigdy nic, ja się tym zajmę.

Dlaczego zdejmuję kurtkę? Dziwne. Powoli wymachuje ubraniem przed pyskami psów wyszczerzających kły. Wydaje się jej, że gra w filmie fantasy czy co? Zgrywa czarownicę? A może nią jest? Dlaczego pitbule podkulają ogony i uciekają w ciągu kilku sekund?

Ja chyba śnię. Ona wie, jak podporządkować sobie psy.

Czy ma dar rozmawiania ze zwierzętami?

Kiedy docieramy do kamienicy, jest druga nad ranem. Zsiadam z roweru. Jérôme sprawuje wartę. Wymierza karabin w naszą stronę:

– Kto to? Co oni tu robią?

W jego głosie nie ma cienia serdeczności. Można by pomyśleć, że zapomniał, iż znamy

się od dziecka. Tym razem trudno mi ścierpieć jego zachowanie à la „Lider”.

– To ona uratowała Alicję. Jej kuzyn został ranny, potrzebują pomocy Maï.

Dziewczyna nie odzywa się ani słowem i nie spuszcza wzroku. Można odnieść wrażenie, że wzajemnie oceniają swoje siły – jak dwa drapieźniki. Mam nadzieję, że Jérôme zdecyduje się jej zaufać. Próbuję rozszyfrować wyraz jego twarzy. W końcu odwraca się do mnie i z nieukrywanym niepokojem prowadzi w kierunku klatki schodowej.

– Masz szczepionkę dla Séverine?

– Tak, trzymaj.

Podaję mu ampułki.

– Dzięki, Szarżujący, można na ciebie liczyć. Dwa ostanie dni są dowodem.

Jego wdzięczność sprawia mi przyjemność. Wskazuję mu dziewczynę i jej kuzyna.

– Mogą spędzić tę noc w izbie chorych?

– Dobrze, wprowadź ich. Zaszczepimy Séverine, a potem zejdziemy z Maïą. Zajmie się tym chłopakiem.

Razem z dziewczyną przenosimy Maksa do hallu, gdzie nagle stają jak wryty. Na dolnym stopniu, całkowicie nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami, małpką i lalką Dorą na kolanach czeka na mnie Alicja.

Na nasz widok natychmiast się zrywa.

– Diego – mówi pogodnym tonem, który ma dziwną zdolność sprawiania, że atmosfera wokół niej staje się lżejsza. Alicja potrafi rozweselić nawet najmniejszą cząstkę powietrza.

Później wskazuje palcem rannego chłopaka i trzykrotnie powtarza: „Benek”.

Proszę. Tylko trzy słowa, a zdołała skłonić do uśmiechu moją towarzyszkę, czego nie udało mi się zrobić podczas wszystkich naszych wspólnych przejść. Jérôme wraca z Aptekarką. Najwyższa pora położyć Maleńką do łóżka. Bez żalu uwalniam się od ciężaru rannego i oddaję go Liderowi. Dziewczyny witają się skinieniem głowy. Maïa gładzi moją dłoń.

– Wszystko dobrze? – szepcze z niepokojem.

Gdy tylko słyszę czułość w jej głosie, robi mi się lżej na sercu. Mam ochotę wziąć ją w ramiona, ale nie daję tego po sobie poznać. Opanowuję się, uśmiecham do niej i podnoszę Maleńką, uczeponą mego uda.

– Zostawiam was – mówię do dwójki gości. – Jesteście w dobrych rękach. Idę położyć Alicję.

3 grudnia, południe

Maleńkiej nie ma w pokoju, kiedy się budzę. Jeden rzut oka na budzik na stoliku uświadamia mi, że dochodzi południe. Zapadłem w głęboki sen. Potrzebowałem tego, żeby odzyskać siły po torturach, które przeszedłem w Z-Punkcie. Idę sprawdzić, czy Alicja jest w izbie chorych z Maią, za którą chodzi jak cień. Chciałbym porozmawiać z tajemniczą dziewczyną, umiejącą podporządkować sobie psy. Coraz bardziej mnie intryguje.

Maia czyta Alicji bajkę w kącie „salonu” na trzecim piętrze. Na mój widok podnosi się i mówi:

– Dziewczyna wołała odejść, wróci za dwa dni. Tymczasem powierzyła nam swojego kuzyna. Po prostu go porzuciła. To trochę dziwne, nie?

– Naprawdę dziwny jest on sam, zobaczysz.

– Ach, tak? Dziwny? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Sama się przekonasz. Dziwacznie się zachowuje. Ma oczy pozbawione wyrazu.

– Dora! Dora! Dora!

– Ciii, Alicjo, mów ciszej. Obudzisz Benka, a on musi odpoczywać. Jest chory.

Aptekarka marszczy brwi i siada na kanapie obok Maleńkiej, która mnie ignoruje i wciąż domaga się czytania książki, pokrzykując „Dora”. Postanawiam zobaczyć, jak miewa się Max.

– Jest w pokoju w głębi, dałam mu zastrzyk z antybiotykiem, żeby uniknąć większego zakażenia. Zszyłam ranę po ugryzieniu. Został poważanie pogryziony, a kuzynka leczyła go alkoholem i miodem lawendowym. To nie wystarcza, nawet jeśli ta dziewczyna sprawia wrażenie, że zna się na ziołolecznictwie. Ale wiesz, to nie moja broszka.

Maia nie jest zbyt rozmowna, chyba że chodzi o jej obowiązki Aptekarki. Nie wydaje się ani trochę przekonana do medycyny naturalnej. W ten sposób zapewne podświadomie broni swojej mamy. A może nie tyle broni, co oddaje jej szacunek, okazuje miłość. Nieznajoma jako zwolenniczka medycyny naturalnej chyba ją irytuje.

Jestem w połowie korytarza, kiedy drzwi otwierają się na oścież i staje w nich Max ubrany w niebieską piżamę. Jakże dziwnie wygląda. Lekko się zatacza – jak dziecko stawiające pierwsze kroki. Kontrast między niepewnością ruchów i potężną sylwetką jest zaskakujący. Mamrocze niezrozumiałe słowa, jakby litanię. Nadstawiam uszu, próbując wydobyć z nich sens, ale brzmi to jak bełkot. Max staje nieruchomo i pochyla się przede mną, a ja nie wiem, jak się zachować. Zamierzam się przywitać, kiedy nagle zwała się na podłogę. Klękam, kładę jego głowę na swoich udach.

– Max, dobrze się czujesz? – pytam.

Nie odpowiada. Jego ciemne, rozgorączkowane źrenice prześlizgują się po mojej twarzy. Na ustach ma ślady piany. Widzę przed sobą dziecięcą, niemal pucołowatą twarz. Maia nadbiega, ostrożnie dotyka jego czoła.

– Jest rozpalony. To niesamowite, że udało mu się wstać z taką raną. Jest silny. Będzie trzeba zanieść go do łóżka, moim zdaniem nie zdoła już sam zrobić ani kroku.

Chłopak wypowiada tylko jedno słowo: „Koridwen”. Co to znaczy? Czy to po bretońsku? Czy to średniowieczne imię? Wśród Ekspertów w WOT był awatar o takim właśnie imieniu. Ale jaki związek może mieć Max z Koridwen, doskonałą strateg w świecie Ukraïn? Czy czegoś ode mnie oczekuje? Nie wiem, jak zareagować, tym bardziej, że jego głos staje się wysoki, histeryczny.

Kurczę, dziewczyna trochę przesadziła, podrzucając nam kuzyna i nawet nie wspominając o jego stanie psychicznym. A jeśli będzie miał załamanie nerwowe i stanie się

agresywny, co wtedy mamy zrobić? Przywiązać go pasami? Związać prześcieradłem jak kaftanem bezpieczeństwa? A może zadać cios w skroń – taki, jaki Vincent zaaplikował mi w kościele? Ale ojciec Żołnierza uczył go samoobrony i on opanował sztuki walki. A ja nie.

– Koridwen, Koridwen, Koridwen...

Chłopak nagle zaczyna krzyczeć. Alicja klęka naprzeciwko mnie, z drugiej strony Maksa.

– Benek! Benek! Benek! – powtarza stanowczym tonem.

Mam wrażenie, że przywołuje go do porządku.

Bierze w rączkę jego dużą dłoń i z przekonaniem powtarza wciąż „Benek”. Max cichnie. Kryzys się kończy, Maleńka ujarzmiła wrzeszczącego olbrzyma.

Czas teraz zaprowadzić go do łóżka. Biorę go pod pachy, żeby pomóc mu wstać. Chwieje się, opiera na mnie, ale nie chce puścić ręki Alicji. Maia podtrzymuje go z drugiej strony. Niepewnym krokiem, uczepiony naszych ramion, pod przewodnictwem bardzo pewnej siebie Maleńkiej dociera do łóżka i opada na materac. Jęczy, kiedy dziewczynka puszcza jego rękę, i uspokaja się, gdy siada obok niego z książką o Dorze. Alicja przegląda ją i wybiera scenę, w której bohaterka wiezie taczka niebieskiego byczka, zamienionego w gigantyczny ziemniak.

– Benek – wyjaśnia, wskazując palcem na brzuch Maksa. – Dora – kontynuuje, kładąc dłoń na swoim sercu.

Gorączkowo przesuwając palcami po swojej grzywce, którą Maia dwa dni temu przycięła i wyrównała, żeby jeszcze bardziej upodobnić dziewczynkę do Dory z książki. Zafascynowany chłopak nie odrywa od niej oczu, nie traci ani jednego jej słowa czy gestu. Alicja pokazuje mu ilustrację ukazującą Dorę i byczka Benka, tańczących na plaży z małpką Butkiem. Bierze swoją maskotkę i potrząsa nią we wszystkich kierunkach. Małpka wygląda, jakby tańczyła. Maleńka wybucha zaraźliwym śmiechem i twarz Maksa natychmiast się rozjaśnia.

A zatem mamy niezawodne narzędzie pozwalające rozbroić Maksa, tę bombę z opóźnionym zapłonem – Alicję.

Alicja, jak się zdaje jedyne dziecko, które przeżyło epidemię.

Alicja, mój cud. Cud jej niewiarygodnego śmiechu.

5 grudnia, przedpołudnie

Max jest u nas już od dwóch dni. Zaabsorbował całą uwagę Alicji. Jego kuzynka obiecała wrócić dzisiaj. A jeśli to ją chłopak wołał w czasie kryzysu, być może ma na imię Koridwen. Czy to możliwe, żeby miała jakieś powiązania z Ekspertami WOT? Nie wydawała się fanką gry, kiedy wspomniałem o niej w Z-Punkcie. Taki zbieg okoliczności byłby czymś niesłychanym. Tymczasem zaczynam mieć dość pełnienia warty przed kamienicą. Żeby coś się zająć, bawię się parą, która wylatuje mi z ust. Wygląda to trochę tak, jakbym palił. Tak bawiliśmy się z bratem, kiedy byliśmy dziećmi. Obraz kółek dymu ze skrętów z marihuany wypuszczanych przez Pierre'a nakłada mi się na wspomnienia dziecięcych zabaw. Nie mogę uwierzyć w jego śmierć. Nie chcę uwierzyć. Na krótką chwilę zamykam oczy, przypominam sobie jego ostatni uśmiech, odzyskaną przez niego dumę z bycia starszym bratem. Ogarnia mnie fala smutku. Jest mi źle.

Muszę przestać o tym myśleć.

Karabin, który Vincent mi powierzył, ciąży mi wyjątkowo z powodu wczorajszej wyprawy do supermarketu z narzędziami po dwa spore agregaty prądotwórcze. Bolą mnie mięśnie rąk, bo najpierw transportowaliśmy z Żołnierzem naszą zdobycz na taczkach, a później instalowaliśmy agregaty na drugim piętrze. Niektóre rany zadane przez Logana ciągle mi dokuczają. Bolą, kiedy ich dotykam.

Od teraz ogrzewamy się za pomocą grzejników elektrycznych. Jérôme wczoraj znów o tym mówił – ponieważ mamy broń, stoimy poza prawem i nie wolno nam NIGDY o tym zapominać. W związku z tym wprowadził spartańskie regulacje. Wobec nasilenia się patroli z użyciem wozów opancerzonych i helikopterów aż do opuszczenia Paryża musimy przestrzegać surowych zasad. Nie ma mowy o tym, żeby ogrzewać się przez palenie w kominkach. W ten sposób ryzykowalibyśmy, że wojskowi nas odkryją, rozdzielą albo – co gorsza – aresztują.

Lider nie przedstawił nam jeszcze planu ewakuacji w razie ataku wojska, ale myślę, że opracowali z Vincentem jakąś strategię. Często widuję ich na tarasie z narzędziami i metalowymi hakami.

Jestem zmęczony nieustannym chodzeniem w tę i z powrotem oraz wypatrywaniem potencjalnych intruzów. Muszę ze wszystkich sił zwalczać coraz większą ochotę, żeby usiąść na ziemi, dać odpocząć plecom i nogom. Jest mi zimno mimo grubej kurtki. Bezruch nie pozwala mi się rozgrzać. Podskakuję w miejscu, żeby wprawić mięśnie w ruch i całkowicie nie zeszywnieć. Nagle pojawia się dziewczyna na rowerze. Hamuje przede mną – to ta ruda, która być może nazywa się Koridwen! Jej chłodne zachowanie znów wyprowadza mnie z równowagi. Przez chwilę czuję się winny, choć nie wiem czemu. Ona obrzuca mnie przenikliwym spojrzeniem bez szczypty życzliwości.

– Przyjechałam po kuzyna. Wszystko z nim w porządku?

– Tak, wejdz, nie stój na zewnątrz. Jest w izbie chorych z Maią i Alicją. Dołączę do was po skończonej warcie, za jakieś pół godziny.

Zostawia mnie bez słowa.

Przez dziesięć minut przytupuję, liczę sekundy. Bezczytność mnie dobija. Bezszywnie próbuję znaleźć zajęcie na ostatnie dwadzieścia minut nudy, kiedy nagle ruda wybiega. Żegna się ze mną powściągliwym gestem i idzie w stronę roweru.

– Już jedziesz? – krzyczę za nią.

– Jak widzisz... Max śpi. Rozmawiałam z Maią, lepiej z nim.

W zasadzie nie dziwię się, że zostawia u nas kuzyna na dłużej. Aptekarka mnie

uprzedziła, że rany będą goić się długo i lepiej będzie jeszcze przez kilka dni poobserwować Maksa. Małeńka pewnie się cieszy, bardzo przywiązała się do Benka, rozstanie będzie trudne. Kurczę, dziewczyna już sobie idzie. A ja ciągle nie wiem, czy naprawdę nazywa się Koridwen, jak Ekspert WOT. Wołam za nią:

– Koridwen!

Zatrzymuje się, a więc to jej imię! Odwraca się w moją stronę. Mam swoją szansę.

– Możesz pogadać ze mną chwilę? Zmieniam mnie na warcie za dziesięć minut.

– Pogadać? O czym?

Skaczę na głęboką wodę.

– Musimy porozmawiać o Khronosie!

W tym momencie dziewczyna nieruchomieje, a ja kontynuuję gorączkowo:

– Jesteś Koridwen, Ekspert z WOT!

Podchodzi do mnie, wyraz jej twarzy się zmienia. Wydaje się zaciekawiona, a nawet zaintrygowana... Biorę duży haust powietrza.

– A ty kim jesteś?

– Nazywam się Jules i w grze byłem Spider Snake'iem.

– Spider Snake!

Jej mina jest nieodgadniona, ale wydaje mi się, że dostrzegam cień zawodu.

– W życiu bym się nie domyśliła.

W istocie nie wyglądam na Spider Snake'a, który bardziej przypomina Wolverina niż mnie. Cóż, mogę zrozumieć, że jest zawiedziona, ale ona też nie jest Larą Croft. Koridwen jest bardzo dobra w grze. Moim zdaniem jest najlepszym Ekspertem. Gdyby chciała, mogłaby rozgnieść Spider Snake'a, ale potrzebowała mojego awatara ze względów strategicznych.

– Zamierzasz iść na spotkanie?

– Pokonałam pięćset kilometrów traktorem, żeby tam pójść.

Radość, która natychmiast zaczęła krążyć między nami, jest tak intensywna, że mam wrażenie, jakbym odnalazł siostrę. Odruchowo dwukrotnie uderzam pięścią w pierś, jak nasze awatary po zwycięstwie w Ukraïn. Dziewczyna robi ten sam gest i patrzy mi w oczy. Ona też liczy na mnie, też cieszy się ze spotkania. Uśmiechamy się do siebie, jej twarz się rozluźnia. Ma ładne dołeczki. Zadaję pytanie, które ciśnie mi się na usta.

– Wiesz, kim jest Khronos?

Jej pełne wątpliwości milczenie trochę zbija mnie z tropu.

– W nosie mam, kim jest, no nie? Ważne, żeby przyniósł rozwiązanie.

Czuję, że mocno wierzy w możliwość podróży w czasie. Dla mnie to pozostaje bardziej w sferze nadziei. A żeby moja nadzieja zmieniła się w pewność, musiałbym poznać tożsamość Khronosa. Nagle przypominam sobie jej dziwną umiejętność odstraszenia psów. Być może rzeczywiście ma magiczne moce?

– Jak... Jak udało ci się podporządkować sobie psy?

– Wyprodukowałam roślinny środek odstraszący. To stara bretońska receptura, której nauczyła mnie babcia.

Nie odrywam od niej wzroku, jestem zauroczony jej charyzmatycznym spojrzeniem.

– Moja babka była trochę wiedźmą. Rozmawiała z drzewami, wzgórzami i skałami.

Leczyła też ludzi.

Jej jasne spojrzenie nagle pochmurnieje.

– Ale to nie zawsze działa. W przypadku Maksa na przykład okazało się nieskuteczne – wzdycha, spuszcza wzrok.

– Twój kuzyn jest w dobrych rękach, szybko mu się poprawi...

Wyczytuję z jej twarzy, że nie ma ochoty zdradzać innych swoich sekretów. Temat zamknięty, więcej nie będzie mówić o magii ani o swojej babce. Zbiera się w sobie i wraca do naszego wspólnego tematu – Khronosa.

– Namierzyłeś już miejsce spotkania 24 grudnia?

– Nie, nie miałem jeszcze czasu. A ty?

– Ja poszłam pod wieżę Zegarową i próbowałam znaleźć jakieś wejście. Oczywiście wszystko jest pozamykane na klucz, ale zamierzam wrócić tam za kilka dni z jakimiś narzędziami. Chciałbyś pójść ze mną?

Myślę o tym przez chwilę. To ja powinienem przygotować spotkanie 24 grudnia, nie Vincent ani Jérôme. To spotkanie to moja misja, nie ich. A pomysł działania z Koridwen, Ekspertem WOT, mnie zachwyca. Nie mogę jednak podjąć takiej decyzji bez uprzedzenia pozostałych. Muszę porozmawiać o tym przynajmniej z Liderem. Nie ma mowy, żebym naruszył reguły społeczności, do której należymy Alicja i ja.

– Najpierw muszę uzgodnić to z innymi, należę do komuny i mamy zwyczaj podejmować decyzje wspólnie.

– OK, wrócę za dwa dni. Wtedy mi powiesz, dobrze? A teraz idę.

– A jeśli Max potrzebowałby cię w międzyczasie, jak cię znaleźć?

Bez słowa wyjmuję z plecaka zeszyt i długopis, zapisuje adres. Wrywa kartkę i podaje mi ją: „Ulica Lecocq 12, Gentilly”.

Ledwie skończyłem czytać, a ona już odjechała bez pożegnania, jak zwykle. Patrzę, jak oddala się na rowerze, i nagle mam pewność, że wie znacznie więcej, niż mówi. Była naprawdę jednym z najlepszych graczy. O ile mój awatar działał instynktownie i szybko, o tyle jej odznaczał się budzącą strach, niemal makiaweliczną inteligencją. Podczas gry potrafiła opracowywać strategie, manipulować i była najlepsza w wykrywaniu spisków. W okresie Wojny Kłamców należała do najsukuteczniejszych sojuszników. Myślę o tym, co powiedziała o mocach swojej babki.

A może Koridwen wie, kto jest Khronosem, ale musi dochować tajemnicy?

7 grudnia, przedpołudnie

Niecierpliwie oczekuję powrotu Koridwen, stojąc na warcie przed kamienicą. Dużo myślałem podczas ostatnich dwóch dni i bez konsultowania się z Jérôme'em i Vincentem podjąłem decyzję o tym, że pójdę z nią do wieży Zegarowej. Czekam z powiadomieniem pozostałych, aż przygotujemy naszą misję na wyspę Cité.

Dziewczyna przyjeżdża na rowerze, jak zwykle hamuje przede mną gwałtownie i pozdrawia mnie w sposób przyjęty w WOT. Towarzyszy temu ledwie dostrzegalny, porozumiewawczy uśmiech, który wprawia mnie w zachwyt – mało brakuje, żebym imitując Alicję, jak Dora zawołał trzykrotnie „Jupi!”. Mimo wszystko zadowolam się spokojnym przyjęciem od niej wiadomości. Jak zawsze małowówna, odpowiada wymijająco i przerywa mi w pół słowa, kiedy podejmuję temat miejsca spotkania w Conciergerie.

– Najpierw pójdę zobaczyć się z Maksem, a potem o tym porozmawiamy, dobrze?

– OK. Vincent zastąpi mnie za niecały kwadrans, dołączę do ciebie w izbie chorych.

Żołnierz się spóźnia. Chodzę niecierpliwie to w jedną, to w drugą stronę. Kiedy Vincent wreszcie się pojawia, jest obładowany jak wielbłąd i zadowolony ze swoich zdobyczy.

– Stary, te pistolety to najlepsze argumenty podczas negocjacji! Tylko złożę je w zbrojowni i zaraz cię zmieniam.

– Mogę to zrobić za ciebie. Daj mi te torby, zaniosę.

– Aż tak masz dość? – Śmieje się i podaje mi ciężkie sakwy wypełnione bronią.

Rzucam wszystko w dawnym mieszkaniu dozorczyń i pędzę na trzecie piętro. Na schodach spotykam Koridwen. To dziwne, że już wychodzi. Chciałem z nią porozmawiać, dowiedzieć się czegoś więcej, zanim odejdzie z kuzynem.

– Już idziesz? Sama?

Potakuje ze smutkiem. Mam wrażenie, że z trudem powstrzymuje łzy.

– Max woli zostać z Alicją – szepcze drżącym głosem.

– Przykro mi. Ja... Oni bardzo się polubili. A ty możesz na nas liczyć, zaopiekujemy się nim.

Nic nie odpowiada. Mam nadzieję, że nie ma mi za złe wyboru, którego dokonał Max.

– Przyjdź jutro, jeśli możesz.

Wzrusza ramionami z poważną miną. Zmieniam temat. Mam nadzieję, że to poprawi jej humor, więc staję się przesadnie entuzjastyczny.

– To jak, kiedy pójdziemy do Conciergerie?

– Sama nie wiem, Jules. Teraz, w tej chwili, nie mam ochoty widzieć się z nikim. Chcę tylko zostać sama. Cześć.

Zbiega po schodach, porzuca mnie ku mojemu rozczarowaniu. Czuję się nie tylko rozczarowany, lecz również zraniony. Mam dla niej tyle szacunku, że jej odmowa każe mi poważnie powątpiewać we własną zdolność wzbudzania zaufania. Brakuje mi charyzmy.

Ze spuszczoną głową dołączam do Maï i Katii w salonie obok izby chorych. Rozmawiają o Koridwen.

– Miła jest ta dziewczyna – uśmiecha się Sadowniczka. – Trudno jej było zostawić tu kuzyna. Bardzo go kocha.

– Właśnie się minęliśmy, zachowywała się dość nieprzyjemnie – odpowiadam, nie ukrywając zawodu.

– Bo Max niezbyt taktownie dał jej do zrozumienia, że nie chce z nią wracać. Powtarzał jej: „Do widzenia, Kori”, żeby sobie poszła – wyjaśnia mi Katia.

Można by pomyśleć, że polubiła Koridwen.

– Zwierzyła ci się?

– Znasz przecież naszą Sadowniczkę! – woła Maïa. – Jest taka towarzyska, że udałoby się jej porozmawiać nawet z niemową.

– A co ci powiedziała? – dopytuję.

– Nic wielkiego. Pochodzi z Bretanii, jest córką rolników, lubiła pomagać rodzicom w oporządzaniu zwierząt.

Rozdziawiam gębę ze zdumienia. Wielka wojownicza Ukraün, strateg WOT, bretońska Czarownica jest córką rolników. Coś takiego...

11 grudnia, wczesne popołudnie

Na straży przed kamienicą od dwóch godzin czekam na Maię i Katię, które wyszły z misją aprowizacyjną do zwierzyńca w ogrodzie botanicznym. W głowie kołaczą mi się wspomnienia wczorajszej rozmowy z Aptekarką. Chciała jeszcze raz porozmawiać o Khronosie. Jej zdaniem powrót do przeszłości jest niemożliwy, uważa ten pomysł za zupełnie bezsensowny. W żadnym wypadku się ze mnie nie naśmiewała – widziała przecież, że uczepliłem się tej nadziei. Po prostu zupełnie nie wierzy w taką możliwość. „Wyobraźnia nie może doprowadzić do zagięcia czasoprzestrzeni. Kiedy przestaniesz wierzyć w czary?” – spytała mnie z lekkim rozdrażnieniem. A kiedy zrozumiała, że nie uda jej się mnie przekonać, uśmiechnęła się smutno i wyznała, że w zasadzie też by wołała uwierzyć w możliwość cofnięcia czasu.

W końcu dostrzegam je z daleka. Pchają taczkę. W środku są dwie klatki z dużymi kurami i kartony jajek. Wykonały misję Kury, a ja natychmiast robię się głodny. Dziewczyny z zaróżowionymi policzkami wydają się rozradowane, można by sądzić, że dobrze się bawiły podczas wykonywania zadania. Nawet Katia promienieje tak jak wcześniej. Najwyraźniej zapomniała o opatrunku wciąż zakrywającym połowę jej policzka.

– Widzę, gąski, że zakończyłyście misję Kury?

Mój żart jest tak debilny, że zaczynają się śmiać. Katia chwytą jedną z klatek.

– Zniosę ptactwo na taras. Do zobaczenia, Szarżujący! – woła.

Od dnia, kiedy zyskałem mój przydomek, Katia nigdy nie nazywa mnie inaczej.

Przytrzymuję jej drzwi, tymczasem Maia bierze mnie na bok.

– Nadal tak bardzo się nudzisz w czasie sprawowania warty?!

– Bez dwóch zdań, wolę nawet sprzątanie.

– Ile jeszcze zostało ci do końca?

– Czekam na Vincenta, spóźnia się. Już powinien mnie zmienić. Nie wiesz, gdzie się podziewa?

Aptekarka przez chwilę się waha. Rzucam jej pytające spojrzenie.

– Pewnie jest na misji dotyczącej strategicznego zbliżenia między gangami, które nie przyłączyły się do Z-Punktów.

– A tak, już mi o tym mówiłaś.

Jérôme i Vincent niewiele mówią o prowadzonych negocjacjach. Nigdy nie wtajemniczyli mnie w swoje plany. Znam tylko ogólną koncepcję powiększenia komuny w celu jej wzmocnienia. Nagle ogarnia mnie obawa, że odbiorą mi możliwość decydowania w najważniejszych sprawach. Czyżby Żołnierz i Lider robili ustalenia na przyszłość bez porozumienia z pozostałymi członkami komuny? Być może uznali, że będą skuteczniejsi, kiedy ograniczą liczbę osób podejmujących decyzje i unikną niekończących się dyskusji?

– A możesz powiedzieć mi o tym coś więcej? Z kim spotkali się dzisiaj rano?

– Nie wiem, gdzie jest Vincent. Jérôme właśnie zawiązuje sojusz z Wybawicielami.

– To dobra nowina. Nie wiedziałem, że negocjacje z naszymi przyjaciółmi z ogrodu botanicznego zmierzają do końca!

– Wiesz, że Wybawiciele nie mają broni. Ich celem jest spokojne życie i hodowla zwierząt. Przede wszystkim nie zamierzają pozostawić ich na łasce losu, a więc nie chcą nawet słyszeć o tym, żeby przyłączyć się do Z-Punktu. Jednak dwa dni temu zostali zaatakowani przez gang naćpanych nastolatków... Meganaćpanych punktów. Ci psychole chcieli spalić w ofierze wszystkie ich zwierzęta. Istny obłąd.

Ciarki przechodzą mi po plecach, kiedy wyobrażam sobie tę scenę.

– Vincent i Jérôme znaleźli się tam w odpowiednim czasie – opowiada dalej – dzięki czemu Wybawiciele o włos uniknęli najgorszego. Pożytek z tego taki, że przekonali się, iż nie da się przeżyć w Paryżu bez broni.

– A więc poprosili Jérôme’a, żebyśmy zapewнили im obronę, tak?

– Zgadza się, od teraz są naszymi sojusznikami. Będziemy ich bronić w zamian za zaopatrzenie i wsparcie w razie kryzysu.

– To wydaje się mądrą taktyką.

– Teraz muszę iść, zobaczymy się później. Katia czeka na mnie na tarasie.

Maïa pochyla się nad taczka i bierze drugą klatkę.

– Zabieram drugą kurę, za bardzo się denerwuje. Słyszać tylko jej gdakanie. Przyjdiesz do mnie do izby chorych, kiedy Vincent cię zmieni?

– Do izby chorych?

– Tak. Katia zgodziła się zdjąć opatrunek, ale chce poznać twoje zdanie, zanim pokaże się innym.

Zaufanie Sadowniczki mi pochlebia, ale nie wiem, co powinienem powiedzieć. Nie chciałbym zrobić jej przykrości.

– Ona chce tylko, żebyś szczerze powiedział, co myślisz – uspokaja mnie Aptekarka.

– Możesz na mnie liczyć. Przyjdę, gdy tylko Vincent wróci z misji!

Ledwie Aptekarka poszła na górę, a już Żołnierz wpada pędem na rowerze.

– Jules, przepraszam za spóźnienie!

– Gdzie byłeś?

Vincent odzyskuje oddech po szybkiej jeździe.

– Poszedłem do szefa Graficiarzy.

– Po co? Masz im coś do zaproponowania?

– Chciałem się zorientować, czy jest możliwość połączenia sił w razie ataku wojskowych.

– Rzuca mi rozbawione spojrzenie. – Nie martw się, że nie jesteś na bieżąco. Dopiero wczoraj wieczorem podjęliśmy decyzję o wzmocnieniu naszych sojuszy.

– Dlaczego?

– Bo wczoraj pojechałem do Z-Punktu. A tam Isa poinformowała mnie o możliwym zaostreniu stanowiska armii. Słyszała nawet o wprowadzeniu stanu wojennego.

– Co to znaczy?

– Wojskowi chcą zakończyć porachunki między gangami. Dzisiaj dowiedziałem się, że Pożeracze znów wywołali panikę w okolicach Lasku Bulońskiego. A Wybawiciele, ci od zwierzyńca, dwa dni temu ledwie uniknęli rozbicia. Jérôme oczywiście poinformuje was dziś wieczór o naszych próbach zbliżenia się z innymi wolnymi gangami. No już, dawaj karabin, wyzwalam cię!

Oddaję mu broń i popycham drzwi. Chcę jak najszybciej znaleźć się w ciepłe. Trochę się też denerwuję tym, co zobaczę na policzku Katii.

Nie widziałem jej przecież bez opatrunku od dnia, kiedy została pogryziona.

11 grudnia, popołudnie

Aż na trzecie piętro dochodzą okrzyki: „Juhu” i „Biiipip, biiipip”. To Małeńka wyjęła swoje gwiazdki Dory Małej Podróżniczki. Jest w salonie obok izby chorych, razem z Maksem. Są teraz nierozłączni. Alicja otoczyła chłopaka ze wszystkich stron gwiazdkami i operuje nimi w taki sposób, jakby mogły pomóc jej byczkowi Benkowi. Naciska jedną, włącza dźwięk innej i kieruje je w stronę przyjaciela z niewzruszoną powagą. A on jej na to pozwala z błogim wyrazem twarzy, pełen podziwu dla wyobraźni dziewczynki.

– Alicjo, wiesz, gdzie są Katia i Maia?

Wskazuje łazienkę, ale nawet nie spojrzy w moją stronę. No tak, przerywam jej superważny rytuał. Co za charakterek! Z niepokojem w sercu idę w kierunku zamkniętych drzwi, zza których nie dobiega żaden dźwięk. CO zapowiada ta cisza?

Pukam. Maia otwiera, na jej twarzy maluje się napięcie. W lustrze naprzeciwko widzę odbicie twarzy Katii. W jej niebieskich oczach dostrzegam całkowite zniechęcenie. Jest bledsza niż zwykle. Lustro odbija czerwoną bliznę, trochę spuchniętą, zaczynającą się od wargi i biegnącą w kierunku ucha. Szrama nadaje jej twarzy dziwaczny wyraz, jakby uśmiechała się tylko jedną stroną. Staram się pohamować pierwszą reakcję, ale zbyt długo milczę.

– Jestem brzydka, co? To dla mnie koniec.

Maia patrzy na mnie błagalnym wzrokiem, żebym zaprzeczył. Odgłos pospieszonych kroków na korytarzu nie pozwala mi dojść do słowa. Do łazienki wpada przerażony Vincent. Katia cofa się, zakrywa dłonią bliznę, w jej oczach maluje się wstyd. Żołnierz chwyta ją za rękę, którą przyłożyła do policzka, i nie pozwala ukryć blizny. Patrzy głęboko w jej niemal przejrzyste, wypełnione łzami oczy. A potem, nie przejmując się naszą obecnością, pochyla się i ją całuje.

Nagle słyszę głos Alicji.

– Diego, Diego, Diego.

Małeńka ciągnie mnie za rękaw i ze zdziwioną miną wskazuje Katię i Vincenta. Oni rozdzielają się i uśmiechają do nas z pewnym zakłopotaniem. W jasnych oczach Sadowniczkii dostrzegam ulgę i bezmierne szczęście. A Maia odwraca wzrok, kiedy napotyka moje spojrzenie.

Wszystko potoczyło się tak szybko. Stał się cud, odważyli się. Zostawiamy ich samych. Słyszę, jak Vincent mówi cicho:

– Blizna nie ma znaczenia, gdybyś wiedziała, jak bardzo...

Jak zareagowałyby Maia, gdybym pewnego dnia ośmielił się ją pocałować?

Zaraz, a czy Vincent nie powinien stać na warcie? Kto go zastąpił?

Schodzę na parter – straż pełni Jérôme.

– Cześć, Szarżujący, w porządku?

– Tak, zamieniłeś się z Vincentem?

– Poprosił mnie. Musiał załatwić coś pilnego.

Lekko się uśmiecha, może wie, o co chodziło? Mruga do mnie, ale nie ma w tym kpiny.

– I jak? Cel osiągnięty?

– Wydaje mi się, że tak. Katia nie będzie już dłużej chowała blizny pod opatrunkiem.

Skąd Vincent wiedział, że dziś go zdejmuję?

– Séverine mi powiedziała, a ja pomyślałam, że lepiej, żeby Vincent wiedział. Chciał, żeby przestała się wstydzić, przecież szaleje za nią od czasów przed katastrofą. Kiedy zgodziłem się go zastąpić, popędził na górę. Chyba działał instynktownie, nie zastanawiał się, co robi.

Przypominam sobie sposób, w jaki wpadł do łazienki. To dokładnie to.

– Jérôme, mogę cię o coś prosić?

– Taaa?

– Chciałbym mieć większy udział w ustaleniach dotyczących sojuszy i przygotowaniach do walki.

Milczy przez kilka sekund, jakby ważył każde słowo.

– Wiesz, Jules – mówi spokojnie – życie nie przypomina gry w WOT.

– Wiem, dziękuję, wydaje mi się, że miałem już okazję się o tym przekonać.

– Wspominam o tym ze względu na twój stosunek do Khronosa. Fakt, że w to wierzysz...

Hm, jak to ująć... To takie niepojęte... Wierzyć, że można podróżować w czasie... Masz piętnaście lat, nie osiem.

Teraz naprawdę jest nieprzyjemny. O ile dobrze go zrozumiałem, nie może brać mnie na serio, bo wierzę w spotkanie z Khronosem. Moje zaufanie do niego źle mi się przysłużyło. Dla Jérôme'a jestem tylko graczem, któremu świat wirtualny miesza się z rzeczywistością. Kto by pomyślał, że tak bardzo mnie to zaboli.

Ogarnia mnie zimna furia. Jakim prawem mnie osądza? Ten rzekomy przyjaciel pogardza moją wiarą, niszczy moją jedyną nadzieję? Jest tak pewien swojej racji, że posuwa się do tego, żeby samemu decydować, co jest dla mnie dobre? Jest tylko gościem w moim wieku, a zgrywa odpowiedzialnego dorosłego.

Tak bardzo mnie dotknął, że nie znajduję słów, żeby mu odpowiedzieć, po prostu chcę się oddalić. Robię kilka kroków, kiedy odgłos tłuczonego szkła sprawia, że się wzdrygam. Okrzyk przerażenia Maï mrozi mi krew w żyłach.

12 grudnia, świt

Brzask nad Paryżem mnie fascynuje. Zielonkawe odbicia porannego słońca nadają nierzeczywisty wygląd rzeźbom w Ogrodach Luksemburskich. Stada rozwścieczonych gołębi przeganiają wystraszone wróble z fontanny. Ptaki odlatują, niezgrabnie trzepocząc skrzydłami, i spotykają eskadrę czarnych kruków, które gonią za nimi z drapieżnością oddziałów policji. Sępy skrzeczą. Nowi władcy stolicy są pewni swego panowania.

Kończy się nocna warta. Cédric wkrótce zmieni mnie na tarasie. Ten chłopak coraz bardziej się izoluje. Chciałbym z nim pogadać, jednak za każdym razem zbywa moje pytania. Od jakiegoś czasu śpi na materacu w kuchni. Trzeba powiedzieć, że podział sypialni został wywrócony do góry nogami, gdy pary zyskały oficjalny status. Katia i Vincent zostali w dawnej sypialni. Séverine i Jérôme zajęli osobny pokój. Nie mamy żadnych wiadomości od Koridwen, a Maïa woli spać w izbie chorych, żeby mieć oko na jej nie do końca zrównoważonego kuzyna. Jeśli chodzi o Alicję, wołała zostać z nimi...

Jest chłodno, ale nie pada. Chciałbym jak najszybciej napić się ciepłej kawy i trochę przespać. Podczas ostatniego kryzysu Max o mało nie zranił ciężko Maï. Jego reakcje są zupełnie nieprzewidywalne. Do incydentu doszło dlatego, że mój kot porwał jedną z gwiazdek Alicji i mała trzy razy krzyknęła: „Złodziej”. Maïa mi wszystko opowiedziała.

Zaczęło się niewinnie. Dziewczynka się tylko bawiła, a Max uznał, że dzieje się coś złego. Rozkazy Maleńkiej są dla niego najważniejsze, więc Lego stał się wrogiem i złodziejem, który wyrządza krzywdę małej i trzeba go zneutralizować. Max złapał więc kota i niemal go zabił. Nie chciał puścić Lego. Vincent próbował unieruchomić Maksa, ale nie docenił siły kuzyna Koridwen. A kiedy Maïa w końcu zabrała mu Lego, wściekły Max popchnął ją na szybę. Strach mnie obleciał, kiedy usłyszałem na ulicy jej krzyk...

W chwili, gdy wpadłem do izby chorych, Alicja trzymała kuzyna Koridwen za rękę i prowadziła go w stronę kanapy. Usiadła obok niego, a on wziął ją w ramiona i się uspokoił. Jednak gdyby nie Maleńka, mielibyśmy problem. Wiem, że Vincent i Jérôme woleliby, żeby Max dłużej z nami nie mieszkał, ale Alicji byłoby tak smutno, gdyby odszedł...

Myślę o bretońskiej Czarownicy. Nie rozumiem, czemu ciągle nie zabrała od nas kuzyna. Mam nadzieję, że nic jej się nie stało. Jeśli chodzi o mnie, byłem tak sfrustrowany brakiem kontaktu z nią, że sam wczoraj poszedłem obejrzeć wieżę Zegarową. Zegar jest naprawdę piękny z tymi złotymi promieniami i błękitnym tłem. Po obu stronach tarczy umieszczono figury kobiet w niebieskich tunikach, a wieńczą ją dwa aniołki. Chciałbym porozmawiać o tym z Maïą, ale jest zbyt sceptycznie nastawiona. Co do Vincenta i Jérôme'a, wolę nawet nie poruszać z nimi tego tematu. Wystarczy mi, że przyjdą, żeby wesprzeć Ekspertów w Conciergerie, nawet jeśli zrobią to jedynie z powodów strategicznych.

Nagły warkot sieje panikę wśród czarnego ptactwa i ostatecznie ratuje wróble przed krukami i sępami. Pierwszy patrol tego ranka. Już się przyzwyczailem. Helikoptery oddalają się na północ. Przyglądam się okolicy przez lornetkę. Zaczynam od Ogrodów Luksemburskich, odwracam się w stronę bulwaru św. Michała, Panteonu... Cóż widzę? Powiedziałbym, że to trzy wozy opancerzone, otoczone przez żołnierzy. Od początku katastrofy nie widziałem ich w tak dużej grupie. Cédric właśnie się pojawił, bez słowa podaje mu lornetkę.

– Co oni robią twoim zdaniem?

Chłopak blednie.

– Myślisz, że idą po nas?

– Za wcześnie, żeby to stwierdzić. Poczekajmy trochę.

Obserwuję przemieszczanie się oddziału. Żołnierze idą bulwarem św. Michała. Zbliżają się. Rzucam się ku drzwiom, pędzę na pierwsze piętro, otwieram drzwi i krzyczę:

– Wojskowi chyba będą atakować!

– Co ty mówisz? Powtórz!

Katia trzyma głowę na ramieniu Vincenta. Żołnierz podnosi się z rozczochranymi włosami. Jérôme wychodzi na korytarz, za nim z pokoju wyłania się Séverine.

– Jeśli to prawda, co mówisz, nie mamy sekundy do stracenia. Vincent, wydaj każdemu broń. Nie bierzemy niczego ciężkiego. Jules, ty z Maią zajmij się Alicją, Maksem i Lego. Séverine, zamknij Anakina w klatce dla kota. Niczego innego ze sobą nie zabieramy. Naszym podstawowym celem jest swoboda poruszania się.

Pędzę do izby chorych, gdzie Aptekarka dogląda Maksa i Maleńkiej. Streszczam jej sytuację. Jak uciec przed wojskowymi z Maksem, który dopiero co przeszedł kryzys?

– A co jeśli nie będzie chciał iść albo zacznie wrzeszczeć? – szepcze Maia.

Proponuje, żeby podać mu środki uspokajające. Ja też nie widzę innego rozwiązania. Nie możemy ryzykować opóźnienia ani tego, że zostaniemy zauważeni.

Obserwuję odprężoną twarz Maksa, który jeszcze się nie obudził. Maleńka już nie śpi, widzimy jej wielkie, niespokojne oczy. Czy kiedyś odzyska dawny, głęboki sen, taki jak Przed Tym? Maia wychodzi po tabletki. Siadam obok małej i mówię do niej najspokojniej, jak potrafię:

– Alicjo, wychodzimy stąd. Weź swój plecak. Daj tabletkę Maksowi, żeby zachowywał się spokojnie, ale możesz trzymać go za rękę. To doda mu odwagi.

Mała z powagą przytakuje. W czasie, kiedy przygotowuje swój plecak, bazgrzę na kartce: *K., musieliśmy opuścić kamienicę. Gdy tylko będzie to możliwe, powiadomię cię, gdzie jesteśmy. J.*

Kładę świstek na poduszce Maksa, ale nagle uświadamiam sobie, że jeśli wojskowi przeszukają mieszkanie i znajdą tę kartkę, będą czekać na „K.”. Moja wiadomość mogłaby narazić Koridwen na niebezpieczeństwo. Drę kartkę na drobne kawałki. Co zrobić? A gdyby zostawić jej zakodowaną wiadomość? Zastanawiam się – to musi być coś związanego z WOT. Już wiem.

Spider Snake zmienia epokę. Pole minowe zajęte przez Wrogów. Następnym kontaktem na Twoim poziomie gry.

Mam nadzieję, że żołnierze uznają to za grę nastolatków, nawet jeśli znajdą wiadomość. Nie mam czasu na wymyślenie czegoś lepszego. Będzie czekała na mnie w Gentilly. Kiedy Maia wraca ze szklanką wody i lekarstwem, Alicja potrząsa ramieniem olbrzyma, żeby delikatnie go obudzić.

– Benku – szepcze.

Max otwiera oko, widzi buzię Alicji i na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Nie mówiąc ani słowa, stanowczym gestem Maleńka skłania przyjaciela do połknięcia tabletki. On słucha jej bez wahania, ma do niej pełne zaufanie. Gdyby wiedział, że lek ogłupi go na kilka godzin... Mam tylko nadzieję, że będzie w stanie iść.

Wkładam Lego do klatki i wszyscy idziemy na dach, żeby dołączyć do Jérôme'a. Max lekko się chwieje, ale jest spokojny. Otaczamy Lidera, który nie potrzebuje już lornetki, żeby zobaczyć żołnierzy.

– Szarżujący, miałeś rację, idą po nas. Słuchajcie uważnie, musimy być skuteczni. Przewidziałem możliwość ataku. Idźcie za mną bez zadawania pytań. Musimy jak najkrócej przebywać na dachach, żeby nie dostrzegły nas patroli powietrzne.

Podnoszą z Vincentem długą deskę i przerzucają ją w taki sposób, że opiera się o dach najbliższej kamienicy. Jérôme blokuje koniec deski za pomocą metalowych taśm przytwierdzonych do występów na naszym tarasie.

– Widzisz, Katiu, twoja misja w supermarkecie budowlanym uratowała nam życie. Udało nam się przymocować deskę do betonu.

Uśmiech Katii znika, kiedy Żołnierz wchodzi na wąski kawałek drewna. Jest niezwykle ostrożny, posuwa się rytmicznym krokiem. Ponieważ deska jest zamontowana tylko z jednej strony, kładka nie jest zbyt stabilna. Wszyscy wstrzymujemy oddech. Udaje mu się. Warkot silników na bulwarze staje się głośniejszy. Żołnierze są już niedaleko. Vincent blokuje deskę z drugiej strony i daje nam znak, żebyśmy poszli za nim.

– Alicja i Max idą między Maią i Katią. Zostawcie koty, Cédric i Jules zajmą się nimi.

Małeńka staje za Katią. Max jak namagnesowany podąża za dziewczynką. Działa niczym automat. Pochód zamyka Aptekarka. Alicja stawia małe kroki, głowę trzyma wysoko, oczy ma wlepione w punkt przed sobą. Zaczynam oddychać, kiedy docierają na drugą stronę. Nie wiem nawet, jaką drogę ucieczki przygotował Jérôme i ile czasu będziemy przechodzić między dachami.

– Jules, Cédric, Séverine, teraz wy – rozkazuje Lider.

Biorę klatkę z Lego i szybko przechodzę przez kładkę. Cédric i Séverine robią to samo. Potem dołącza do nas Jérôme.

– W następnych miejscach wystarczy przeskoczyć z dachu na dach, kamienice są ze sobą połączone. Teraz się czołgamy. Trzymajcie się dobrze, czasem dachy są lekko skośne – wyjaśnia.

– Dokąd idziemy?

Trudno, najwyżej go zirytuję. Nie odpuszczam, czołgając się obok niego.

– Dojdziemy do budynku CROUS¹ naprzeciw stacji RER Port-Royal.

– Dlaczego?

– Bo stamtąd będziemy mogli zejść na podziemny parking CROUS-u. To jedyny budynek z lat siedemdziesiątych w tej dzielnicy. Dziewiętnastowieczne kamienice nie mają parkingów. Byłem tam. Z budynku są trzy wyjścia, w tym jedno na aleję Denfert-Rochereau. To wystarczy, żebyśmy później mogli uciec. A teraz bądź cicho. Najmniejszy hałas może nas zgubić.

I rzuca mi spojrzenie spode łba, w stylu „teraz się zamknij”. Jednak ja chcę wiedzieć coś jeszcze:

– A później dokąd pójdziemy?

– Odpuść już, wkrótce się dowiesz.

I przeskakuje na następny dach.

W ten sposób przemieszczamy się z kamienicy na kamienicę. Max idzie za wszystkimi, nie sprawiając żadnych problemów, a ja trzymam Alicję za rękę. Kiedy docieramy do CROUS-u, słyszę przez megafon:

– Poddajcie się, jesteście otoczeni!

Żołnierze pewnie zajmują pozycję przed naszą kamienicą przy bulwarze św. Michała.

Myślą, że jesteśmy wewnątrz.

– Szybko, do środka!

Wchodzimy do nowoczesnego budynku przez drzwi w betonowym dachu. Wewnątrz oddaję mojego kota Mai, żeby wziąć Alicję na ręce i zyskać na czasie. Bez słowa pędem zbiegamy po schodach.

– Tamtędy – rozkazuje Jérôme, wskazując drzwi z tabliczką „Parking podziemny”.

Na parkingu biegniemy za Liderem, który pędzi zygakiem między samochodami. Forsujemy jakiś korytarz, wybiegamy na inną część parkingu, podążamy za zielonymi strzałkami

na podłodze, pokonujemy krętą drogę wyjazdową. Jérôme wreszcie nas informuje:

– Wychodzimy na aleję Denfert-Rochereau, a potem kierujemy się w stronę dzielnicy Olympiades. Tam przygotowałem naszą nową kryjówkę. Trzeba skręcić w pierwszą ulicę na lewo, a później iść prosto ulicą Faubourg-Saint-Jacques aż do bulwaru Auguste-Blanqui. Potem prosto do placu Włoskiego, a później uliczkami do ulicy Tolbiac. OK?

Niczego nie można mu zarzucić. Wszystko zaplanował. Koncentruję się na swoim oddechu. Moja sylwetka młynarza mi pomaga, ale mała trochę ciąży. Max zrównał krok z moim i nie puszcza ręki Maleńkiej. Jak dobrze, że nie musimy go ciągnąć.

– Naszym celem jest pozostać w grupie. Możemy mieć nieprzyjemne spotkania. Graficy są w pobliżu, a ja im nie ufam.

Na czele idzie Jérôme, szereg zamyka Vincent.

– Chcesz, żebym poniósł Alicję? – pyta Żołnierz.

Kręcę głową. Wolę, żeby miał możliwość strzelania w razie ataku. Na skrzyżowaniu ulicy Faubourg-Saint-Jacques z bulwarem Auguste-Blanqui Cédric zatrzymuje się i woła Lidera.

– Jérôme?

– Tak?

– Zostawiam was tu i idę do Z-Punktu w szpitalu Salpêtrière. Nie mogę dłużej tak żyć.

– Jesteś pewien?

Kucharz kiwa głową. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby był równie zdeterminowany – on, taki wycofany w ostatnim czasie. Jérôme wzrusza ramionami.

– OK, idź.

Cédric przytula Séverine, a z pozostałymi żegna się dyskretnym skinieniem ręki. Rozchodzimy się w ciszy. To nagłe rozstanie pozostawia smak gorzkości. Jérôme idzie teraz obok Vincenta i cedzi przez zęby:

– Posłuchaj, możliwe, że to Cédric powiadomił wojskowych o naszej kryjówce.

– Tak sądzisz?

– Nie podoba mi się jego nagłe odejście. Pójdiesz za nim, a kiedy będziesz pewien, że nas zdradził, ukatrupisz go. Za dużo wie.

Ta hipoteza mnie zdumiewa. Pytam Maię, która też słyszała słowa Lidera:

– Dlaczego Cédric miałby nas zdradzić?

– Bo na zabój kocha się w Séverine, a ona wybrała Jérôme'a.

12 grudnia, rano

Lider prowadzi nas do kawiarni na rogu ulic Tolbiac i Javelot, niedaleko dzielnicy Olympiades.

– Poczekajcie tu na mnie, niedługo wrócę. Vincent, stań na straży.

Max zaczyna się niepokoić. W regularnych odstępach czasu na jego twarzy pojawiają się tiki. Gdy tylko będzie taka możliwość, muszę pojechać do Koridwen do Gentilly, żeby uprzedzić ją o naszej przymusowej przeprowadzce. Oby tylko nie wpadła w panikę przez moją zakodowaną wiadomość. Nagle łapię spojrzenie Maï.

– Wziął tabletkę półtorej godziny temu, podanie kolejnej wiązałoby się ze zbyt dużym ryzykiem – mówi.

Alicję bardzo zmęczyły dzisiejsze przeżycia. Kładzie głowę na ramieniu olbrzyma. Patrę przez okno i zauważam afisze w formacie A3, przyklepione do ściany liceum Claude’a Moneta. Nie widziałem jeszcze podobnych plakatów. Umieszczono na nich czarno-białe zdjęcia nastolatków. Mrużę oczy, żeby odczytać imiona:

Marco Gallehault / Stéphane Certaldo / Yannis Cefai / François Jourdain

Żadne nic mi nie mówi. Pod zdjęciami znajduje się ostrzeżenie:

Ci osobnicy są NIEBEZPIECZNI i UZBROJENI.

Cholera. Czytam gorączkowo dalej.

Poszukiwani za ZABÓJSTWO dokonane na przedstawicielu władz członkowie gangu przestępców planujących spisek TERRORYSTYCZNY. Jeśli zobaczysz te osoby, nie próbuj ich zatrzymać. Natychmiast zawiadom siły wojskowe albo kierownictwo w twoim Z-Punkcie.

Pokazuję Vincentowi to ogłoszenie, ale on tylko wzrusza ramionami ze zblazowanym wyrazem twarzy.

Jérôme wraca po niecałym kwadransie. Pokazuje nam z miną zwycięzcy kartkę z nagryzmlonymi chińskimi znakami.

– Idziemy do wejścia na parking przy ulicy Javelot. Mam przepustkę.

Nie mam czasu, żeby powiedzieć mu o terrorystach. Najpierw trzeba przenieść się do nowej kryjówki. Strażnik – Chińczyk – celuje w nas z karabinu. Jérôme pokazuje mu kawałek papieru i chłopak pozwala nam wejść.

– Idziemy do wieżowca ateńskiego.

Wieżowiec ateński... To tu mieszkał ojciec Jérôme’a. Lider spędzał u niego co drugi weekend. Dlatego się tu przenosimy.

– Jérôme, jakieś wyjaśnienia?

– Przywódca Chińczyków, gangu, który opanował dzielnicę Olympiades, jest moim kumplem z dzieciństwa. Prowadziłem z nim negocjacje i przydzielił nam pusty wieżowiec w zamian za broń.

– Nie są agresywni. Chcą tylko mieć spokój – dorzuca Vincent.

A więc znał plany swojego Lidera. Jérôme ciągnie neutralnym tonem:

– Przygotowują się jednak do dużej bitwy z Gangiem z Metra, który chce zawładnąć należącymi do nich podziemiami. Chińczycy potrzebują specjalnej broni. Tylko Vincent jest w stanie im ją dostarczyć.

Przechodzimy koło sklepików. Chińczycy wznoszą barykady z worków wypełnionych

piaskiem i kostki brukowej. Przypominam sobie słowa Vincenta: „To jest wojna” – wojna domowa.

– Witam w trzydziestosiędmiościętym wieżowcu ateńskim z tarasem ukazującym panoramę całego Paryża i pięciopoziomym parkingiem – ironizuje Jérôme.

Przeszlony hall ma zdobienia w stylu lat osiemdziesiątych: brązy, duże lustra, podłoga z połyskliwego, szarego sztucznego marmuru. Lider prowadzi nas w kierunku klatki schodowej.

– Zamieszkamy na trzecim piętrze.

Na trzecim poziomie jest kilkoro drzwi. Jérôme wskazuje nam te, które znajdują się naprzeciw windy.

– To mieszkanie będzie nam służyło za sypialnię i miejsce do życia, a tamto będzie nasza izba chorych. Zaczniemy od tego mniejszego.

Korytarz w kształcie gwiazdy prowadzi do trzech pomieszczeń. Pierwsze to przestronna kuchnia, drugie – luksusowa sypialnia z łazienką. Trzecie to niewielki pokój o błękitnych ścianach. Stoją tu dwa proste łóżka.

– To będzie twoje królestwo, Maïu. Idealnie nadaje się na izbę chorych.

Max zatrzymuje się na hasło „izba chorych”, siada na jednym z łóżek, a następnie się kładzie. Ten przeblysłk zrozumienia chwyta mnie za serce. Mam nadzieję, że dobrze zniesie środki uspokajające.

– Zostanę z nim i będę obserwować, ale zwykle niczego się nie boi – mówi do mnie Maïa.

Alicja kładzie swój plecak obok przyjaciela, dając nam do zrozumienia, że chciałyby spać razem z Benkiem i Aptekarką.

– Później się tym zajmiemy – proponuje Jérôme. – A zanim rozdzielimy pokoje, chodźmy zobaczyć główne mieszkanie.

Idziemy do drugiego apartamentu. Wypuszczam Lego z klatki. Wyskakuje uradowany i czym prędzej ucieka na elegancką kanapę pokrytą czarną skórą. W pokoju są jeszcze dwa fotele do kompletu. Ściany są białe, parkiet ciemny, odnowiony. Kuchnia otwarta, w stylu amerykańskim, olbrzymi salon niemal przypomina loft. Na ścianach wiszą dwa abstrakcyjne obrazy. Jedno przepierzenie zajmuje wspaniała biblioteka z mnóstwem książek. Mieszkanie jest bardzo modnie urządzone.

Alicja stawia miseczki z wodą dla kotów. Jérôme nie wybrał dla nas mieszkania swojego ojca. To byłoby dla niego zbyt trudne. Idziemy za Anakinem do kolejnych pokoi. Séverine i Jérôme będą spali razem. Aptekarka uważa, że powinna nocować w izbie chorych, przynajmniej do czasu, aż stan Maksa się ustabilizuje. Vincent i Katia dostali po pokoju. Ostatnie pomieszczenie, w głębi, będzie nam służyło za spiżarnię. Zajmie się nią Séverine. Z braku miejsca i ku wielkiemu zadowoleniu Alicji my dwoje zamieszkamy w izbie chorych.

– Vincent, chodź, pokażę ci studio, w którym urządzimy zbrojownię.

Lider odwraca się do mnie przed wyjściem z mieszkania.

– A jutro, Szarżujący, będziemy potrzebowali twojej siły, żeby wnieść nowy agregator na trzecie piętro.

Alicja ociera buzię o moją rękę.

– Diego!

Pochylam się do niej:

– Tak, Maleńka?

Dziewczynka gładzi się po brzuszku, co znaczy, że jest głodna. A w całym tym luksusowym apartamencie jest tylko jedna zagubiona konserwa. Jérôme pomyślał o broni, ale nie o jedzeniu. Séverine odzywa się łagodnie:

– Wiem, gdzie znaleźć żywność.

- No gdzie?
- Trochę dalej, na ulicy Tolbiac jest stołówka uniwersytecka dla studentów z uniwersytetu naprzeciwko. Przy odrobinie szczęścia możemy liczyć, że zostały tam zapasy.
- Super! A więc w drogę, idziemy z tobą. Mała i Katia zostaną z Alicją i Maksymem, zgoda?

14 grudnia, południe

Nadal jestem obolały po akcji Agregat prądotwórczy. Ten agregat był bardzo ciężki i trudny do przeniesienia, nie wspominając o tym, że padał ulewny, lodowaty deszcz. Boli mnie zwłaszcza lewe przedramię. Nie jestem pewny, czy to mięsień, czy jedna z ran się otworzyła, kiedy niosłem zbyt wielki ciężar. Postawiliśmy go na pierwszym piętrze i połączyliśmy grubymi kablami z grzejnikami rozmieszczonymi na trzecim. Dzięki temu w mieszkaniu panuje przyjemne ciepło.

Schodzę po schodach – to ja mam przenieść broń do strażnicy na parterze. Stanie na zewnątrz w zimnie niczemu nie służy, skoro i tak jesteśmy doskonale widoczni dla wrogów przez przeszkłone ściany hallu. Jesteśmy zresztą na terenie Chińczyków i pod ich opieką, więc atak mniej nam zagraża niż w poprzedniej siedzibie. Vincent siedzi zamyślony w pobliżu klatki schodowej z krótkofalówką przypiętą do paska i karabinem na kolanach. W tym niezwykłym dla niego stanie melancholii jest coś niepokojącego.

– Vincent, wszystko gra?

– Sie masz, Szarżujący, myślałem o paru sprawach.

Podaje mi karabin.

– O czym?

– O mojej siostrze, rodzinie. Czasem, jak o nich myślę, dopada mnie rodzaj nieprzewycięzonego smutku. A poza tym częściej myślę o nich, od kiedy Katia i ja jesteśmy... No wiesz, razem. Chciałbym, żeby ją poznali. Żeby wrócili. Chciałbym znów ich zobaczyć.

Milknij, a ja stoję jak skamieniały pod wpływem tych nieoczekiwanych zwierzeń. Ja nie pozwalam sobie na myślenie o rodzinie. A tu proszę, on niemal zmusza mnie do tego. Wspomnienia są bolesne jak uderzenie pioruna. Czuję tak intensywny ból, że aż zginam się wół, nie mogę oddychać.

– Jules, co ci jest? Jesteś blady jak ściana.

Nie mogę nawet mu odpowiedzieć. Siadam, próbuję uspokoić oddech. I jak zawsze w takich chwilach, czepiam się myśli o Khronosie, spotkaniu – szalonego marzenia o powrocie do przeszłości. Nie wiem, czy wierzę w to na sto procent, ale ufam wewnętrznej intuicji. Nie wiem, czemu przypominam sobie zdanie, które czasem powtarzała mama: „Przyjdzie czas, będzie rada”. Zawsze uważałem to powiedzenie za idiotyczne. Kurczę, nie mogę zrozumieć tego, co zapamiętałem. Czas na co? Na pogodzenie się? Docierają do mnie odgłosy radosnej rozmowy, co zmusza mnie do odzyskania panowania nad sobą. Pojawienie się Maï i Katii przegania czarne myśli.

– Brrrr. Naprawdę okropna pogoda. Pada lodowaty deszcz, prawie śnieg.

– Połów się udał?

– Tak, znalazłyśmy mnóstwo rzeczy. Przeszukałyśmy dziś rano jakieś pięćdziesiąt mieszkań. I w końcu trafiłyśmy na istną żyłę złota! Weszłyśmy do domu pary emerytów na ulicy Butte-aux-Cailles. Musieli być autentycznymi hipochondrykami, ich apteczka pękała w szwach. Mamy krople miętowe, opatrunki, sterylne bandaże, środki dezynfekcyjne. Możemy odtworzyć naszą aptekę!

– A w mieszkaniu w pobliżu stacji metra Porte d’Italie znalazłyśmy najróżniejsze baterie, latarki... A nawet krótkofalówki.

Vincent obejmuje Katię i przytula do siebie. Maïa pochyla się nad koszykiem i wyjmuję z niego ubrania.

– Pozwoliłyśmy sobie na coś ekstra!

Jej entuzjazm jest zaraźliwy. Katia też odzyskała radość życia. Nawet zrobiły sobie makijaż, tak samo jak Séverine wczoraj przed kolacją. Dosłownie ograbiły dawny salon piękności. Drzwi wejściowe znów się otwierają. Wszyscy jednocześnie odwracamy się w najwyższym napięciu. W rękach trzymamy broń, Vincent osłania sobą Katię. Musimy być czujni. Mimo że korzystamy z opieki Chińczyków, w dzielnicy panuje coraz większy chaos. Napięcie między gangami wzrasta. Nieuchronnie zbliża się wielka bitwa.

To Isa. Powaga malująca się na jej twarzy nie wróży niczego dobrego.

– Isa! Co nowego?

– Jest Jérôme? Możemy się wszyscy spotkać? Nie mogę zbyt długo włączyć się poza Z-Punktem, mam dyżur w kuchni.

– Prowadzi negocjacje z przywódcą Chińczyków. Powiedz wszystko mnie, ja mu przekażę.

Isa siada na ziemi przed drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową.

– Od dzisiejszego poranka panują nowe porządki. Wojskowi radykalnie zaostrzyli stan wojenny. Trzymajcie, wzięłam ulotkę. Zaczynają je rozpowszechniać. Będą rozrzucać z helikopterów.

Podaje nam kartkę, a Vincent czyta na głos:

Począwszy od 15 grudnia dla zapewnienia bezpieczeństwa powszechnego i ograniczenia przemocy, która nasila się w naszym kraju, wszystkie osoby mieszkające poza Z-Punktami na terenie Francji będą traktowane jak przestępcy.

Podpisano: „Rząd Tymczasowy Republiki Francuskiej”, a niżej „Zarząd wojskowy miasta Paryża”. Piętnasty grudnia będzie jutro. Zaciskam szczęki, żeby dać upust zdenerwowaniu. Jérôme miał rację, kiedy przewidywał zaostrzenie polityki armii.

Isa tłumaczy nam, że chip elektroniczny lokalizacji wirusa, o którym mówili nam nastolatki w Z-Punkcie, od dziś jest chipem identyfikacyjnym, narzędziem służącym systema-tycznemu i prowadzonemu na szeroką skalę nadzorowaniu ocalałych. Wojskowi używają tych urządzeń, żeby móc zlokalizować nastolatków poza Z-Punktami. Celem jest śledzenie wszystkich bez wyjątku. Isa słyszała, jak szef sekcji wypowiadał się na ten temat. Od kilku dni stało się to jednym z priorytetów. Na szczęście żadne z nas nie zgodziło się, żeby wszczepiono mu pluskwę. W wyobraźni widzę afisze *Wanted* przyklejone do murów liceum Claude’a Moneta. Zachęcały one nastolatków do udzielania żołnierzom pomocy w poszukiwaniu terrorystów. Jérôme zinterpretował to jako wezwanie do donosicielstwa i ostrzegł nas:

– Nie wiemy, czy to są rzeczywiście terroryści, nie jesteśmy na żołdzie armii, a więc na nikogo nie będziemy donosić.

Taka jest polityka naszej komuny. Czy skoro jesteśmy poza prawem, odtąd również jesteśmy uznawani za terrorystów?

– Nie da rady żyć w Paryżu w takich warunkach – wzdycha Katia ponuro.

– Trzeba poczekać do 24 grudnia na spotkanie z Khronosem – mówię.

– Jules... Jesteś pewny, że czekanie do tego dnia naprawdę jest takie ważne?

Pytanie Katii jest dla mnie jak policzek.

– Przepraszam cię, wiem, że chcesz spotkać się z innymi Ekspertami i spróbować czegoś z nimi dokonać, ale... – wtrąca się Maïa, żeby rozładować atmosferę.

– Daj spokój, Maïu, w każdym razie Jérôme chce się stawić na tym spotkaniu.

Dokładnie w tym momencie słyszymy głos Lidera:

– Co za dziwne miejsce na podwieczorek! Isa, jak się masz? Jakie nowiny z Z-Punktu?

Vincent podaje mu ulotkę, którą Jérôme czyta ze zmarszczonymi brwiami.

– W Paryżu będzie wojna. Trzeba poważnie rozważyć wyjazd. Znajdziemy jakiś pojazd i zgromadzimy zapasy benzyny.

– Ale dokąd wyjedziemy? – pyta Katia.

– Do miejsca, w którym będziemy mogli swobodnie żyć, z dala od wojskowych. Wolni. Ale przedtem chcę zawiązać możliwie dużo sojuszy z pozostałymi gangami. Rozumiecie, im będziemy bardziej zjednoczeni, tym staniemy się silniejsi. Musimy wytrzymać do 24 grudnia.

Domyślam się, że Jérôme chciałby doprowadzić do połączenia tych wszystkich, którzy odmawiają poddania się rządowi armii. Chce, żeby ta unia wolnych sił miała rzeczywiste znaczenie polityczne. Jego celem jest opracowanie wspólnej strategii dla wszystkich grup wolnościowych z Paryża i prowincji. Dotrzyma obietnicy uczestniczenia w spotkaniu 24 grudnia, żeby pozyskać Ekspertów dla swojej sprawy. Żałuję tylko, że organizuje i rozwija te opozycyjne siły, nie dając mi wcale okazji do pomocy.

– Iso, pojedziesz z nami, gdy będziemy opuszczać Paryż?

Bibliotekarka kiwa głową, a Jérôme posyła jej uśmiech. Ten uśmiech nagle łagodzi jego rysy i sprawia, że znów przypomina chłopaka, jakiego znałem Przed Tym.

– Pójdę zobaczyć się z Alicją, mam dla niej mały prezent.

– Jest w salonie z Séverine. Ucieszy się, zwłaszcza że niepokoi się o Maksa, który stał się całkowicie bierny, odkąd tu zamieszkaliśmy. Jest przybity i nie chce się z nią bawić.

Ja też martwię się o Maksa, bardziej niż okazują to Maleńkiej. Nie miałem jeszcze możliwości pojechać do Koridwen do Gentilly, ale najwyższa pora, żebym to zrobił. Nie wiem nawet, czy zjawiała się w mieszkaniu przy bulwarze św. Michała ani czy znalazła wiadomość, którą jej zostawiłem. Wojskowi mogli wszystko zdemolować, przeszukując pokoje...

Max niemal nic nie je ani nie pije, odkąd przeprowadziliśmy się do dzielnicy Olympiades. Kiedy minęło działanie środka uspokajającego, nie wrócił do poprzedniego stanu. Chodził po nowym pokoju jak zwierzę, które straciło orientację. Domyślam się, że niemożność rozpoznania miejsca jest dla niego nie do zniesienia. Alicja próbowała wszystkiego – na próżno. W końcu położył się skulony na łóżku i znieruchomiał. Nie jestem w stanie opanować tego strajku głodowego. Maleńka bardzo niepokoi się stanem przyjaciela, choć widzę w jej błyszczących oczach silne postanowienie i pewność, że znajdzie sposób, by mu pomóc. Maïa stwierdziła, że powinien jak najszybciej uzupełnić płyny, w przeciwnym razie jego życie będzie zagrożone.

Katia i Maïa idą za Isą na górę. Pomagam im wnieść koszyki, ale słyszę początek rozmowy Lidera z Żołnierzem:

– Chińczycy mówili mi o nastolatkach, z których żołnierze tworzą nowe brygady. Co więcej, te brygady są uzbrojone. Patrolują ulice z psami wyszkolonymi do zabijania.

– Wiem. Jeszcze ich nie spotkałem, ale ci młodzi żołnierze nie są wybierani na chybił trafił. To nie grzeczne dzieci trafiają do straży miejskiej, możesz mi wierzyć...

Cztery

14 grudnia, popołudnie

Pędzę rowerem w stronę Gentilly. Jérôme zdecydował, że Max nie może dłużej mieszkać z nami. Kiedy mu wyjaśniłem, że jest przybity, nic nie je ani nie pije od doby, jednoznacznie dał mi do zrozumienia, że nie należy destabilizować równowagi komuny przez wprowadzanie do niej kłopotliwego członka oraz że mamy „co innego na głowie niż dbanie o szwankujące zdrowie psychiczne autystycznego kuzyna dalekiej znajomej z WOT”. Tak właśnie się wyraził.

Trochę nadkładam drogi, ale decyduję się pojechać przez plac Denfert-Rochereau. Graficy przyłączyli 14. dzielnicę i chcę zobaczyć, jak ją zmienili. Ależ dziwnie wyglądają lwy z brązu pokryte jaskrawożółtym graffiti! Helikoptery rozrzucają ulotki ogłaszające wprowadzenie stanu wojennego 15 grudnia. W alei generała Leclerca kilkoro nastolatków niesie siatki i pcha wózki wypełnione żywnością. Wiedzą, że od jutra znacznie trudniej będzie wyjść na ulice. A więc istnieją jeszcze pojedynczy ocaleni żyjący poza Z-Punktami. To ich Jérôme powinien próbować skłonić do przyłączenia się do komuny.

Jest czwarta po południu. Zostały mi jeszcze dwie godziny, żeby obrócić do Gentilly i z powrotem. Koridwen musi znów zająć się kuzynem. Sprawdziłem na planie miasta, gdzie znajduje się ulica Lecocq – to niedaleko od wjazdu do Gentilly. Po zewnętrznych bulwarach jedzie wojskowa ciężarówka. Żołnierz przez głośnik stanowczym głosem nawołuje nastolatków, by udali się do sortowni na stadionie Charléty.

Vincent mówił mi o tej sortowni i ostrzegał, że jest pilnie strzeżona, bo znajduje się na granicy miasta i przedmieścia. Radził mi wzmóc czujność na wysokości obwodnicy – jego zdaniem drogi wyjazdowe z Paryża są szczególnie mocno kontrolowane przez żołnierzy. Z drugiej strony bulwarów Maréchaux dostrzegam korty tenisowe centrum sportowego Elisabeth. Rozegrałem tam z ojcem kilka partii. Ostatnio często proponował mi, żebyśmy wspólnie pograli w tenisa: „Chodź, synku, mama mówi, że powinieneś więcej się ruszać, rozegramy sobie partyjkę”. Nie cierpię tenisa, ale przepadałem za gorącą czekoladą i ciastkami, na które później szliśmy do pobliskiej cukierni.

Jadę dalej na wschód, zwalnim na skraju parku Montsouris, skąd dobrze widać stadion Charléty. Jadąc wzdłuż budynku w kształcie statku, ze zdumieniem dostrzegam nadspodziewanie liczne zawiadomienia o poszukiwanych terrorystach. Przed wyruszeniem w dalszą drogę zgodnie z radą Vincenta rzucam okiem na wiadukt obwodnicy. Poniżej dostrzegam żołnierzy, stanowisko strzelnicze, bariery przeciwtłumowe i worki z piaskiem. Jednym słowem – barykadę wojskową.

Muszę ich ominąć. O tej godzinie mam prawo poruszać się po ulicy, ale nie mogę mieć Sztyletu.

Jak dostać się do Gentilly?

Zawracam w kierunku bulwarów Maréchaux i wyciągam plan miasta. Być może na cmentarzu przy stadionie znajdę niestrzeżone przejście na przedmieście.

Jadę aż do bramy Peupliers.

Błądząc między grobami, zbliżam się do muru cmentarnego, który biegnie wzdłuż obwodnicy. Czy dam radę sforsować przeszkodę, żeby dostać się na autostradę? Nie wiem, jak miałbym przejść przez ogrodzenie. Siadam, żeby się zastanowić. Cholera, cholera, cholera. Nie spodziewałem się, że będę musiał tak się namęczyć, żeby odwiedzić Koridwen. Zamierzam odjechać, kiedy z grobowca nagle wychodzi jakiś facet, a właściwie umięśniony czarny chłopak z dużym plecakiem. Padam na ziemię za grobem, żeby mnie nie zauważył, i czekam, aż odejdzie. Jeśli mam trochę szczęścia, wyszedł sekretnym przejściem prowadzącym do Gentilly. Postanawiam go przeczekać. Po pięciu minutach zamierzam się ruszyć, ale chłopak ponownie

pojawia się przy bramie cmentarnej. Teraz niesie pusty plecak. Znow wchodzi do grobowca i wyłania się z niego po dziesięciu minutach z pękatym bagażem. Domyślam się, że nie przenosi legalnych towarów. Robi jeszcze pięć tur. Pięciokrotnie grobowiec pochłania go z pustym plecakiem i zwraca z pełnym. Prawdziwy przemyt. Mija godzina.

Czas wlecze się niemiłosiernie.

Tym razem czekam całe piętnaście minut. Chłopak nie wraca. Biegnę do grobowca i odkrywam otwartą trumnę, w której dostrzegam wydrążony otwór.

Muszę spróbować. Właśnie szykuję się do wejścia, kiedy czuję, że ktoś chwyta mnie za kołnierz kurtki i niemal podnosi nad ziemię.

– Co tu robisz?

Co za niefart, to ten mięśniak. Nie wydaje się zadowolony. Na dodatek towarzyszy mu inny czarny, jeszcze bardziej przypakowany, który obszukuje mnie i zabiera broń.

– Eee... Szukam przejścia do Gentilly i chcę ominąć zaporę wojskową.

– Ach, tak, a dlaczego?

Drugi dotyka mojej szyi czubkiem Sztyletu. Zaczynam się bać. Myślę, że nie zawahają się mnie ukatrupić, jeśli ich nie przekonam.

– Muszę spotkać się z przyjaciółką. Jej kuzyn umrze, jeśli do niej nie dotrę.

Nie wyjawiam im imienia Koridwen, na wypadek, gdyby byli niebezpieczni. Nie chcę, żeby miała kłopoty.

– Ja... ja mówię prawdę.

– Dalej, powiedz więcej, jak wygląda ten kuzyn?

– Wysoki brunet, trochę opóźniony, z bardzo krótkimi włosami.

Nacisk noża na moją arterię słabnie. Można by pomyśleć, że mi wierzą.

– Jak się nazywa ten wysoki kuzyn?

– Max.

Patrzę po sobie.

– OK, jest spoko, zna Koridwen.

Bretonka należy zatem do ich siatki! Kto by pomyślał!

Drugi chłopak oddaje mi Sztylet.

– Stary, idziesz aż do kanału, jakieś sześćdziesiąt kroków, wychodzisz na wysokości tabliczki „ulica Val-de-Marne” i znajdujesz się już po stronie Gentilly. Zrozumiałeś?

Kiwam głową.

– I uważaj, żeby patrol cię nie zobaczył, kiedy będziesz wychodził. Za godzinę zaczyna się godzina policyjna. Na ulicach jest mnóstwo młodych, którzy przywołują do porządku tych, co nie wstąpili jeszcze do Z-Punktów.

Za dużo czasu spędziłem na cmentarzu.

– OK, dzięki, chłopaki.

– Masz szczęście, że znasz Koridwen.

Oddalają się, a ja wchodzę do grobowca. Schodzę jakieś dwa metry po drabinie, a potem muszę się schylić, żeby wejść do poziomego, długiego mniej więcej na dziesięć metrów tunelu wyłożonego deskami. Przechodzę przez wyłom w betonie i docieram do kanału. Zgodnie ze wskazówkami chłopaków idę dalej prosto. Po kilku minutach marszu docieram do tabliczki „ulica Val-de-Marne”, a później do metalowej drabinki. Wspinam się po niej. Nade mną znajduje się płyta przykrywająca wylot kanału. Sprawdzam, czy nikogo nie ma. W porządku, jestem na wolnym powietrzu, na wyludnionej ulicy przedmieścia.

A teraz do mieszkania Koridwen. To niedaleko. Dyskretnie przemykam przez ogarnięte ciszą ulice. Jeszcze bardziej się mobilizuję, kiedy słyszę rozkaz nadawany przez głośnik:

Uwaga, należy natychmiast stawić się w sortowni. Niewykonanie rozkazu to naruszenie warunków prawa wojennego! Od jutra wszystkie osoby znajdujące się poza Z-Punktami będą uważane za przestępców!

Przyciskam się do muru. Za późno. Grupa mniej więcej dwudziestu nastolatków z odblaskowymi opaskami wychodzi z kamienicy. To oddział specjalny. Wydaje mi się, że nie są uzbrojeni, ale dobrze zorganizowani i zdeterminowani. Połowa grupy wchodzi do innego domu. Czy przeszukują wszystkie budynki na tej ulicy? Moim zdaniem nie tylko przypominają ocalałym o obowiązku dołączenia do Z-Punktów, lecz także ścigają osoby, które uważają za terrorystów. Druga część grupy zbliża się do mnie. Nie mam szansy ich wyminąć. Jedyne uzbrojony w pistolet, zapewne ich przywódca, pyta mnie:

– Hej, ty! Co tu robisz?

Uśmiecham się do niego, starając się zachować spokój.

– Mieszkam w Z-Punkcie w szpitalu Salpêtrière. Właśnie przeszedłem zaporę przy wjeździe do Gentilly. Mam do załatwienia osobistą sprawę.

Obrzuca mnie nieufnym spojrzeniem. Skoro wojskowi pozwolili mi przejść, to znaczy, że nie jestem ani uzbrojony, ani poszukiwany. Wywinę się, o ile nie będą chcieli mnie zrewidować.

– W porządku, OK, ale nie rób głupstw, stary. Jutro wszyscy będziemy uzbrojeni i nie zawahamy się strzelać – ostrzega mnie.

Jest to groźba, a jednak brzmi jak rada, niemal opiekuńczo. Dowódca oddziału szczerze doradza mi ostrożność. Czytam w jego oczach, że myśl o strzelaniu do rówieśników nie napawa go radością. Kiwam głową i idę dalej, nikogo nie spotykając po drodze. Liczba rozkładających się trupów naprawdę mnie zaskakuje. Jest ich tu znacznie więcej niż w Paryżu, można by sądzić, że wojskowi nie rozpoczęli jeszcze akcji sprzątanania przedmieścia. Smród rozkładających się ciał wywołuje u mnie ogromną falę mdłości, jeszcze większą niż w pierwszych dniach listopada. Wzdłuż ulicy Lecocq stoją domki i warsztaty. Pod numerem 12 znajduje się dawny skład żelazny. Staję przed metalowymi drzwiami. Wydaje mi się, że z wnętrza dochodzi jakiś głos. Nadstawiam ucha, czy ma gości? Nie śmiem zapukać. Co ona opowiada:

– *Moje dobre, piękne dziecko – mówi druid. – Cóż mam ci zaśpiewać?*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer jeden, niech się jej dziś nauczę.*

– *Nie ma sekwencji o numerze jeden – odpowiada druid. – Wyjątkowa konieczność, Śmierć, ojciec Bólu, nic wcześniej, nic później.*

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer dwa, niech się jej dziś nauczę...*

Krzyczy tak głośno, że to dziwne, niemal niepokojące zakłęcie dociera aż do mnie. Mimo wszystko pukam do drzwi, ale ona dalej melorecytuje na całe gardło:

– *Zaśpiewaj mi sekwencję numer jednaście, niech się jej dziś nauczę – prosi dziecko.*

– *Jedenastu uzbrojonych kapłanów; przyszli z Vannes z połamanymi mieczami; ich szaty krwią zbroczone, podpierają się kulami...*

Uzbrojeni kapłani? Walę pięścią w metalowe drzwi. Bretońskie czary, magia i tak dalej... to wszystko jest bardzo fajne, ale za chwilę zapadnie noc.

Szykuję się, żeby ją przekrzyknąć, kiedy czuję, że ktoś przykładą mi lufę do skroni.

– Nie ruszaj się. Bądź cicho.

Przechodzi mnie dreszcz przerażenia. To dziewczęcy głos. Cholera.

– Jak się nazywasz? Odpowiadaj cicho.

– Jules – szepczę drżącym głosem.

– Jesteś praworęczny, Jules?

Kiwam głową. Łapie mnie za lewą rękę i bardzo wysoko zakłada na plecy. Słyszę, jak chrzęszczą mi stawy, wyprężam się, nie jestem w stanie powstrzymać okrzyku bólu. Ta dziewczyna to wariatka, złamie mi rękę. Znow szepcze mi do ucha:

– Widzisz, nawet jeśli zrobisz coś głupiego, nie złamię ci najbardziej potrzebnej ręki, przynajmniej nie na początku. Masz broń?

Mówi cicho, ale w jej głosie wyczuwam ciężki ton gniewu, który wprawia mnie w takie przerażenie, jakby wrzeszczała.

Przytakuję i mamrocę:

– Przy pasku...

Głos więźnie mi w gardle. Obszukuje mnie i zabiera nóż pradziadka. Odwraca się i kogoś go oddaje. Ilu ich jest? Co najmniej dwie osoby. Rozluźnia uchwyt, ale kiedy zaczynam odzyskiwać oddech, znow wykręca mi rękę. Cholera, jak to boli.

– Wiesz, czy ta dziewczyna w środku jest sama? – cedzi.

– Ja... wydaje mi się...

– Ma komputer?

– Nie wiem.

– Dobrze... Teraz znow zapukasz do drzwi. I ani słowa – mamrocze mi do ucha.

Trzy razy uderzam w drzwi. Koridwen nie przestaje śpiewać swojej pieśni. Cholera, Koridwen, otwórz, proszę, ona urwie mi rękę. To postrzelona wariatka. Nawet nie wiem, jak wygląda. Ani ilu jest pozostałych – nie odezwali się słowem. Tylko ona szepcem wydaje mi rozkazy, to pewnie ich przywódczyni.

– Zapukaj jeszcze raz! Mocniej!

Irytuje się, z całej siły wykręca mi ramię. Walę w drzwi i krzyczę:

– To ja, Jules, otwórz mi!

Coś ociera się o moje nogi. Patrzę w dół: duży, nerwowy pies chodzi wokół mnie. To czarno-biały kundel. Utyka. Koridwen nie otwiera. Metalowa lufa nadal dotyka mojej skroni. Moje ramię ciągle jest wykręcone.

Śpiew w końcu cichnie.

14 grudnia, późne popołudnie

Koridwen otwiera odsuwane drzwi, jest ubrana w czarną czapkę i płaszcz.

– Wybacz, wzięli mnie z zaskoczenia...

– Cofnij się! – rzuca nieznajoma dziewczyna, popychając mnie do środka.

– Zamknij za nami, Yannis. A ty odsuń się dalej!

Pies szczeka. Już wiem, czemu utyka – ma tylko trzy nogi, biedny zwierzak. Szybko rozglądam się po dawnym zakładzie. Są tu stanowiska do lutowania, maszyny do cięcia metalu i przyczepa do przewożenia zwierząt. W końcu mogę się przyjrzeć napastnikom. Chłopak imieniem Yannis jest wysokim brunetem o charakterystycznej twarzy. Ma przestraszone, przenikliwe spojrzenie. W rękach trzyma karabin. Napastniczka to chuda, wysoka dziewczyna o regularnych, delikatnych rysach. Oboje noszą czapki, ale skądś znam ich twarze. Bretońska Czarownica wykonuje pierwszy ruch.

– Dlaczego nas zaatakowaliście? Nic wam nie zrobiliśmy. Staramy się tylko przeżyć, tak samo jak wy.

I podchodzi do mnie, jakby nikt nie trzymał wycelowanej w nią broni. Wpatruje się we mnie swoim nieodgadnionym spojrzeniem, a ja czuję coraz silniejszy ból ręki.

– Coś się stało Maksowi?

Niepokój, który słyszę w jej głosie, kontrastuje z obojętną twarzą. Problem polega na tym, że wściekła wariatka coraz mocniej ściska moje przedramię, podrażniając ledwie zasklepioną ranę. Zginam się wpół. Jeśli każde pytanie Bretonki będzie interpretować jako prowokację, czekają mnie bardzo ciężkie chwile. Z trudem odpowiadam:

– Jest z nim pewien kłopot. Odmawia...

Koridwen zbliża się do mnie. Wariatka wrzeszczy:

– Dobrze się czujecie? Nie przeszkadzamy wam?

Ta dziewczyna sprawia wrażenie, jakby w każdym momencie była gotowa wystrzelić. Coraz bardziej się trzęsę. Napastniczka celuje w głowę Koridwen. Bez słowa. Ma nieruchomą twarz, zaciśnięte wargi. Jest zdeterminowana. Gotowa zabić. Jest w stanie nacisnąć spust. I nagle przypominam sobie – już wiem, gdzie ich widziałem! Na afiszach przyklejonych do ściany liceum Claude'a Moneta. Jesteśmy zdani na łaskę i niełaskę dwojga morderców, zabójców żołnierzy...

Nie warto prowadzić negocjacji, opowiadać, że chłopak umrze, jeśli jego kuzynka czegoś nie wymyśli. Nigdy nas nie puszcza, za bardzo boją się, że doniesiemy władzom. Jesteśmy ich potencjalnymi wrogami, a na nich urządzono obławę. Są całkowicie nieprzewidywalni. Pies skamle. Yannis podaje swój karabin Wariatce.

– Trzymaj ich na muszce. Ja ich obszukam – proponuje.

Rewiduje nas, a później związuje i każe nam usiąść w głębi hangaru. Siedzimy pod ścianą, zdani na łaskę rozwścieczonej Wariatki, która klęka naprzeciwko nas i opiera broń na udach. Przygląda nam się oczami w kolorze płynnego srebra.

– Dobra, teraz pora na wyjaśnienia. Żandarmeria poszukuje nas za morderstwo.

Terroryzm, jak mówią.

Wiedziałem o tym, ale i tak z trudem oddycham.

– Pewnie macie gdzieś, że jesteśmy niewinni. A my mamy gdzieś to, że nam nie wierzycie. Potrzebujemy miejsca na noc i trafiło na was. Macie coś do jedzenia i picia?

Koridwen kiwa głową:

– W przyczepie. Tam są zapasy moje i mojego kuzyna.

– A komputer masz? – pyta terrorystka.

Bretonka zaprzecza.

– Trzeba będzie jakiś znaleźć – rozkazuje dziewczyna.

– Później odejdziemy, nie zrobimy wam krzywdy – wtrąca się chłopak, Yannis.

Wydaje się mniej agresywny, ale nie budzi mojego zaufania. Może po prostu jest bardziej opanowany, może oboje działają jak dwaj policjanci – dobry i zły. Czuję, jak Koridwen opiera się o mnie.

– To niemożliwe! Mam chorego kuzyna. Muszę... – oponuje.

Dziewczyna wchodzi jej w słowo:

– Niczego nie musisz. Twoje plany właśnie się zmieniły. Będziesz nam całkowicie posłuszna, kapujesz? Przykro mi, ale na zewnątrz jest zbyt niebezpiecznie.

W niczym nie ustąpią. Z rękami podniesionymi nad głową Koridwen powoli wstaje, a nasza strażniczka natychmiast ładuje broń, ze szczękiem jak z filmu grozy.

– Spoko, Stéphane – burczy do niej wspólnik, mierząc do Bretonki z pistoletu.

– Stéphane... – powtarza Koridwen. – Byłam prawie pewna. Znam cię. Jestem Kori, córka rolników z Menesguen w pobliżu Dourdu.

O kurczę, one się znają! Czy to może uratować nam życie? Dziewczyna wstaje, nie odrywając oczu od Czarownicy. Zdejmuje jej czapkę lufą karabinu – rude loki rozsypują się na wszystkie strony.

– Nie żyją – odzywa się nagle Koridwen. – Twój brat i matka, razem z twoim ojczymem. Wszyscy troje.

Cholera, dlaczego im to mówi? Chce, żebyśmy też padli martwi? No proszę, a teraz przechodzi do szczegółów. Ich ciała znalazła jej przyjaciółka... Wstrzymuję oddech, przygotowuję się na najgorsze. Nie śmiem nawet patrzeć na dziewczynę, którą nazywa Stéphane – męskim imieniem.

– Zamknij się. Kłamiesz.

Cholera, cholera, głos Wariatki drży. Kochała swoich rodziców. Została morderczynią. Przed Tym być może była normalna.

– Stéphane – mamrocze jej przyjaciel, który sprawia wrażenie naprawdę smutnego.

W gruncie rzeczy pewnie nie różnią się ode mnie. Od nas. Teraz patrzę na nią inaczej. Ma niesamowite oczy, bardzo jasne, intensywnie błyszczące w półmroku. Nerwowo zdejmuję czapkę, a później znów ją wkłada, ale mam czas, żeby zauważyć dziwny kolor jej włosów, równie siwych jak jej oczy o metalicznym odcieniu. Naprawdę jest piękna. Przypomina bohaterkę *X-Men*. Ale w jej urodzie jest coś nierzeczywistego, trudnego. Coś nieosiągalnego i ostrego. Robi krok w stronę Koridwen.

– Zamknij się, wyraźnie ci mówię. Siadaj!

Dlaczego Bretonka jej nie słucha?

– Jest tu piwnica, jakiś skład?

Głos Stéphane zaczyna brzmieć groźniej i wbrew sobie napinam mięśnie. Koridwen wskazuje jej brodą drzwi, ale nie siada. Ależ tępa jest ta niewzruszona Czarownica, bawi się naszym życiem! Moja wyobraźnia zaczyna działać. Najgorsze jest jeszcze możliwe. Nie spuszczam z oka broni trzymanej przez strażniczkę. Tak mocno ściska rękojeść, że palce bieleją jej w sposób, który przyprawia mnie o gęsią skórę.

– Yannis, uwolnij mnie, proszę, od tej kłamczuchy i jej kumpla – rozkazuje.

Głos jej się załamuje. Zdumiony zauważam, że z trudem powstrzymuje łzy.

Yannis rozwiązuje nas, daje nam kołdrę i zamyka w pomieszczeniu bez okna.

Siedzimy w całkowitej ciemności.

Noc z 14 na 15 grudnia

Potykam się o kartony, które zagracają pomieszczenie. Ani kroku nie daje się zrobić bez uderzenia o jakiś przedmiot. Po omacku ustawiamy pudła na środku komórki, żeby móc usiąść obok siebie i przykryć się kołdrą. Czarownica oddycha spokojnie. Cała moja złość znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Po cichu liczę na to, że znajdzie jakieś magiczne wyjście z tej sytuacji. Zamykam oczy, staram się uspokoić i zastanowić. Jest mi coraz zimniej, mimo kurtki i czapki. Koridwen też zaciera zziębnięte ręce i poklepuje się po udach, Nie śmiem się odezwać. Za bardzo się boję, że ci terroryści znów tu wejdą. Czas mija powoli, dlaczego ona się nie odzywa? Może śpi? Muszę przerwać ciszę, żeby pokonać ogarniający mnie strach. Mówię szeptem:

- Czyli co, znasz tę dziewczynę?
Mówię krótko, żeby nie zwracać uwagi naszych strażników.
- W zasadzie to słabo. Spotkałam ją w ostatnie wakacje. Jej matka kupiła dom w osadzie niedaleko mojego domu. Jej rodzice się rozeszli. Ona mieszkała z ojcem w Lyonie. Nigdy tak naprawdę z nią nie rozmawiałam.
Zaznacza, że zapamiętała gotycki wygląd Stéphane, jej dziwny charakter.
- Uprzedziłeś swoich kumpli, że idziesz do mnie? Na pewno będą cię szukać, nie? – pyta.
- Być może są jakieś szanse, że nas uwolnią.
 - Nie, nie powiedziałem im dokładnie, dokąd idę.
 - Czyli musimy liczyć wyłącznie na siebie.
 - Masz jakiś pomysł?
 - Coś wymyślę. Jestem na swoim terenie. Mam przewagę. Opowiedz mi o Maksie. Opisuję jej naszą przeprowadzkę i przygnębienie, w jakie popadł jej kuzyn. Nie komentuje i wydaje mi się, że nie ma mi niczego za złe. A nawet przerywa ciszę, która zapada między nami.
 - Jak udało ci się pokonać blokadę wojskową?
 - Poszedłem na cmentarz. Dwóch twoich kumpli pozwoliło mi skorzystać z tunelu. Znasz łobuzów z dzielnicy, to użyteczne.
- Tym razem nie odzywa się przez minutę. Decyduję się zapytać o ten dziwny śpiew.
 - Przed chwilą, tuż przed tym, jak tych dwoje się na mnie rzuciło, słyszałem cię przez drzwi. Recytowałaś coś jakby modlitwy...
 - To nie modlitwy. To tylko taki tekst z moich rodzinnych stron, który sobie powtarzam, żeby się uspokoić.
 - A o czym opowiada?
 - Naprawdę chcesz wiedzieć?
 - Tak, tak myślę. Tak czy inaczej, mamy czas.
 - To był fragment *Ar Rannoù*, świętego tekstu w Bretanii. Mówi się, że został podyktowany przez celtyckich bogów. Nauczyła mnie go Mamm-gozh, moja babcia. Jej babka – Mamm-gozh, jak ją nazywa – najwidoczniej dużo dla niej znaczyła. Była kimś w rodzaju druidki.
 - Kiedy skupiam się na tych słowach, smutne myśli mnie opuszczają i ogarnia mnie spokój. Kiedy je wypowiadam, czuję łączność z siłami, które rządzą wszechświatem. Jest tak spokojna, że zamykam oczy i zapominam, iż jesteśmy jeńcami dwojga terrorystów. Zapominam nawet o ciemnościach panujących w tej komórce.
 - Właśnie uświadomiłem sobie, że nigdy nie rozmawiałem z nikim takim jak ty.

To prawda, innym może wydawać się dziwna. Ale nie mnie. Widziałem, jak sobie radzi z rozwścieczonymi psami, słyszałem, jak śpiewa, znam skuteczność jej awatara w WOT. Jestem gotów poważnie potraktować wszystkie jej wierzenia.

– Uważasz mnie za świruskę, co?

Gdyby wiedziała, do jakiego stopnia się myli! Jestem tylko coraz bardziej ciekaw.

– Ale o czym dokładnie opowiada ta pieśń?

Ściska mnie za lewy nadgarstek tak mocno, że aż czuję ból, przesywający ból przedramienia. Mam nadzieję, że w ranę nie wdało się zakażenie.

– O druidzie, który łączy liczby od jednego do dwunastu z obrazami lub wydarzeniami z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Słowa są trochę dziwne – stwierdza cicho z powagą.

– A tych jedenastu kapłanów w zakrwawionych szatach to kto?

– Z pewnością kapłani, którzy tysiące lat temu dbali o kult boga Dagdy. W zasadzie nikt tego nie wie. A dzisiaj każdy może w tym chyba widzieć to, co chce. Na przykład my, gracze WOT, moglibyśmy porównać kapłanów do tych, którzy posiadają wiedzę, to znaczy do nas, Ekspertów gry.

Jej słowa brzmią dla mnie jak średniowieczne przepowiednie, tak samo jak zaklęcia przenoszące do przeszłości podczas wojen prowadzonych w Ukraïn. Nachodzi mnie dziwna myśl – sam Khronos mógłby mieć związki z celtyckimi bogami Koridwen. Być może jest druidem.

– A ty myślisz, że ten tekst może przepowiadać przyszłość, na przykład to, co nam się przydarzy 24 grudnia o północy, kiedy spotkamy Khronosa?

– Nie... w sumie... nie wiem. Słuchaj, Jules, a gdybyśmy spróbowali się przespać? Jeżeli chcemy jutro odegrać się na tej dwójce świrów, to musimy być w formie.

Nie ma już ochoty rozmawiać. Ja zresztą też jestem wykończony.

– Masz rację.

Może żałuje, że pozwoliła sobie na takie zwierzenia? Czy wie więcej niż to, co mi powiedziała? Kładzie się i łokciem uderza w moją ranę. Wydaję zduszony okrzyk bólu.

– Przepraszam. Nie myślałam...

– To nie twoja wina. Mam ranę na przedramieniu. Źle się goi.

– Pokażesz mi jutro. Wiesz, że jestem też trochę znachorką.

– Z miłą chęcią. Dzięki.

Jestem gotów wszystkiego spróbować, byle tylko przestało mnie boleć, nawet magicznych zaklęć bretońskiej Mamm-gozh. W głowie rozbrzmiewają mi słowa Maï: „Kiedy przestaniesz wierzyć w magię?”. Serce mi się ściska. Nigdy nie będzie w stanie pokochać takiego niedojrzałego chłopaka jak ja – chłopaka, który wierzy w Khronosa. A jeśli Khronos okaże się manipulatorem albo kłamcą? Czy będę w stanie sobie z tym poradzić? Przychodzi mi na myśl jeszcze jedno pytanie do Eksperta WOT:

– Koridwen?

– Tak?

– Poszłaś tam ostatecznie, do wieży Zegarowej, rozejrzeć się przed spotkaniem z Khronosem?

– Tak, Jules. Opowiem ci o tym później. Teraz naprawdę chciałabym się przespać.

– Dobra.

Alicja i Maïa... Będą się niepokoiły, że nie wracam. Pozostali też. Nie podałem im adresu Koridwen, ale wiedzą, że jestem w Gentilly. Czy Vincent jutro będzie mnie szukał? Koridwen oddycha spokojnie. Ależ ma szczęście, że udało jej się zasnąć! Jestem przemarznięty i szczękam zębami. Po nogach łążą mi jakieś insekty, rozgniatam jednego, potem kolejnego. Śmierdzi. To są

pluskwy. Ale ohyda! Zwracam uwagę na najsłabsze muśnięcie na skórze, staram się złapać i zabić każde żyjątko, które się do mnie zbliży. Przystępuję do wojny. Za dnia, kiedy otworzą drzwi, będzie nas otaczał istny cmentarz pluskiew i karaluchów.

Jeśli otworzą...

15 grudnia, wcześniej rano

Wzdrygam się, kiedy nasi strażnicy otwierają drzwi schowka. Drzę z zimna i mam ciężką głowę. Jest po ósmej, światło słoneczne przenika już przez okna. W końcu zasnąłem w środku walki z pluskwami.

– Wstawajcie – rozkazuje brunet, podczas gdy dziewczyna celuje do nas z pistoletu.

Proponują nam, żebyśmy skorzystali z łazienki w punkcie sanitarnym po prawej stronie pawilonu, gdzie Koridwen przechowuje kanistry z wodą.

Podwijam rękawy i myję się nad zlewem. Chciałbym też zobaczyć, w jakim stanie jest moja rana, która coraz bardziej daje mi się we znaki. Chętnie pokazałbym ją Koridwen, być może umiałaby mi pomóc. Polewam odrobiną wody spuchniętą, zaognioną, ropiejącą bliznę w kształcie litery „V”. To ona się otworzyła. Jakiego ohydneho przebijaka użył Logan, żeby mi ją zadać?

Nagle bretońska Czarownica łapie mnie za przedramię i podnosi moją rękę do oczu. Specjalnie sprawia mi ból? Patrzę na nią. Nie przejmuje się tym i uważnie przygląda się ranie. Najwyraźniej moja lewa ręka stanowi dla niej jakiś problem. Skupienie, z jakim przeprowadza oględziny, sprawia, że nie mam odwagi prosić jej, by mnie puściła. Drzę. Logan na pewno zakazał mnie wirusem, TYM wirusem. Myślę o Maï, która mnie leczyła, o jej łagodnych dłoniach, lekko dotykających moich ran...

Kori oświadcza nagle neutralnym tonem:

– Jules, dałeś się oznakować.

Oznakować? Logan wszczepił mi chip? Wracają do mnie słowa Isy: wojsko używa pluskw elektronicznych do lokalizacji wirusa oraz żeby śledzić stojących poza prawem, nieprzystosowanych nastolatków. Chipy przesyłają fale radiowe do komputerów wojskowych. Nagle robi mi się jeszcze zimniej. Niemal z obrzydzeniem oglądam swoje ramię. Logan nie ograniczył się do torturowania, lecz podłączył mnie do sytemu kontroli wprowadzonego przez armię, żeby ostatecznie zniszczyć naszą komunę. Przewidział zaostrenie polityki władz, tak samo jak Jérôme. Pod tym względem byli do siebie podobni – mieli taką samą wizję przyszłości świata.

A więc mam w sobie chip, który przekazuje sygnały bezpośrednio do sztabu generalnego. Przerazenie ściska mnie za gardło. Nie mogę dłużej go nosić. Pod moją skórą czai się zagrożenie. Jeśli to prawda, wojskowi wiedzą, że tu jestem. To dlatego odkryli naszą kryjówkę przy bulwarze św. Michała. A wraz z zaostreniem prawa wojennego będą mogli nas wszystkich zabić. I to będzie moja wina.

– Ktoś musi mi to wyjąć. Natychmiast – szepczę.

– Nie możemy o tym powiedzieć tym dwojgu, Jules, to zde-cydowanie zbyt niebezpieczne. Nie wiemy, jak mogliby zareagować.

– Morda w kubel! Zdaje wam się, że jesteście na letnich koloniach czy co?! – wydziera się terrorystka.

– Już dobrze, przestań. Oni tylko rozmawiają, a nie wymieniają się bombami! – odpowiada jej Yannis, nieco zbyt ostro.

Ha, między naszymi strażnikami doszło do rozłamu. Najwyraźniej całą noc się kłócili. Być może ich spór da nam sposobność do ulotnienia się stąd... Podwijam lewy rękaw swetra, kontakt z wełną sprawia mi zbyt duży ból. Prowadzą nas do narzuty rozłożonej na podłodze. Leży na niej jedzenie ze spiżarni Bretonki. Siadam na twardym betonie. Yannis podgrzewa wodę w garnku nad palnikiem gazowym, a później dołącza do nas i kładzie broń na ziemi. Mam czas,

żeby mu się przyjrzeć. Na pewno pochodzi z Maghrebu, z Afryki Północnej, ma delikatne rysy twarzy i dzikie spojrzenie. Wlepia we mnie oczy i nie odwraca wzroku – istny ptak drapieżny.

Bez przekonania maczam herbatnik w ciepłej kawie. Przede wszystkim korzystam z tego, że kubek ogrzewa mi dłonie. Uwaga, Stéphane się zbliża.

– Wiem, że wczoraj nie musiałam mierzyć do was z broni. Jednak mam zamiar używać przemocy tak długo, jak będzie to konieczne. Uprzedzam was, żebyście nie mieli złudzeń. Nie polubimy się tylko dlatego, że kiedyś byliśmy sąsiadkami. My z Yannisem nie chcemy ryzykować. Zrozumiano?

Nie reaguję. Dziewczyna znów mówi, że potrzebuje komputera z naładowaną baterią. Ciągłe nie wiem po co, ale się nie wychylam. Koridwen będzie znacznie bardziej pomocna, jeśli chodzi o informacje na temat tego typu sprzętu w okolicy. Bretonka zblazowanym, niemal pogardliwym tonem proponuje, że pójdzie poszukać w dzielnicowej szkole. Widziała tam komputery. Zgadzą się, brunet będzie ją eskortował. Kori twierdzi, że zajmie im to najwyżej półtorej godziny, nie więcej.

Wariatka wstaje i zbliża się do mnie. Czego jeszcze chce? Nic nie zrobiłem, nic nie powiedziałem. Przykłada mi rękę do skroni i monotonnym tonem każe nam słuchać. Zaczyna mnie wkurzać. Wpatruję się w nią nieruchomymi oczami. Wzbiera we mnie głucha wściekłość. Bierze mnie za jakiegoś żalosego typka czy jak? Co sprawia, że bawi ją traktowanie mnie w taki sposób?

– Wiesz, Jules, gdzie jest chory kuzyn Kori, prawda? Twoi przyjaciele się nim zajmują, tak?

Potwierdzam. Dziewczyna ładuje broń, jakby bawiło ją moje przerażenie. Co za psycholka!

– Jeśli Kori i Yannis nie wrócą za półtorej godziny, wskażesz mi, gdzie mieszka ten niepełnosprawny kuzyn?

Nic nie odpowiadam, przede wszystkim dlatego, że ta terrorystka w żadnym wypadku nie może się dowiedzieć, gdzie mieszkamy. Nawet przez sekundę nie dopuszczam do siebie myśli, że mogłaby mieć kontakt z Alicją. Albo Maią. Poza tym staram się opanować furię. Nie jestem rozrabiaką, ale przypominam sobie głos Jérôme'a, jego wesoly głos z czasów Przed Tym: „Jules to młynarz, byk, jest nieugięty. Zachowuje spokój – do czasu, aż ktoś przeciągnie strunę, a wtedy lepiej nie stać mu na drodze”. A ta dziewczyna właśnie przeciąga strunę. Jeśli jest równie sprytna, jak jej się wydaje, na pewno o tym wie. Patrząc na Koridwen, stojącą już w drzwiach, powtarza:

– Półtorej godziny.

Yannis wydaje się wykończony. Wychodzi i zamyka wspólnicze drzwi przed nosem. A więc zostajemy sami, Wariatka i ja. Patrząc na zegar ścienny, jest dziewięta dwadzieścia pięć.

Wariatka przesuwa skrzynię pod drzwi, żeby je zablokować.

Zastanawiam się, co zamierza zrobić. Wyobrażam sobie, jak dziko się śmieje, strzelając mi w nogi dla czystej przyjemności. Cóż, wszędzie można spotkać jakiegoś Logana. Jestem osaczony.

Z trudem przełykam ślinę.

Jest mi zimno, a nie mogę już ogrzać dłoni o ciepły kubek.

Boli mnie ręka.

Trzęsę się.

Tak bardzo chciałbym stąd wyjść.

Z Maią i Alicją. Wszystko jedno dokąd, byle dalej od tego miejsca.

– Boisz się mnie?

Głos Stéphane wyrywa mnie z odrętwienia. Przytakuje bezmyślnie, jak automat, który nie decyduje o ruchach swojego ciała.

– Tym lepiej. To cię powstrzyma przed robieniem głupstw. Nie mam ochoty zrobić ci krzywdy, rozumiesz?

Bardzo trudno mi jej uwierzyć po tym, co kazała nam przeżyć.

– Nie boję się o siebie, boję się o Alicję.

Dlaczego jej to mówię? Te słowa same wyszły z moich ust. Panika sprawia, że mówię byle co. Jestem mięczakiem, żalonym palantem. Wyjawiłem jej istnienie osoby, o której za żadne skarby nie chciałem mówić. Dałem jej broń, którą będzie mogła wykorzystać przeciwko mnie.

– To twoja dziewczyna?

– Nie, Alicja jest moją młodszą siostrą. Ma tylko siedem lat. Ona... mnie potrzebuje.

Maleńka... Nic ani nikt nie może mi przeszkodzić w jej odzyskaniu, a z całą pewnością nie ta Wariatka.

– Kłamiesz.

Cholera, znów powiedziałem coś, czego nie powinienem. Jest podniecona. Oddała się szybkim krokiem, jakby ta informacja dotyczyła jej osobiście, i wraca do mnie z oskarżycielskim wyrazem twarzy. Spodziewam się najgorszego. Jestem niewinnym na ławie oskarżonych. I muszę stawić czoła upartemu prokuratorowi, cierpiącemu na psychozę.

– To niemożliwe. Nie mogła dostać szczepionki.

Serce zaczyna mi bić jak szalone. Szczepionki? O jakiej szczepionce ona mówi? Czyżby istniała szczepionka przeciwko wirusowi U4? I dlaczego Alicja nie mogłaby jej dostać? Ja też nie byłem zaszczepiony. Ani nikt w naszej komunie. Co to znaczy? Nie odpowie mi, jeśli ot tak ją zapytam. Najpierw musi mi uwierzyć.

– Nie kłamie. Alicja ma siedem lat i żyje...

Jej nieufność stopniowo zamienia się w popłoch. Widać to nawet w jej rysach. Niemal posągowa twarz przywodzi mi na myśl betonowy mur, niezauważalnie osłabiony przez drobne pęknięcia. A jeśli mur się zachwieje, może się zawalić. Jak w bajce La Fontaine'a *Dąb i trzcina*. Bardziej trwała jest ta roślina, która się ugnie, ale nie złamie.

Znów ogarnia ją podniecenie, robi kilka nerwowych kroków. Nie potrafi pohamować złości. Okropny ból ręki nie pozwala mi myśleć. Dotykam mojej zaognionej, ropiejącej rany. Sam dotyk boli tak, jakbym wbijał sobie nóż w żywe ciało. Nigdy nie uda mi się samodzielnie wyjąć pluskwy. Czy będę mógł wyjawić Maï, że zostałem zachipowany przez wojskowych i ponoszę odpowiedzialność za atak na naszą pierwszą kryjówkę? A Jérôme i Vincent, co im powiem? Prawdę? Krzywię się z bólu.

– Co ci się stało w rękę? Pokaż.

Waham się pokazać ranę Wariatce. Jeśli dla zabawy oprze się na niej, umrę z bólu.

– Pokaż. Mój tata był lekarzem. A ja pielęgniarką w Z-Punkcie w Lyonie.

Wyciągam ramię. Bez słowa ogląda bliznę w kształcie „V”, tak jak zrobiłby to lekarz.

– Wdało się zakażenie. Wydaje mi się, że masz coś pod skórą.

Bardzo delikatnie gładzi mnie po przedramieniu. A jeszcze wczoraj wieczorem wykręcała mi rękę. A zatem jest zdolna do delikatności. Jakby w jednej sekundzie ulotniła się z niej cała złość. Niepojęte.

– Byłoby lepiej to usunąć.

Choć raz się w czymś zgadzamy. I nagle mam ochotę jej zaufać.

– A więc usuń mi to.

Z twarzy opada jej maska złości. Można by sądzić, że moja prośba wytrąciła ją z równowagi. Bez dwóch zdań.

– Operowałam tylko raz, psa. I musiałam mu amputować łapę.

Ta odpowiedź, choć powinna mnie przerazić, jest tak rozsądna, że nie mam już żadnych wątpliwości. Niech przeprowadzi tę operację, im szybciej, tym lepiej. To jest konieczne, choć nieoczekiwane. A skoro trzeba, mam dobry argument, żeby ją do tego przekonać.

– Zrób to natychmiast. Proszę.

W moim głosie słyszy taką determinację i powagę, że nie może mnie zbyć. Wpatruje się we mnie błyszczącymi oczami.

– Dlaczego?

Biorę oddech i rzucam się na głęboką wodę.

– Bo ten przedmiot w mojej skórze to elektroniczna pluskwa.

Nic nie odpowiada. Może chce mnie zabić. Serce wali mi zbyt szybko.

– Nie wiedziałem... Dziś rano powiedziała mi o tym Koridwen, rozpoznała kształt blizny.

Musisz wyjąć chip.

– To o tym rozmawialiście w łazience?

Kiwam głową. Dziewczyna chodzi z kąta w kąt, jak lew w klatce. Patrzy na gotującą się wodę. Potem na swój plecak. Wreszcie odwraca się do mnie.

– OK, OK. Zrobię to, o co mnie prosisz.

Wyjmuje z plecaka narzędzia chirurgiczne i kładzie je na ręczniku: skalpele, środki dezynfekcyjne, nici, szczypce lekarskie. Światło słoneczne przenika przez szybę. Na widok narzędzi ścisza mnie w żołądku. Budzą przerażenie. Cholera, na co ona czeka?

– Nie bój się, teoretycznie wiem, co zrobić... A spróbuję tylko pod warunkiem, że się zgadzasz.

Chcę się uśmiechnąć, ale jestem zanadto spięty. Coraz bardziej się denerwuję. Mam przyspieszony puls. Część mnie chce uciekać.

Ponownie zagotowuje wodę, zanurza we wrzątku jakiś materiał, wyjmuje go szczypcami. Kiwam głową, jestem gotów. Tak mi się przynajmniej wydaje. Jej spokojne gesty budzą zaufanie.

– Wiesz może, czy Kori ma morfinę? Albo środki przeciwbólowe?

Nic na ten temat nie wiem. Strach sprawia, że cały się trzęsę. Jednak bezwzględnie trzeba usunąć pluskwę, zanim wrócę do komuny. Nawet tu jej posiadanie jest niebezpieczne. Wojskowi mogą wykryć moją obecność w okolicy, o ile już tego nie zrobili. A żołnierze stacjonują przecież obok.

– Mam tylko aspirynę. Weźmiesz ją po zabiegu; nie teraz, bo rozrzedza krew. Zrobimy to starym sposobem.

Uśmiecha się do mnie. Pierwszy raz widzę jej uśmiech. Jest naprawdę piękna, znacznie piękniejsza niż betonowa ściana, choć znacznie mniej piękna niż Maia. Próbuję uspokoić oddech, tak jak uczyła mnie Aptekarka. Całkowita porażka. Jestem strasznym cykorem, boję się bólu bardziej niż dzieciak.

– I jeszcze coś, Jules... W czasie operacji odłożę broń. Ważysz pewnie ze dwadzieścia kilo więcej niż ja i mógłbyś zabić mnie gołymi rękami. Jeśli jednak zamierzasz cokolwiek spróbować, nie zapomnij, że będę miała w ręku skalpel. To tak, jakbym była uzbrojona w brzytwę. Rozumiesz.

Bawią mnie te pogrożki. Gdyby wiedziała, jak daleki jestem od takich zamiarów.

– No dobrze. Bierzmy się do roboty. Usiądź na ziemi obok tej skrzyni, połóż rękę na tej wygotowanej szmatce.

Robię, co mówi. Gładzi mnie po ramieniu, nakłada żółtą maść betadine i zaleca cichym głosem:

– Oddychaj spokojnie.

Coś takiego, używa tych samych słów co Maïa, z tą samą uspokajającą intonacją. Wkłada lateksowe rękawiczki, dezynfekuje instrumenty, nasącza kompresy maścią. Wszystko to robi z użyciem szczyptec, jak prawdziwy chirurg. Mam do niej zaufanie. Wydaje się taka pewna siebie i skoncentrowana. Staram się powoli wdychać i wydychać powietrze, ale mimo wszystko mam urywany, nierówny oddech. Nie mogę się trząść, to utrudni jej precyzyjne działanie. Muszę polegać na jej wiedzy, jest przecież specjalistką. Znow uśmiecha się do mnie typowym dla lekarzy, uspokajającym uśmiechem.

– Chcesz coś między zęby? To stara, barbarzyńska sztuczka, ale dzięki temu nie będziesz krzyczał...

Spotniałymi rękami wyciągam ze spodni skórzany pasek. Jak w filmie. Nie udaje mi się powstrzymać drżenia, daremnie próbuję unieruchomić trzęsące się nogi. Zaciskam zęby na pasku i zamykam oczy. Nic nie widzieć. Myśleć o czymś innym. Myśleć o oddychaniu.

– Nie, Jules, musisz mi poświęcić, żeby cień rzucany przez rękę mi nie przeszkadzał. Myślisz, że dasz radę?

Biorę jej latarkę, mocuję ją, ale za bardzo się trzęsę.

– Bardziej z boku, światło...

Czuję ciepło na przedramieniu, to od żarówki. I nagle widzę ostrze na skórze. Delikatnie mnie dotyka. Dwa razy. Samo dotknięcie zimnego metalu sprawia, że znow drzę.

– Spróbuj się nie ruszać, dopóki nie skończę. Wszystko idzie dobrze.

Mam ochotę drzeć się na całe gardło. Tak boli. Zaciskam oczy tak mocno, że mogłyby zapaść się w oczodoły, a pięści ściskam tak, że niemal łamię sobie palce. Upuszczam latarkę. Całe moje ciało jest spięte. Zaciskam zęby na pasku z taką siłą, że zaraz pękną mi szczęki. Czuję ostry ból, krew spływa mi po przedramieniu.

Dziewczyna przerywa. Przykłada kompres do rany. Słyszę jej rzeczowy głos w otaczającej mnie mgle.

– A teraz to...

Otwieram oczy. Wstaje, odkłada skalpel na talerz, a z drugiego bierze kompresy.

– Tylko nie zemdlej... I postaraj się jak najmniej ruszać.

Kiwam głową, oczy mam pełne łez. Po ciele spływa mi zimny pot.

– Będę liczyła kompresy, żeby żadnego nie zostawić wewnątrz rany. Rób to samo, dobra? Będziesz myślał o czymś innym.

Napotykam jej spojrzenie. Trzyma szczyptec. Ciarki przechodzą mi po plecach.

– Ruszamy, teraz będę wyciągać pluskwę.

Zaczyna grzebać w ranie. Chcę umrzeć. Ciągłe grzebie w moim ciele.

Kuźwa, przestań, kobieto, to za bardzo boli. Zabijesz mnie.

Znajduje chip – tak myślę, bo rzuca coś na ziemię. Nakłada dużą ilość maści betadine. Jest mi niedobrze, kręci mi się w głowie, za chwilę zemdleję.

– Zostań ze mną, stary. Najgorsze za nami, trzeba już tylko zszyć ranę. Możesz teraz puścić pasek i napić się miętówki.

Podaje mi butelkę, a ja wypijam łyk. Potem drugi. Dobrze mi to robi.

Wzdrygam się, kiedy wbija mi igłę w skórę i zaczyna zszywać ranę. Nie spodziewałem się tego, cholera jasna! Wykończony, wycieńczony zamykam oczy. Mam wrażenie, że moje ciało już nie należy do mnie, że wpadam w otchłań bez dna. Kurczę, na wpół mdleję. Widzę oczy Maï. I modłę się, żeby kochała mnie tak samo, jak ja ją kocham.

– Oby mnie kochała, spraw, by mnie kochała – mamroczę. – Gdyby mogła wziąć mnie w ramiona, gdybym mógł się do niej przytulić.

Kiedy wyobrażam sobie, że jestem w objęciach Maï, zapominam o igle wbijanej w skórę dookoła rany.

– No proszę. Prawie skończyłam. Wszystko będzie dobrze.

Jestem jednocześnie zlany potem i przemarznięty. Staram się normalnie oddychać, a ona wciąż zszywa ranę. Krzywię się z bólu. Tylko nie krzyczeć. Kiedy skończy? Znaleźć oczy Maï. Uciec w nie na zawsze. Oczy Maï. Gdzie one są?

Nie, Maï tu nie ma. Jestem w Gentilly, z terrorystką o specjalności chirurga. Ze Specjalistką. Ta dziewczyna nie jest Wariatką, jest Specjalistką – tak byśmy na nią wołali w komunie. Tak, to byłby dobry przydomek, gdyby z nami zamieszkała. Wiem jednak, że ona nie przyłączy się do nas. Nie powinna. To zbyt niebezpieczne. Maïa. Alicja.

– Maïu, zaopiekuj się Alicją – mamroczę.

Stéphane robi supelek. A więc koniec. Otwieram oczy. Specjalistka ociera spocone czoło. Jest trupio blada, jej włosy są całe mokre od potu, tak jak moje. Udało się. Patrzę jej w oczy i widzę tylko nieskończoną dobroć. Cholerną dobroć w oczach morderczyni! Czuję, że ogarnia mnie olbrzymia fala wdzięczności. Ta dziewczyna nie była predestynowana do zabicia żołnierzy. To świat uczynił z niej zabójczynię. Jeszcze raz patrzę głęboko w jej szczerze, uczciwe oczy. Cholera. Ta dziewczyna nikogo nie zabiła. Ta pewność powala mnie jak nagłe uderzenie. To niemożliwe, Stéphane jest ocaloną. Nie zabójczynią.

Oskarżenia na afiszach rządowych są fałszywe.

Armia kłamie.

Jérôme ma rację. Armia nami manipuluje.

Dziewczyna wyrzuca rękawiczki i kompresy nasączone krwią. Moją krwią. Znów powstrzymuję mdłości.

– Dziękuję. Jesteś prawdziwą Specjalistką.

Bredzę. Stéphane podaje mi aspirynę. Jest mi strasznie zimno. Wkładam kurtkę.

– Za dziesięć dni któryś z twoich przyjaciół przetnie supelek i pociągnie za nić z jednej strony. Będiesz o tym pamiętać?

Uwolni mnie, zobaczę członków komuny. Uratowała mi życie, nie zabije mnie.

– W naszej komunie jest Aptekarka...

Myśl o Maï sprawia, że robi mi się ciepło w środku, tam, gdzie wszystko jest zmrożone.

Gdzie jest ta pluskwa? Niech zobaczę, co przypomina. Rozglądam się po podłodze wokół siebie. Jest, leży tu. To niewielki, prostokątny, srebrny przedmiot pokryty krwią. Pewnie nie działa, gdy nie jest pod skórą, ale nigdy nie wiadomo. Wstaję i rozgniatam chip podeszwą. I w milczeniu dziękuję mamie, że mi podkuła buty metalem, żeby się wolniej niszczyły. Dzięki temu podeszwy są wystarczająco twarde, żeby rozgnieść to coś. Cholera, kręci mi się w głowie. Mam wielką ochotę się położyć, ale jeśli to zrobię, zwymiotuję. W końcu osuwam się na ziemię, oparty plecami o ścianę. Drzemię. Nieustannie powraca do mnie aluzja, którą Stéphane zrobiła na temat szczepionki. Teraz już się nie boję. Mogę zadać jej pytanie, które mnie dręczy.

– Mówiłaś coś o szczepionce à propos Alicji? Wiesz, mojej młodszej siostry.

Mówię niezdecydowanym tonem, zacinam się. Zdrętwiała mi twarz.

– Tak. Gdy mieliśmy po jedenaście lat, wszystkich nas zaszczepiono przeciwko zapaleniu opon mózgowych. Ta szcze-pionka, MeninB-Par, uodporniła nas na filowirusa krwotocznego. Dlatego właśnie przeżyliśmy. Podawano ją nastolatkom tylko przez trzy lata. Później została wycofana ze względu na groźne skutki uboczne. Nadal była jednak produkowana na wypadek pojawienia się epidemii zapalenia opon mózgowych.

Czuję się, jakby dostał obuchem w łeb. Czy dobrze usłyszałem? To pewne? Ta dziewczyna właśnie mi wyjaśniła, dlaczego przeżyłem. Dobry Boże, a więc to dlatego niektóre nastolatki żyją. Szybko liczę w głowie: szczepionkę stosowano przez trzy lata, dostałem ją ja i mój brat. Niektórzy funkcyjni w Z-Punkcie mają osiemnaście lat, czyli ja należę do najmłodszych. Od czterech lat jej nie używano. Tylko młodzież między piętnastym a osiemnastym rokiem życia mogła zostać zaszczepiona. I przeżyć.

– Czy jesteśmy uodpornieni na zawsze...?

– Na razie istnieje jeszcze jedna wątpliwość. Być może niektórzy ocaleni są tylko zdrowymi nosicielami – przenoszą wirusa, nie zakażając się nim. To mało prawdopodobne, ale możliwe. Ponieważ jednak istnieje szczepionka przeciwko U4, dysponujemy teraz bronią, żeby pokonać epidemię. Domyślam się, że władze wznowiły masową produkcję MeninB-Par.

A zatem, w najgorszym razie, jeśli działanie szczepionki minie, wojskowi będą mogli nas ponownie zaszczepić przeciw temu cholernemu wirusowi. „Wojskowi zaszczepią tych, którzy znajdują się w Z-Punktach” – jakbym słyszał sarkastyczną odpowiedź Jérôme’a.

– Kiedy wszyscy żyjący dorośli otrzymają swoją dawkę, będzie można uznać, że epidemia U4 została opanowana. Przekonamy się wkrótce... Wystarczy poczekać, aż żołnierze przestaną nosić kombinezony ochronne.

Wzbiera we mnie ogromna nadzieja – teraz nawet wiem, JAK uniknąć katastrofy. Będę mógł uprzedzić władze i przekonać je do uodpornienia ludzkości dzięki szczepionce przeciw zapaleniu opon mózgowych. Nagle słyszę powątpiewający głos Stéphane:

– Nie wiem natomiast, jak przeżyła twoja siostrzyczka.

Przed moimi oczami pojawia się buzia Alicji. Ogarnia mnie czułość, która rozgrzewa tak samo, jak myślenie o Maï łagodziło ból. A może to środek przeciwbólowy zaczyna działać. Na myśl o małej bawiącej się małpką, o jej stanowczym tonie głosu, kiedy karci Butka trzy razy dziennie, zawsze trzy razy (w przeciwnym razie zabieg wychowawczy najwyraźniej nie działa), nie mogę powstrzymać się od uśmiechu. Małenka nie ma jeszcze jedenastu lat, być może jest jedynym dzieckiem, które przeżyło.

Alicja cudem uratowana.

Alicja jest przypadkiem niewyjaśnionym przez naukę.

Chyba że istnieje jakieś wytłumaczenie.

W moim umyśle pojawiają się dokładne obrazy pierwszych dni po katastrofie. Jest coś, co może wszystko wyjaśnić. Waham się, czy powiedzieć o tym Stéphane... Nie, lepiej dobrze się zastanowię, zanim podzielę się z nią tą informacją.

To jest szczegół, który być może okaże się ostatnim brakującym elementem układanki.

15 grudnia, rano

Moja strażniczka pograża się w myślach. Jest już dwadzieścia po dziesiątej.

– Kuzyn Kori też ma siedem lat, prawda? – pyta mnie nagle.

– Nie, ale jest... niepełnosprawny. No, dziwny.

Kiwa głową, nie dopytując o szczegóły. Przypominam sobie, co wczoraj wieczorem powiedziała jej Koridwen, i korzystam z okazji, żeby do tego wrócić:

– Wiesz, ona nie kłamała. Jest pewna, że twoja mama i brat zmarli w Bretanii.

– Nie sądzę, nie...

– Dlaczego mieliby z tego wyjść, są zaszczepieni?

– Ojciec na pewno umieścił ich w bezpiecznym miejscu. Pracuje w armii. Jest jednym z lekarzy wojskowych, którzy walczą z epidemią.

– A ty jesteś...?

– Terrorystką, tak. To zwariowana historia.

Wymawiając słowo „terrorystka” robi w powietrzu znak cudzysłowu. W tym geście jest mnóstwo ironii i smutku. Dziewczyna zamyka się w sobie, wyczuwam, że nie ma ochoty nic więcej mówić. Bawi się pistoletem. Ja drzemię, ból łagodnieje.

Oczy mi się zamykają.

Uderzenia w drzwi wybudzają mnie z koszmaru, od którego nie mogłem się uwolnić. Gdzie ja jestem? Co to za miejsce? Zupełnie nic nie pamiętam. Czy wojskowi rzeczywiście przyszli, jak w moim śnie? Serce wali mi w piersiach, Sztylet leży po drugiej stronie pomieszczenia, nie mam nic do obrony. Brakuje mi też energii. Nie mam na nic siły. To okropne. Ktoś coś mówi. W półśnie rozpoznaję groźny głos Stéphane.

– I nawzajem – mówi.

Zmuszam się do otwarcia oczu, choć powieki ciążą mi, jakby były z ołowiu. Specjalistka celuje pistoletem w drzwi. Jeśli wojskowi nie są zbyt liczni, być może uda jej się samej nas obronić. Może jest jak Lara Croft. Zwracam wzrok w stronę drzwi. Cholera, ona celuje do Koridwen, która z kolei mierzy do Yannisa. Trzyma go tuż przy sobie. Yannis wpada w panikę na mój widok.

– Torturowałaś go! – cedzi do Stéphane.

Trójnogi pies warczy, chłopak rzuca mu kość. Chcę trochę rozluźnić atmosferę.

– Wszystko OK... Ona jest... OK, Kori – mamroczę, nie wiedząc nawet, czy mnie słyszą.

Ich głosy nie przenikają przez mgłę, która mnie spowija. dochodzą do mnie jedynie urywki zdań:

– Nikt nie ma tu ochoty nikogo zastrzelić.

To super, ale jak z tego wybrniemy? Mrowienie w ręku łagodnieje, słyszę już normalnie, udaje mi się otworzyć oczy. Czy ten spór skończy się przelewem krwi godnym filmu Tarantina? Trudno przewidzieć. Nie boję się, wiem, że te dwie dziewczyny są bohaterkami dorównującymi postaciom z WOT, wojowniczkami, których istnienia nie przewidywałem w rzeczywistym świecie. I wiem, że nie są wariatkami, nawet jeśli tak o nich myślałem. Ani nie są zboczone.

Koridwen mówi za cicho. Wytężam słuch.

– Grywałeś w coś, Yannis, przystojniaku, przed katastrofą? My z Jules'em byliśmy fanami WOT, nawet Ekspertami! Ach, mówi ci to coś, Yannis?

Słyszę odpowiedź Yannisa:

– Rycerz Adrial.

Serce wali mi w piersiach: Rycerz Adrial to jeden z Ekspertów WOT! Przeprowadziliśmy

wspólnie kilka misji. Powoli wstaję, opierając się plecami o ścianę. Mogę zrobić tylko jedno, uderzam się dwa razy w piersi, jak w Ukraïn.

– Spider Snake – ogłaszam.

Teraz przedstawia się Koridwen. Czy to możliwe, że Stéphane też jest Ekspertem?

– OK, w grze nazywałam się Lady Rottweiler.

Niemal płacząc z radości: wszyscy czworo jesteście Ekspertami WOT. Wszyscy czworo. I wszyscy znaleźliśmy się w Paryżu z powodu spotkania wyznaczonego na 24 grudnia. Nikt już się nie odzywa. Tylko szczekanie psa zakłóca ciszę. Na co czekają, żeby opuścić broń? Koridwen odkłada pistolet na ziemię. Nie mam wątpliwości, że Stéphane też będzie przestrzegać zasad gry

– Ekspert nie może zastrzelić gracza, który nie ma broni. Specjalistka opuszcza broń i rzuca:

– OK, koniec z wygłupami.

Koridwen podchodzi do mnie z wawym krokiem.

– Jules, wszystko w porządku?

– Tak, ona wyjęła mi pluskwę. Jest lekarką.

Patrzę, co robi pozostała dwójka. Są w trakcie ustawiania komputera na skrzyni, na której Specjalistka mnie operowała. Monitor się zapala.

– Misja się udała – szepczę do Koridwen.

Stéphane podłącza pamięć USB do komputera. Yannis stoi tuż za nią. Koridwen pomaga mi wstać i podprowadza do nich. W ciszy wpatrujemy się w monitor. Tylko pies pojękuje, musi być głodny, biedak. Stéphane wyświetla zawartość USB. Jest tam tylko jeden folder.

DOSSIER: ŚLEDZTWO W SPRAWIE STÉPHANE CERTALDO

STATUS: RODZINA PHILLIPPE'A CERTALDY

PRZEGRUPOWANIE W TRAKCIE. DZIAŁALNOŚĆ PRZESTĘPCZA

STAN: ZBIEG, ŻYWI

PRIORYTET: WYSOKI

Kurczę, to jest coś! Otwiera folder główny i pojawia się mnóstwo mniejszych dokumentów. Specjalistka klika dokument zatytułowany YANNIS CEFAÏ: SKRÓCONA BIOGRAFIA, ZDJĘCIA oraz inny dokument: PODPALENIE/MARSYLIA. Zamyka ten plik, to zbyt osobiste informacje. Następnie przechodzi do innej ikony, zatytułowanej BRETAGNIA/DOURDU. Jak zahipnotyzowana wpatruje się w zdjęcia ukazujące kobietę i chłopca, opatrzone krótkim komentarzem: „Prawdopodobny zgon”. Odwraca się w naszą stronę, a na jej pobludłej twarzy dostrzegam nagle oznaki wstrząsu. Zamyka również ten plik. Przez kilka sekund trzyma kursor na jednym z plików, jakby zastanawiała się, czy go otworzyć. Mam czas, żeby przeczytać nazwę. Wzdrygam się i przecieram oczy, żeby upewnić się, że nic mi się nie przywidziało. Ale ona już zainteresowała się innym dokumentem: CERTALDO/LYON.

Mam złe przeczucia, ponieważ plik, którego nie otworzyła, w żadnym wypadku nie powinien interesować wojska.

Jestem pewien, że właściwie odczytałem nazwę, która brzmiała: PARYŻ/KHRONOS.

Koridwen daje mi do zrozumienia bardzo lekkim ruchem głowy, że zauważyła to samo co ja. Śledztwo w sprawie Stéphane jest prowadzone tak dokładnie, że żandarmeria dotarła nawet do WOT i Khronosa. Być może wiedzą, kto jest mistrzem gry. Specjalistka w końcu klika ikonę, która mnie niepokoi: PARYŻ/KHRONOS. Nachylamy się, żeby lepiej widzieć tekst:

Troje z czworga osobników podejrzanych w śledztwie kryminalnym, którego klasyfikacja się zmienia, poświęciło swoje ostatnie połączenia na zalogowanie się na forum gry sieciowej zwanej WOT. Gracze na forum wymienili się informacjami dotyczącymi epidemii w zamieszkiwanych przez siebie regionach. Ostatnie połączenie z 1 listopada, w którym wzięli udział Stéphane CERTALDO, Marco GALLEHAULT i Yannis CEFAÏ, zaowocowało wiadomością od systemu gry KHRONOSA, który zaprosił ich na spotkanie w Paryżu 24 grudnia.

A zatem wojskowi znają datę spotkania.

Te połączenia wskazują na możliwe spotkanie w Paryżu, 24 grudnia, z innymi elementami kryminalnymi, nawet jeśli wiadomość animatora gry KHRONOSA jest mistyfikacją.

Czuję ucisk w piersiach. Opieram się na ramieniu Koridwen, bo nogi mam jak z waty. System elektroniczny gry? Wabik? Co to znaczy? Że Khronos nie istnieje, a wiadomość była fałszywa? Nie jestem w stanie przyjąć informacji, które na mnie spadły. Gdyby Khronos nie istniał, powrót do przeszłości nie byłby możliwy. To koniec. Prawdziwy koniec. Nie ma już nadziei. Robi mi się przeraźliwie zimno. Stéphane czyta nam dalszy ciąg. Prawie krzyczy, żeby przebić się przez szczekanie psa:

Khronos to awatar mistrza gry WOT. Chodzi o silnik gry typu Eugene Goostman (sztuczna inteligencja) stworzony przez spółkę Ukromania i przejęty przez wydawcę gry Next Games. Jego zadaniem jest zarządzanie interakcją między graczami podczas ich podróży w czasie.

SPOTKANIE 24 GRUDNIA:

Według pracujących dla nas wiarygodnych osób zaproszenie do podróży w czasie złożone na forum przez silnik gry KHRONOS wynika z wielu alertów docierających do silnika podczas ostatniego tygodnia działania (awarie zasilania, wiadomości Ekspertów o zagrożeniu U4 interpretowanym przez silnik jako wirus komputerowy). Silnik gry jest w takim przypadku zaprogramowany, żeby wysłać wiadomość. Ta wiadomość nakłania graczy do resetu powodującego powrót do wersji, która rozpocznie rozgrywkę w czasie rzeczywistym tam, gdzie się ona zaczęła: 24 grudnia (rok nieznany, Wojna Kłamców) u stóp wieży Zegarowej.

– Sztucz... Sztuczna inteligencja? – bełkocze Rycerz Adrial zrozpaczonym głosem.

Jego pytanie odzwierciedla moją niezgodę na przyjęcie tej informacji, moją niewiarę. Khronos jest sztuczną inteligencją? Obejmuję się ramionami, bo ciężar jest coraz większy i trudno mi oddychać. Wojskowi znają też miejsce spotkania – skojarzą spotkanie elementów buntowniczych w Paryżu i wieżę Zegarową. Będą tam czekali 24 grudnia, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Zaaresztują niewinnych Ekspertów.

– Cholera jasna!

Krzyk Yannisa przechodzi w płacz, a Stéphane odwraca się do nas:

– Nie cofniemy się w czasie, chłopaki! Koniec marzeń!

Oschłość w jej głosie sprawia, że mam ochotę ją zabić.

Byłem w stanie znieść to, że przystawia mi broń do skroni, ale nie taką pogardę. Mógłbym zabić ją za to bezwzględne zdanie, które niszczy moje marzenie. Duszę w sobie chęć rzucenia się na nią, zgnicenia jej, zmiażdżenia, uduszenia.

– Nie masz o tym pojęcia, Stéphane – odpowiada jej Koridwen.

– Właśnie wam przeczytałam. Wiadomość Khronosa została wygenerowana przez silnik

gry, to po prostu wiadomość o reseście. Ktoś z was grał w WOT od początku?

Mógłbym ją uciszyć jednym uderzeniem pięści. Zamiast tego mówię, że tak, ja grałem od samego początku.

– Wojna Kłamców zaczęła się 24 grudnia pod wieżą Zegarową?

Potwierdzam skinieniem głowy. Mam ochotę wymiotować, a ramię znów zaczyna mnie rwać. Czuję ostry ból.

– No właśnie – podsumowuje Specjalistka ze zbytnią pewnością siebie.

– Nie tylko Khronos przenosi się w czasie – odpowiada sucho bretońska Czarownica.

Ach tak, ona wierzy w możliwość podróżowania w czasie i w pieśni o bogach celtyckich. Oddalam się na chwiejnych nogach, potykam o psa, który szczeka bez ustanku. Szczeka i przypiera mnie do ściany. Niech ktoś mi da środek przeciwbólowy. Pies ujada coraz głośniejsze.

– Co się dzieje, Happy? Co cię niepokoi? – pyta Yannis podenerwowanego psa.

Potem słyszę, jak odsuwa drzwi wejściowe, po czym informuje nas urywanym głosem:

– Patrol! Na końcu ulicy! Tym razem z żołnierzami...

15 grudnia, wczesne przedpołudnie

– Mamy najwyżej dwie minuty.

Koridwen już się pakuje. Wstaję z trudem. Stéphane i Yannis zbierają swoje rzeczy, w tym lekarstwa. Muszę zabrać aspirynę. Bretonka daje nam znak.

– Idźcie za mną. Spadamy!

Ruszają w stronę wyjścia bezpieczeństwa z tyłu hangaru. Biegną, ja wlokę się za nimi. To istne piekło. Będę ich opóźniał. Yannis na mnie czeka.

– Masz, to twój sztylet, możesz go potrzebować.

– Dziękuję – mamroczę, a potem się zataczam.

Przytrzymuje mnie za nadgarstek.

– Oprzyj się na mnie – proponuje łagodnym tonem.

Zagłębiając się w labirynt uliczek, przechodzimy przez niewielkie podwórka z tyłu warsztatów. Musimy minąć kilka trupów. Wojskowi wytropili nas przez moją pluskwę. Przeze mnie. Wychodzimy na szerszą ulicę, idziemy wzdłuż murów. Wydaje się, że Koridwen zna drogę. Musi mieć kryjówkę gdzieś w pobliżu. Nowe prawo wojenne weszło w życie dziś rano. Przypominam sobie ostrzeżenie, jakiego wczoraj udzielił mi młody dowódca oddziału: „Jutro będziemy uzbrojeni i będziemy strzelać”. Przechodzę nad trupem. Rozkaz sprawia, że zatrzymuję się jak skamieniały:

– Stój! Poddaj się!

To głos młodego mężczyzny. Powoli podnoszę oczy. Na szczęście stoją przed nami tylko dwaj żołnierze, zaledwie trochę starsi ode mnie. Na rękawach mają opaski nowych rekrutów.

Celują w nas z karabinów. Krzyżują spojrzenie z jednym z nich. To przyszczaty blondyn o jasnych oczach. Ręka mu się trzęsie, najwyraźniej do położenia palca na spuście nie skłania go chęć wypełnienia misji ani posłuszeństwo – już raczej strach. Dla niego Stéphane i Yannis są niebezpiecznymi przestępcami. Jestem pewien, że gość nigdy nikogo nie zabił, ale jest gotów strzelić przy najmniejszym ruchu. Stéphane i Koridwen pod wpływem gróźb drugiego żołnierza podniosły ręce w górę.

– Wy dwaj, zbliżcie się! Rzućcie broń! – krzyczy do nas przyszczaty.

Happy warczy.

– Trzymajcie psa, zabiję go, jeśli się ruszy – grozi nam, podchodząc.

Celuje w zdenerwowanego zwierzaka. W momencie, kiedy szykuje się do strzału, rzucam się na niego i przyciskam do ziemi. Jednym ruchem. Pada. Siadam na nim okrakiem i jednocześnie chwytam za rękę, zmuszając do puszczenia broni. Za mną Yannis krzyczy:

– Bierz go, Happy, bierz!

Słyszę dzikie warczenie psa. Rozlegają się strzały. Mam nadzieję, że to moi przyjaciele strzelają, ale jestem do nich odwrócony plecami. Nie mogę się rozpraszać, blondynek stawia opór, wije się jak piskorz. Udało mi się odebrać mu broń i odrzucić ją daleko. Przyciskam leżącego chłopaka do ziemi, ściskam jego nogi swoimi, wgniatam ramiona w chodnik. W jego oczach widzę wściekłość. Zadaję mu cios kolanem między nogi, jęczy z bólu. Nienawidzi mnie, a jego nienawiść sprawia, że mam ochotę go zabić. Wyciągam Sztylet, przykładam czubek ostrza do tętnicy, pojawia się kropla krwi. Mam ochotę go zabić, żeby zniszczyć własny strach, ale widzę przerażenie w jego oczach.

Jesteśmy do siebie podobni. Dwaj żałośni, zagubieni faceci, którzy w trzy dni stracili całą rodzinę i za wszelką cenę starają się przeżyć. Odsuwam ostrze od jego szyi, odkładam Sztylet. Nagle przypominają mi się ostatnie słowa matki Jérôme’a: „Będziesz musiał się zmienić, żeby

dalej żyć, będziesz musiał się przystosować. Obiecuj mi, że nie zadowolisz się samym przeżyciem – kochanie – lecz będziesz żył”. Nie wiem, czy będę umiał. Nie przystosowałem się, żyłem nadzieją. Czekałem na 24 grudnia. Nic tak naprawdę się nie liczyło. Nikt naprawdę nie umarł.

Yannis nagle zadaje leżącemu pode mną żołnierzowi cios rękojeścią pistoletu. Przeciwnik traci świadomość. Wreszcie mogę wstać. Odwracam się, na ziemi leży ciało – strzały pochodziły od moich przyjaciół. Zabili drugiego żołnierza.

– Dziękuję, Jules, dałeś radę.

– W komunie wołają na mnie Szarżujący.

– Co zrobimy z tym żołnierzem? – pyta Stéphane.

Zastanawiam się, czy chce zabić blondyna. Wolałbym, żebyśmy go nie zabijali. Jest w naszym wieku, nieprzytomny. To wystarczy.

– Zostawmy go, nie warto przesadzać – odpowiadam.

Musimy się spieszyć, tu roi się od żołnierzy. Mieliśmy szczęście, że wpadliśmy na dwóch młodych z dala od reszty oddziału. Podążamy za Koridwen.

– To już niedaleko – mówi – jeszcze tylko kilka metrów.

Przechodzimy przez stary, wybebeszony warsztat samochodowy. Wokół poczerniałych wraków samochodów walają się pogięte beczki, gruz, resztki spalonych opon i mnóstwo popiołu. Nasza przewodniczka kieruje się w stronę zardzewiałych płyt leżących na ziemi i z trudem jedną unosi. Pochyliłam się. Stalowe płyty ukrywają betonowy szyb, do którego wrzuca swój plecak, później wskakuje sama i daje nam znak, żebyśmy poszli w jej ślady. To jest dawny kanał samochodowy. Służył do naprawiania ciężarówek i ma co najmniej dwa metry głębokości. Jest wąski, ale długi: mniej więcej jeden metr na piętnaście. Wskakuję ostatni, Stéphane zasuwa za mną płytę.

Opada nas ciemność, rozjaśniana jedynie cienkimi promieniami światła, które przenikają między źle połączonymi płytami. Pies dyszy, ale nie szczeka. W kryjówce cuchnie benzyną. Mamy urywane oddechy. Opieram się o ścianę.

– Ani słowa – mówi stanowczo Koridwen.

Mija kilka minut. Rozkazy żołnierzy, szczekanie psów i odgłosy wystrzałów się oddalają. Chwilowo jesteśmy uratowani. Oddycham powoli, żeby poradzić sobie z bólem ręki. Nikt się nie odzywa. Pewnie mają mi za złe. To moja wina, że wojskowi odnaleźli naszą kryjówkę. Czarownica i jej kuzyn nigdy już nie będą mogli tam wrócić.

– Jest mi... jest mi przykro. Gdyby nie pluskwa, oni by nie...

Koridwen przerywa mi w pół słowa:

– To nie ma nic do rzeczy. Pewnie przeszukiwali ulicę po ulicy.

Kilkoma słowami zdjęła ze mnie odpowiedzialność za konieczność ucieczki. Ton jej głosu jak zwykle jest niezbyt serdeczny, ale niesłychanie miło mi, że to mówi. Dla niej ważna jest precyzja. Nie dba o bycie przyjemną. Myślę o łagodności Stéphane, Wariatki, i empatii, której dowód dała podczas operacji. Jej głos rozlega się teraz między betonowymi ścianami:

– Wszystko dobrze z twoją ręką?

– Boli.

– Trudno się dziwić, aspiryna przestała działać... Mimo to powaliłeś tego młodego...

Poczekaj...

Przeszukuje plecak, zapala się światło, to czołówka! Pozostali też zapalają latarki, tylko ja żadnej nie mam. Stéphane zbliża się do mnie, oświetlając mi twarz. Mrużę oczy.

– Pokaż! – mówi rozkazująco i już zdejmuje bandaż.

– Cholera – burczy pod nosem. – Bardzo krwawi.

Kiedy przyciskałem żołnierza do ziemi, pewnie tak bardzo napiąłem mięśnie, że rana się otworzyła.

– Stary, naprawdę nie zaleca się robić takich ćwiczeń dwie godziny po założeniu szwów. Ale spróbujemy jakoś temu zaradzić.

Oczyszcza mi ranę. Cały się spinam, a ona kładzie lodowatą dłoń na moim czole, zakłada opatrunek, podaje dwie tabletki i butelkę wody.

– To powinno uśmierzyć ból. Masz zegarek?

Kręcę głową. Nie udało mi się odzyskać mojego zegarka. Można by pomyśleć, że kot go połknął. Przypominam sobie, że kiedy mama zobaczyła niewprawnie wygrawerowane litery WOT, uśmiechnęła się do mnie na wpół znużona, na wpół rozbawiona:

– Mam już dość tego twojego WOT, całe życie spędzasz przed monitorem, w tym swoim świecie Ukrain. Może chociaż nie zajmuj się tworzeniem gadżetów reklamowych.

Przypominam sobie wyraz dezaprobaty na jej twarzy i mrugnięcie okiem. Moi rodzice pracowali w marketingu, więc mama wiedziała, o czym mówi. Uśmiecham się, ogarnięty falą czułości, mam niemal ochotę wyciągnąć do niej rękę. Po raz pierwszy nachodzi mnie tak dokładne wspomnienie mamy. Połykam aspirynę.

Specjalistka, która też nie ma zegarka, pyta pozostałych, czy mogą powiedzieć jej, kiedy miną trzy godziny. Później przykrywa mnie kołdrą, w którą się owijam. Yannis informuje nas, że jest dwunasta dwadzieścia i baterii starczy nam na pięć godzin. O ile dobrze rozumiem, on też nie ma zegarka, odczytał godzinę z komputera.

Zamykam oczy. Mam nadzieję, że Maleńka się o mnie nie zamartwia. Na szczęście Maïa z nią jest i znajdzie słowa pociechy. Czy Koridwen myśli o Maksie? Mam nadzieję, że Vincent nie postanowił odnaleźć mnie w Gentilly. Przy tak licznych patrolach mógłby wpaść w ręce wojskowych. Przeze mnie.

Specjalistka siada obok mnie, ramię przy ramieniu.

– Wszystko gra? To dzięki tobie wywinęliśmy się z tego – szepcze nagle.

– Gra – opowiadam, choć mój głos chyba nie brzmi zbyt przekonująco.

Koridwen siedząca na drugim końcu kanału proponuje mi naturalny środek uspokajający. Podobno dobry, choć może wywoływać halucynacje.

– Wolałbym nie.

– Jest w płynie. Myślę, że działa również na psy.

Jeśli dodała to, żeby mnie przekonać, to jej się nie udało. Śmiejemy się ze Stéphane. Bretoński specyfik dla zwierząt nie bardzo mi się przyda. Stéphane oświetla czołówką ścianę naprzeciw: Yannis i Koridwen też siedzą blisko siebie, dokładnie tak jak my. Im też jest zimno, z naszych ust unoszą się kłęby pary.

– Wyłącz latarkę. Po co marnować baterie.

Bretońska Czarownica jak zawsze praktyczna i władcza.

Opieram się ramieniem na Stéphane. Jestem wykończony, drzemię. Ból słabnie, aspiryna zaczyna działać. Chyba zasypiam.

Budzi mnie głos Yannisa:

– Dokąd pójdziemy, jak już uda nam się stąd wyjść?

– Jeśli Jules się zgodzi, pójdziemy schronić się u jego przyjaciół. To możliwe, Jules? – pyta mnie Stéphane.

Obawiam się, że to nie najlepszy czas na przyjmowanie nowych do komuny. Kłopoty w dzielnicy Olympiades i zaostrzenie stanu wojennego sprawiają, że Jérôme staje się coraz ostrożniejszy.

– Będę musiał uprzedzić Jérôme'a – to nasz Lider – zanim was przyprowadzę. Nie zechce

narazić komuny na niebezpieczeństwo, czyli przyjąć dwóch osób oskarżanych o terroryzm... Muszę znaleźć...

Biorę oddech, zastanawiam się, czy wyjawic im swój pomysł.

– Już wiem, co zrobię. Przedstawię cię, Stéphane, jako specjalistkę od wirusa, i powiem mu, że przyszedł zobaczyć Alicję, żeby dowiedzieć się, jakim cudem przeżyła. W takich okolicznościach pozwoli ci wejść. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Nie mogę opędzić się od czarnych myśli. Jak zareaguje Jérôme, kiedy dowie się, że wojskowi wszczepili mi chip? Przypominam sobie jego zawziętość w sprawie Cédrica. Podejrzał go o zadenuncjowanie nas armii i był gotów stracić go za zdradę. Być może uzna, że ja też jestem winny.

Jeśli chodzi o Khronosa, nie musi nic wiedzieć. W każdym razie nie od razu. Jak mu to wyjaśnię? Za bardzo się wstydzę, że w to wszystko uwierzyłem.

Można zrobić już tylko jedno. A to będzie wymagało ode mnie ogromnego wysiłku.

15 grudnia, wczesne popołudnie

Biorę głęboki oddech. Będę potrzebował siły, aby przekazać im, co zamierzam.

– Chciałbym was o coś prosić, wszystkich troje. Proszę was, przysięgnijcie, że nie zdradzicie niczego, co dotyczy Khronosa, ani nie wyjawicie, że miałem pluskwę. Nikt w komunie nie powinien o tym wiedzieć.

Wszyscy się zgadzają, kolejno, niemal uroczyście. Mnie samego zaskoczyła powaga, z jaką wypowiedziałem te słowa. Wydaje mi się, że jestem składającym przysięgę rycerzem WOT. Wspomnienie gry wzbudza we mnie niepokój, jakby Khronos mnie zdradził. Chciałbym już nigdy więcej nie słyszeć o Warriors of Time.

– Być może powinieneś spróbować leku Kori... Kim jest ta dziewczyna? Znachorką? – szepcze Stéphane.

– Sam nie wiem. Jest... trochę dziwna, ale fajna. Uratowała moją Alicję.

– Zażyj środek – nalega. – Z pewnością ci nie zaszkodzi.

– Nie, wolę nie próbować. To by się nie spodobało naszej Aptekarce... Maia...

Kiedy wymawiam jej imię, głos mi niemal drży. Ja ją kocham. Teraz wyraźnie to widzę. Kocham ją bardziej niż kiedykolwiek. Mimo rozpaczki kocham ją.

– To ona zajmuje się teraz twoją siostrzyczką?

– Tak. W rzeczywistości Alicja nie jest moją siostrą. Trzy tygodnie po rozpętaniu się tego... tego wszystkiego... znalazłem ją w mieszkaniu jej dziadka, który mieszkał w mojej kamienicy.

Nie znajduję słów, żeby mówić o katastrofie. Przeszkadzają mi precyzyjne terminy. Jestem w stanie o nich myśleć, ale nie mogą mi przejść przez usta: filowirus krwotoczny, U4. To dlatego, że słowa opisują bardzo konkretną rzeczywistość, niemożliwą do zaakceptowania prawdę, z którą do dziś nie chciałem się zmierzyć. Przypominam sobie przerażenie, jakim napawały mnie liczby i naukowe terminy pojawiające się w telewizji. Pamiętam strach i całkowitą negację. A zatem wszyscy umarli? Temu właśnie usiłowałem zaprzeczyć. Wszyscy umarli. Czy kiedyś będę w stanie się z tym pogodzić? Czy będę mógł dalej żyć? Wszyscy umarli. Poza nami, nastolatkami, oraz pewną liczbą wojskowych – wszyscy umarli. A my jesteśmy tu, w tym kanale, cztery zniszczone życia.

– Przy... przykro mi z powodu twojego brata... mamy... – szepczę.

Nic nie odpowiada. Siedzimy ramię przy ramieniu. Serce mi łomocze, jakby miało eksplodować ze smutku. Jeśli zacznę płakać, to już nie przestanę, więc staram się powstrzymać. O czym myśleć, żeby nie pogrążyć się w żalu? O śmiechu Alicji. Nie rozplączę się. Zaciskam powieki, żeby pohamować łzy. Nie rozplączę się.

Stéphane zaczyna szybciej oddychać. I nagle słyszę płacz Specjalistki.

Muszę się uspokoić, muszę dać radę. Wszyscy żyjemy w takim samym mroku. Staram się kontrolować, nie myśleć o moich rodzicach i bracie. Im bardziej staram się o nich nie myśleć, tym intensywniej nawiedzają mnie obrazy ich śmierci. Wyobrażam sobie rodziców cierpiących na krwawe poty. Wyobrażam sobie, że przed śmiercią myśleli o nas. Umarli, nie mogąc z nami wcześniej porozmawiać. Wyobrażam sobie ich rozpacz. I nie mogę znieść tych myśli. Przypominam sobie uśmiech mamy i ścisła mi się serce. Mama. Cholera, nie, Jules, weź się w garść. Nie płacz.

Mógłbym umrzeć tej nocy, nie bałbym się śmierci. Czy to znaczy, że nie chcę już żyć? Alicja. Ona na mnie liczy. Nie mogę jej porzucić. Maieńka... Skoro nie została zaszczepiona, jak przeżyła? Nagle ogrania mnie fala przerażenia – czy mogłaby jeszcze zarazić się wirusem? Tylko

Specjalistka będzie mogła odpowiedzieć na to pytanie, jednak na razie śpi, z głową opartą na moim ramieniu. Dotyk Stéphane uwalnia mnie od wszystkich koszmarnych wizji. Oświetla nas strumień światła. To Yannis do nas podchodzi.

– Stéphane, Jules musi wziąć aspirynę, już pora...

Specjalistka natychmiast się budzi i odsuwa ode mnie.

– OK.

Jest oszołomiona, po omacku szuka latarki, przeszukuje plecak. Znow kładzie dłoń na moim czole.

– Czas wziąć tabletkę, stary...

Popijam lekarstwo wodą. Nie mogę się powstrzymać przed zadaniem jej pytania:

– Zastanawiam się... Czy jeśli Alicja nie została zaszczepiona, może jeszcze zachorować?

– Nie wiem. Ale nie ma powodu, żeby zachorowała właśnie dzisiaj. Porozmawiamy o tym później. Teraz odpocznij.

Cholera, a dlaczego nie teraz? Wkurza mnie. Yannis szepcze Stéphane coś na ucho, a ona podnosi się, wzdycha i idzie do Koridwen.

Chłopak siada obok mnie. Ze swoim psem, który zaczyna nieźle cuchnąć w tym ciasnym pomieszczeniu.

15 grudnia, popołudnie

Nie znamy się dobrze, ale lubię Yannis. Mam wrażenie, że mimo skomplikowanej relacji ze Stéphane próbuje zachowywać się godnie niczym rycerz Adrial. Nie, tylko nie WOT. Nie myślę o WOT. On zresztą też chyba myślał o powrocie w przeszłość. Musi być rozbity. Powstrzymuję się przed pytaniami na temat gry, które tylko sprawiłyby nam większy ból.

– Mówiłeś o Alicji. Kto to jest?

Ostatecznie sam znalazł odpowiedni temat rozmowy. Opowiadam mu o spotkaniu z Alicją, Dorą...

Milknie, a później z trudem się odzywa:

– Ja też, ja... mam...

Może chciał powiedzieć, że ma młodszą siostrę. Że miał młodszą siostrę. Teraz ja muszę odwrócić jego uwagę od tej myśli.

– Pochodzisz z Marsylii, tak?

– Tak, mieszkałem w dzielnicy o nazwie Panier. Śmieszna nazwa, co? Jak koszyk na zakupy. Mieszkałem z moją... rodziną.

Jąka się, wymawiając te słowa, ale później bierze się w garść.

– Znasz Panier?

– Nie, ale widzę, że przemierzyłeś całą Francję.

Wyjaśnia mi, jak nauczył się żyć w górach i lesie. Opowiada o spotkaniu ze Stéphane w Z-Punkcie w Lyonie, o swojej nieufności w stosunku do mężczyzn, o zaufaniu i przyjaźni, którymi obdarzył Stéphane. Muszą być bardzo ze sobą związani. Nagle milknie. Jeśli się pokłócili, pewnie nie ma ochoty dalej się zwierzać.

– Nie martw się, Yannis, nie czuj się zobowiązany do opowiedzenia mi wszystkiego.

Waham się przed zadaniem pytania. Może to głupota, a może dobrze mu zrobi rozmowa na ten temat.

– A twoi rodzice?

– Moi rodzice. I moja młodsza siostra Camila. Oni są tam.

– Co... Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że ich widzę. Uznasz mnie pewnie za świra...

– Nie, obiecuję. Mów.

– Widzę ich duchy.

– I jak one wyglądają, te twoje duchy? To znaczy, przypominają rodziców? Są przezroczyście?

– Przypominają ich za życia. Są tylko znacznie lżejsze, unoszą się nad ziemią. I istotnie są przezroczyście.

Yannis wierzy w duchy, tak jak Alicja wierzy, że jest Dorą, a Koridwen w czary bretońskich druidów. Jak ja wierzyłem w istnienie Khronosa. Czułem się wolny, wolny. A w rzeczywistości myślałem, że jestem wolny, myślałem, że jest mi lekko. Teraz czuję się mniej wolny niż kiedykolwiek wcześniej, skępowany, zamknięty. Nie wiem, czy chcę stąd wyjść, czy jestem w stanie wrócić do dzielnicy Olympiades. Jaką wartość ma wolność w tym świecie, który należy ostatecznie uznać za całkowicie nieakceptowalny?

– Ja... ja straciłem brata. Dwa tygodnie temu – mamrocę ze ściśniętym gardłem, które nie pozwala mi kontynuować. Ależ ze mnie idiota, teraz będę musiał opowiedzieć mu o Pierze.

– Przykro mi. Chcesz, żebyśmy zmienili temat?

– Byłem torturowany przez psychopatę. Mój starszy brat uratował mi życie.

Jego pełne współczucia milczenie jest gorsze niż cokolwiek innego. Ciągłe i ciągle staje mi przed oczami Logan, z jego nienawiścią i okrucieństwem. Przerazenie. Śmierć brata. Czy kiedyś się z tym pogodzę? Cholera, nie wolno mi płakać. Muszę się opanować. Khronos. Spotkanie. To już KONIEC. Mój brat naprawdę nie żyje. NIE ŻYJE.

Yannis dotyka mojego ramienia.

– Wszystko dobrze? Jules? Trzymasz się?

Nie, nie jest dobrze. Czuję się załamany, przytłoczony, rozbity na tysiące kawałków. I wtedy, bez żadnego ostrzeżenia, Yannis zaczyna opowiadać cichym, łagodnym i śpiewnym głosem, który sprawia, że mam ochotę się śmiać, a nie płakać.

– We wsiach, które mijalem, można uprawiać ziemię, wykopać studnie, nie trzeba się ukrywać. Można palić w kominku.

Opowiada mi o swojej podróży, zachęca mnie, żebym zanurzył się w jego opowieści, daje mi trochę światła, żebym wydobył się z mroku.

Ten niemal obcy chłopak proponuje mi wyprawę. Słucham go uważnie, z zaciekawieniem. Po raz pierwszy dochodzą do mnie wieści spoza Paryża.

– W Lyonie, kiedy wojsko zdecydowało się oczyścić dzielnicę, nikt nie miał szans uciec. Zrzucili bombę z napalmem.

Bombardowanie napalmem. Cholera, a więc sytuacja w Lyonie jest znacznie gorsza niż w Paryżu. U nas panuje totalny chaos, największym wrogiem nadal są gangi, nie armia, nawet jeśli Jérôme i Vincent od chwili wprowadzenia zaostrzonego prawa wojennego przygotowują się na najgorsze. Zastanawiam się, dlaczego wojsko działało tam tak bezwzględnie. Jego głos mnie uspokaja. Mógłbym zasnąć, słuchając Yannis... Mógłby zostać moim przyjacielem... Przyjacielem...

Tracę poczucie czasu. Nie wiem, ile godzin się już ukrywamy. Promienie słońca nadal przenikają przez szpary między stalowymi płytami. Nie zapadł jeszcze wieczór, czas dłuży się w nieskończoność, a zapachy zbierają się w tej ciasnej klatce. Zdenerwowany pies wydziela ostry fetor. Kori mogłaby mu podać jeden ze swoich uspokajających specyfików. Nie mam nawet siły, żeby zapytać Yannis o godzinę.

Noc z 15 na 16 grudnia

Budzę się ze skurczem żołądka i piekielnym bólem ramienia. Nie wiem, ile czasu spałem. Wiem tylko tyle, że światło już nie przenika przez szpary między płytami. Zapadła noc.

– Dziwnie się czuję – mówię szeptem do Yannisa, nie wiedząc, czy on też nie zasnął.

– Pewnie jesteś głodny – odpowiada natychmiast.

To prawda, strasznie burczy mi w brzuchu. I to go rozśmiesza.

– Stéphane? Jules może jeść?

– Tak. Niestety, nie mogłam mu dać znieczulenia ogólnego w hangarze! Myślę zresztą, że to zauważył.

Yannis grzebie w plecaku, po czym wyciąga herbatniki i tabliczkę czekolady. Jemy w ciszy. Miał rację, jestem wygłodniały. Być może spałbym lepiej z pełnym żołądkiem, choć tak przemarzłem, że szcękam zębami. Podłoże jest twarde, chciałbym wyprostować nogi i wyjść z tego ciemnego pomieszczenia.

Koridwen wyszła sprawdzić, czy da się opuścić kryjówkę. Ale nic z tego, wozy opancerzone i młodociani żołnierze z opaskami na rękawach, wyposażeni w latarki, patrolują całą dzielnicę. Zaniepokojony myślą o pozostaniu dłużej w tym kanale, pytam:

– Jak długo jeszcze będziemy się tu ukrywać?

– Do jutra rana – odpowiada Kori. – Przed zaostreniem sta-nu wojennego wozy opancerzone wracały do bazy przed siódmą raną, po zakończeniu godziny policyjnej... Miejmy nadzieję, że dalej tak jest, chociaż zmienili zasady. To da nam odrobinę więcej swobody.

Zamykam oczy, zniechęcony perspektywą spędzenia jeszcze co najmniej dziesięciu godzin w tym lochu.

„Odpocznij, Jules, wykorzystaj ten czas, żeby nabrać sił” – powtarzam sobie nieustannie, ale na próżno.

Gdyby ten przekłety pies przestał rzucać się jak szalony, być może udałoby mi się zasnąć. Ten Happy to jakiś świr. Ja też chciałbym stąd wyjść, sierściuchu, też chciałbym odsunąć płytę i odetchnąć innym powietrzem niż zatęchły smród tego kanału. Yannis gładzi zwierzaka, pies na chwilę się uspokaja, a potem znów zaczyna szaleć.

Uciszcie tego psa. Skowyczy tak, że serce się kraje, jakby żywcem obdzierano go ze skóry.

Koridwen daje mu chyba środek uspakajający, bo po chwili pies wreszcie się zamyka. Nie pasuje do niego imię Happy. Domyślam się, że pozostawanie w zamknięciu jest dla niego nie do zniesienia. Happy klaustrofobik.

A teraz jeszcze szczury przebiegają nam nad głowami, po metalowych płytach. Oby tylko żaden nie precisnął się przez szczeliny do środka. I jak tu spać?

16 grudnia, świt

Kori mnie budzi:

– Wstawaj, już świta, jest niezłe, możemy wyjść.

Wreszcie opuszczamy loch. Całe ciało mam zdrętwiałe, a przedramię mocno mnie boli. Podnoszę się jednak i idę za resztą. Nie zamieniamy nawet jednego słowa.

Idziemy wzdłuż ścian, blisko siebie, za Koridwen, a ponieważ wszyscy jesteśmy Ekspertami, mógłbym poczuć się jak w rozgrywce WOT. Ale to już nie ma sensu. Niedobrze mi się robi na myśl o Khronosie. WOT to pułapka. Złość mnie bierze, kiedy pomyślę o tym, jak obsesyjnie poświęcałem się tej grze.

Przechodzimy przez obskurny skwer, usiany trupami rozszarpanymi przez psy i szczury, które następnie radośnie pozabijały się wzajemnie tuż obok zjeżdżalni. Choroba zabiła miliardy ludzi, a zwierzęta urządziły sobie wojnę wokół huštawek. Śmiertelną i zakrawającą na kpinę. Nasza przewodniczka daje znak, żebyśmy zwolnili, i pokazuje wejście do tunelu na alejce pokrytej żwirem. Idziemy podziemnym szlakiem przemytników. Przedwczoraj już szedłem tą drogą. Potem biegniemy między grobami i wskakujemy do studzienki na bulwarach Maréchaux. Wstrzymuję oddech, żeby nie zwymiotować. Smród jest tak gęsty, że wydaje się ciałem stałym.

Rozmyślałem o tym, co wyjawiała mi Stéphane. Skoro ocaleni są odporni dzięki szczepionce, którą podawano zaledwie przez trzy lata, przypadek Alicji nadal pozostaje zagadką. Ciągłe nie wiem, czy Maleńka może złapać U4. Zastanawiam się, jak opowiedzieć Stéphane o tym, co widziałem u dziadka Alicji. Przypomniałem sobie to dokładnie wczoraj rano. To brakujący fragment układanki. Chciałbym, żebyśmy razem poszli do mieszkania pediatry, żeby potwierdzić lub obalić moją hipotezę. Specjalistka idzie tuż przede mną, oświetlając drogę czołówką.

– Stéphane, chciałbym ci coś powiedzieć.

Nadal wolę być ostrożny. Dziewczyna kiwa głową.

– Kiedy byłem u dziadka Alicji, nadepnąłem na ampulkę ze szczepionką przeciwko zapaleniu opon mózgowych, o której mówiłaś.

Nie odpowiada. Mówię dalej, a serce bije mi jak szalone.

– Może to oznaczać, że dziadek zaszczepił Alicję *in extremis* i dzięki temu przeżyła.

A może zaaplikował jej inne lekarstwo, które też uodparnia na U4. Czy chciałabyś pójść ze mną, możliwie najszybciej, do tego mieszkania? Może udałoby się nam znaleźć jej kartę zdrowia.

Moglibyśmy dowiedzieć się, na co leczono ją w przeszłości. Muszę to wiedzieć.

Wygłaszam swoją tyradę na bezdechu, słowa wyprzedzają myśl. Nagle się zatrzymuję.

– Ty też chciałabyś zrozumieć, prawda?

Dziewczyna idzie dalej szybkim krokiem, nawet nie odwraca głowy, odpowiada tylko:

– OK, Jules, pójdziemy do tego twojego pediatry. Jutro. A jak twoja ręka?

16 grudnia, wcześniej rano

Otwieram drzwi na wewnętrzną klatkę schodową, która łączy podziemia dzielnicy Olympiades z wieżowcem ateńskim. Przejścia podziemne pod chodnikiem pozwalają przemieścić się z jednego wieżowca do drugiego, łączą także parkingi. Jeśli ktoś nie zna drogi, uzna to za istny labirynt. Vincent stoi na straży. Na mój widok twarz mu się rozpromienia. Widać na niej ulgę. Po chwili jednak uśmiech staje się nieufny – nie zna przecież Stéphane ani Yannisa.

– Wszystko w porządku, Vincent. Oni nie stanowią zagrożenia. Są ze mną.

Pozwala nam wejść do hallu. Wyjaśniam mu, że przyszliliśmy kanałami z Maréchaux, a potem poprowadziłem ich podziemiami. Słucha mnie, nie spuszczając oka z trojga Ekspertów. Oby nie skojarzył ich ze zdjęciami rozklejonymi przez wojsko.

– Kogo nam przyprowadzasz?

– To jest Stéphane, chce zobaczyć Alicję. Jest specjalistką od wirusa. To Yannis, jej przyjaciel. Kori znasz, przyszła po Maksa.

– Ręczysz za nich?

– Tak, są czysti, zaufaj mi. Nie musisz uprzedzać Jérôme’a przez krótkofalówkę. Sam to zrobię.

– Lepiej niech oddadzą broń.

Zdegustowani Eksperci podają mu karabiny.

– Zanieś broń do zbrojowni, proszę – mówi do mnie Vincent.

Jestem pewien, że Lider będzie chciał, żeby Stéphane dołączyła do naszej komuny. W najlepszym interesie unii wolnych sił jest werbowanie naukowców do swoich szeregów. Zostawiam Yannisa i Stéphane na parterze z Vincentem. Razem z Koridwen wchodzimy na trzecie piętro. Serce mi bije – wreszcie zobaczę Maleńką i Maię. Nie mogę powstrzymać uśmiechu, jestem taki szczęśliwy, kiedy wiem, że są blisko mnie. Po przybyciu na piętro zostawiam karabiny w zbrojowni Żołnierza, po czym kieruję się wprost do izby chorych, prowadząc za sobą Koridwen.

– Chodź, pójdziemy do izby chorych.

Otwieram drzwi, za którymi panuje całkowita cisza, i robię kilka kroków.

– Alicja? Maia? Jesteście tu?

I nagle słyszę radosny głos, który chwyta mnie za serce:

– Diego, Diego, Diego...

Moja Maleńka! Biegnie w moją stronę, rzuca mi się na szyję, podnoszę ją z ziemi. Alicja obejmuje moją twarz i obsypuje pocałunkami! Marszczy nosek, ściąga brwi i robi minę pełną obrzydzenia. Zrozumiałem – śmierdę. Trudno się dziwić, wyszedłem z kanału. Jednak brzydki zapach nie przeszkadza jej zarzucić mi rąk na szyję, mocno się przytulić i tak już pozostać.

Z małą na rękach ruchem głowy wskazuję Koridwen pokój w głębi mieszkania.

– Twój kuzyn jest tam.

W tym samym momencie wychodzi stamtąd Maia z zaniepokojoną, spiętą twarzą i błyszczącymi oczami.

– Jules – szepcze. – Jules, ja... tak się bałam o ciebie! Gdzie byłeś? Co ci się przytrafiło?

Podchodzi do mnie. Nie mogę jej dotknąć ani objąć, ani pocałować, bo trzymam Alicję, która chwyta Aptekarkę za szyję i szczęśliwa patrzy raz na mnie, a raz na nią. Chciałbym zatrzymać Maię obok siebie, ale ona nie uśmiecha się do mnie, unika mojego wzroku. Informuje mnie neutralnym tonem, że musi omówić z Koridwen stan jej kuzyna. Idę za nią aż do drzwi pokoju w głębi mieszkania. Max siedzi na ziemi i płacze w ramionach kuzynki, uważnie

sluchajac tego, co ona szepcze mu do ucha. Dostrzegam wzburzona twarz bretońskiej Czarownicy. Dotychczas myślałem, że jest niewzruszona, i trudno mi zrozumieć, że mogła wpaść w taki popłoch. Maïa kuca obok nich.

– Doprowadził się do stanu wegetacji. Odmawiał jedzenia, nawet picia. Z początku wołał rodziców i ciebie. Potem zamknął się w swoim milczeniu. W końcu udało mi się namówić go do picia, ale tylko w małych ilościach – mówi.

Nie chcę zakłócać ich spotkania. Kori jest tak wzruszona, że nawet nas nie widzi. Ani nadal przytulonej do mnie Alicji, ani mnie. Idę do innego pokoju. Muszę poczekać, aż Maïa skończy swoje medyczne sprawozdanie. Gdy tylko do nas dołącza, wyjaśniam jej:

– Pewna dziewczyna, Stéphane, jest specjalistką od wirusa. Chce przebadać Maleńką.

W rzeczywistości pomysł, żeby badała Alicję jak królika doświadczalnego, już mi się za bardzo nie podoba. Stawiam dziewczynkę naprzeciwko siebie, tak że dotykamy się nosami.

– Alicjo, pani doktor z siwymi włosami zada ci kilka pytań, niczym się nie przejmuj. Przekonamy się, czy uda mi się przetłumaczyć twoje odpowiedzi...

Maïa jeszcze mocniej mnie obejmuje i nie mam możliwości wyzwolić się z jej uścisku, Maïa w końcu się uśmiecha.

– Ta lekarka będzie miała zabawę z naszą Alicją! Możesz mi wierzyć!

Właśnie mam iść do Lidera, żeby go powiadomić o moim powrocie i gościach, kiedy Jérôme wchodzi do izby chorych.

– Jules, gdzie się podziewałeś? Tak się niepokoiiliśmy!

– O wszystkim wam opowiem. Byłem u Ekspertów WOT i przy-prowadziłem Koridwen. Na parterze czeka pewna dziewczyna, Stéphane, specjalistka od wirusa. Chciała zobaczyć Alicję.

– Specjalistka od wirusa? Co chcesz przez to powiedzieć?

Jakaś nuta w jego głosie ostrzega mnie, że stąпам po cienkim lodzie. Tego tematu nie należy traktować beztrusko. Zaraz, przecież oni jeszcze NIC nie wiedzą. Nic. Ani o szczepionce przeciwko zapaleniu opon mózgowych, ani o Khronosie, ani o pluskwie... Maïa intensywnie się we mnie wpatruje.

– Sama wam wyjaśni. Wie, dlaczego przeżyliśmy. Wszyscy zostaliśmy zaszczepieni na to samo w wieku jedenastu lat.

Oboje stają się trupio bladzi. Są wstrząśnięci.

– Specjalistka musi obejrzeć Alicję. Dzięki temu być może zrozumie, dlaczego jest ona jedynym dzieckiem, które...

– OK, już rozumiem. Idź po nią.

To jest rozkaz, Lider nie zadaje sobie nawet trudu, żeby powiedzieć „proszę”. Czy należało odpowiedzieć: „Tak jest, przy-jąłem”? Przebieram się w czyste rzeczy i schodzę po Stéphane oraz Yannisa.

Jérôme przed nowo przybyłymi odgrywa rolę „to ja jestem tu odpowiedzialny za wszystko, w razie problemów zgłaszajcie się do mnie”. Jest w tym niemal śmieszny. Yanniss z psem może pójść odpocząć do wspólnego mieszkania, zrobić sobie kawę i coś do zjedzenia. Pewnie spotka tam Katię i Séverine.

Tymczasem ja prowadzę Stéphane i Jérôme’a do pokoju, w którym Maleńka grzecznie siedzi na kolanach Maï. Kiedy się zjawiam, obrzuca mnie spojrzeniem swoich wielkich, niespokojnych oczu i wyciąga rączki w moją stronę. Maïa wstaje dopiero wówczas, kiedy siadam wystarczająco blisko niej. Dziewczynka gorączkowo wdrapuje mi się na kolana i wtula buzię w moją szyję, ostentacyjnie odwracając się plecami do Specjalistki, której nie zaszczyciła nawet jednym spojrzeniem. Maïa zaś okazuje coraz większą rezerwę. Jest spięta, ma błyszczące ze złości oczy i gorzko zaciśnięte usta.

– Jules mi powiedział, że jesteś „specjalistką od wirusa” – zwraca się do Stéphane niemal wrogo.

– Mój tata jest wirusologiem i epidemiologiem. Specjalistą od epidemii. To wszystko.

– Rozumiem. Moja mama była aptekarką.

Czy Aptekarka jest urażona, jak zawsze, gdy chodzi o kwestie związane z medycyną?

Przez kilka minut siedzimy w bezruchu i ciszy. Jérôme odwraca się do Maï i mówi:

– Zostawisz nas samych?

Dlaczego każe jej wyjść? Przecież ona zajmuje się Alicją tak samo jak ja. O co chodzi w tym obłędzie? Lider coraz bardziej niechętnie dzieli się informacjami. Stéphane natychmiast kontruje:

– Lepiej, żeby została. Alicja musi czuć się bezpiecznie, inaczej nici z naszych badań.

Spoglądam w stronę Maï – nic. Pustka. Wydaje się mnie nie widzieć. Co się stało z naszą bliskością?

Jérôme ustępuje.

– A zatem ja wyjdę. Będę na was czekał na korytarzu. Mam pytania.

Stéphane wygląda tak, jakby Maï ją zahipnotyzowała, choć Alicja pokazuje jej tylko tył głowy.

– Możesz się odwrócić, skarbie, pani doktor jest miła. Może nam pomóc, wiesz... – szepczę jej do ucha.

Odwraca się powoli. Najpierw spogląda na Stéphane jednym okiem, potem drugim. Gdybym nie czuł, jak bardzo cała jest spięta, pomyślałbym, że się bawi. W rzeczywistości onieśmiela ją ostre, przenikliwe spojrzenie Specjalistki. Alicja aż się pod nim kuli.

– Diego – kwili drżącym głosem, ledwie powstrzymując się od płaczu.

– Nic się nie bój. Pani doktor nie zrobi ci krzywdy. A poza tym jestem przy tobie, nie bój się.

– Znalazłeś ją u dziadka, prawda?

– Tak, był lekarzem. Doktor Dionée. Przeżyła trzy tygodnie zupełnie sama w jego mieszkaniu.

– A kiedy to było dokładnie?

– Osiemnastego listopada.

Mimo obronnego, poirytowanego gestu Maï Specjalistka pochyla się w stronę wtulonej we mnie Alicji.

– Alicjo, nazywam się Stéphane. I muszę widzieć, co ci się przydarzyło.

Maï oczywiście milczy, nerwowo machając nogami.

– Rozumiesz mnie? Czy przypominasz sobie szczepionkę?

Cisza.

– Zastryk, Alicjo? Czy ktoś zrobił ci zastryk? Twój dziadek? Kiedy ludzie... zaczęli umierać?

I nagle słyszę głos Maï.

– Śnieżka... Królowa Śnieżka.

Chwytam nadal niezbyt przyjazne spojrzenie Maï, która uśmiecha się jednak i gładzi policzek dziewczynki, po czym wyjaśnia Stéphane:

– Właśnie nadała ci imię. Od kiedy ją poznałam, żyje w świecie Dory Maïej

Podróżniczki. Nie zbadasz jej?

Specjalistka wstaje, nie okazując najmniejszych oznak zniecierpliwienia, co naprawdę doceniam. Po prostu trzeźwo ocenia sytuację. Ma ogromną klasę.

– Nie, to niepotrzebne.

Szykuje się do wyjścia, a ja wołam:

- Idziemy do pediatry, pamiętasz? Nadal się zgadzasz?
- Pójdziemy tam, kiedy zechcesz. Nawet zaraz. Jestem gotowa.
- Potrzebuję czasu, żeby wyjaśnić Alicji. Zaraz przyjdę...

Na te słowa mała jeszcze mocniej się do mnie przytula. Kiedy Specjalistka odwraca się w moją stronę w drzwiach, jej twarz wyraża pewne znużenie. W jej głębokim, niejednoznacznym, zmiennym spojrzeniu dostrzegam mieszankę fatalizmu, rozpacz, życzliwości, zawziętości i gniewu. Aptekarka wreszcie przerywa swoje wrogie milczenie.

– Co zamierzasz zrobić z Alicją?

– Mogłabyś się nią zająć? Proszę.

– Lepiej, gdybyś oddał ją pod opiekę Koridwen. Mała łatwiej zniesie twoje wyjście, jeśli będzie w towarzystwie Benka.

Przyznaję jej rację. Imię niebieskiego byczka sprawia, że dziewczynka nieco rozluźnia uścisk. Korzystam z tego i gładzę ją po włosach.

– Zajmiesz się Maksem, on ciebie potrzebuje, a ja szybko wrócę.

Powoli kiwa głową i w końcu odrywa się ode mnie. Co za wspaniałe dziecko...

Wyobrażam sobie, jakiej odwagi wymaga od niej pogodzenie się z tym, że znów wychodzę. Moja śliczna dziewczynka. Moja dzielna.

Aptekarka nadal wpatruje się we mnie bez zmrużenia oka. Zaglądam jej w oczy i natykam się na mur grubszy niż ściany lochu w Gentilly.

– Maïu – mamrocę. – Co się stało?

– Co to znów za historia z tym pediatrą? – pyta uszczypliwym tonem.

– Być może uda mi się odkryć, dlaczego Alicja przeżyła.

Aptekarka stoi z zaciśniętymi ustami i założonymi rękami, ale nie protestuje.

– Chcesz iść z nami? Wszystko lepiej wyjaśnię ci po drodze.

Kiwa głową i trochę się odpręża.

– Trzeba będzie zachować wyjątkową czujność z powodu zaostrzenia stanu wojennego, bez chipów nie mamy nawet prawa poruszać się po ulicach.

Te ostatnie słowa sprawiają, że przechodzi mnie dreszcz. Będę musiał jej opowiedzieć. WSZYSTKO. Kierujemy się w stronę wyjścia. Rozgorączkowany głos Jérôme'a niczym echo moich myśli rozbrzmiewa na klatce schodowej:

– Muszę porozmawiać z wami o szczepionce...

Wyczuwam w nim napięcie. On, tak zwykle opanowany, teraz się niecierpliwi. Wie, że informacje, które posiada Specjalistka, mają kapitalne znaczenie.

16 grudnia, rano

Dopiero na schodach oddaję Stéphane półautomatyczny pistolet.

– To dla ciebie. Vincent wołał ci oddać, na wypadek, gdybyśmy mieli nieprzyjemne spotkanie.

Kiedy Żołnierz dowiedział się, że idziemy do mieszkania pediatry, zaciągnął mnie do zbrojowni i ostrzegł:

– Bądźcie ostrożni, Szarżujący, na ulicach panuje coraz większe napięcie. Wojskowi są rozdrażnieni. Od zaostrzenia stanu wojennego oddziały specjalne nie mają litości.

Objął mnie, zaproponował pistolet automatyczny i wręczył broń Stéphane. Ja mam Sztylet, to mi wystarczy. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu Maïa przyjęła pistolet.

Wyczułem lekkie wahanie, kiedy Stéphane chowała broń w kieszeni, jakby bała się tego, co jest w stanie zrobić.

Jeśli wszystko pójdzie gładko, dotarcie do Ogrodów Luksemburskich nie zajmie nam dużo czasu. Żeby nie dać się namierzyć w dzielnicy Olympiades, zapalam latarkę i wybieram drogę przejściem podziemnym. Przy wyjściu na ulicę Javelot wchodzących i wychodzących kontroluje Chińczyk. Poznaję go, to ten sam chłopak, który pełnił wartę w dniu, kiedy przenieśliśmy się do wieżowca ateńskiego. Dostał polecenie wpuszczania nas na teren osiedla i wypuszczania z niego wedle naszej woli. Wychodzimy na uliczkę prostopadłą do ulicy Tolbiac. Nie mamy już prawa w dzień chodzić po stolicy i wiemy, że ryzykujemy śmierć, jeśli wojskowi nas zobaczą. Cóż, skoro nie znam dostatecznie dobrze sieci kanałów i tuneli metra, żeby zapuszczać się tam bez Koridwen. Moglibyśmy zgubić się w paryskich podziemiach. Dziewczyny idą za mną czujnie, nie odzywając się ani słowem. Zaplanowałem już naszą trasę – będziemy omijać główne ulice, wybierać boczne uliczki, gdzie istnieje mniejsze niebezpieczeństwo napotkania patrolu. Stéphane i Maïa nie odzywają się do siebie ani słowem. W końcu Specjalistka przerywa ciszę:

– Twoi kumple, Vincent i Jérôme, też są Ekspertami WOT?

– Nie, ale byli gracjami.

– Powiedziałeś im o spotkaniu Ekspertów 24 grudnia?

– Tak, też chcą się na nim zjawić. Uważają, że uda im się pozyskać do komuny innych ocalałych, którzy chcą żyć poza Z-Punktami.

– To ma sens – opowiada Stéphane tonem, w którym pobrzmiewa szacunek. – Ale nie powinniście tam iść. Wieża Zegarowa to pułapka... Stawiają się tam oddziały antyterrorystyczne poszukujące Khronosa. Będą na was czekać.

– Ty nie idziesz?

– Nie. Za dużo by wyjaśniać, ale to przeze mnie zainteresowali się Khronosem i uznali spotkanie 24 grudnia za działanie wywrotowe. Teraz na pewno zjawią się pod wieżą Zegarową.

– Nie ma co spodziewać się po nich litości, prawda?

Specjalistka potwierdza moje obawy.

– Będą bezlitośni, obowiązuje prawo wojenne.

Nie mówi nic więcej, ale jej słowa dzwonią mi w uszach. Są takie ostateczne, bezapelacyjne.

– Może trzeba zrezygnować z tego spotkania, Jules – odzywa się Maïa, która pilnie słucha naszej rozmowy.

Nie odpowiadam. Kwestia Khronosa jest jedyną, co do której się nie zgadzamy. A ona przecież jeszcze nie wie, że mistrz gry okazał się sztuczną inteligencją i ja już w niego nie

wierzę. Cóż za ironia losu! Uśmiecham się do niej smutno, a ona rzuca mi długie spojrzenie, pełne niepokoju. Tego wieczoru wszystko jej wyjawię. Przy niej będę się mniej wstydził.

Kiedy w końcu docieramy do mojej kamienicy, serce bije mi jak oszalałe. Powrót w to miejsce wprawia mnie na kilka minut w odrętwienie, w którym przeżyłem pierwsze tygodnie po wybuchu epidemii. Mój mózg nagle ogarnia fala niepokoju. Muszę oprzeć się o ścianę. Maïa robi gest w moją stronę. Wydaje mi się, że chce położyć mi rękę na ramieniu. Nie mogę pozwolić, żeby zapanowała nade mną panika z przeszłości. Odwagi, Jules. Otwieram drzwi i mówię towarzyszkom:

– Muszę was uprzedzić, że może tu roić się od szczurów.

Na klatce schodowej nie ma jednak gryzoni, za to czuć chemiczne odkażacze.

– Cholera, czyściciele musieli już posprzątać.

Sekcja odpowiedzialna za oczyszczanie Paryża raczej nie używa ognia i nie wysadza budynków. Moja kamienica została wyczyszczona.

Obawiam się, że wynieśli ciało pediatry. Być może wyczyścili także jego mieszkanie. A jeśli usunęli strzykawki i ampułki, nie zdobędziemy żadnego dowodu na potwierdzenie naszej hipotezy.

Szybko wbiegam na drugie piętro, z niepokojem otwieram drzwi mieszkania doktora, mijam poczekalnię i wchodzę do gabinetu. To tam znalazłem Maïę. Kiedy pomyślę o stanie, w jakim się wtedy znajdowała... Robię kilka kroków w głąb pomieszczenia.

– Wynieśli ciało doktora Dionée.

Miejmy nadzieję, że wszystkiego nie wyrzucili. Pochylam się. Na podłodze nadal leżą porozrzucane strzykawki i ampułki. Specjalistka już jedną podniosła. Ampułka jest pusta. Stéphane czyta etykietkę, po czym odkłada fiolkę. Maïa staje obok mnie. Czuję, że jest spięta. Stéphane podnosi kolejną ampułkę, nieużywaną. Kładzie ją na lodówce. Bierze z ziemi trzecią, pustą. Czyta etykietkę. Jej twarz wyraża szczery podziw. Czuję zalew adrenaliny. Pokazuje nam jedną z ampułek.

– Oto wyjaśnienie – to jest szczepionka MeninB-Par. Dziadek Alicji się domyślił. To był doskonały lekarz.

A zatem moja mała została zaszczepiona przeciwko zapaleniu opon mózgowych! Jest taka jak ja, jak my. Maïa nagle staje między nami z założonymi rękami i zmarszczonymi brwiami.

– W takim razie dlaczego nie uprzedził władz?

– Doktor Dionée zapewne nie znalazł rozwiązania, a jedynie się go domyślał – wyjaśnia nam Stéphane. – Wypróbowywał na dziewczynce wszystkie szczepionki przepisane nastolatkom w ostatnich latach, ale nie wiedział, która jest właściwa.

Dziadek Alicji nie miał pewności, że właśnie MeninB-Par ratuje życie, po prostu działał zgodnie z intuicją. Specjalistka otwiera lodówkę wypełnioną szczepionkami dla nastolatków, dzieci i niemowląt. Po obejrzeniu wszystkich fiolek zwraca się do nas.

– Prawdopodobnie poszedł do jednej z całodobowych aptek. Tam zawsze jest kilka ampułek każdej szczepionki w razie nagłego wypadku.

Specjalistka mówiła mi, że MeninB-Par był przepisywany w razie stwierdzonego zapalenia opon mózgowych.

– Spójrzcie, większość pustych ampułek jest podwójna – kontynuuje. – Najwidoczniej sobie też wstrzykiwał surowicę... Ale znalazłam tylko jedną ampułkę MeninB-Par. W sytuacji zagrożenia wołał zaszczepić dziecko niż siebie.

Maïa szepcze mi na ucho:

– Poświęcił się dla niej...

Stéphane nie podziela jej wzruszenia, odpowiada sucho:

– Gdyby się uratował, uchroniłby tysiące innych istnień.

– Ale Alicja by umarła!

Niemal wykrzykuję to zdanie, patrząc głęboko w oczy Specjalistki. Twardo mierzę się z jej ciężkim spojrzeniem. Dziewczyna w końcu odwraca się do mnie plecami. Zdążam jeszcze dostrzec ogromny smutek, niemal rozpacz w jej błyszczących źrenicach. Jakby wybór dokonany przez pediatrę dotyczył jej osobiście. Szybko jednak bierze się w garść i jej twarz wyraża już tylko chłodne zdecydowanie.

– Teraz... muszę was zostawić, Jules. Nie wracam z wami do komuny – oświadcza nagle uroczystym tonem.

– Teraz?

– Tak. Muszę iść.

Jej decyzja mnie zdumiewa.

– Ale... A co z Yannisem...?

– Powiedz mu, proszę. Jeśli odnajdę ojca, wyjaśnię mu, że Yannis nie jest terrorystą, a wokół Khronosa nie zawiązano żadnego spisku. Powiesz mu?

Kiwam głową, oniemiały ze zdziwienia. Obejmuje mnie, stara się ukryć rozpacz. Za pierwszym razem, kiedy mnie dotknęła, wykręciła mi rękę i sprawiła, że wrzeszczałem z bólu. Później mnie zoperowała. Jest taka potężna. Nigdy wcześniej nie spotkałem podobnej dziewczyny. Blizna zresztą znów daje mi się we znaki. Stéphane coraz mocniej mnie ściska, jakby chciała przekazać mi swoją energię i brak pokory. A więc ja też próbuję podzielić się z nią moją cierpliwością i przyjaźnią. Chcę, żeby w ciszy zrozumiała, jak bardzo zależy mi na tym, żeby się jej udało.

Stéphane przypomina mi bohaterów tragicznych, którzy muszą wypełnić swoje zadanie i nie mogą prowadzić normalnego życia. Jakby była jednym z X-Menów i nie mogła sama zdecydować o swoim losie. Jej ojciec należy do lekarzy pracujących w sztabie głównym, a wojskowi urządzili na nią obławę. Ona z kolei jest w posiadaniu tajemnicy wojskowej, informacji o najwyższym znaczeniu militarnym. Wyczytuję w jej szarych oczach, że zna koniec tej historii i będzie on dla niej raczej smutny.

– Dziękuję – szepczę. – Dziękuję za wszystko.

Uśmiecha się do mnie i pozdrawia Maïę spojrzeniem bez cienia wrogości, a potem zostawia nas samych.

– Przed czym ona ucieka? – mamrocze zaskoczona Maïa.

Ja nie postrzegam jej odejścia jako ucieczki, a raczej jako działanie podyktowane przez instynkt życia.

16 grudnia, wczesne przedpołudnie

Muszę znaleźć środki przeciwbólne w gabinecie doktora Dionée. Przydałoby się też zdjąć opatrunek i sprawdzić stan blizny. Gdzieś tu powinny być sterylne kompresy i bandaż. Gorączkowo przeszukuję szafę z lekarstwami.

– Jules, czego szukasz? – pyta Maïa z niepokojem.

– Środków przeciwbólowych.

– Co ci jest? Bardzo zbladłeś.

Wzruszam ramionami.

– To znów ta ręka...

– Poczekaj, opatrzę ci ją...

Znajduje opatrunki, kompresy, środki odkażające w szufladach pod leżanką. Połykam doliprane o smaku karmelu. Biorąc pod uwagę mój stan, syrop będzie najlepszy, musi zacząć szybko działać. Wypijam pół butelki – zakładam, że taka jest dawka. Kwaskowaty smak natychmiast przypomina mi dzieciństwo. A to niezłe, środek przeciwbólowy dla dzieci jako Proustowska magdalenka. Czuję dotyk Maï na lewym ramieniu.

– Pokaż.

Automatycznie cofam rękę.

– Nie, nie dotykaj, muszę ci powiedzieć...

Ale gardło mi się ściska, a na jej twarzy pojawia się rozpacz.

– Jules, o co chodzi? Coś ukrywasz... Ta dziewczyna, ona...? Ty...?

W jej oczach dostrzegam taki niepokój, że aż chwieję się na nogach. Nagle dopada mnie całe zmęczenie. Maïa prowadzi mnie w stronę fotela.

– Usiądź.

Jej głos drży, kiedy pomaga mi zdjąć kurtkę, podwija rękaw i odkrywa kompres nasiąknięty krwią i grubą warstwą maści betadine. Nic nie mówię, nie jestem w stanie znaleźć właściwych słów. Maïa zdejmuje opatrunek, delikatnie oczyszcza i odkrywa ranę.

– Mój Boże, to rany, które zadał ci Logan. Żle je leczyłam i wdało się zakażenie? Tak...?

Jej głos znów drży, a mną wstrząsa dreszcz.

– Maïu... Specjalistka musiała mnie operować. Miałem pod skórą pluskwę. Chip wszczepiony przez wojskowych. Ona mi go usunęła.

Otwiera szeroko oczy, pochyla się do przodu, jakby ktoś do niej strzelił, i szepcze:

– Tak bardzo cię przepraszam, Jules, nic nie zauważyłam. Myślałam, że...

Czuje się winna. Ona, która zawsze tak się stara. A przecież ja niczego nie mam jej za złe. To do siebie mam pretensję. Chwy-tam ją za rękę.

– Teraz wiemy, dlaczego wojskowi zaatakowali naszą kamienicę przy bulwarze św.

Michała.

– To... To Logan ci to... wszczepił?

Kiwam głową, powstrzymując łzy. Od kiedy wiem, że Khronos nie istnieje, nie chcę już płakać. Ściskam mocniej dłoń Maï i mówię:

– To nie wszystko, Maïu. Jest jeszcze coś...

Cała sztywnieje, jakby oczekiwała najgorszego.

– Khronos... Khronos nie istnieje. Powrót do przeszłości jest niemożliwy.

Głos mi się łamie, ale nie płaczę. Ona obrzuca mnie wzrokiem pełnym niepokojem, lecz ani przez chwilę nie ma zamiaru naśmiewać się ze mnie.

– Skąd wiesz?

– Odkryłem to razem z Koridwen, Stéphane i Yannisem. Specjalistka jest poszukiwana przez wojskowych za morderstwo.

Mała się spina.

– Nie sędzę, żeby była winna. Wojsko się pomyliło, jej historia jest skomplikowana.

O wszystkim jej opowiadam. O dochodzeniu wojskowych, którzy wpadli na trop WOT; o sztucznej inteligencji i o spotkaniu 24 grudnia, na którym mają zjawić się żołnierze.

– Nie możesz iść na to spotkanie. Teraz, kiedy wiesz...

Nie kończy trudnego zdania. Nagle stawiam się na miejscu pozostałych Ekspertów, którzy w dobrej wierze pojawią się pod wieżą Zegarową, podczas gdy wojsko z pewnością będzie na nich czekało. Wyobrażam sobie ich przerażenie. Nie będą mieli żadnych szans z żołnierzami. To spotkanie zmieni się w olbrzymią zasadzkę. Z pewnością dojdzie do masakry. Wpatruję się w jej twarz, nie odrywam od niej wzroku.

– Ja... Ja nie wiem, jak mógłbym pozwolić zabić tych, którzy przyjdą na miejsce spotkania...

Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem pewien, że muszę pójść na to spotkanie z Khronosem bez Khronosa.

– ...podczas gdy mogę podjąć jakieś działania.

Działania, żeby uratować Ekspertów. Nie mogę pozostawić ich własnemu losowi. Nie mogę ich porzucić, nie mógłbym żyć, mając ich życie na sumieniu.

– Ale... jak?

– Porozmawiam o tym z Jérôme'em i Vincentem. Wszystko im opowiem. To będzie trudne, ale tak zrobię. Myślę, że oni też będą chcieli pójść na spotkanie. Z tego samego powodu co wcześniej, żeby włączyć Ekspertów do wolnych sił zbrojnych... I żeby ich uratować.

Pochyla głowę, nie wiem, czy się ze mną zgadza.

– A Alicja?

Ogarnia mnie szalone pragnienie uspokojenia jej, wzięcia w ramiona. Ból mija, paracetamol zadziałał. Zmuszam się do uśmiechu.

– Mam teraz prawdziwe rany wojenne do pokazania!

Odkrywam wszystkie blizny w różnych kształtach, które upodabniają mnie do superbohatera.

– W rzeczywistości jestem mutantem, X-Menem!

Nie udaje mi się jej odprężyć, rezygnuję z kwestii: „A ty jesteś Superwoman!”, którą mam zamiar wypowiedzieć. Znów staję się poważny, tym bardziej, że mam jeszcze coś ważnego do zrobienia.

Zadanie, które już dawno bym wykonał, gdybym nie wierzył w Khronosa.

16 grudnia, wczesne popołudnie

Niepewnym krokiem wchodzę na piąte piętro.

Po raz pierwszy tu wracam.

Chcę zabrać zdjęcia rodziców, brata i dziadków, zanim opuszczę Paryż. Chcę zachować jakieś ślady po nich. Żeby nie zapomnieć. Nigdy. Straciłem ich, ale nie chcę zapomnieć. Chcę też odzyskać swój zegarek. Przyda mi się. Poza tym będzie mi przypominał to, w co wierzyłem, moją głupotę, naiwność.

Wchodzę do swojego pokoju i zatrzymuję się przed komputerem. Ile godzin spędziłem przed tym monitorem? Dziadkowie uważali, że za dużo gram, mama nieustannie powtarzała mi to samo. Odpowiadałem im, że to normalne, że wszyscy w moim wieku są przykuci do monitorów. Uśmiecham się na wspomnienie propozycji dziadka:

– Kiedy był dzieckiem, nauczyłem go jeździć na rowerze. Myślisz, że boję się komputera? Odzwyczaję go, niech tylko spędzi z nami dwa tygodnie na wsi, sama zobaczysz.

Serce mi się kraje. Nie mogę pograżać się we wspomnieniach, to studnia bez dna. Kładę się na podłodze obok łóżka – zegarka tam nie ma. Podnoszę stolik nocny. Jest tu, zaklinował się między dwiema klepkami parkietu. Sprawdzam godzinę: 14.05. Gorączkowo przeglądam albumy rodzinne. Widok twarzy moich bliskich sprawia, że drżą mi ręce. Przeszukuję komodę w korytarzu i zabieram dowody osobiste rodziców. Éva i Antoine Péretowie. Zabieram także swój dowód i mojego brata. Żebym zawsze wiedział, kim jestem i skąd pochodzę. Maïa szepcze do mnie:

– Ja zawsze trzymam przy sobie fotografię mamy.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjmuję zdjęcie osłonięte plastikową okładką. Obie promieniają – matka i córka nad morzem.

– Zrobione w Arcachon – wyjaśnia Maïa.

I uśmiecha się na wspomnienie szczęśliwej chwili z przeszłości. Jaka ona dzielna. Jej uśmiech jest taki smutny. Mam ochotę wszystko porozbijać. Tracę oddech.

– Jules, wszystko dobrze?

Pod wpływem ostrego bólu zginam się wpół, jakby ogromna ręka wrywała mi żołądek. Co mi jest? Z trudem oddycham. Biegnę do okna, otwieram je, na zewnątrz jest równie zimno jak w mieszkaniu. Biorę haust powietrza, wspomnienie smrodu rozkładających się ciał przygważdża mnie do podłogi. Powracają do mnie obrazy pierwszych dni. Zamykam okno, serce podchodzi mi do gardła. Mdłości przybierają na sile. Biegnę do toalety i wymiotuję. Nie wiem już, co się ze mną dzieje. Moim ciałem wstrząsają torsje. I nagle Maïa chwyta mnie za rękę.

– Idziemy stąd. Wychodzimy. Już wystarczy.

Pozwalam się prowadzić jak automat. Pozwalam jej się prowadzić, nie słucham szyderczego głosu, który każe mi ją odepchnąć, wszystko zniszczyć, wrzeszczeć, wyskoczyć przez okno. Zachowuję się, jakbym go nie słyszał.

Schodzimy do dziadka Alicji. Maïa gorączkowo przeszukuje szuflady w gabinecie. Wyrzuca opakowania lekarstw na ziemię. Wreszcie znajduje fiolkę, z której wyjmuje dwie tabletki.

– Połknij je! – rozkazuje.

Odzyskuje zimną krew Aptekarki. Połykam pastylki bez wody.

– Teraz poczekamy, aż zaczną działać.

Drgawki nadal mną wstrząsają, ale złość już mija.

– To są środki uspokajające – informuje mnie Maïa.

Sam bym się domyślił. Chemia działa. Kryzys mija. Jestem jakby odizolowany, znieczulony, jest mi raczej dobrze, choć czuję się osłabiony.

– Chcę zrobić to samo dla Alicji – mamroczę bezbarwnym głosem. Język mam zupełnie suchy.

– Co zrobić?

– Poszukać jej zdjęć rodzinnych.

Zgadza się. Idziemy razem do mieszkania dziadka: fotografie uśmiechniętej Małenki w różnym wieku, jej rodziców i dziadków wiszą na ścianach. Zdejmuję trzy albo cztery. Chcę pewnego dnia móc jej opowiedzieć, skąd pochodzi. Czym zajmowali się jej rodzice? Szukam i znajduję szufladę z dokumentami. Są tu dowody osobiste, paszporty. Chowam je do kieszeni obok moich. Nagle trafiam na dokument większy od pozostałych: Dyplom Akademii Medycznej. Znalazłem dwa: dziadka i mamy Alicji. Była lekarzem tak samo jak jej ojciec, a on – zapewne z dumy – zachował go sobie. O ojcu Alicji nadal nic nie wiem.

– Jules, musimy już iść – przerywa mi Maïa. – Niedługo będzie trzecia. Lepiej, żebyś w komunie opowiedział o wszystkim przed wieczorem. O szóstej Vincent wychodzi na misję.

Tak, ma rację, czas opuścić to miejsce.

Wychodzimy na ulicę.

Wyjawię Jérôme'owi, Vincentowi, Séverine i Katii, że zostałem zachipowany, Khronos jest sztuczną inteligencją, a wojsko przeprowadzi interwencję 24 grudnia. Ulży mi, gdy nie będę musiał już nic przed nimi ukrywać. Maïa idzie obok mnie, jest wojownicza, czujna na najdrobniejszy podejrzany ruch, gotowa w każdej chwili znaleźć nam kryjówkę. Ja czuję się dziwnie oderwany od tego, co mnie otacza. Niczego się nie boję. Maïa przyspiesza, ja dostosowuję do niej swoje tempo. Nie jestem pewien, jak zareaguje Jérôme.

Jednak wiem, że nie jestem sam.

16 grudnia, późne popołudnie

Od chwili naszego powrotu do mieszkania Yannis nieustannie mnie obserwuje. Siedzi na kanapie obok Koridwen i Maksa, nie odzywa się ani słowem, tylko od czasu do czasu rzuca spojrzenie w stronę drzwi. Zacząłem od zdania szczegółowej relacji z naszej wizyty u pediatry, dzięki czemu na razie udało mi się uniknąć konfrontacji z przyjacielem Stéphane. Pod koniec mojego monologu Alicja, która wysłuchała go z uwagą, poszła z Séverine do kuchni. Zauważyłem, że ukochana Jérôme'a coraz częściej zajmuje się małą. Wydaje mi się bardzo wesola od czasu, kiedy zamieszkaliśmy w dzielnicy Olympiades.

Nagle Yannis zbliża się do mnie.

– Gdzie jest Stéphane? – pyta gwałtownie.

Wolałbym uniknąć informowania go o jej odejściu, ale przecież obiecałem Specjalistce, że przekażę mu tę wiadomość. Biorę go więc na bok, na drugą stronę nowoczesnego salonu, i mówię cicho:

– Yannis... Stéphane odeszła.

– Jak to odeszła? – sapie, nie kryjąc zdenerwowania.

– Odeszła. Powiedziała, że nie zjawi się na spotkaniu 24 grudnia.

– Ale co...? Dlaczego ona...?

Cholera, jego smutek łapie mnie za serce. Robi się trupio blady, reaguje żywiołowo. Stawiam się na jego miejscu. Gdyby Maïa opuściła mnie bez uprzedzenia, byłbym równie poruszony jak on. Czy Yannis rzeczywiście kocha się w Stéphane? A jeśli tak jest, czy ona o tym wie?

– Powiedziała też coś dziwnego.

Zastanawiam się, nie chcę popełnić błędu. Chciałbym powtórzyć mu dokładnie słowa przyjaciółki. Yannis czeka rozgorączkowany, nie odrywając ode mnie oczu.

– Powiedziała, że wyjaśni swojemu ojcu, iż nie jesteś terrorystą. I zapewni go, że wokół Khronosa nie zawiązał się żaden spisek.

Nic nie odpowiada. Jego milczenie mnie irytuje. Stara się do mnie uśmiechnąć, ale mu to nie wychodzi. Ponownie siada obok Kori i głaszcze psa. Woli nie dzielić się ze mną swoim smutkiem. Doskonale go rozumiem.

Szukam schronienia w kuchni, gdzie Séverine z Maleńką szykują dla wszystkich kolację. Dowiaduję się od nich, że Yannis i Koridwen zostają z nami i spędzą tę noc w komunie. Vincent oddał im swój pokój z dwoma łózkami. Będzie spał z Katią, co wcale nie jest dla niego takie przykre. Fukanie Lego i warczenie Happy'ego każą przypuszczać, że ich relacje będą burzliwe.

Yannis pojawia się, żeby rozdzielić zwierzaki.

– Odnosiłem wrażenie, że dość dobrze się rozumieją – stwierdza, przytrzymując psa za szyję.

– Lego nie należy do bardzo towarzyskich kotów. Chcesz, żebym pokazał ci twój pokój? Chłopak się zgadza. Idziemy korytarzem, a za nami podąża wybuchowy duet – Happy i Lego. W pokoju Yannis wyrzuca z siebie głuchym głosem:

– Obiecała, że mnie uprzedzi, jeśli będzie chciała odejść. Zdradziła mnie!

– Rozumiem cię, Yannis, czułbym dokładnie to co ty, gdyby...

Przerywam. Nigdy nikomu nie wyjawilem, że kocham się w Maï. Tyle czasu zajęło mi, żeby przyznać się przed samym sobą... To szczere spojrzenie Yannisa skłania mnie do zwierzeń. Bełkoczę, czując, że cały się czerwienię:

– Ja... Ja kocham... Gdyby ta, którą kocham, zrobiła mi coś takiego, oszalałbym

z wściekłości i rozpacz.

- Ale ja nie jestem zakochany w Stéphane. Nie sędę.
- Przez chwilę stoi pogrążony w myślach, a potem nagle uśmiecha się radośnie.
- A kto jest twoją szczęśliwą wybranką? Można wiedzieć?
- To Maïa – mamrocę, tak się czerwieniąc, że aż twarz mnie piecze.
- To mnie nie dziwi! – woła ze śmiechem, w którym nie ma już ani śladu smutku.
- Nikt tu o tym nie wie, a zwłaszcza ona. Więc wiesz, ani słowa, dobra?
- Możesz być spokojny. Nikomu nie powiem.

17 grudnia, wcześniej rano

Vincent mruga do mnie porozumiewawczo, kiedy wchodzę do salonu.

Wczorajsze rewelacje zostały dobrze przyjęte. Nikt nie wini mnie za to, że miałem wszczepioną pluskwę elektroniczną. Zresztą Żołnierz jest niemal pewien, że to nie chip był przyczyną ataku wojskowych na kamienicę przy bulwarze św. Michała. Logan bez wątpienia poinformował wojskowych o miejscu zamieszkania naszej komuny, gdy tylko przyłączył się do Z-Punktu. Prawdopodobnie temu zawdzięczał swoją kamizelkę kierownika. Wojsko zaatakowało nas dziesięć dni później, kiedy zintensyfikowało działania zmierzające do unicestwienia gangów posiadających broń. Vincent powiedział nam, że również inne gangi doświadczyły agresji około 10 grudnia. Także Cédric nie był źródłem przecieku. Isa się z nim widziała, jest kucharzem w dawnym szpitalu Salpêtrière. Uspokoił się i zawsze chce wiedzieć, co u nas.

Zdaniem Vincenta chłopcy z Z-Punktu się pomylili, chipy działają na krótkie fale. Vincent zauważył, że dowódcy brygad podczas patroli poza Z-Punktami są wyposażeni w odbiorniki, prawdopodobnie służące identyfikacji ocalałych.

Raz nawet pluskwa zadziałała na moją korzyść. Kiedy spotkałem patrol w Gentilly, chłopcy uznali, że jestem zachipowany, a więc należę do Z-Punktu...! Ależ Logan miałby minę! Sądził, że zachipowanie doprowadzi do mojej zguby, a tymczasem wyświadczył mi przysługę!

A kiedy powiadomiłem ich, że Khronos był tylko sztuczną inteligencją, jedynie pokiwali głowami. Nikt się ze mnie nie wyśmiewał. Bardziej zaniepokoiła ich planowana obecność wojskowych na spotkaniu 24 grudnia i niespodziewane zniknięcie Stéphane. Nie zdradzałem tego, co wiem o jej ojcu jako lekarzu wojskowym, żeby nie wzbudzać dalszych podejrzeń. Nikt nie musi też wiedzieć, że przyprowadziłem do komuny dwoje terrorystów poszukiwanych za morderstwo. Tym bardziej, że nie chcę osłabiać pozycji Yannisa, który powinien na dobre z nami zamieszkać. Chociaż nie mieliśmy czasu o tym porozmawiać, jestem przekonany, że żadne z nich nie popełniło zbrodni.

Stwierdziłem, że Specjalistka musiała wrócić po przyjaciela, któremu groziło niebezpieczeństwo, a wojskowi dotarli do wiadomości od Khronosa przy okazji przeszukiwania forów internetowych używanych przez ocalałych. Moje argumenty nie do końca przekonały Jérôme'a, ale na szczęście zbyt mocno martwił się zaostrzeniem działań prowadzonych przez armię, żeby dokładniej zająć się tymi sprawami. Ku mojej ogromnej uldze nie zatrzymywaliśmy się dłużej przy spotkaniu 24 grudnia i szybko przeszliśmy do kwestii rekrutowania młodych do armii oraz formowania z nich siatki policyjnej. Koniecznie należałoby wzmocnić komunę poprzez włączenie do niej nowych członków, między innymi Ekspertów WOT.

Podsumowując: nic się nie zmieniło, stawimy się pod wieżą Zegarową. Bezdyskusyjnie.

Max ma się lepiej. Je śniadanie z Kori przy drugim końcu stołu.

Jérôme spogląda na mnie przelotnie znad filiżanki kawy. Żołnierz zagaduje radośnie:

– Hello, Szarżujący, wszystko gra? Wracasz do siebie po zabiegu?

– Jest lepiej. Od dwóch dni rana dobrze się goi. Wczoraj Maïa mi ją zdezynfekowała.

Wykrzywiam wargi w uśmiechu. Vincent wskazuje mi krzesło obok siebie, Lego przymilnie mruczy.

– Chodź, wypijesz kawę ze swoim kotem.

Biorę dużą filiżankę, łapię Lego, kładę go sobie na kolanach i głaszczę po głowie.

– Gdzie jest Katia?

– Na warcie.

– A Séverine?

– Nie najlepiej się czuje, została w łóżku – odpowiada Jérôme.
Ciepła kawa dobrze mi robi.

– Nie przejmuj się, Jules – mówi Vincent. – To ja miałem być zachipowany. To mnie ten łajdak powinien wszcześcić tę cho-lerną pluskwę.

Wszyscy troje czujemy się winni: Maïa, że nie zauważyła chipa pod moją skórą; Vincent, że nie zdołał przerwać seansu tortur, który był przeznaczony dla niego; ja, że nie potrafiłem znaleźć związku między blizną w kształcie litery V a chipowaniem nastolatków w Z-Punkcie, o którym przecież słyszałem.

– Dzięki, Vincent. Mam nadzieję, że wojsko nie miało czasu zlokalizować nas w dzielnicy Olympiades, zanim pojechałem do Gentilly.

– Nawet jeśli tak było, Chińczycy wzniesli barykady i mają prawdziwy arsenał. Nie wyobrażasz sobie, jaki fantastyczny.

– To ty ich tak wyposażyłeś?

– Częściowo. Trzeba dobrze zaopatrywać sojuszników.

W tym samym momencie wchodzi Yannis. Pojawienie się psa budzi mojego kota, który wstaje i wygina grzbiet. Futrzana kulka skacze na ziemię, prycha, syczy. Jeśli ma zamiar napędzić stracha Happy’emu – nie udaje mu się, nie ten kaliber! Najwyraźniej jednak Lego nie ma żadnego wyobrażenia o rzeczywistym stosunku sił i wielkości. Musi przestać zgrywać dzikiego kota przed silniejszymi psami. Uśmiecham się do Yannisa. Jestem zadowolony, że został z nami. Mam nadzieję, że pogodził się z odejściem Stéphane. Rzuca w naszą stronę krótkie spojrzenie czarnych oczu i oświadcza poważnym tonem:

– Uważam, że wszyscy powinniśmy udać się pod wieżę Zegarową, żeby znaleźć sposób na uniknięcie oblawy wojskowych 24 grudnia.

Jego postanowienie wydaje się równie niewzruszone jak moje. On też chce uratować Ekspertów. Czuję się za nich odpowiedzialny, a grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. Są w takiej sytuacji, w jakiej sam byłem wcześniej. Mają nadzieję wrócić do przeszłości, mogą się załamać, kiedy usłyszą, że Khronos to jedynie silnik gry. Nie jestem w stanie znieść myśli o bólu, jaki przeżyją. Ani o rzezi planowanej przez wojskowych.

– Ale jak to zrobić w warunkach stanu wojennego? Wojskowi z pewnością szczególnie uważnie obserwują to miejsce.

– Trudno też choćby przez sekundę brać pod uwagę możliwość wyjścia z bronią na ulicę – zauważa Vincent.

– Jest pewien sposób – odzywa się Koridwen.

Wszyscy jednocześnie odwracamy się w stronę bretońskiej Czarownicy. Wszyscy dostrzegają szczególną aurę, która ją otacza, a ta mieszanina pragmatyzmu i lekkiej nierealności być może pokazuje jej zdolności magiczne.

– Możemy dostać się na miejsce kanałami i tunelami metra. Jeśli chcecie, mogę dziś zrobić rozpoznanie.

– Pójdę z tobą – proponuje Yannis.

– Wolalabym iść sama – odpowiada.

– Dobrze, Koridwen. Mam do ciebie zaufanie. Jutro wszyscy pójdziemy twoją trasą – ucina Jérôme.

– Dlaczego jutro? – pyta Yannis.

– Bo dzisiaj mam pilne sprawy do załatwienia – stwierdza Lider stanowczym tonem.

Czuję, że przygotowuje się do przejścia dowodzenia nad operacją Wieża Zegarowa. To mnie trochę wkurza.

– Diego! Diego! Diego!

Alicja biegnie przez kuchnię, próbuje przecisnąć się do mnie, ale utyka między Jérôme'em i Vincentem. Opiera się dłońmi o kolana Lidera, który łapie ją pod pachami, podnosi do góry i podaje Vincentowi jak piłkę do rugby. Żołnierz odbiera od niego dziewczynkę, wstaje i podzuca ją do góry. Dziecko wybucha swoim niesamowitym śmiechem. Patrzę na nią. Cała promienieje. Lider też obserwuje ją z uśmiechem. Tak samo zachowałby się mój dziadek. Jak Al Pacino w *Ojcu chrzestnym*.

Jesteśmy Rodziną Jérôme'a. Na swój sposób nas kocha. Chce nas chronić, czuje się za nas odpowiedzialny. Po raz pierwszy od dawna widzę, że się odprężył. Myślę sobie, że poświęciłby życie, byle tylko uratować moją małą. Staram się być sprawiedliwy wobec niego, nawet jeśli czasem bywa bezkompromisowy. Ale czy zniósłby, gdyby któryś z nas odrzucił jego opiekę albo podał w wątpliwość decyzję?

Alicja nie przestaje się śmiać, a jej śmiech miesza się ze śmiechem Vincenta, z jego śmiechem sprzed katastrofy. A kiedy w drzwiach pojawia się Maïa, chciałbym tylko, żeby czas się zatrzymał.

18 grudnia, świt

Szósta rano. Katia pełni wartę na parterze i nerwowo chwyta Vincenta za ramię, kiedy Żołnierz przechodzi obok niej. Ten dodaje jej odwagi, mrugając szelmowsko okiem.

– Nie martw się, to tylko rozpoznanie, a ja mam czym się bronić.

I pokazuje jej kaburę z czarnej skóry, w której tkwi pistolet maszynowy uzi. Broń ukrywa pod kurtką. Potem się uśmiecha, pochyla, podciąga nogawkę džinsów i pokazuje drugą, przypiętą do kostki kaburę z pistoletem automatycznym. Koridwen, Yannis i Jérôme poszli przodem, Happy krąży wokół nich, machając ogonem, zadowolony ze spaceru. Zostawiamy Katię na posterunku i dołączamy do pozostałych, którzy czekają na nas na placu przed blokiem. Zimny, drobny deszczyk zmusza nas do założenia kapturów. Vincent zabiera głos:

– Uprzedzam was, że w tunelu spotykałem naprawdę niebezpieczne gangi: naćpanych punków, historycznych zjadaczy szczurów. Ale najgorsze są oddziały nastolatków wcielonych do wojska. Są uzbrojeni i przeprowadzają patrole z psami szkolonymi do zabijania. Rozumiecie?

Słowa Żołnierza są tak obrazowe, że zaciskam dłoń na rękojeści Sztyletu.

Schodzimy po schodach aż do ulicy Tolbiac. Wczoraj wieczorem beze mnie przestudiowali plan metra. Pełniłem wartę na dole i nie mogłem wziąć udziału w przygotowaniach do wyprawy, więc czuję się gorzej niż kula u nogi. Najwidoczniej bretońska Czarownica znalazła doskonałe miejsce do ukrycia Ekspertów – na wyspie Cité, w sali Conciergerie, tylko kilka metrów od wieży Zegarowej. Jej zdaniem to jest prawdziwy bunkier. Nie do zdobycia, jeśli tylko dobrze się zorganizujemy. Czarownica czy może raczej Strateg bretońska odwraca się i każe nam podążać za sobą. Aż do stacji metra Olympiades nie odzywamy się ani słowem. Potem zagłębia się w tunele. Vincent oświetla ślady krwi na ziemi, świadectwa gwałtownych walk, które się tu toczyły.

– Pójdziemy tunelami linii numer 14 aż do stacji Châtelet, a później linią 4 do stacji Cité. A teraz cicho sza.

OK. Idziemy w całkowitej ciszy. Słyszę tylko odgłosy przebiegających chmur szczurów i naszych kroków na torach. Zapaliliśmy jedną latarkę, żeby oszczędzać baterie. Nagle wydaje mi się, że w strumieniu światła rzucanym przez latarkę Koridwen widzę cienie poruszające się wzdłuż ścian pokrytych graffiti. Pędzą prosto w nas.

– Co to jest?

Kori kieruje światło w stronę poruszającego się kształtu, który zbliża się do nas z piekielnym piskiem. Jérôme łapie mnie za ramię.

– Szczury!

Atakuje nas kolonia gryzoni. Szczury! Cholera, panika osadza mnie w miejscu.

– One... One objedzą nam nogi do kości.

– Zachowaj zimną krew. Nic nam nie zrobią, poza...

– Można by powiedzieć, że to latający dywan – szepcze Vincent, na którym gryzonie nie robią żadnego wrażenia.

Nie wiem, czy miał zamiar w ten sposób mnie uspokoić, ale niczego nie osiągnął, bo ten „dywan” pokrywa wszystkie powierzchnie, od podłogi po sufit. Teraz nawet Vincent traci pewność siebie, wszyscy kucamy i osłaniamy głowy rękami. Szczury ocierają się o nas, przebiegają nam po plecach, czuję ich łapki na głowie. Gdybym mógł wsiąknąć w beton, zrobiłbym to natychmiast. One nas pożrą. Szywniej z przerażenia. Happy szczeka, słyszę, jak skacze od szczura do szczura, a później rozlega się skowyt. Na pewno gryzonie zaczynają go pożerać. Wszyscy umrzemy zjedzeni przez szczury, jeśli wcześniej nie pęknie mi galopujące

serce.

Słyszę, że Koridwen coś krzyczy. Otwieram oczy. Dziewczyna rozpięła swoją kurtkę myśliwską i gryzonie schodzą jej z drogi. To samo zrobiła z psami na alei Gobelins. Znow skorzystała z władzy, którą ma nad zwierzętami. Horda oddala się i znika. Wystarczył jeden jej gest, żeby uciekły. Ma prawdziwą moc. Prostuję się niezbyt pewnie i uśmiecham do Yannisa, który gładzi psa. Ogon Happy'ego krwawi.

– Wszystko dobrze, Jules? Pogryzły cię?

– Tak... właściwie to nie, nie pogryzły, w sumie w porządku...

Idziemy długimi, szerszymi tunelami aż do stacji Châtelet.

– Uważajcie, tu będziemy znacznie bardziej na widoku, będziemy mieli mniej zakamarków, żeby się ukryć – ostrzega nas Vincent.

– Pospieszcie się – rozkazuje Jérôme.

– Trzeba iść linią 4 aż do Cité – szepcze Koridwen.

– Jesteś pewna? – pyta Lider.

Dziewczyna kiwa głową. Skowyt Happy'ego przerywa napiętą ciszę, która zaległa między nami. Vincent nagle się zatrzymuje:

– Czekaście, słyszę...

Za późno. Nagle rozlega się gwizd, a po nim odgłosy kroków oddziału patrolowego.

– Uciekajcie!

Gwizdowi odpowiada krzyk, tuż za nami, zupełnie blisko:

– Tam! Oni są tam!

18 grudnia, wcześniej rano

Odgłosy kroków robią się głośniejsze. Żołnierze się zbliżają. Jesteśmy zbyt widoczni. Vincent bez słowa wskazuje nam światełko w głębi korytarza. Pędzimy w przeciwnym kierunku, nie rozdzielając się, w jednym, scalonym bloku. Ilu wojskowych nas goni? I ile mają psów, których warczenie napawa mnie lękiem? Co możemy zrobić? Pozostaje nam tylko jedna droga ucieczki. Jeśli trzeci oddział nadejdzie tym tunelem, będziemy otoczeni. Zdani na ich łaskę. Dalej biegniemy.

– Wychodzimy! – krzyczy Koridwen.

– Na powierzchni będzie jeszcze gorzej – odpowiada Żołnierz.

Jednak dziewczyna już gasi latarkę. Mam jeszcze czas, żeby dojrzeć jej zdecydowaną minę. Jest pewna swojej racji, wyjście poza stację metra to być może nasza jedyna szansa, żeby uciec. Yannis podąża za Kori, a my pędzimy za nimi krok w krok. Biec. Możliwie najdalej od goniących nas żołnierzy. Jak szaleni wspinamy się po nieruchomych teraz schodach, wybiegamy przez drzwi obrotowe. Gwizdy stają się mniej wyraźne.

Kiedy wreszcie znajdujemy się na zewnątrz, biorę duży haust świeżego, wilgotnego powietrza. Moje płuca się nim wypełniają. Serce trochę się uspokaja, jednak trzeba natychmiast uciekać dalej. Znowu bieć. Biec bez zastanawiania się. Biec za Koridwen. Biec po odkrytym terenie. Tylko nasze głośnie oddechy zakłócają ciszę.

Nagle Kori się zatrzymuje i podnosi płytę zamykającą wejście do kanału. Trzeba wrócić do cuchnących podziemi. Yannis wchodzi jako pierwszy. Z walącym sercem chwytam metalową drabinkę, pospiesznie schodzę, potykam się, skręcam kostkę. Vincent wpada na mnie. Potem wpada Jérôme. Wszyscy wstrzymujemy oddech. Stoimy jak najciszej, skupiamy się na tym, żeby ścigający nas nie zauważyli. Tak samo jak w kanale w Gentilly. Słyszę psy skaczące tuż nad naszymi głowami. Zaciskam dłoń na rękojeści Sztyletu. Odgłosy się oddalają. Biorę głęboki oddech.

– W porządku, nie widzieli nas.

Żołnierz brodą wskazuje Koridwen, żeby poprowadziła nas dalej przez meandry kanałów. Tylko ona może wskazać drogę do stacji Cité. Nawet Jérôme i Vincent nie potrafiliby sobie bez niej poradzić. Ruszamy, a ona wkrótce doprowadza nas do wyjścia. Wydostajemy się na powierzchnię na bulwarze Zegarowym, jakieś pięćdziesiąt metrów od budynku Conciergerie. Rozpoznaję pozłacany szczyt wieży Zegarowej.

– Będziemy wystawieni na widok tylko przez kilka sekund, które zajmie nam dotarcie do Conciergerie – szeptem mówi do mnie Vincent.

Bretońska Czarownica już ruszyła, zgięta wpół podeszła do otwartej bramy prowadzącej na niewielki dziedziniec. Dzięki Koridwen i temu ukrytemu wejściu niepostrzeżenie i bez trudu wchodzimy do budynku, a następnie przechodzimy przez amfiladę z niewielkich pokoi. W trzech ostatnich mieściły się kiedyś biura administracji. Przez jedno z tych biur Kori już wcześniej tu weszła – przecięła kratę obcęgami i wybiła szybę. Udało jej się otworzyć od wewnątrz wszystkie opancerzone drzwi i zablokować zamki, żeby nie można było ich ponownie zamknąć.

– Wyważyła drzwi łomem – z nieskrywanym podziwem wyjaśnia mi Żołnierz.

W końcu docieramy do sali nazywanej Rycerską, obszerniejszej niż szkolne boisko. Jest to olbrzymia komnata. Jej sufit pełen jest ostrołuków i przypomina kościół w stylu gotyckim. Prawdziwa średniowieczna dekoracja. Z rękami opartymi na biodrach Jérôme robi dokładne oględziny miejsca.

– To tu trzeba się schronić. To miejsce idealnie się do tego nadaje.

Ciągle nie rozumiem, dlaczego wydaje mu się to takie oczywiste. Oglądam pomieszczenie, kiedy Yannis nagle oświadcza:

– Mam... mam okulary, które pozwalają widzieć w ciemnościach.

– Noktowizor? – pyta Żołnierz.

– Tak. Wzmacnia natężenie światła. Przyjaciel...

Ta informacja zainteresowała Lidera:

– Vincent, jak sądzisz, czy Jules z Yannisem mogliby dzięki temu urządzeniu obserwować okolicę ze szczytu wieży?

Żołnierz potwierdza. Nie zapytano mnie wprawdzie o zdanie, ale pomysł sprawowania warty z Yannisem w nocy 24 grudnia mi odpowiada. Odwracam się w jego stronę. Yannis dziwnie się zachowuje. Nerwowo przemierza pomieszczenie. Błądzi myślami, jakby zastanawiał się, jaki sens ma jego obecność w tym miejscu. Vincent proponuje, że zajmie stanowisko na ulicy, wystarczająco blisko wieży, żeby móc skierować Ekspertów do sali. W razie inwazji będzie bezpośrednio narażony na atak. To najbardziej wyeksponowana pozycja, najbardziej niebezpieczna. Sprawdza wszystko po kolei.

– Będzie trzeba wszystkie okna zabić deskami, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo – uprzedza.

Wypowiadane przez niego zdania brzmią jak wojskowe polecenia. Przypominam sobie dzień, kiedy powiedział mi, że mamy wojnę. Lider przewiduje, że Ekspertów przyjmujemy w sali i poddamy ich obserwacji, tym bardziej, że niektórzy będą zapewne uzbrojeni.

– Główne wejście, czyli to, przez które będą wchodzić Eksperci – ciągnie Jérôme – jest pancerne i wyposażone w rygle, nie musimy go barykadować.

Obaj zajęli się planowaniem spotkania z Khronosem. A przecież uratowanie Ekspertów WOT to moja misja. Rozumiem, że Lider ma nadzieję spotkać nowych sojuszników, ale czymś innym jest to, a czymś innym kierowanie całą operacją.

– Trzeba znaleźć bezpieczne miejsce, żeby złożyć granaty – oświadcza Żołnierz.

Nasz specjalista od broni najlepiej nadaje się do wykonania tej misji. Jeśli chodzi o mnie, zapomniałem języka w gębie, nie mam nic do zaproponowania, żadnej taktyki ani pomysłu. Nic. Biała ściana. W życiu jestem zdecydowanie gorszym strategiem niż w Ukrainie. Po raz ostatni skupiam się na planie Conciengerie, z nadzieją, że znajdę w nim źródło błyskotliwego pomysłu.

– Popatrz, Żołnierzu, są dwa pomieszczenia, w których mógłbyś złożyć granaty: budynek kuchenny i cela Marii Antoniny.

Chciałbym, żeby zatwierdził moją propozycję. Dlaczego jego uznanie jest dla mnie takie ważne? Mógłbym się wycofać, nie robić sobie nic z tego, że nie jestem urodzonym przywódcą, uznać swoje ograniczenia, zaufać tym, którzy przydzielili mi funkcję, zaakceptować ją. A później wypełnić najlepiej, jak potrafię.

– Cela – mówi.

Wysłuchał mnie, nie osadził w miej-scu. Nie skrytykował mojego pomysłu. Być może popadam w paranoję. Czy to postawa Jérôme'a tak mnie rozstraja i pozbawia pewności siebie? Kiedyś tak bardzo nie zależało mi na tym, żeby inni widzieli we mnie bohatera.

Vincent naszkicował już resztę planu: żeby ułatwić Ekspertom ucieczkę, w pokojach tworzących amfiladę i prowadzących na tylny dziedziniec rozłoży trochę broni i pocisków dymnych. Jutro tu wrócimy, żeby zacząć zaślepić okna, rozkładać broń i oznaczyć drogę ewakuacji.

Ja tymczasem chciałbym wejść na wieżę Zegarowa, żeby zobaczyć, jaki rozpościera się z niej widok.

– Yannis, pójdziesz ze mną?

Nie odpowiada, to głos Kori rozbrzmiewa w sali:

– Ja już znam te miejsca. Idźcie zrobić rozpoznanie, poczekam tu na was.

Yannis nawet nie mruga.

– Nie, ja nie pójdę – oświadcza ze spokojem.

– Dokąd? Na wieżę? – pytam.

– Dwudziestego czwartego grudnia. Nie zamierzam przyjść na spotkanie 24 grudnia – odpowiada bezbarwnym głosem.

To śmieszne, wszyscy wokół są zdumieni. Tylko ja mu się nie dziwię. W istocie tego się spodziewałem. Od chwili, kiedy powiedziałem Yannisowi o odejściu Stéphane, zmienił się.

Zachowuje się tak, jakby został przecięty na pół i brakowało mu części siebie. Zgasło to, co się w nim skrzyło. Jest przytłoczony, zgaszony, przybity.

Yannis bełkocze:

– Wy też nie przychodźcie. Proszę was, nie przychodźcie. Możecie zostać zamordowani.

Naprawdę.

– Rób, jak uważasz, ale...

Vincent przerywa Koridwen i mówi gwałtownie:

– Nie możesz się poddać! Potrzebujemy każdego, żeby...

– Zostaw go, Vincent. Nie można nikogo zmuszać – mówię ze stanowczością, która zaskakuje mnie samego.

Żołnierz nie może zrozumieć, nie potrafi. Nie ma pojęcia, przez co przeszli Rycerz Adrial i Lady Rottweiler. Podchodzę do przyjaciela.

– Yannisie, uratujemy Ekspertów i wyjdziemy z tego cali, nie martw się.

– Jules... Proszę cię, nie idź na spotkanie. Kori, nie idź tam. Nie idźcie tam – powtarza błagalnym tonem.

Maïa też nie chce, żebym szedł na spotkanie 24 grudnia, ale ja podjąłem już decyzję i mam zamiar się tego trzymać. Decyzja Yannisa jest równie stanowcza jak moja, wyczytuję to w jego oczach. Jedyne, co może zrobić, to odnaleźć Stéphane. Jego potrzeba bycia przy niej jest silniejsza niż cokolwiek innego. Ten chłopak nie da rady walczyć z uczuciami, które go ogarniają.

– Nie jestem Adrialem, Jules. Przykro mi...

Wracam myślami do wspólnie przeżytych chwil, do dzielonego przez nas smutku, do zbyt brutalnie zniszczonej wiary. Uśmiecham się do niego.

– Całe szczęście, że nie jesteś Adrialem. Jesteś znacznie lepszy od niego.

– Ty, Jules, też jesteś lepszy od Spider Snake'a. W każdym razie lepiej od niego szarżujesz. No i miałeś rację tamtego wieczoru. Wiesz, kiedy mówiłeś o Maï i powiedziałeś, że ja też...

– Nie przejmuj się. Idź do niej. Zaufaj mi, damy sobie radę.

Uświadamiam sobie, że nas opuści, że nawet nie wiem, czy kiedyś go jeszcze zobaczę. W tak krótkim czasie został moim przyjacielem. Nigdy go nie zapomnę i chciałbym, żeby on też zawsze o mnie pamiętał. Odpinam bransoletkę zegarka.

– Przed odejściem weź to. Jest praktyczniejszy niż komputer, gdy chcesz wiedzieć, która godzina.

Oddaję mu swój kolekcjonerski zegarek. Jestem bardziej wzruszony, niż się spodziewałem. – To wyjątkowy egzemplarz. Wygrawerowałem coś z tyłu. Wolałbym, żebyś przeczytał to później. To ci przypomni, kiedy...

Nie kończę, uśmiecham się do niego i dopiero wtedy mówię:

– W ten sposób będziesz mógł pomyśleć o nas o północy 24 grudnia.

Noc z 18 na 19 grudnia

Czwarta rano. Alicja znów ma ten koszmar, który każe jej rzucać się na łóżku. Cała jest złana potem. Potrzebuje ponad godziny, żeby przestać myśleć o strasznych obrazach, od których nie może się uwolnić. Wczoraj patrzyła przez okno na płonące kamienice we wschodnim Paryżu. Słyszała strzały, widziała coraz liczniejsze helikoptery, a nawet samoloty szerokokadłubowe. W końcu usnęła, ale mnie się to nie udało. Czy nadejdzie czas, kiedy Maleńka nie będzie budzić się w środku nocy, przerażona nawiedzającymi ją snami? Wychodzę z izby chorych, kieruję się do mieszkania, żeby poszukać czegoś do jedzenia. Słyszę, że ktoś wymiotuje na podeście. Jest tak ciemno, że nie rozpoznaję sylwetki.

– Wszystko dobrze? – pytam, nie mając śmiałości skierować latarki we właściwą stronę.

– Nie za bardzo – odpowiada głos Séverine.

A więc ciągle nie wyzdrowiała. Już od kilku dni źle się czuje. Wczoraj nie jadła z nami kolacji. Maïa niepokoi się jej stanem, ale nic nie mówi, bo nie wie wszystkiego.

– Jules – szepcze.

– Tak? Mogę ci pomóc?

W świetle latarki dostrzegam Séverine. Siedzi pod ścianą z ramionami przykrytymi grubą kołdrą i z wiadrem przed sobą.

– Masz latarkę?

– Tak, jest tam, zgasiałam ją, kiedy...

Nie kończy zdania, znów łapie ją skurcz. Cholera, jakiś wirus ją dopadł? Podnosi głowę.

– Jules, mogę cię prosić o przysługę?

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Mógłbyś zastąpić mnie na warcie o siódmej? Nie czuję się na siłach zmienić Koridwen.

– Tak, oczywiście, nie martw się.

Biedaczka... Nogi jej się trzęsą.

– Chcesz, żebym ci przyniósł lekarstwo przeciwko mdłościom?

– Maïa już mi podała, ale nie zadziałało.

– Nie powinnaś przenieść się do izby chorych?

– Wolalabym nie. Chcę zostać w naszym pokoju z Jérôme'em.

– Jesteś teraz gotowa, żeby tam wrócić?

– Nie, nie ruszę się stąd. Bardzo źle się czuję. Nie chcę go bu-dzić. Martwi się o mnie, a to nie jest odpowiedni moment.

– Rozumiem go, że się martwi.

Uśmiecham się do niej, a jej twarz rozjaśnia się między dwoma atakami mdłości. Głupio mi ją zostawić samą w ciemnym, zimnym korytarzu.

– Chcesz, żebym został z tobą, aż poczujesz się lepiej?

Kiwa głową.

Biorę wilgotną ściereczkę leżącą obok niej i ocieram jej czoło. Przez kilka sekund siedzimy w ciszy. Nagle drzwi się otwierają i promień latarki omiata pomieszczenie, aż dociera do nas.

– Séverine, gdzie jesteś? Dlaczego mnie nie obudziłaś?

To Jérôme. Głos zdradza, że się niepokoi. Wstaję.

– Hej, jestem z nią.

– Szarżujący? Co ty tu robisz?

– Nie mogłem spać.

- Zajmuje się mną, kochanie, nie chciałam cię budzić – szepcze Séverine.
 - To miłe, Jules, dziękuję. Teraz już ja się nią zajmę, możesz wracać do łóżka.
 - Najważniejsze jest to, że zastąpi mnie za chwilę na warcie – odzywa się Séverine.
 - Dobry pomysł, tak. Za to też jestem ci wdzięczny, Szarżujący – stwierdza Lider.
- Siada obok Séverine, czule gładzi jej rękę. Przed odejściem dostrzegam jeszcze niepokój

na jego przystojnej twarzy. Cholera, Lider naprawdę się zakochał. Są tak dyskretni, że nie miałem pojęcia o sile ich uczucia.

Wkrótce będzie szósta rano, z pewnością już nie zasną. Za dużo myśli przelatuje mi przez głowę. Eksperci, którzy mnie potrzebują, nocne lęki Maleńkiej, nieistniejący Khronos...

Postanawiam zejść na parter i dołączyć do Koridwen. Być może ona będzie umiała uporządkować chaos w mojej głowie. Otwieram drzwi prowadzące do hallu.

- Cześć, Kori, wszystko gra?
- W porządku. A u ciebie?
- To ja cię zwolnię za godzinę, Séverine nadal jest chora.
- OK.

Milknie, ale ja muszę pogadać, wybieram więc wspólny dla nas temat.

– Wciąż jeszcze wierzysz w Khronosa mimo tych informacji od władz?

– Khronos nie istnieje. Przeczywałam to, zanim jeszcze Stéphane i Yannis otworzyli ten plik.

Jej odpowiedź mnie zaskakuje. Przed 15 grudnia nigdy bym nie pomyślał, że wątpi w istnienie Khronosa. Przeciwnie, myślałem, że wierzy w niego mocniej niż ja.

– Domyślałaś się, tak?

– To nie było zbyt jasne. Przyznaję, że zobaczyć to na własne oczy, na piśmie i udowodnione, to jednak był dla mnie totalny szok.

Tak jak dla mnie! Przypominam sobie osłupienie i rozpacz Yannisa, a także moją własną. Wraca też do mnie poirytowana odpowiedź bretońskiej Czarownicy: „Nie tylko Khronos przenosi się w czasie”. Tak właśnie odcięła się zirytowanej Stéphane. To zdanie mnie intryguje.

– I myślisz, że mimo wszystko możemy cofnąć się w czasie?

– Jeżeli mam być z tobą całkiem szczerą, to nie jestem pewna niczego, ale pozostaję otwarta na wszystkie możliwości. Miewam fazy głębokiego zwątpienia. W innych momentach moje przekonanie jest niezłomne.

– Ale dlaczego w to wierzysz? Masz dowód, że podróż w czasie jest możliwa?

– Z najdrobniejszymi szczegółami wyobrażam sobie, że mi się udało. Moi przodkowie do mnie mówią, Mamm-gozh słucha mnie z zaświatów. Wiem, że to może wydawać się szalone.

Do pewnego stopnia ma rację. Jej wiara wydaje mi się zwariowana. We mnie myśl o apelu Khronosa wzbudza dziś tylko złość i wstyd, że dałem się nabrać. Z drugiej strony chciałbym zachować nadzieję, choćby minimalną, że istnieją potężne celtyckie bóstwa, z którymi – jak się wydaje – miała kontakt jej Mamm-gozh.

– Chciałbym, żebyś miała rację, Kori. Nie wiem, czy mogę w to uwierzyć, ale chciałbym, żeby wszystko mogło znów być takie jak kiedyś.

20 grudnia, świt

Piąta rano. Jesteśmy gotowi do pospiesznego opuszczenia wieżowca ateńskiego. Nasze plecaki tworzą malowniczy stos w hallu. Opuszczamy dzielnicę Olympiades. Decyzję podjęliśmy bardzo szybko, wczoraj wieczorem. Jérôme ogłosił, że przenosimy się do kamienicy oddalonej mniej więcej o sto metrów od ulicy Tolbiac. Powiedział już o tym swojemu przyjacielowi, przywódcy Chińczyków, i uprzedził go o możliwości natychmiastowego ataku wojska. Zdaniem Vincenta, który uzyskał te informacje od Isy, dzielnica Olympiades została uznana za jeden z „przyczółków terrorystów”. Jednogłośnie zagłosowaliśmy za przeprowadzką.

Zostawiam Alicję i Maksa pod opieką Maï i ruszam z pierwszą grupą. Koridwen prowadzi nas kanałami, żeby zapobiec spotkaniu z oddziałami specjalnymi. Znalazła wyjście tuż obok naszego przyszłego lokum. Séverine i Katia są dość mocno podenerwowane, cały czas pozostają czujne. Jérôme czeka na nie:

– Wszystko w porządku? – pyta ukochaną.

– Idę tędy po raz pierwszy... Tak tu cuchnie, boję się, że zacznę wymiotować – wzdycha Séverine, bledsza niż zazwyczaj.

Vincent wychodzi pierwszy i daje nam znak, kiedy uznaje, że droga wolna.

Nasze nowe mieszkanie jest mniejsze od poprzedniego. Katia i Séverine rozpakowują rzeczy.

– Pamiętajcie, dziewczyny, pod żadnym pozorem nie wol-no otwierać żaluzji. Drony nieustannie patrolują miasto, poszukując najmniejszych oznak życia – ostrzega Lider przed opuszczeniem kamienicy.

Wracamy do wieżowca ateńskiego i przeprowadzamy drugą grupę. Alicja przez całą drogę drzemie w moich ramionach. Max w towarzystwie kuzynki jest łagodny, ta przeprowadzka ma na niego chyba mniejszy wpływ niż ostatnia.

My z Vincentem zajmujemy się montażem grzejnika i niewielkiego agregatora. Tymczasem Jérôme, Katia i Koridwen dowodzą misją Apropozycja. Jest noc, kiedy wracają ze swojej ekspedycji. Są trochę poirytowani i przynoszą tylko konserwy.

– Jest coraz mniej nienaruszonej żywności – martwi się Katia. – Szczury wszystko pozerają.

– To może być problem dla Alicji – zauważa Koridwen. – Mała potrzebuje świeżego jedzenia, witamin.

– Wkrótce wyjedziemy na wieś – gwałtownie przerywa jej Jérôme. – Ten problem nie będzie już nas dotyczył.

Bretońska Czarownica zamyśla się, a później odwraca do mnie.

– Jutro chyba będę musiała was opuścić.

Wzdrygam się:

– Na jak długo?

– Wrócę za dwa dni. Muszę tylko zabrać rzeczy z magazynu w Gentilly – uspokaja mnie.

Maksa i Alicję lokujemy w dawnym pokoju dziecięcym, w którym stoją dwa proste łóżka. Są tak zmęczeni, że od razu zasypiają.

Rozmawiamy o planach opuszczenia Paryża. Vincent mówi mi, że przygotował bazę w lesie Meudon, gdzie ukrył dwie ciężarówki wypełnione bronią, żywnością, a także kanistrami z benzyną i wodą.

– Zapasów starczy na dwa tygodnie, aż znajdziemy miejsce, gdzie wojskowi nie będą nas szukać – wyjaśnia.

W momencie, kiedy proponuję mu pomoc w przygotowaniach do ucieczki, rozlega się warkot helikopterów. Ogłuszający. Helikoptery są liczniejsze niż zwykle. Jest w tym coś niepokojącego. Ściany kamienicy trzęsą się lekko. Chwytam Maię za rękę. Podchodzimy do okna – wojsko atakuje dzielnicę Olympiades! Jérôme miał rację, że nas wyprowadził. Uratował nam życie. Z przerażeniem widzę, że wieżowiec ateński staje w ogniu. Ogromne płomienie niszczą kolejne wieżowce. Cóż za straszliwa zbrodnia.

– Cholera jasna, a to łajdaki! – cedzi Vincent. – Użyli napalmu.

– Ale spustoszenie – mamrocze Katia bezbarwnym głosem.

Zapach nafty dociera aż do naszej kamienicy. Séverine chowa nos w chusteczkę i z trudem powstrzymuje mdłości. Jak skamieniały obserwujemy niszczenie wieżowca, w którym przebywaliśmy jeszcze kilka godzin temu, i znikanie całej dzielnicy. A więc wojna. Bezlitosna. Na poważnie.

Oby tylko Maleńka się nie obudziła.

22 grudnia, wieczór

Kori wróciła dziś rano, tak jak zapowiedziała, ale znów sobie poszła. Nie zostanie z nami.

Wierzy, że uda jej się wrócić do przeszłości dzięki korytarzowi czasowemu. Sądzi, że magiczna brama, mająca związek z bogami celtyckimi i Mamm-gozh, znajduje się w podziemiach w okolicy wieży Zegarowej. Jest pewna, że uda jej się tamtędy przejść w nocy z 24 na 25 grudnia, kilka minut po północy. A zatem...

A zatem powierzyła mi opiekę nad Maksem. Poprosiła mnie, żebym go zaadoptował.

Była niezwykle wzruszona, a ja zgodziłem się bez chwili wahania. Alicja jest podekscytowana. Jest szczęśliwa, że będzie mogła wciąż mieć przy sobie byczka Benka. Maleńka i Olbrzym bardzo się kochają, są nierozłączni. Jakie to szczęście dla małej, że zyskała starszego brata!

Nie rozmawiałem jeszcze z Małą o adopcji Maksa. Dopiero po 24 grudnia wyjawię wszystko innym. Nic nie powinno psuć atmosfery między nami przed starciem w wieży Zegarowej. Później będę wiedział, jak ich przekonać do zatrzymania Maksa między nami. Ten chłopak w pewnym stopniu już należy do naszej komuny. A ja zaproponuję, żeby wyjechać do Bretanii, do gospodarstwa Koridwen. Jeśli kiedyś wróci, będzie mogła nas odnaleźć. To tak, jakbyśmy wyznaczyli sobie spotkanie w czasie – bretońska Czarownica i ja.

Max siedzi na łóżku, tuląc w ramionach Maleńką ubraną w piżamę Dory. Dziewczynka co dziesięć sekund radośnie piszczy:

– Benek!

A chłopak powtarza w kółko:

– Alicja, Alicja!

Będę musiał przerwać im zabawę, czas spać. Do łóżek. O dziwo, bez marudzenia wykonują moje polecenie. Mam coraz większy posłuch.

Dokładnie okrywam małą kołdrą i całuję jej miękkie włosy. Głaszczę ją po różowych policzkach, przykładam twarz do jej szyi i wdycham dziecięcy zapach.

– Diego... – szepcze, szeroko otwierając oczy.

– Moja Maleńka, zawsze będę dla ciebie – powtarzam jej, jak każdego wieczoru od powrotu z Gentilly.

Ta głęboka potrzeba upewnienia jej jest dla mnie czymś nowym. A jednak postanowiłem wziąć udział w walce. Kto wie, może dopiero od chwili, w której postanowiłem uratować Ekspertów, jestem w stanie kochać tak mocno? Głaszczę Alicję po głowie, czekam, aż zaśnie, i przypominam sobie ostatnie dni – wszystko potoczyło się tak szybko. Jérôme i Vincent w końcu włączyli mnie w organizację działań, które podejmiemy po spotkaniu 24 grudnia. Zastanawiam się, czy nie przyczyniła się do tego Koridwen. Opowiedziała im o tym, jak przeprowadziłem szarżę na żołnierza w Gentilly, i to zrobiło na nich wrażenie. Dzięki niej zorganizowałem też nowy pojazd o znaczeniu strategicznym: traktor z przyczepą do przewożenia zwierząt. Oddała mi go razem z żywnością, kanistrami z benzyną, roślinami i lekami przeciwdziałającymi kryzysom Maksa.

Alicja pojękuje w półśnie. Ledwie zaczynam wstawać, kiedy chwytą mnie za rękę, co znaczy, że jeszcze nie zasnęła. Znów siadam obok niej, zamyślony i zdziwiony własną cierpliwością. Oboje mają się dobrze. Wszyscy żyjemy. Jakie to szczęście! Drzę, myśląc o nocy 20 grudnia. Ani wstrząsy, ani zapach nafty nie obudziły wtedy Maleńkiej, spała snem błogosławionych. Tak jak teraz.

Wychodzę z pokoju i nagle ogarnia mnie panika. Za chwilę zostanę sam na sam z Małą.

Cały dzień myślę o tym momencie, kiedy będziemy tylko we dwoje. Będzie to pierwsza okazja od naszej ostatniej nocy w Olympiades. Wtedy siedzieliśmy na tarasie na dachu wieżowca ateńskiego, otuleni grubą kołdrą, i patrzyliśmy na Paryż oświetlony księżycem i gwiazdami, rozciągający się aż po horyzont. Ten widok był tylko dla nas. Po raz pierwszy trzymaliśmy się za ręce. Trzy dni później nadal jestem pod wrażeniem tamtej chwili. Dlaczego nie skorzystałem wtedy z okazji i nie pocałowałem Mai? Ależ ze mnie idiota! „Lelum polelum” – powiedziała by dziadek. Co ze mnie za głupek, oferma, matoł...

Postanawiam pocałować ją dziś wieczór.

Niech się dzieje, co chce. Dziś wieczór ją pocałuję. Odważę się ją pocałować. Przed spotkaniem 24 grudnia. Teraz albo nigdy.

W saloniku jest zimno, zwiększam trochę moc grzejników elektrycznych.

– Gdzie są pozostali? – pytam, siląc się na neutralny ton.

– Piętro niżej. Chciałam porozmawiać z tobą w cztery oczy.

To tak jak ja, ale jej ton nie wróży nic dobrego. Jej czarne oczy są gniewne niby wieczór przed burzą. Cholera, nie odważę się jej pocałować. Nie dam rady. Wiem, że Maïa nie chce tego od chwili, w której podtrzymałam decyzję o wzięciu udziału w ratowaniu Ekspertów.

– Jules, chcę z tobą po raz ostatni porozmawiać o spotkaniu 24 grudnia.

Wzdycham ze zniechęceniem. Ona uważa, że chcę zgrywać bohatera i zapominam o swoich zobowiązaniach wobec Maleńkiej.

– Pójdę tam, Maïu. Pójdę ratować Ekspertów. Muszę to zrobić dla siebie i dla moich rodziców, których nie zdołałem uratować.

Chciałbym móc jej wyjaśnić, co czuję.

– Nikt nie mógł zapobiec epidemii wywołanej przez U4. Jednak teraz mogę zapobiec zamordowaniu Ekspertów. Sprawić, że unikną śmierci. Rozumiesz?

– Alicja cię potrzebuje,

– Zrobię wszystko, żeby przeżyć. Dla Alicji...

Wpatruję się w jej czarne, niespokojne oczy. Biorę ją za rękę – ośmielam się. Jest lodowata. Maïa ma nieruchomą, nieodgadnioną twarz.

– I dla ciebie...

Czerwienię się. Nigdy nie myślałem, że odważę się do tego stopnia odkryć przed nią moje uczucia. Odpowiada, też zarumieniona:

– Jeśli... jeśli mnie kochasz, nie idź tam.

– Idę tam, bo chcę żyć z wami, Maïu. Jeśli pozwolę zabić Ekspertów, nie będę potrafił z tym żyć. Będę miał ich śmierć na sumieniu. Jak mogę wziąć odpowiedzialność za Alicję, jeśli nie wypełnię tego obowiązku? Oni są tacy, jaki ja byłem Przed Tym.

Maïa marszczy brwi. Staram się rozładować atmosferę i uśmiecham się do niej.

– I nie zamierzam dać się zabić, rozumiesz?! Zaplanowaliśmy kryjówki oraz sposób obrony i drogę ucieczki. Maïu, zaufaj nam, wszystko będzie dobrze.

– Przestań mi wmawiać, że nic nie ryzykujecie! Słyszałam, jak Vincent mówi Jérôme'owi o karabinach, których używają wojskowi. Mówił o famasach z noktowizorami. Jak macie zamiar bronić się przeciwko czemuś takiemu?

– Przecież znasz Żołnierza. Zdobył najbardziej skuteczną broń, nawet granaty. Będziemy mieli czas, żeby odpowiednio zareagować. W naszym planie wszystko zostało przewidziane.

Przez dwa dni się przygotowywaliśmy. Każdy ma przydzieloną rolę. Vincent rozdzielił broń, pistolety uzi („praktyczne, niewielkie, łatwe w użyciu, ale uważajcie na siłę odrzutu”). Umieścił także granaty w celi Marii Antoniny („przenoszenie ich w rękach wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem”). On i tylko on będzie ich używał, jeśli okaże się to konieczne podczas

wycofywania.

Wszystko to wyjaśniam Maï, ale ona wrywa swoją rękę z mojej.

– Nie możesz nas zostawić, Alicji i mnie – rzuca ostro przed odejściem.

Chciałbym ją zatrzymać. Wrogi ton, z jakim wypowiedziała te słowa, rozdziera mi serce.

Nie mogę pozwolić na to, by ogarnęło mnie poczucie, że porzucam Maleńką. Ja ich nie porzucam – ani jednej, ani drugiej. Przeciwnie, robię to dla nich. Daję sobie szansę na życie w tym świecie, na przystosowanie się. Maïa zatrzymuje się w drzwiach i odwraca do mnie. Kiedy widzę jej poważne spojrzenie, ogarniają mnie wątpliwości. Cóż, pozostaje mi mieć nadzieję, że nie popełniam największego błędu w życiu.

– A dlaczego ja nie idę na to spotkanie, skoro jest takie bezpieczne? – pyta przed wyjściem, nie zostawiając mi czasu na odpowiedź.

Noc z 24 na 25 grudnia

Sprawuję wartę na wieży. Jestem skoncentrowany i cichy. Eksperci przybywają, czasem pojedynczo, czasem grupkami. Księżyc wisi nisko nad ziemią. Wkładam okulary z noktowizorem, które Yannis podarował mi przed odejściem:

– Dał mi je przyjaciel. Myślę, że teraz przydadzą się tobie – powiedział.

Podarował mi prezent od przyjaciela, a jego słowa brzmiały jak deklaracja przyjaźni. Mam nadzieję, że odnajdzie Specjalistkę, że razem uda im się wyjść z tego cało.

Ulice Paryża wydają się bardziej migotliwe przez przyciemnione szkła. Nagłe widzę snopy światła omiatające przestrzeń. To wojsko. Na niektórych wozach opancerzonych umieszczono reflektory. Żołnierze pojawili się zgodnie z przewidywaniami i właśnie minęli katedrę Notre Dame. Wkrótce wybije północ. Oby wszyscy Eksperci byli już w sali. Nie ma ani chwili do stracenia, liczy się każda sekunda, trzeba zamykać bramę i uciekać. Zbiegam po schodach, krzyżąc:

– Wojsko nadchodzi!

Przyczajony wewnątrz Vincent rzuca ostatnie spojrzenie na ulicę.

– Niech to szlag, jeszcze troje biegnie przez most. Kierują się w stronę Conciergerie. Nie mogę ich zostawić!

– Nie mamy czasu, psiakrew, zamknij bramę i zasuwaj! – wrzeszczy Jérôme.

– Nie! Odmawiam zostawienia ich samym sobie!

Po raz pierwszy Żołnierz nie słucha rozkazów Lidera. Milcząco zgadzam się z nim, choć wojsko niebezpiecznie się zbliża. Coraz wyraźniej słychać warkot wozów opancerzonych. Vincent robi gwałtowne znaki do spóźnialskich:

– Szybko! Ruszajcie się!

Przyspieszają, wpadają do środka, Żołnierz zamyka za nimi bramę i rygluje wejście.

– Mamy bardzo mało czasu, musimy dobrze go wykorzystać – gdera Jérôme i patrzy z wyrzutem na Żołnierza.

Biegnie na środek sali i zbliża się do dużego koksownika. Staje w świetle płomieni.

– Zbierzcie się tu wszyscy – rozkazuje.

Ekspertów jest około trzydziestu. Niektórzy z nich mają wymizerowane twarze, świadczące o tym, że wiele przeszli, inni – jak się wydaje – znają się dobrze, przemieszczają się w grupach i są gotowi do działania. Niektórzy sprawiają wrażenie niewzruszonych, inni są podenerwowani – ci ostatni trwają w pełnym napięciu milczeniu, pobudzeni niecierpliwością i nadzieją. Chrapliwy głos Jérôme'a rozbrzmiewa pod kamiennymi łukami i odbija się echem od sklepienia.

– Posłuchajcie mnie uważnie. Khronos nie istnieje... To system sztucznej inteligencji wysłał wiadomość o spotkaniu. Powrót do przeszłości jest niemożliwy.

Rozbrzmiewa wielki harmider, podczas gdy on mówi pewnym, stanowczym tonem. Głuche uderzenia w bramę mieszają się z uderzeniami zegara wybijającego północ. To wojsko. Żołnierze gotowi są wybić nas do nogi. Wszyscy jesteśmy wyjęci spod prawa.

– Zachowajcie spokój. Posłuchajcie mnie. Możecie wybrać życie. Stworzyliśmy komunę wolnych ocalonych, nie uznajemy władzy wojskowych. Możecie do nas dołączyć.

Ich zatrwożone lub rozgniewane twarze, widoczne w świetle płomieni, łapią mnie za serce. Wiem, co oni czują.

– Teraz mamy bardzo mało czasu. Wojsko jest u drzwi Conciergerie. W każdej chwili może zaatakować.

- Wojsko...
- To pułapka!
- Zostaliśmy zdradzeni!

Wokół mnie rozbrzmiewają paniczne okrzyki i szepty pełne przerażenia. Niektórzy Eksperci sięgają po broń. Później znów słychać głos Jérôme'a. Niemal krzyczy, żeby przebić się przez hałas w sali i uderzenia tarana o bramę.

– Zaufajcie nam. Możemy wyjść z tego cało. Idźcie za nami, uciekniemy z Conciergerie tylnym wyjściem. Znamy drogę.

Jego pewność siebie i spokój naprawdę mnie fascynują. Drewniana brama zaczyna ustępować pod naporem żołnierzy. Wiem, że nie będą mieli litości. Przypominam sobie ostrzeżenie Stéphane. Ściskam rękojeść Sztyletu, ogarnięty straszliwym przerażeniem.

– Biegnijcie w stronę drzwi w głębi! Z drugiej strony! Szybko! – rozkazuje Jérôme oszołomionym Ekspertom, wskazując im wyjście na mały dziedziniec.

Niektórzy natychmiast ruszają biegiem w głąb sali. Vincent i Jérôme ubezpieczają ich ucieczkę, są gotowi do strzału na wypadek wtargnięcia żołnierzy do środka. Nagłe widzę Koridwen, która idzie w przeciwną stronę, w kierunku wieży Zegarowej. Tam, gdzie spodziewa się znaleźć swój tunel czasowy! Pozdrawia mnie z daleka. Odwzajemniam ten gest.

– Powodzenia, najdroższa druidko celtycka...

Zauważam, że niektórzy Eksperci wahają się i stoją w miejscu. Jakaś dziewczyna staje przede mną na chwiejnych nogach. Zbliżam się do niej. Jest wychudzona, wszędzie ma mnóstwo kolczyków. Rozpoznaję ją. Spotkaliśmy się pod Panteonem. Czuję, że ma ochotę usiąść, że jest jej wszystko jedno, na jej miejscu pewnie myślałbym tak samo. Biorę ją za rękę.

– Szybko, uciekaj, zaufaj nam!

Nagle potężna eksplozja wstrząsa murami. Kawałki drewna i kamieni uderzają o ściany, podłoga drży. RzUCA mną o ziemię. Dziewczyna też upada. Jérôme kopniakiem wywraca koksownik, sala pogrąża się w ciemności. Wszystkich ogarnia mrok – tylko ja coś widzę. Dziękuję, Yannisie. Odgłos dziesiątek serii z karabinów przeszywa mi uszy. Wojsku udało się sforsować drzwi. Padają pierwsze ofiary. To wojna, na którą szykowali się Vincent i Jérôme. I którą przepowiedziała Stéphane.

Żołnierze rozbiegają się po sali. Nie mają już na sobie kombinezonów ani masek. Z kilkoma Ekspertami czołgam się w stronę drzwi z tyłu pomieszczenia, przetaczam się pod ścianę, żeby uniknąć czerwonych wiązek laserowych z ich karabinów z celownikami noktowizyjnymi. Na środku sali już mało kto został. Ocaleni chowają się za kolumnami, żeby uniknąć strzałów. Nagle moją uwagę przyciąga stojąca na wolnej przestrzeni, nieruchoma postać. Hieratyczna, bez broni. Cholera, to Maïa! Co ona tu robi? Maïa! Dorosły żołnierz celuje do niej z pistoletu. Nie wie, że go widzę. To moja jedyna przewaga. Oboje są zaledwie kilka metrów ode mnie. Wstaję, rzucam się w jego stronę i w tym samym momencie widzę, że na ziemię padają Maïa, żołnierz i trzeci mężczyzna, który stanął między nimi. Pochyliam się nad dziewczyną.

– Maïa! – krzyczę.

– Jules, wszystko dobrze, ja się tylko potknęłam. Pociągnął mnie, kiedy upadał. Jérôme, on...

Jérôme? Odwracam się, upadam na dorosłego strzelca. Nie żyje. A obok niego leży trzecie ciało. To nasz Lider. Jest bezwładny. Z nosa leci mu strużka krwi. Przyciskam go do siebie.

– Jérôme, w porządku?

– Szarżujący, wydaje mi się, że uratowałem życie twojej dziewczynie.

Kieruje do mnie swój dawny uśmiech. Och, Boże, ten tak dobrze mi znany, drwiący

uśmiech Jérôme'a. Mówi, że zgadł, wiedział o mojej miłości. Zamyka oczy. Nie daje już rady patrzeć na mnie. Wykrzywia się z bólu. Trochę się cofam. Jego kurtka pokryta jest krwią. Osłonił Maię przed kulami swoim ciałem jak tarczą. Udało mu się zabić napastnika, ale żołnierz miał wystarczająco dużo czasu, żeby nacisnąć spust. Jérôme łapie mnie za szyję, moja twarz jest teraz tuż obok jego twarzy.

– Szarżujący, posłuchaj...

Krwawe charczenie w jego ustach mnie przeraża. Przyjaciół próbuje wziąć oddech, mamrocze cicho.

– Lider! Wyjdiesz z tego... Nie umrzesz.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Jules... Przestań opowiadać głupoty. Julot, stary, jestem... szczęśliwy, że jesteś moim kumplem, że...

I znów ten uśmiech.

– Zjednoczyć ocalonych, wolnych... Stworzyć świat... Ty wiesz, jak to zrobić... To, co powiedziała mi mama przed śmiercią. To był dobry środek... Ja... Jules, ja umrę, ty, ty musisz żyć, jest Alicja, Maïa i wszyscy inni... Séverine, one... Musisz...

Przybiega Vincent, klęka obok Jérôme'a.

– Jérôme, zostań z nami, stary, potrzebujemy cię, nie zostawiaj nas.

– Vincent, stary, ja...

Jego ciałem wstrząsają konwulsje. Krew wypływa mu z ust. Vincent dusi rozpacz i wydaje nam rozkaz:

– Trzeba się wycofać. Za mną. Osłaniam was! Szybko!

Serie z karabinów robią się coraz bardziej intensywne, czerwone wiązki laserowe coraz liczniejsze. Rozkazy, strzały, rżenie, płacz. Wszystkie te odgłosy stają się coraz głośniejsze, nakładają się na siebie. Cholerna masakra. Vincent nagle wstaje.

– Teraz! Podnieście się.

Dotarliśmy na tył sali. Po raz ostatni spoglądam na ciało Jérôme'a. Poświęcił się, żeby uratować Maię. Rzucam okiem w stronę wieży Zegarowej. Ani śladu Kori. Wnioskuje z tego, że bretońska Czarownica żyje, skryła się w podziemiach i wypróbuje siłę zaklęć Mamm-gozh, żeby odbyć podróż w czasie.

– Biegnijcie! W stronę wyjścia!

Vincent wypycha mnie za drzwi.

– Jules, zajmij się Ekspertami, którzy przeżyli. Nie czekajcie na mnie, idźcie tą samą drogą, którą przyszyliśmy. Uważaj na reflektor, który wojskowi ustawili na jednym z wozów opancerzonych. Co dwadzieścia sekund światło pada na ulicę. Musicie prześlizgnąć się w międzyczasie. Od wejścia do kanału będzie was dzieliło pięćdziesiąt metrów. Da się przebiec w dwadzieścia sekund. Na styk, ale się da.

– Vincent, ja...

– Pospiesz się, do zobaczenia. Chroni Maię. I pozostałych.

Mijamy trzy biura w Pałacu Sprawiedliwości. Przemierzamy pokoje w amfiladzie – Jérôme oznaczył je czerwonymi świetlikami chemicznymi. Wydostajemy się na niewielki dziedziniec wychodzący na bulwar Zegarowy. Na dziedzińcu czekają Eksperci, którym udało się przeżyć rzeź. Nie jest nas dużo, mniej więcej dziesięcioro. Nagle dobiega do nas huk megasilnej eksplozji. Mury się walą, kamienie i inne szczątki budowli sypią na wszystkie strony, ciepły powiew wstrząsa budynkiem, zmienia gęstość powietrza. Wszyscy się kulimy, ja ochraniaj Maię swoim ciałem.

– Idziemy, nie ma czasu do stracenia.

To Vincent, w poszarpanym ubraniu i z zakrwawioną twarzą, ale żywy.

– Rzuciłem dwa granaty fosforowe i teraz mamy czas, żeby spokojnie dotrzeć do podziemi.

Staje przed nami.

– Wychodźcie parami. Macie dwadzieścia sekund, żeby dotrzeć do kanału. Ani jednej sekundy więcej. Biegnijcie i nie namyślajcie się! Maïa, Jules, wy pierwsi. Podnosicie pokrywę i skaczecie do środka.

Widzę ubraną na czarno dziewczynę z kolczykami. Jest blada, cała drży, ale przeżyła.

– Weź moje okulary, będziesz wyraźniej widziała. Ja znam drogę.

Dziękuję mi, zakłada je trzęsącą się ręką.

Przed opuszczeniem dziedzińca jeszcze raz myślę o bretońskiej Czarownicy. Gdzie teraz jest?

Nagle słyszę rozkaz Vincenta:

– *Go!*

Biegniemy jak szaleni. Maïa traci równowagę, łapię ją za rękę. Właz do kanału.

Odsuwam go. Schodzimy po drabince. Jesteśmy uratowani. Czekamy na innych. Ściskam Maïę w ramionach.

Później, ale dopiero później zapytam ją, dlaczego to zrobiła, dlaczego przyszła.

I nagle jej twarz zbliża się do mojej. Jej usta do moich. Pocałunek. Z całych sił przytulam ją do siebie. Przytulam i płaczę. Opłakuję rodziców, brata i Jérôme'a. Płaczę też dlatego, że nie jestem sam. I dlatego, że żyję. Dlatego, że Alicja na nas czeka, a ja tak bardzo ją kocham.

Dlatego, że Maïa mnie pocałowała.

Ja też ją całuję.

Jestem tu, Maïu.

Jestem tu.

Zakończenie

Pamiętnik Alicji

Wczoraj Katia dała mi pamiętnik.
Przed Tym byłam Dorą. Ale to było Przed Tym. Tak często mówi tata Jules.
A poza tym mówi też, że było jakieś Przed Przed Tym. Nie wiem, nie pamiętam.
Teraz Dora to krowa.
W środku Dory był cielaczek.
Wczoraj się urodził. Vincent i mama Maïa pomogli mu wyjść. Katia powiedziała, że skoro jestem czarodziejką, ja wybiorę imię dla cielaczka.
Nazywa się Tutuś, powiedziałam.
Ale Tutuś to przecież fioletowa wiewiórka Dory – odpowiedziała mama Maïa.
Nie, to cielaczek – odparłam.
Niech tak będzie, Alicja decyduje – powiedział Vincent.
Max też się zgodził, on we wszystkim się ze mną zgadza.
Dzisiaj
Pomagam Séverine upiec tarty z jabłkami dla gości.
Dla Isy i innych.
Będzie ich piętnaścioro – mówi.
Muszę się nauczyć: piętnaście = trzy razy pięć.
Nauczyć się tabliczki mnożenia. Nie lubię tego.
Lego też nie lubi rachunków.
Czarodziejka Koridwen też może przyjdzie.
Tata Jules powiedział: pewnego dnia się zjawi, pewnego dnia.
Max czasami na nią czeka. Wiem, bo gdzieś patrzy, w jakieś miejsce.
Ja nie znam tego miejsca, a on szuka kuzynki.
Ale bawię się z nim w szukanie. Szukamy w lesie ukrytej Czarownicy, to nasza ulubiona zabawa.
A dzisiaj mogę po raz pierwszy wykąpać dzidziusia Jérôme'a!!! Séverine powiedziała mi:
Tak, możesz to zrobić.
Dzidzius ma trzy miesiące.
Ma na imię tak samo jak jego tata.
Jego tata nie żyje, uratował mamę Maïę, jego tata jest bohaterem.
Jutro
Jutro tata Jules nauczy mnie jeździć na rowerze.
Już nie mogę się doczekać.

¹ *Centre régional des oeuvres universitaires et scolaires* – Regionalne Centrum Szkół
Wyższych i Edukacji – *przyp. tłum.*

Podziękowania

Dziękuję autorom pozostałych części tej opowieści: Florence, Vincentowi, Yves'owi za wspólną podróż i wszystko to, co niosła ze sobą: przygody, emocje, szalony śmiech i zmiany. Dwa lata temu dopiero zaczęliśmy. Także dla nas będzie Przed i Po U4.

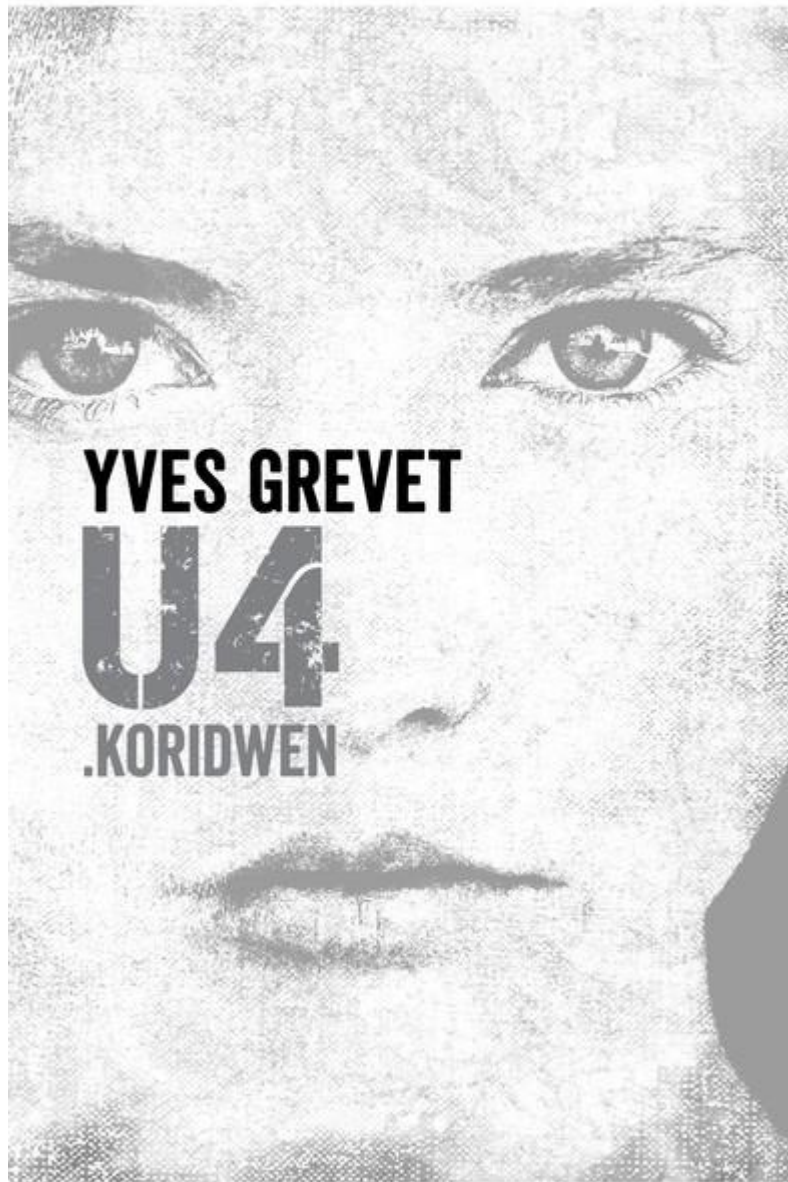
Dziękuję Publisher Team. Marianne, Eve, Sandrine, Stéphanie, Florence i Céline natychmiast uwierzyły w ten projekt! Dziękuję za przyjęcie go i towarzyszenie nam podczas jego realizacji. Za umożliwienie nam doprowadzenia go do końca. Dziś mamy cztery książki! Dziękuję także Quentinowi, Marianne, Christianowi i Véronique...

Specjalne podziękowania należą się mojej redaktorce, Stéphane H.-G. – za wymagające, a zarazem życzliwe uwagi. To dzięki niej narysowałam plan parteru kamienicy, w której Jules schronił się za ścianą mieszkania dozorczyńi. Druga ściana biegła prostopadle do ulicy i tworzyła kąt prosty z pierwszą, znajdującą się naprzeciw schodów, pod którymi ukrył się Cédric. A nie, to nie było tak. Gdzie były zatem drzwi do tego mieszkania? Cholera, gdzie podział się mój plan?

Podziękowania z głębi serca kieruję też do Nathalie, nieocenionej właścicielki księgarni, która zmusiła mnie do zmierzenia się z tematem rozkładających się ciał. Przy desce serów i lampce czerwonego wina powiedziała: „Musimy zobaczyć zmarłych, poczuć ich smród”. Dziękuję, Nathalie. Zawdzięczam ci pierwszego trupa, o którego potyka się Jules.

Dziękuję moim dzieciom. Paul, Palomo, ta książka, tak jak wszystko, co napisałam, jest dla was: dla was i waszych bliskich, którzy was kochają.

Dziękuję Marcowi, który czytał to, co napisałam, słuchał mnie i cierpliwie, z czułością dodawał otuchy. Bardzo dziękuję, mój najpiękniejszy.



YVES GREVET

U4

.KORIDWEN

7 listopada

Jak zwykle wstałam wcześniej, żeby nakarmić zwierzęta. Dziś rano kosztowało mnie to jednak bardzo dużo wysiłku. Przez całą noc praktycznie nie zmrużyłam oka. Wraz z upływającym czasem moje myśli stawały się coraz bardziej ponure i pełne rozpacz. Około czwartej czy piątej nad ranem odkorkowałam fiolkę z trucizną i zbliżyłam ją do ust. Przed pierwszym łykiem postawiłam sobie ultimatum: „Koridwen, jeżeli w ciągu minuty nie znajdziesz ani jednego powodu, żeby ze sobą nie skończyć, to pij!”.

I wtedy, po długich sekundach całkowitej ciemności, gdzieś w zakamarkach mojego mózgu zobaczyłam wielką głowę starej Bergamotki. Nie ma szans, żeby poradziła sobie z porodem beze mnie. Znam ją. Towarzyszyłam jej poprzednim razem i nie była to przyjemna sprawa. Jeżeli zabraknie mnie obok, z pewnością zdechną oboje. Ona i jej cielaczek.

Właśnie dzięki tej krowie wciąż jeszcze żyję. Kiedy już się ocieli, będę musiała ponownie zadać sobie zasadnicze pytanie. Odkąd jestem jedyną żyjącą osobą w całej osadzie, funkcjonuję jak robot, bez chwili zastanowienia. Na zmianę przeżywam momenty wzmożonej aktywności i całkowitej martwoty, kiedy kucam w kącie i płaczę albo pozwalam so-bie na odrobinę snu.

Nadal doję zwierzęta, ale mleko wylewam do koryta. Powinnam przestać to robić – krowy pomęczyłyby się chwilę, ale później mleko zniknęłoby z ich wymion. Jednak te czynności pozwalają mi zająć czymś głowę, mogę łudzić się, że życie toczy się dalej w prawie niezmiennym rytmie. Wymieniam im ściółkę. Ładuję obornik na taczkę. Mocno śmierdzi, ale to pocieszające. Ciężar ładunku czuję w całych ramionach. Szybko mnie to wyczerpuje, więc wieczorem łatwiej jest mi zasnąć. To nudne i męczące zajęcie, ale od razu widać postępy, a na koniec ma się poczucie wypełnienia konkretnego zadania. Wiejskie odgłosy zmieniły się przez te dwa tygodnie. Ciszy nie zakłóca już hałas samochodów i maszyn rolniczych.

A jednak kilka minut temu zdawało mi się, że słyszę nadjeżdżający samochód. Potem już nic. Wyszłam to sprawdzić, ale nikogo nie zobaczyłam. Pomyślałam, że być może zaczynam tracić rozum.

Wykładam teraz czystą słomę na ziemię w oborze. Nagle zwierzęta robią się nerwowe jak przed burzą albo kiedy latem nękają je gzy. Wzdrygam się, czując za plecami czyjaś obecność. To dwóch chłopaków, niewiele ode mnie starszych. Są do siebie podobni, może to bracia. Jednego z nich poznaję. Nieraz widywałam go w mieście przed katastrofą. Kręcił się razem z innymi przed wejściem do marketu. Sączyli piwo i żebrali. Czyli nie tylko ja przeżyłam w tej okolicy. Doznaję czegoś w rodzaju ulgi, jednak ich towarzystwo nie rozproszy mojej samotności. Sposób, w jaki na mnie patrzą, przyprawia mnie o dreszcz. Czuję w powietrzu wrogość i niechęć. Starszy z nich mówi z grymasem:

– Potrzebujemy narzędzi w stylu wiertarkowkrętarki, piły tarczowej, młotka, siekiery, piły łańcuchowej. Mamy w okolicy trochę drzwi i rolet do sforsowania.

– Nie jesteście tutaj u siebie i nie macie prawa – oznajmiam, groźnie podnosząc widły.

– Hej, dzieciaku – gniewnie odwarkuje chłopak. – Żyjesz na innej planecie czy co? To już koniec. Wszyscy poumierali, poza kilkoma młodymi w naszym wieku. Teraz nic już do ni-ko-go nie należy. Jeśli chcesz przetrwać, trzeba z tego korzystać. Kto będzie chciał pozostać uczciwy, ten zdechnie.

– Czemu nie pójdziecie gdzieś indziej? Przecież w okolicy nie brakuje opuszczonych osad.

– Bo wiedzieliśmy, że tutaj znajdziemy towarzystwo – rzuca młodszy. – Wygląda na to, że pod tymi ogrodniczkami ukrywa się boskie ciało.

– Skończ te wygłupy, Kev! Nie po to tu przyszliśmy. A ty, mała, odpowiadaj zaraz, bo pożałujesz!

– Klucz do przybudówki wisi na drzwiach.

– Dzięki, piękna.

Młody Kevin rzuca mi spojrzenie, które oznacza, że i tak się doigram. Udaję, że wracam do pracy, i spuszczam wzrok. Starszy wychodzi, a młodszy mnie pilnuje. Podchodzę, żeby porzucić słomę kilka metrów od niego. W końcu nudzi mu się patrzeć na mnie i odwraca wzrok w stronę podwórka. Wtedy rzucam się na niego z widłami i wbijam mu dwa zęby w lewe udo. Chłopakowi z bólu uginają się kolana i pada u moich stóp. Zdaje się, że zabrakło mu tchu i nie jest w stanie krzyknąć. Omijam go i biegnę do szafki na broń ukrytej w schowku w komórce za kuchnią. Chwytam jedną ze strzelb myśliwskich, z których ojciec uczył mnie strzelać. Ładuję do niej naboje znalezione w skrzyni w salonie. Wybiegam na zewnątrz, wchodzę do przybudówki i strzelam dwa razy ponad głowę rabusia, który rzuca to, co wziął, i robi się szary na twarzy.

– Idź zabrać swojego kolesia i spadajcie stąd. A jak nie, --to powystrzelam was jak kaczki.

Zrozumiał i kieruje się do obory, żeby zabrać swojego brata, który ryczy teraz jak małe dziecko. Udaje mu się podnieść rannego i wsunąć mu rękę pod ramię. Oddalają się w kierunku samochodu, zaparkowanego poniżej drogi powiatowej.

Nie mogę się powstrzymać przed udzieleniem mu rady:

– Oczyszć tę ranę, inaczej dojdzie do zakażenia.

Chłopak, nie odwracając się, podnosi lewą rękę z wyciągniętym w górę środkowym palcem.

Od dwóch dni nikogo nie widziałam. Osta--tni -miejscowy umarł wczoraj. Nazywał się Yffig. Był pra-gma-tycznym człowiekiem. Kiedy tylko usłyszał w telewizji o rozmiarach epidemii spowodowanej wirusem U4, przygotował się na najgorsze. Pojechał do marketu budowlanego i wypożyczył koparkę z łyżką dostosowaną do ko-pania rowów.

Z pomocą jego maszyny pochowaliśmy dziewięcioro pozostałych mieszkańców osady. Pokazał mi, jak obchodzić się z koparką, gdyby zaszła taka potrzeba. Dobrze zrobił, -bo to ja musiałam złożyć go do grobu. Skorzystałam z okazji i wykopałam jeden dla siebie. Kiedy dopadnie mnie choroba albo nie będę już mogła wytrzymać, rzucę się do niego. Szkoda, że nie będzie już wtedy nikogo, kto mógłby mnie pogrzebać.

8 listopada

Kolejna praktycznie bezsenna noc. Od kiedy pojawili się tu ci złodzieje, czuję się zagrożona. Poznałam po ich nienawistnych spojrzeńiach, że wrócą ukarać mnie za to, jak ich upokorzyłam. Teraz dzielę łóżko z nabitą strzelbą i nasłuchuję najcichszych odgłosów.

Nadal nawiedza mnie myśl, żeby dołączyć do reszty i umrzeć. Przed skończeniem ze sobą nie powstrzymuje mnie strach przed wielkim krokiem, tylko poczucie, że popełniłabym błąd, naruszyłabym naturalny porządek, według którego nikt nie decyduje sam o końcu własnego życia. Babka zawsze uczyła mnie, że życie jest cenne, zarówno gdy chodzi o ludzi, jak i o zwierzęta czy nawet rośliny. Możemy sobie pozwolić na odbieranie go tylko w przypadku najwyższej konieczności. Mawiała, że wszyscy jesteśmy żyjącymi komórkami wielkiego organizmu zwanego Ziemią, że każdy gra w nim pewną rolę. Odczuwam to co rano, zajmując się zwierzętami. Ich ciepło, zapach, porykiwanie, wszystko wydaje się na swoim miejscu.

Co stałoby się z moimi zwierzętami, gdybym je porzuciła? Nigdy nie doświadczyłam cierpienia krowy, której się nie poi albo pozostawia samą przy cieleniu się. Jak daleko sięgam pamięcią, widzę mojego ojca co rano i co wieczór opiekującego się zwierzętami. Widziałam, jak zajmował się nimi, nawet kiedy ledwo trzymał się na nogach, bo przez całą noc pił z kumplami. To było jak święty obowiązek, od którego nic nie może zwolnić.

Teraz, kiedy pozostały już tylko zwierzęta, powinnam być zadowolona – ja, która powtarzałam wciąż, że wolę je od ludzi, bo łatwiej je zrozumieć i zadowolić. Zwierzęta nie chowają się za stodołę, żeby popłakać, ani nie wpadają w histerię z powodu plamy po winie, która nie znikła w praniu.

Brakuje mi rodziców. Jeszcze kilka tygodni temu nie pomyślałabym, że kiedyś wypowiem to zdanie. Od czterech czy pięciu lat miałam w głowie tylko jedną myśl: uciekać z tej ponurej chaty, którą określiłam nawet mianem grobu. Dziś, kiedy prawie cała ludzkość wymarła, wstydę się tego słowa. Czuję się winna, że używałam go z taką łatwością. Ktoś, kto wierzy w znaki, mógłby się nawet posunąć do stwierdzenia, że to moja wina – moja osada rzeczywiście zamieniła się w cmentarz.

O piątej trzydzięci postanawiam wstać. Biorę latarkę i idę przez pole do Bergamotki, która oddzieliła się od reszty. Patrzą jej prosto w oczy. Wydaje się taka spokojna. Czuję, jaki wysiłek ją czeka, ale wie, że może na mnie liczyć. To nie będzie pierwszy raz ani dla niej, ani dla mnie, ale zawsze – aż do teraz – wiedziałam, że ojciec jest w pobliżu i w razie czego będzie mógł interweniować albo wezwać weterynarza.

Mówię do niej spokojnie, by dodać jej otuchy, i prowadzę w kierunku domu. Bergamotka daje się prowadzić, a ja dziękuję jej za to, drapiąc sierść między rogami. Łatwiej będzie mi jej doglądać. Przywiązuję ją w oborze i szepczę do ucha:

– No, stareńka, bardzo cię proszę, nie ociążaj się zbytnio.

Biorę się za generalne porządki w kuchni. Matka stwierdziłaby z zadowoleniem, że wreszcie idę za jej przykładem. Przypominają mi się soboty, kiedy marzyłam o odespaniu całego tygodnia spędzonego w internacie, lecz regularnie budził mnie hałas nieuważnie przestawianych naczyń. Nie było lepszego sposobu na to, żeby przeszkodzić mi w spaniu. Teraz lepiej rozumiem, dlaczego matka lubiła szorować szafki od środka i czyścić lodówkę. Dzięki temu mniej się kombinuje. Człowiek się męczy i upaja uderzającym do głowy zapachem detergentów. Na komodzie dostrzegam truciznę, którą przygotowałam sobie po pochowaniu Yffiga. Utałam pół na pół antydepresanty taty z tymi mamy, po czym rozpuściłam je w kolorowej, słodkiej wodzie z syropem z grenadyny. Od tego czasu wygląd mikstury znacznie się zmienił. Gruby kredowy

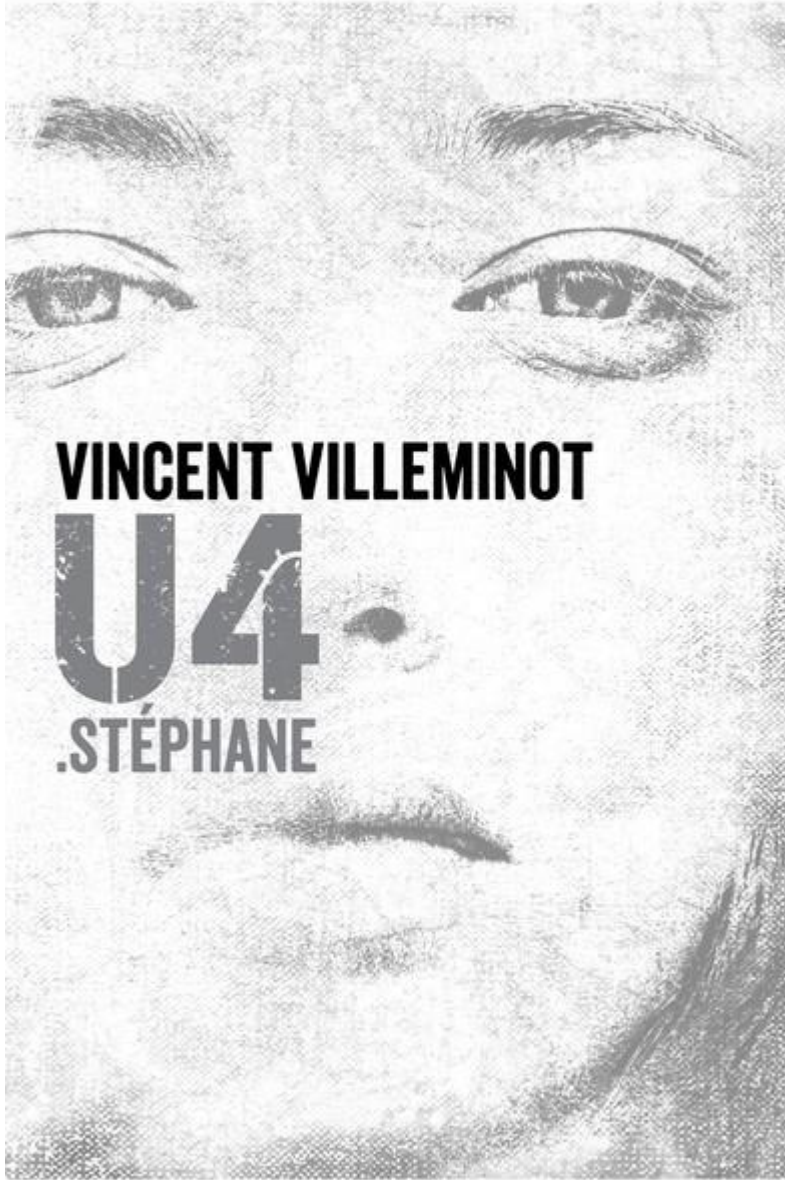
osad opadł na dno, przykrywa go cienka czerwona warstwa. Wyżej woda jest ledwo zmacona. Nie mogę się powstrzymać i chwytam za buteleczkę. Potrząsam nią gwałtownie, żeby płyn znów nabrał jednolitego wyglądu syropu. Przez kilka minut nieruchomo przyglądam się, jak poszczególne warstwy układają się na nowo. Następnie ostrożnie odstawiam naczynko. Być może pewnego dnia mi się przyda.

Po dwóch godzinach ciężkiej pracy czuję się wyczerpana. Siadam przy stole w kuchni. Herbata się zaparza, a tymczasem moje powieki się zamykają i zapadam w sen. Budzi mnie ból pleców spowodowany niewygodną pozycją. Nie słyszę już pocieszającego pochrapywania lodówki. Otwieram ją. W środku nie zapala się światło. Pstrykam przełącznikiem górnej lampy, nic z tego. Skończył się prąd. Po tym jak ponad tydzień temu zniknął najpierw internet, a potem telewizja, można się było tego spodziewać.

Wychodzę na świeże powietrze, żeby do końca się obudzić. Pada drobny deszcz, ledwo skrapiający ziemię. Gdy zdejmuję fartuch matki, nagle czuję jej zapach. Zamykam oczy. Kiedy widziałam ją ostatni raz, wydawała mi się odmieniona. Biła z niej jakaś energia, której nigdy wcześniej u niej nie dostrzegłam. Właśnie dowiedziałyśmy się, że mój ojciec umarł powalony wirusem w barze w Morlaix, wśród swoich kompanów od kieliszka. Nie pozwolono nam zobaczyć go po raz ostatni. Przy takim tempie rozprzestrzeniania się epidemii władze zrezygnowały z rozpoznawania ciał i indywidualnego grzebania zwłok. Byłam zszokowana śmiercią taty i nie rozumiałam, dlaczego matka nie chce mnie przytulić. Dziś myślę sobie, że już wtedy czuła się chora i bała się mnie zarazić. Sytuacja, w której się nagle znalazłyśmy, musiała nią wstrząsnąć. Mówiła do mnie długo, jak nigdy przedtem. Powtarzała, że jestem odważną dziewczyną i że będę wiedziała, co zrobić ze swoim życiem.

Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu nie rozodziła się nad odejściem ojca, bowiem tego, jak mawiała, nie można już zmienić i trzeba iść naprzód. Ja chciałam, żebyśmy powspominały szczęśliwe chwile spędzone we trójkę i razem przeżywały smutek. Ona wolała napomknąć o istnieniu listu, który moja babka napisała do mnie tuż przed śmiercią, rok wcześniej. „Ojciec nie chciał, żebyś go otwierała – wyjaśniła. – Wahał się, czy go nie spalić. Dlatego schowałam go pod moim materacem”. Wówczas ta informacja wydała mi się zupełnie bez znaczenia. Była tak odległa od dramatu, który przeżywałyśmy. „Póki co – kontynuowała matka – musimy przygotować się na najgorsze. Kocham cię, Koridwen, i zawsze będę w twoim sercu, nawet jeśli znajdę się daleko od ciebie”. „Czemu tak mówisz?” zapytałam.

Zostawiła mnie wtedy, żeby ugotować coś do jedzenia. Następnej nocy już nie żyła. Odtąd jestem sama na świecie.



VINCENT VILLEMINOT

U4

.STÉPHANE

2 listopada

Jest ich około dwudziestu. Wyglądają, jakby byli w moim wieku, mają siedemnaście albo osiemnaście lat, dziewczyny i chłopaki. Stoją nadzy nad brzegiem rzeki, mają cudowne ciała – zdrowe, żywe, nienaruszone – w tej ogromnej kostnicy pod gołym niebem.

Myją się, nie żałując wody, na stopniach nabrzeża, pomimo chłodnego wiatru. W pobliżu na dwóch dużych ogniskach parują balie, w których przed myciem zagotowali zapewne wodę z rzeki. W innej balii wygotowują bieliznę i ubrania. Dwie młode dziewczyny rozkładają je na stopniach, żeby wyschły. Nie mogę oderwać wzroku od tego niecodziennego spektaklu. Obserwuję ich zza barierki mostu Guillotièrre, który łączy brzegi Rodanu. Widzę stąd, jak się ochlapują, słyszę pokrzykiwania, kiedy któreś spryska resztę zimną wodą. Czasami się śmieją, nawołują. Zapomniałam już, jak brzmi śmiech.

Słyszę ich głosy, które jesienny wiatr niesie z północy – pierwsze odgłosy życia w umarłym mieście – ale nie rozumiem słów. Przypomina to jakąś scenę z życia ludzi pierwotnych: rzeka, w której się myją; ogień; bezwstydnie nagie ciała na brzegu rzeki i ten dziwny język. Można by się spodziewać, że zaraz znikną otaczające ich mosty, drogi, asfalt, budynki, całe miasto Lyon. Może tak właśnie będzie? Może są ostatnimi ocalonymi w całkowicie zdziczałym Lyonie i za kilka dni nie pozostanie już nic z cywilizacji, którą znaliśmy?

Jeden z nich nagle mnie dostrzega. Wyraźnie daje mi znaki, zaprasza, żebym do nich dołączyła. Potem kolejni obracają się w moją stronę, wołają mnie. Mimowolnie się uśmiecham, oparta łokciami o moją barierkę, ale czar pryska. Przechodzę na drugą stronę rzeki, zostawiając ich za sobą, schodzę z mostu pustego jak cały półwysep widziany z mieszkania mojego ojca. Miasto jest wyludnione. Poza uczestnikami tej cudownej kąpieli nie ocalał nikt.

Na ulicy Saint-Michel natykam się na dwa nowe trupy. Nie sposób ich ominąć, leżą na samym środku drogi. Trzymają się za ręce, dwoje tragicznych kochanków, których uścisku nie rozdzieliła nawet śmierć. Może tutaj, u stóp kamienicy, powaliła ich gorączka, kto wie? Albo może spotkali się w tym miejscu, żeby ze sobą skończyć? Mieli dwadzieścia czy sześćdziesiąt lat? Tylko ich ubrania skłaniają mnie ku pierwszej hipotezie. Z wyglądu ciał nie da się nic wywnioskować: oboje nie mają już twarzy, tylko strupy zakrzepłej krwi; ich ręce zaczęły się rozkładać. Romeo + Julia?

„Nie rozczulaj się, nie koloryzuj”.

„Co wiesz, Stéphane? Co rozumiesz? Analizuj...”

Krew. Strupy. Gorączka.

„Fakty. Jakie fakty?” Ludzie zaczęli krwawić jedenaście dni temu. Objawy za każdym razem były takie same: bóle głowy, migreny siatkówkowe, rozległe krwotoki – wewnętrzne i zewnętrzne. Krew sączyła się z oczu, nosa, uszu, przez skórę. Wszyscy umierali w mniej niż czterdzieści godzin. Nowy filowirus krwotoczny, typu ebola, bliższy szczepowi Utrecht, ale nieskończenie bardziej zjadliwy. Oficjalnie nazwany U4, od „Utrechtu 4. typu”. Zaraził dziewięćdziesiąt procent populacji, a wszyscy, których dopadł, umarli – wszyscy, tylko nie my.

Przeżyły wyłącznie nastolatki między piętnastym a osiemnastym rokiem życia. A przynajmniej ich przeważająca większość. Tyle mogłam wyczytać z najważniejszych portali informacyjnych, przynajmniej na początku. Potem dziennikarze internetowi umarli – jak wszyscy dorośli, jak dzieci. Strony stawały się niedostępne jedna po drugiej. Awarie zasilania coraz częściej rozwalaly internet. Tylko na stronie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wciąż wyświetlały się dawno nieaktualne zalecenia: zachować spokój, nie panikować, nosić rękawiczki i maski ochronne, nie dotykać zarażonych, opuścić niezwłocznie domy lub mieszkania

zainfekowane przez wirusa. Nie ruszać zwłok. Zgłosić się do Z-Punktów, miejsc zbórnych zorganizowanych przez władze.

Potem internet zgasł. Wszystko zgasło.

Odtwarzam sobie po raz setny chronologię wydarzeń, żeby opanować wstręt podczas mijania ciał dwojga kochanków. Moja obecność przeszkodziła drapieźnikom żerującym na trupach, insektom, muchom i szczurom, setkom szczurów, które panują teraz nad całym miastem. Wszystkie one roją się, śmierdzą. Te pasożyty żywią się zmarłymi, tym, co z nas zostało.

„Analizuj, nie roztrzęsaj. Wyprzedzaj fakty”.

Gryzonie przywloką inne epidemie. Umrą od nich nieliczni ocaleni – nastolatki. Cholera albo dżuma wydają się śmieszne w porównaniu z U4, ale również będą śmiertelne.

Podążając tropem własnych myśli, zostawiam za sobą dwa trupy. Ojciec zawsze mi mówił: „Podczas niesienia pomocy medycznej należy się skupić na informacjach naukowych, na tym, co się wie i czego nie wie, żeby nie poddać się emocjom”.

Powtarzał mi to, żeby nauczyć mnie panowania nad tremą przez egzaminami. Czy domyśla się teraz, gdziekolwiek jest, jak bardzo przydają mi się jego rady – dziś w tym umarłym mieście?

Porzucone samochody, powywalane bagaże; odpadki i śmieci. Aleję blokuje przewrócony, leżący na boku tramwaj. Jego motorniczy z pewnością wpadł w konwulsje podczas pracy, stracił kontrolę nad pojazdem... Pasażerowie zginęli w wypadku czy raczej mieli czas, żeby wrócić do domów i tam umrzeć? Unikam spoglądania w ciemne, zaporowane okna tramwaju.

Na ulicach nie leży zbyt dużo ciał, spodziewałam się, że będzie gorzej. Nie ma już nic, tylko pasożyty i cisza. W mediach mówiono o milionach zmarłych, oglądałam zdjęcia w internecie i widziałam niezliczone ilości zbiorowych grobów. Tutaj chorzy zapewne zostali w domu, żeby umrzeć godnie, dyskretnie, po lyońsku. A może wszyscy pospieszyli do szpitali, które stały się jednocześnie kostnicami i podstawowymi ogniskami rozprzestrzeniania się epidemii? Przez dwa pierwsze dni, kiedy myślano, że chodzi o zapalenie opon mózgowych albo płamicę piorunującą, chorzy z gwałtownie rosnącą gorączką i krwotokami byli zabierani przez pogotowie. Zwyczajowe środki ostrożności okazały się niewystarczające. Pacjenci zarazili personel medyczny, który dołączył do grona chorych.

Jednak nie wszyscy lekarze zachorowali.

Nie epidemiolodzy, którzy w swoich laboratoriach starali się stawić czoła wirusowi. Mój ojciec?

No to jesteśmy. Wreszcie docieram pod najwyższe budynki dzielnicy Gerland. Gula, którą mam w żołądku, dręczy mnie jak wrzód.

„Boisz się, Stéphane. Boisz się tego, czego się dowiesz”.

Dostrzegam wieżowiec P4 i na chwilę przystaję. Laboratorium, w którym pracował mój ojciec, jest pogrążone w ciemnościach. Zamykam oczy, biorę głęboki wdech. Trzeba iść dalej, sprawdzić to, zrobić jeszcze kilka kroków.

„Tato. Wyjechałeś, umarłeś?”

Gdyby pozostali jacyś badacze, byłby tu choć jeden generator, agregaty działałyby nawet w środku dnia. Nic nie byłoby ważniejsze dla przyszłości niż praca wykonywana w tych laboratoriach przez mojego ojca i zespoły naukowców, którymi kierował, jego kolegów badających śmiertelne wirusy, którzy starali się zwalczyć U4.

Wieżowiec jest pogrążony w ciemności, czyli pusty.

„Wyjechałeś, umarłeś? Kiedy wrócisz?”

Kilkanaście metrów od wejścia widzę dwóch młodych ludzi. Pałą.

– Został tu jeszcze ktoś? – zagajam.

– To zależy. Kogo szukasz? – pyta mnie wyższy z nich z nieufną miną.

Ma tyle lat co ja i strzelbę pod pachą. Pokazuję na wieżowiec.

– Mój ojciec, doktor Certaldo, pracował w laboratorium P4.

– To możesz zapomnieć – odpowiada drugi z nich trochę uprzejmiej. – Wojskowi ewakuowali laboratorium drogą powietrzną dziewięć dni temu, razem ze wszystkimi naukowcami. Dwa najniższe poziomy są zaminowane, wstęp wzbroniony aż do powrotu wojska.

Za dużo informacji naraz... Słabo mi. Są jeszcze jacyś do-rośli, wojsko, żołnierze.

Pozostali przy życiu. Ewakuowali badaczy dziewięć dni temu. Ewakuowano ich, więc są żywi.

Polecieli. Mój ojciec poleciał.

„Wróć, kiedy tylko się da” – napisał mi dziesięć dni temu. I dzień później uciekł. Beze mnie. Nawet mnie nie uprzedził.

Może próbował?

– Liczyłaś na niego? – pyta grzeczniejszy z dwóch młodych palaczy. – Jak nie masz dokąd pójść, to możesz się zgłosić do strefy zaopatrzenia, czyli Z-Punktu. Tu niedaleko jest jeden, w kampusie uniwersyteckim. Gdzie chodziłaś do szkoły?

– Do Liceum Parkowego.

– No to musisz iść i zarejestrować się w parku Tête d’Or. Powiedzą ci, gdzie możesz się ulokować.

– W porządku – dukam. – Dam sobie radę.

Noc z 2 na 3 listopada

Zmrok prawie mnie zaskoczył, kiedy wracałam do domu. Wchodzę na czwarte piętro w ciemnościach, po omacku. To już dwadzieścia cztery godziny, jak nie ma prądu. Czy na zawsze? Najwyraźniej ocalonych jest za mało, żeby miał kto obsługiwać elektrownie...

Na schodach moje serce zaczyna bić szybciej. W momencie wkładania klucza do zamka ogarnia mnie niedorzeczna nadzieja. Wciąż jeszcze nie mogę jej porzucić, ręce mi drżą... Otwieram.

Pusto. Nie wrócił. Nie dziś. Nie ma go tu tak samo jak wczoraj. Zostawiłam dla niego kartkę przed ramką ze zdjęciem na stole w jadalni: „Poszłam Cię szukać w Gerland. Wracam za trzy godziny. S.”

Chwytam ramkę z portretem, oglądam go po raz setny. Zdjęcie zostało zrobione podczas jednej z jego Misji Ebola w Gwinei. Na zdjęciu doktor Philippe Certaldo jest brudny, zmęczony, z nagim, spoconym torsem pod rozpiętym białym fartuchem, ale się uśmiecha...

Dostrzegam swoje własne odbicie w szkle ramki. Ja też wyglądam na wyczerpaną, tylko że się nie uśmiecham. A jednak dalej go przypominam: ta sama wysoka sylwetka, szczupła i nerwowa, ta sama mocno pociągła twarz i siwe, krótko przycięte włosy o niesfornych kosmykach, te same kościste ręce, trochę zbyt blade jak na kogoś, kto lubi słońce. Ładny obrazek... Mówi się, że mam też jego oczy, szare oczy o inteligencji, która mnie u niego zawsze zdumiewała. Mój ojciec był uwodzicielskim mężczyzną, który miewał „przygody” z wieloma lekarkami i nie przejmował się moją matką. Ja jestem dziewczyną. Dziewczyną, której rodzice dali tak zwane dwupłciowe, durne imię Stéphane; dziewczyną, której włosy od dzieciństwa są siwe, jak by były oznaką przedwczesnej starości, i która przez swoją impulsywność przypomina chłopczycę. Próbuję otworzyć elektryczne rolety zasłaniające okna. Jaki sens wciąż się tak barykadować? Wdychałam dziś zepsute powietrze Lyonu pełnymi płucami i wciąż żyję.

Kiedy ostatecznie udaje mi się siłą odsunąć jedną z rolet za pomocą metalowej nogi krzesła, jest już noc. Mieszkanie pogrąża się w ciemnościach. Zapalam świeczkę, a jej płomień drga. Drugi listopada, Święto Zmarłych. Moja matka, Bretonka i praktykująca katoliczka, wierzyła w te rzeczy: w śmierć, zmartwychwstanie. Czy dane jest jej wciąż w to wierzyć, wśród ocalonych, czy otrzymała wreszcie ostateczną odpowiedź?

Gdzie jest? Gdzie jest cała trójka: tata, mama, Nathan? Razem?

Chwytam komórkę, prawie rozładowaną, jakbym miała potrzebę przeczytania tego raz jeszcze, żeby samą siebie przekonać. Jedenaście dni temu ojciec wysłał mi SMS-a: „Absolutnie nagły przypadek. Muszę Cię opuścić na trzy doby”. Potem kolejny SMS, dzień później, kiedy zaraza osiągnęła efekt progowy: „Nie wychodź z domu pod żadnym pozorem. Działaj tak, jak Cię nauczyłem. Wróć, kiedy tylko się da”.

Znam te wiadomości na pamięć.

Staram się uporządkować myśli, przyswoić to, czego się dziś dowiedziałam. Czy ojciec już nie wróci? Razem ze swoimi kolegami z wieżowca P4, jedyne miejsce we Francji, gdzie bada się śmiertelne wirusy, znalazł się na pierwszej linii walki z pandemią. Jeżeli nie zginął od wirusa w pierwszych godzinach, to został ewakuowany. Chwytam się tej myśli ze wszystkich sił: ojciec na pewno żyje. Ale dokąd go ewakuowano? I czy dotrzyma słowa, przybędzie tu po mnie? Czy po ewakuacji wyruszy najpierw do Bretanii po mamę i Nathana, mojego brata?

Muszę zostać, czekać na niego. Na wszelki wypadek.

Wykonałam szczegółowo wszystkie jego zalecenia, dokładnie tak, jak mnie nauczył w tych ostatnich latach, opowiadając o pandemiach. Lady Rottweiler, mój awatar,

rozpowszechniła jego rady na forum Warriors of Time, naszej gry sieciowej, już 24 października: zamontować filtry do wody i zawsze przegotować ją przed spożyciem, stłuc lufcik i zastąpić szybę filtrem z węglem aktywnym z kuchennego okapu, żeby zapewnić wymianę oczyszczonego powietrza. Pozatykać pozostałe nawiewy i klimatyzację bibułą, a potem regularnie ją zwilżać. Kilka razy na godzinę myć ręce roztworem alkoholu. Nie panikować.

Zasygnalizować swoją obecność, oczekiwać pomocy na miejscu.

Pomoc nie nadeszła. I nie nadejdzie.

Staralam się na forum dowiedzieć czegoś o tym, co dzieje się w Bretanii. Jednak nie sposób było otrzymać wiarygodnej informacji o sytuacji w Dourdu, kilka kilometrów od Morlaix, gdzie od tego lata mieszkali moja matka i mój brat.

Mieszkali... Nawet myślę o nich w czasie przeszłym.

Prawie nie mam już wody, pomimo wszystkich tych misek, które poustawiałam na balkonie i na dachu. Zero deszczu. Jutro będę musiała udać się do jednego z tych Z-Punktów, żeby zaopatrzyć się w wodę butelkowaną. Wolałabym się stąd nie ruszać, ale nie mam wyboru.

Dzisiaj wieczór, jak we wszystkie poprzednie wieczory, szukam schronienia w gabinecie mojego ojca. W kącie piętrzą się kartony ze sprzętem z misji humanitarnych. Jutro zaniosę wyposażenie medyczne do Z-Punktu. Tam przynajmniej na coś się przyda.

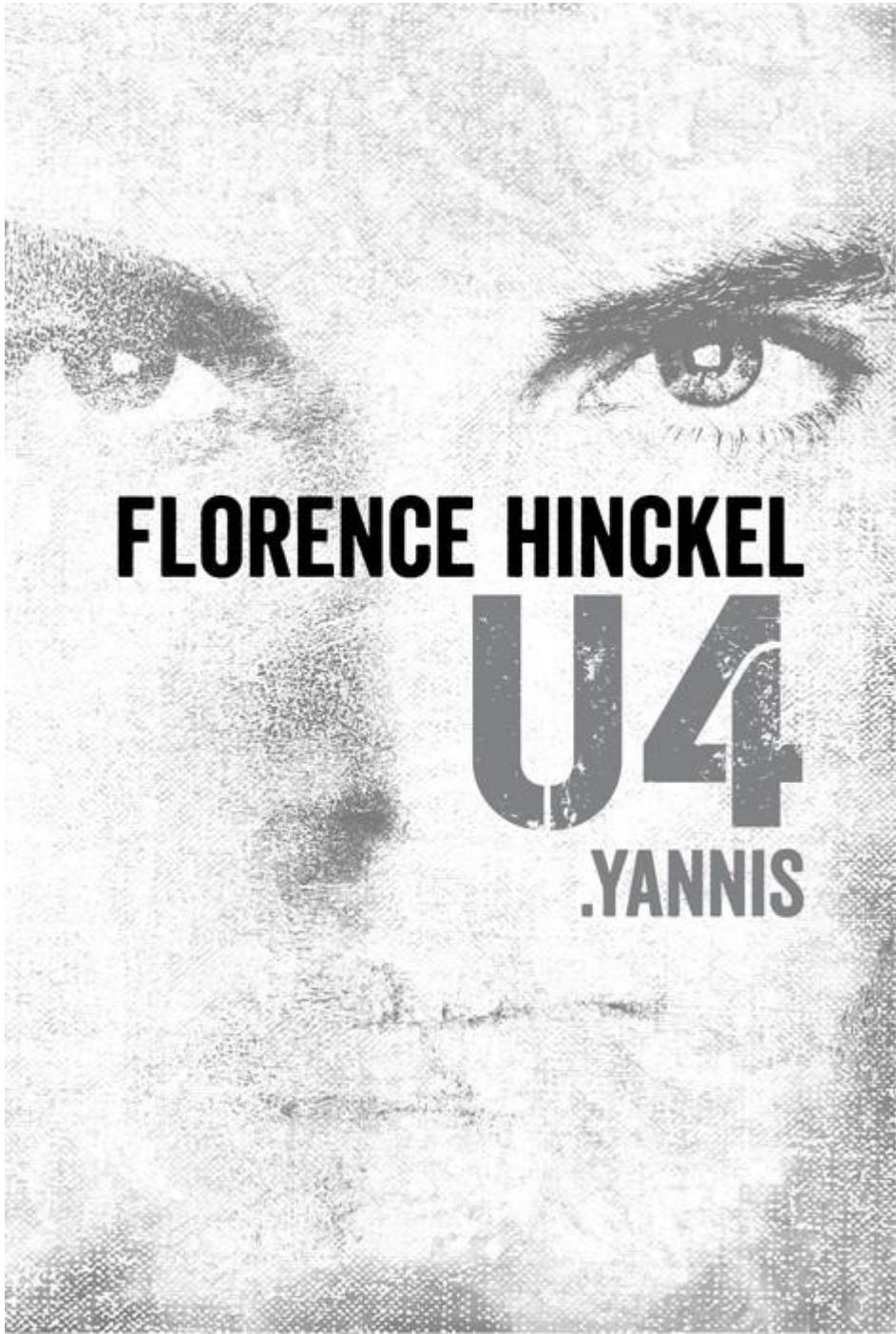
—

Nie daję rady zasnąć. Nie śpię już od trzech dni.

Tata – ewakuowany?

Mama – wciąż żyje? Z nim i Nathanem?

A może udało jej się przeżyć razem z nowym mężem i moim bratem w ich nowym domu? Nie wierzę w Niebiosa, ale odmawiam za mamę i Nathana jedną z niewielu katolickich modlitw, które jeszcze pamiętam – matka nauczyła mnie jej, gdy byłam dzieckiem. Zaczyna się od słów, które kierują moje myśli również ku tacie: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”.



FLORENCE HINCKEL

U4

.YANNIS

1 listopada, godzina 8.00

Coś unosi się na wodzie.

Świat właśnie się kończy. Płomienie tańczą, ich jęzory sięgają aż do nieba. A ja nie mogę oderwać wzroku od dryfującego czegoś.

Moje serce rozpadło się na miliardy kawałków, nogi odmawiają posłuszeństwa, zimne słońce nie ogrzewa twarzy.

Przedmiot mojej obserwacji jak zagubiona łódka powoli zbacza z kursu na wysokości pałacu Pharo. Słońce oświetla port i nagle zauważam coś błyszczącego. To guzik kurtki martwego człowieka, którego ciało płynie z nurtem rzeki.

Wcześniej żadnego nie widziałem. Trupy dopiero po kil-ku dniach wypływają na powierzchnię. Wkrótce pojawią się kolejne i port zmieni się nieodwracalnie. Na bulwarach też już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Śmiechy, spacerowanie nad brzegiem morza, przesiadywanie na ławkach, zjadanie lodów, łowienie ryb na przynętę z chleba, zagadywanie rybaków na kutrach, gonienie mew, podziwianie skrzących się fal... To wszystko się skończyło. Na zawsze.

Gdyby nie wiadomość od Khronosa, nic nie zmusiłoby mnie do opuszczenia domu. Nie mógłbym się od nich oderwać – od taty, mamy, Camili, mojej rodziny.

Wiedziałem, że w końcu będę musiał wyjść – w przeciwnym razie zostałbym na zawsze w swoim pokoju i umarł z głodu po zjedzeniu wszystkich herbatników, jabłek, pomarańczy i jogurtów przechowywanych w chłodzie pod parapetem. I po wypiciu wszystkich puszek coli. A może umarłbym z zimna, bo zaczęło się robić chłodno, prąd został odcięty na dobre, a w domu nie mogłem już znaleźć nic do spalania, bo nie śmiałem niczego dotknąć.

Gdyby nie ta wiadomość, przez całe dni siedziałbym przybity, i choć słońce codziennie by wschodziło, czy zdołałbym liczyć kolejne dni? Z pewnością straciłbym rachubę czasu. Pozwoliłbym, aby pochłonęła mnie nicość.

Gdyby nie ta wiadomość i Happy, nigdy by mi się nie udało stamtąd wyjść. Mój wierny pies leżał obok mnie. Co jakiś czas zniknął, pewnie żeby poszukać jedzenia, ale zawsze wracał, skamlał i kładł pysk na moich nogach. W jego błyszczących oczach widziałem niezliczone pytania. Zanurzałem dłonie w jego gęstej, czarnej sierści i białym kołnierzu na szyi, lecz milczałem, bo słowa mnie opuściły. W myślach nadal byłem Ekspertem Warriors of Time – gry, której poświęcałem cały wolny czas, zanim to wszystko się zaczęło. Tak dałem się wciągnąć w wirtualny świat, że mój najlepszy kumpel RV, z którym w dzieciństwie włóczyłem się całymi dniami, skarżył się, iż wcale już mnie nie widuje.

W ostatnim czasie, przerażony martwą ciszą, zapomniałem o Yannisie, słabowitym chłopaku, zagubionym w rozpadającym się świecie, by stać się jego awatarem z WOT, potężnym Adriałem, rycerzem podróżującym w czasie i wy-chodzącym cało z licznych wojen.

Od czasu do czasu dochodziły do mnie krzyki. Łkania roz-legały się nagle, a po chwili zamierały. W sąsiednich mieszkaniach rozbrzmiewały kroki. W świetle dnia wszystko było nieruchome, ulica ożywała po zapadnięciu mroku. Zapalałem trzy świece stojące obok podręczników szkolnych i słuchałem dobiegających zza okna odgłosów. Kroków, najpierw powolnych, później szybszych, a w końcu oszalałych ze strachu. Rozdzierających wołań. Czasem odległych wybuchów. Pif! Co to było? Paf! Można by pomyśleć, że to strzały z broni palnej. Ale kto strzelał? Do czego? Do kogo? Wycie rozdzierało powietrze. Z całej siły zatykałem uszy, zamykałem oczy, chciałem zniknąć...

Kiedy znów pojawiał się prąd, mrużyłem oczy w świetle lampy. W różnych częściach dzielnicy nagle rozlegała się muzyka, puszczona na cały regulator, wywołująca fałszywe

i nerwowe śmiechy. Myślałem tylko o jednym: żeby wejść w świat WOT, gdzie kolekcjonowaliśmy broń i techniki walki z przyszłości, by zdobyć przewagę w przeszłości. Czasem działało to także w przeciwnym kierunku – przeszłość mogła pomóc przyszłości. Byłem bardzo dobry w tej grze. O wiele lepszy niż w życiu czy nauce... Od wybuchu epidemii łączyłem się z internetem tylko po to, żeby skontaktować się z kolegami Ekspertami i dowiedzieć się, czy dostali wiadomość od Khronosa, który ponad tydzień wcześniej jakby zapadł się pod ziemię. Wszyscy Eksperci mówili to samo, bez względu na to, czy pochodzili z Bretanii, Paryża, Tuluzy, Metz czy Lyonu. Wirus niepodzielnie panował nad Francją. Cały kraj opanowała panika.

SuperThor3: o co w tym wszystkim cho, ja pier***lę, to istny koniec świata, czy co? tu jest jak w piekle...

Laféedhiver: ja mieszkam w megaodizolowanej wiosce. Ale wirus tu też dotarł...

Adrial: w tele mówią, że to się dzieje na całym świecie...

Lady Rottweiler: taaa, to samo w Lyonie, uważajcie na siebie, posłuchajcie. Przede...

Lady Rottweiler z Lyonu zdawała się mieć jakieś takie pojęcie o medycynie i w pierwszych dniach zdążyła przekazać nam kilka zaleceń dotyczących higieny. Później zgiełk sieci też umilkł i każdy z nas został sam. W samym sercu apokalipsy.

Myślałem, że oszaleję, kiedy okazało się, że nie można połączyć się z WOT. To było moje ostatnie źródło informacji na temat tego, co dzieje się na zewnątrz. I ostatnie źródło otuchy.

Wiem, że za słowami Ekspertów, nawet Lady Rottweiler, kryły się smutek, żaloba, rozpacz, łzy, strach, poczucie opuszczenia. Ja też nie poruszałem tych tematów. Chcieliśmy nadal zachowywać się jak bohaterowie, nawet w tym kurewsko rzeczywistym świecie.

Zachowywać się jak bohaterowie! A tymczasem nie miałem odwagi nawet ruszyć się z domu! Za bardzo mnie rozpieszczano i dziś nie umiałem sobie poradzić. Rodzice nigdy nie pozwalali mi ugotować niczego poza makaronem ani dotknąć gwoźdźcia czy młotka. Woleli, żebym się uczył. A ja nie należałem do chłopców, którzy za wszelką cenę chcą wstąpić do skautów. Tylko podczas grania w WOT nie czułem, że tracę czas. Świat wirtualny był moją przyszłością i jedynym miejscem, w którym zdobywałem znaczenie towarzyskie, oczywiście z przekonaniem, że w dłuższej perspektywie wyjdzie mi to na dobre. Szkoła nie była moją mocną stroną. Zamiast zakuwać, ukradkiem ćwiczyłem swoje umiejętności no-life, które – byłem tego pewien – miały mi się kiedyś przydać w życiu.

Gdyby rodzice się dowiedzieli! Myśleli, że dobre oceny z francuskiego zawdzięczam godzinom ciężkiej pracy. To prawda, że francuski był moim ulubionym przedmiotem, choć nikt nie pomógł mi w lekcjach, bo rodzice dobrze mówią, ale kiepsko piszą. A właściwie...

Dobrze mówili, ale kiepsko pisali.

– Opanuj się, Yannis – rozkazuje mi Adrial.

A ja wyobrażam sobie jego postać w zbroi, jego długie włosy, stalowe mięśnie, miecz w dłoni i kałasznikow na ramieniu. Dwa razy uderzam się pięścią w klatkę piersiową i z wściekłością powstrzymuję łzy.

– OK, tylko mnie nie opuszczaj, proszę. Zostań ze mną, zostań ze mną...

1 listopada, godzina 9.00

Dziś, śledząc wzrokiem trupa tańczącego na falach, rozmawiam ze Śmiercią. Ona, której imię wcześniej ledwie śmiałem wymówić, jest teraz moją przyjaciółką. Hej, Śmierci, jak życie? Ile osób dziś pocałowałaś? Ach tak, jednak...

Śmierć... Trzęsąc się pod kołdrą, czekałem, aż zapuka do moich drzwi. Fascynował mnie błękit nieba, kpiącego ze wszystkich: żywych, martwych, konających, a przede wszystkim ze mnie. Niebo zajmowało się przybieraniem elegancko stonowanych barw, blaknących na początku i pod koniec każdego dnia. Woda w porcie odbijała jego kolory tak jak wcześniej, maszty statków uderzały o siebie jak wcześniej, mewy krzyczały jak wcześniej, tylko nie było słyhać żadnego słowa, okrzyku, warkotu motoru, muzyki. Żadnego sygnału ludzkiej obecności.

Gdy nadchodził wieczór, przerażał mnie dźwięk ciał rzucanych do wody. Idioci... Chociaż nie wiem zbyt wiele o życiu, rozumiem, że woda jest cenna. Ojciec powtarzał to często, a matce z dzieciństwa spędzonego w Algierii pozostał zwyczaj oszczędzania każdej kropli. Śmiejąc się z samej siebie, zawsze podkładała miskę pod kran – na wypadek, gdyby zaczął przeciekać. Wrzucanie trupów do wody to najgorszy sposób pozbywania się martwych. Tą drogą najłatwiej rozprzestrzenić wszelkie możliwe świństwa i jeszcze bardziej zatruć powietrze w mieście.

Dziś w nocy obudziłem się, szcękając zębami. Sprawdziłem godzinę na zegarku taty. Przedwczoraj założyłem ten zegarek na rękę, bo zorientowałem się, że bateria w moim telefonie wkrótce się wyczerpie. Była dokładnie pierwsza jedenaście nad ranem. Początkowo myślałem, że obudziłem się z zimna, ale wtedy usłyszałem piknięcie, które uświadomiło mi, że przez sen słyszałem ten sam dźwięk. Włączono prąd! Najpierw położyłem rękę na kaloryferze obok łóżka. Był ciepły, przyjemnie rozgrzewał w tym arktycznym klimacie. Piknięcie oznaczało, że uruchomił się termostat. Natychmiast rzuciłem się do komputera. Dostałem wiadomość z WOT. Wiadomość od Khronosa.

Znam sposób na cofnięcie czasu. Zawsze go znałem. Jednak sam nie mogę nic zrobić.

Dołączcie do mnie. Razem możemy uniknąć katastrofy, napisać przeszłość na nowo. Uwierzcie we mnie, uwierzcie w samych siebie, a pokonamy naszego najpotężniejszego wroga: wirusa.

Spotkanie 24 grudnia o północy pod najstarszym zegarem w Paryżu.

Zaraz pomyślałem sobie: „Oby tylko inni Eksperci też ją dostali i przeczytali!”. Poczulem ogromną falę nadziei, która stworzyła cieniutką zasłonę oddzielającą mnie od śmierci. Ponownie przeczytałem słowa Khronosa i sam nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać. „Znam sposób na cofnięcie czasu...”

Cały ten chaos musiał wkurzyć mistrza gry. Nieważne. Liczy się tylko spotkanie. Odnalezienie się. Zjednoczenie. Bohaterowie świata wirtualnego, tak samo jak rzeczywistego, zwykli walczyć. Bez względu na to, czy istnieje sposób na cofnięcie czasu czy nie – będziemy toczyć bój. Żeby przeżyć. Żeby odbudowywać. Żeby uniknąć samotności.

Nic lub prawie nic nie wiem o pozostałych Ekspertach, ale jako znak rozpoznawczy posłuży nam wspólny gest: dwukrotne uderzenie prawą pięścią w klatkę piersiową.

Kiedy zaczęło dnieć, zdecydowałem się ruszyć z domu. To ja, Yannis, do wewnętrznej kieszeni puchówki włożyłem zdjęcie naszej rodziny, zrobione podczas dziewiątych urodzin mojej

młodszej siostry. Jesteśmy na nim razem: tata, mama, Camila i ja. Wsunąłem tam też kopertę, którą tata – kiedy poczuł się chory – położył na moim biurku z taką delikatnością, jakby był to kruchy kwiat. „Przeczytasz te słowa, kiedy nie będziesz już wiedział, kim naprawdę jesteś. Zrozumiałeś?” Oczy mu błyszczały nie tylko z powodu gorączki. Nic nie rozumiałem, ale z powagą pokiwałem głową. Przed wyjściem z domu wziąłem komórkę i ładowarkę. Nie mogłem się też powstrzymać przed zabraniem jednej z figurek z *Władcy pierścieni*. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, bym mógł porzucić Froda wymachującego mieczem, gdy stawiam czoła całemu światu.

Natomiast to Adrial dał Happy’emu znak do wyjścia. To on wyszedł z mojego pokoju, żeby skonfrontować się ze zgrozą i smrodem w salonie. On w trybie przeżycia spakował mój plecak: ubrania na zmianę, mydło, sznurek. Wziął też zapalniczkę, pudełko zapalek, scyzoryk, śpiwór, prowiant. To on przeszedł obok ciał moich rodziców, nadal leżących na kanapie, podczas gdy mnie atakowały złowrogie wspomnienia: oczekiwanie na lekarza, desperackie starania, które podjąłem, żeby ich uratować, a później moje pełne rozpaczony krzyki... Doskonale panujący nad swoimi emocjami Adrial otworzył drzwi i wybiegł z mieszkania.

Moja zbroja rycerska zniknęła na klatce schodowej. Nagle zaatakował mnie bezmiar obrazów. Obładowana zakupami mama wchodzi po schodach, uśmiecha się do mnie albo mnie ochrzania, ale nie złości się na mnie. Mama niesie w ramionach malutką Camilę albo trzyma ją za rękę. Camila pokazuje mi język i zaśmiewa się podczas zabawy w pomidora. Spokojny tata przeciąga dłonią po niemal łysej głowie – taki miał zwyczaj. Dostrzega mnie, oczy zaczynają mu błyszczeć, uśmiech rozjaśnia jego twarz. Mówi: „Mój syn...”.

Zszokowany zakryłem twarz ramieniem. Otarłem łzy. Happy niespokojnie popiskiwał. Pociągnąłem nosem i czym prędzej zszedłem na niższe piętro. Od dwóch dni byłem chyba jedynym żywym człowiekiem w kamienicy, ale chciałem przynajmniej mieć czyste sumienie. Z całej siły zacząłem dobijać się do drzwi pod dziesiątką.

– Franck! Jesteś tam, Franck?

Happy poszcze kiwał. Franck często przychodził do nas, żeby dawać mi korepetycje z matematyki. Uwielbiał przekomarzać się z Camilą. W zamian za lekcje tata wykonywał w jego mieszkaniu drobne prace remontowe. Zanim tata zaczął prowadzić sklep spożywczy, był murarzem. Franck studiował na uniwerku. Ile mógł mieć lat? Może wcześniej zaczął studia? Był przecież taki zdolny. Filowirus U4 nie oszczędza nikogo poniżej piętnastego i powyżej osiemnastego roku życia, to szybko stało się oczywiste. Nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje, wiadomo tylko, że unicestwia każdego, kto stanie mu na drodze. W panice zawołałem:

– Ile masz lat, Franck? Ile miałeś? Odpowiedz! W jakim jesteś wieku?

Cisza. W całej kamienicy nie było żywej duszy. Ile czasu spędziłem pod dziesiątką?

Adrial obudził się skulony pod ścianą, gdy promień słońca padł na jego policzek. Happy tulił się do niego. Rycerz pospiesznie się rozprostował i głęboko odetchnął przed zejściem po schodach. Zanurzył się w chłodzie ulic oświetlonych listopadowym słońcem i smaganych wiatrem – zimnym, porywistym mistralem. Adrial zebrał śmieci zawałające wejście do mojego domu i sąsiednich kamienic, a potem zrobił z nich stosy – na korytarzu, klatce schodowej, a przede wszystkim przed moim mieszkaniem. Znów wyszedł na ulicę i krzyknął:

– Nikogo tu nie ma? Jeśli ktoś jest, niech wyjdzie!

Czekał.

– Niech ktoś wyjdzie, na Boga! Franck! Jesteś pewien, że cię tam nie ma? Pani Tibaut? Younis? Majda?

A nieustannie zrzedzący staruszek z laską? A pochodząca z Komorów rodzina o nazwisku niemożliwym do wymówienia? Czy naprawdę ich tam już nie ma?

Wiatr hulał po ulicach. Adrial wyczuwał za plecami czyjeś ruchy, szepty, obecność. Zapewne obserwowano go zza potłuczonych szyb. Być może był przedmiotem drwin, jako ktoś, kto rozmawia z umarłymi. Trudno. Tym lepiej. Niech wezmą z niego przykład. Niech przestaną rzucać ciała do wody. Niech go naśladowają.

Adrial wyjął zapalniczki. Zapalił jedną z nich i przez kilka sekund obserwował płomień, a później rzucił ją na stos gazet i innych papierów. Patrzył na rosnące, wznoszące się ku niebu płomienie, głaszcząc przerażonego Happy'ego. Dla niego prawdziwym wyrazem szacunku było spalenie całej kamienicy wraz z tymi, którzy przeżyli tu momenty radości i smutku, chwile żaloby i szczęścia. W dzielnicy Panier stare budynki paliły się jak słoma, zwłaszcza że wiał silny wiatr.

Adrial poczuł łzy na policzkach. Modlił się do znanych sobie bogów. Połączył nadludzkiem wysiłkiem ostatnie okruczności woli. O ileż łatwiej byłoby zginąć na ulicy albo rzucić się w płomienie. Tak byłoby znacznie łatwiej, ale on tego nie zrobił. Wstał, bo nazywał się Adrial, był rycerzem WOT. Później biegł aż do tego miejsca, na ten brzeg, nad wodę w porcie, która skrzyła się w podmuchach mistralu. Za jego plecami tańczyły płomienie.

Ja, Yannis, płaczę teraz gorzkimi łzami. Religia, w której zostałem wychowany – lecz wcale nie jestem pewien, czy mogę ją uznać za swoją, bo od pięciu dni nie wierzę już w nic – mówi, że nie pali się zmarłych. Ciało musi wrócić do ziemi, żeby bezpośrednio i możliwie najszybciej połączyć się z naturą. Spalenie ciała uniemożliwia jego powrót w wielkim cyklu życia i przysparza cierpienie duszy. Błagałem boga moich rodziców, aby uwierzył, że chodzi o zupełnie wyjątkową sytuację, i zrozumiał, iż nie miałem wyboru. Skąd miałbym wziąć siły, żeby przetransportować trzy ciała na cmentarz za centrum handlowym Bourse i wykopać tam groby?

– Boże, kimkolwiek jesteś i jakkolwiek byłaby religia tego walącego się świata, wybac mi i zachowaj dusze moich bliskich!

Za moimi plecami płonie kamienica. Przede mną rozciąga się morze wymiotujące trupami. Naprzeciwko, na wzgórzu, wznosi się nieruchomy, złożony posąg Matki Boskiej, tej, która ma chronić Marsylię. U moich stóp leży psiak, mieszanka border collie i nieznanego rasy. Myśli zaprzęta mi kwestia zegara w Paryżu, o którym nic nie wiem. A w sercu przechowuję obraz mojej rodziny.